



Judith W. Taschler

P O W I E Š Ć
B E Z O



Judith W. Taschler

POWIEŚĆ BEZ O

przełożyła Aldona Zaniewska



Tłumaczenie książki powstało przy wsparciu finansowym Austrian Federal Chancellery

Tytuł oryginału: *Roman ohne U*

Originally published in Austria by: Picus Verlag Ges.m.b.H., Vienna

Copyright © 2014 Picus Verlag Ges.m.b.H., Vienna

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVII

Copyright © for the Polish translation by Aldona Zaniewska, MMXVII

Wydanie I

Warszawa MMXVII

Moim rodzinom, wszystkim

...i cóż to da? U kresu wszystko będzie takie proste – wszystko, co było, i co mogło być.

Sándor Márai, *Żar*, tłum. Feliks Netz

Listopad 2012: Katharina

Nieproszony gość

Katharina siedziała z czwórką swoich dzieci przy kolacji, gdy w drzwiach pojawił się gość.

Nie zapukał, nie zadzwonił, po prostu wszedł, drzwi do domu były przecież zawsze otwarte, rygłowało się je tylko na noc. Cicho zamknął kuchenne drzwi i powoli zbliżył się do dużego stołu. Katharina od razu wiedziała, kim jest i czego od niej zażąda. Był flegmatyczny i jednocześnie autorytarny – mężczyzna nienawykły do tego, by ktoś mu się przeciwstawiał. Powoli usiadł obok niej, nie witając się z nikim. Katharina dała mu wzrokiem do zrozumienia, że może przecież poczekać, aż ta czwórka wstanie i pójdzie do swoich pokoi. Zignorował to i zaczął mówić bez ogródek, patrząc przy tym z ciekawością każdemu dziecku w twarz.

Przypomniał Katharinie o tym, że trwa wojna i że najeźdźcy maszerują przez kraj, mordując, okrutnie zabijając całe rodziny. Maltretują na oczach rodziców po kolei każde dziecko, zanim w końcu pozwolą im na błogosławioną śmierć. Na koniec pozbawiają życia również rodziców, zabijając od zewnątrz deskami każde okno, każde drzwi i w końcu podpalając dom. Już wkrótce, niebawem, żołnierze przyjdą też do tej wioski i urządzią rzeź każdej rodzinie.

Tylko on mógłby jej pomóc i nie dopuścić, by jej dzieci i ją samą skatowano i zamordowano. Ma dobre kontakty z żołnierzami i dopracował się z nimi pewnej umowy: każda rodzina może ofiarować jedno dziecko, wówczas resztę oszczędzą.

Ona musi mu tylko podać imię jednego ze swoich dzieci, dziecko zostanie zaprowadzone do żołnierzy i umrze szybką, bezbolesną śmiercią. Ale za to nikomu innemu włos z głowy nie spadnie, stopa żadnego z żołnierzy nie postanie w ich domu, on to gwarantuje swoim nazwiskiem. Katharina wpatrywała się w niego. Z tego, co o nim słyszała, wyobrażała go sobie inaczej: większego, bardziej

siwego, energiczniejszego. W końcu zmusiła się, by oderwać od niego wzrok, rozejrzała się po znajomej kuchni, zanim znów się do niego odwróciła.

Mężczyzna dobrotliwie się uśmiechnął i powiedział:

– Niech mi pani poda tylko jedno imię i wszystko będzie dobrze. Tylko jedno imię i może pani uratować pozostałych. Niech pani pomyśli o torturowanych i zabitych rodzinach, a będzie pani wiedziała, że moja propozycja to łaska.

Była pewna, że on wie, co mu odpowie, a jednak to powiedziała:

– Ja idę z panem.

– To niestety niemożliwe, to musi być jedno z pani dzieci. – Jego odpowiedź padła jak z pistoletu, przy czym ciągle się uśmiechał. – Tak po prostu wynika z umowy.

Dzieci się nie ruszały, patrzyły na przemian to na mężczyznę, to na matkę, nie mówiąc przy tym ani słowa, myśli Kathariny goniły jedna drugą.

Tak, to była wojna. Każdego dnia była wojna.

Miała podać tylko jedno imię i w ten sposób uratować pozostałe dzieci. Ale czyje imię powinna podać? Które dziecko zdradzić i wydać na śmierć? Bo to była zdrada, to pewne, dziecko, które oddałaby temu mężczyźnie, byłoby tym, które kochała najmniej, tak przynajmniej wszyscy by myśleli.

Ona to wiedziała, wiedziały dzieci, wiedział gość. Łamała sobie głowę, co powinna zrobić. Powinna po prostu wstać i wyrzucić tego potężnego mężczyznę? Widziała, że nie był do tego przyzwyczajony. Ze sporą satysfakcją cisnęłaby mu w twarz: „Możesz sobie w dupę wsadzić tę swoją łaskę!”.

Ale wtedy żywcem obdarto by jej dzieci ze skóry albo wrzucono do wrzącej wody, albo poćwiartowano. Wyobraziła sobie dokładnie te wszystkie straszne rzeczy, zobaczyła rozpacz i przerażenie w oczach dzieci przy zapowiedzi konkretnej tortury, a potem słyszała krzyki, krzyki, krzyki. Jedno imię! Musiała podać jedno imię.

Z błaganiem w oczach patrzyła na dwoje starszych, jedno z nich mogłoby przecież zrozumieć jej rozpacz i ofiarować się za rodzinę. Jedno z tych dwojga powinno spokojnym głosem powiedzieć: „Ja

pójdę dobrowolnie, mamó”. To by do nich pasowało, zawsze przecież byli tym rozsądnym starszym rodzeństwem, gdy chodziło o maluchy. Ale tego nie robili, tak samo jak dwoje młodszych z szeroko otwartymi oczami przywarli wzrokiem do jej ust: jakie wypowie imię?

Jedno imię! Musiała w końcu podać to imię! Które z dzieci mogłoby jej wybaczyć tę zdradę, myślała, które z dzieci mogłoby pójść i rzucić jej przy tym spojrzenie mówiące: nie jestem na ciebie zły. Jednocześnie wiedziała, że żadne z dzieci nie będzie w stanie tego zrobić. Po prostu szybko by je wyszeptala, to imię, potem ukryłaby twarz w dłoniach, żeby nie patrzeć, jak je zabierają. Nie mogłaby mu spojrzeć w oczy.

Cierpliwość gościa się wyczerpała, głośno rozkazał Katharinie: „Proszę natychmiast podać mi imię!”. Miała jedno na końcu języka, ale nie mogła go wypowiedzieć. W rozpaczę patrzyła na wszystkich, przebiegła przy tym wzrokiem po pustym krześle Juliusa i nagle wypełnił ją gniew: dlaczego musi podjąć tę decyzję sama? Dlaczego nie ma tu jej męża i jej nie pomoże? Dlaczego właściwie nigdy nie było go z rodziną?

W tym momencie wyszeptala – wściekla na Juliusa – imię, sama nie wiedziała które, ale wydawało się, że gość z całkowitą pewnością wiedział, wstał i wyciągnął rękę. Do kogo ją wyciągnął?

Listopad 2012: Katharina

Samotność

Gdy po raz piąty zdarzyło się, że nieproszony gość usiadł za stołem Kathariny, zerwała się nagle, wzięła komórkę i zniknęła z nią za drzwiami sypialni. Dzieci patrzyły za nią osłupiałe. Zadzwoiła do swojej przyjaciółki Doris i spytała, czy nie miałyby ochoty pójść do kina i ewentualnie potem jeszcze gdzieś się czegoś napić. Doris żałowała, ale była przeziębiona, również Sabine nie mogła, jej córeczka się rozchorowała. Katharina rzuciła się z jękiem na łóżko.

Zastanawiała się, czy powinna usiąść do komputera, by dalej pracować nad biografią pani Hausmann, czy pojechać sama. Zdecydowała się jechać sama. Zdjęła dzinsy, wskoczyła w jasne spodnie, włożyła elegancką czarną górę i wysokie buty. Sześćioletnia Luisa przewracała w łazience oczami, gdy Katharina zrobiła makijaż mocniejszy niż zwykle i upinała włosy.

W ciemnej sali kinowej przez cały czas marzła w przeciągu. Dookoła niej zajmowały miejsca tylko pary albo grupy przyjaciół i czuła się samotna jak nigdy dotąd. Kilka rzędów dalej siedziała para starszych ludzi, oboje około siedemdziesiątki; mężczyzna objął kobietę ramieniem. Katharina nie mogła oderwać od nich oczu, zakochani staruszkowie zawsze robili na niej większe wrażenie niż młode pary, które wygłupiając się, chodziły za rączkę. Chciała, żeby Julius był obok niej.

Wcześniej, gdy dzieci były młodsze, często jeździła sama do miasta i chodziła do kina. Taki rodzaj ucieczki od własnego życia, nigdy nie czuła się wtedy samotna, przeciwnie, rozkoszowała się tym: człowiek zanurza się w obcą historię, znieczula się nią i zapomina przynajmniej na dwie godziny o własnej. Przez całe lata wołała sama wybrać się do kina, niż jechać na urlop z rodziną, ale nikomu o tym nie mówiła. Była przekonana, że jej znajomi zareagują tylko brakiem zrozumienia. Na początku roku szkolnego w przedszkolu albo szkole wszyscy

entuzjastycznie opisywali tygodnie spędzone nad morzem, w obcym mieście albo w jakimś egzotycznym kraju jako niezwykle relaksujące, zachwycające, czarujące, i długo zadawała sobie pytanie, czy tym ludziom urlop naprawdę tak się podobał, czy to była zwykła gra, subtelna demonstracja, kto tu jest bardziej interesujący, otwarty, a przede wszystkim kto sobie może na więcej pozwolić. Ona wolała siedzieć w ciemnym kinie: codzienność znikwała za obrazami na dużym ekranie. Gdy o wpół do szóstej rano z dzieckiem albo nawet z dwójką małych dzieci za rękę szła hotelowym korytarzem, wciąż szepcząc z palcem na ustach „pst, pst”, codzienność była podwójnie trudna.

Tego wieczoru samotność wzięła w posiadanie całe jej ciało. Wciąż drżała z zimna, bolał ją brzuch, w głowie dudniło, nogi były jak z ołowiu. Siedziała w jakimś barze na wysokim stołku, piła małymi łyчками koktajl i czuła się obserwowana przez większość ludzi. Barman z nią flirtował i z wdzięczności wypił za dużo. W drodze do domu, pochylona do przodu, tępo wpatrywała się w przednią szybę. Przez jezdnię przebiegła sarna, Katharina zdążyła zahamować na czas. Potem nagle się rozplakała i musiała się zatrzymać. Szlochając i dygocząc, obejmowała kierownicę i nie mogła się uspokoić.

Następnego ranka po przebudzeniu podjęła decyzję.

Po śniadaniu dzieci kolejno wychodziły z domu. Katharina wrzuciła kilka ubrań do małej walizki i poszła na górę do Arthura i Olgi.

– Chcesz kawy? – zapytała Olga ze swoim silnym akcentem, który dzieci uważały za zabawny i lubiły naśladować.

Katharina przyjęła propozycję. Przyszedł Arthur, siedzieli we trójkę przy kuchennym stole i jedli śniadanie.

– Chciałam was o coś poprosić – powiedziała Katharina.

– Chętnie zajmiemy się dziećmi – odrzekła Olga.

– No, gdzie masz ten odcisk? – zapytał przyjaźnie Arthur.

Arthur, siedemdziesięciodwuletni teść Kathariny, miał w tym samym domu mieszkanie z osobnym wejściem. Pół roku temu złamał biodro i od tego czasu mieszkały u niego na zmianę Olga i Masza, dwie opiekunki ze Słowacji, i troszczyły się o wszystko. Głównym powodem, dla którego Arthur je zatrudnił, było nie tyle jego własne niedomaganie, ile to, że nie mógł już pomagać Katharinie przy

dzieciach, w domu i w ogrodzie. Od początku umówił się z obydwoma kobietami na wyższe wynagrodzenie za to, że będą się zajmować nie tylko nim, lecz także od czasu do czasu wpadną do synowej.

Opiekunkami były matka i córka, po dwóch tygodniach jedna jechała do domu, a zastępowała ją druga. Nie mogły wyglądać bardziej odmiennie: pięćdziesięciodwuletnia Olga miała czarne włosy do ramion, które co trzy tygodnie starannie farbowała, niebieskie jak woda oczy i była wyraźnie blada, przez co Luisie od razu się wyrwało:

– Wyglądasz jak stara Królowna Śnieżka!

– Luisa! – wyrwało się z kolei Katharinie, ale Olga tylko serdecznie się roześmiała.

Dwudziestodwuletnia Masza była opalona na brązowo i nosiła króciutkie jasnobłond włosy. Charaktery miały jednak podobne, obydwu nie brakowało temperamentu.

– Chciałabym pojechać do Juliusa – oświadczyła Katharina i opowiedziała o decyzji, którą podjęła.

– Najwyższy czas! – orzekła Olga.

– W każdym razie popieramy cię – oznajmił Arthur.

Arthur i Olga odprowadzili ją do samochodu i wyściskali.

– Co ja bym bez was zrobiła? – zastanawiała się Katharina, gdy wsiadała.

Potem ruszyła.

Rozkoszowała się jazdą po autostradzie i głośno śpiewała z Catem Stevenssem: *How can I tell you that I love you.*

Rozważała w szczególach, co ma powiedzieć mężowi, i mruczała to sobie pod nosem.

Listopad 2012: Julius

Uniknąwszy śmierci

W tym samym czasie czterysta pięćdziesiąt kilometrów na południe od P. inny samochód z nadmierną prędkością jechał autostradą do tego samego miejsca, a dwoje ludzi w pojeździe, kobieta, która kierowała autem, i pasażer, również słuchali płyty Cata Stevensa, i to przypadkiem tej samej piosenki: *How can I tell you that I love you*. Kobieta, miała na imię Stephanie, nuciła pod nosem. Mężczyznę, miał na imię Julius, to irytowało.

Oboje wracali właśnie do Innsbrucku z Ötztal, dokąd wybrali się na narty. Płytę Cata Stevensa Julius dostał przed prawie rokiem na gwiazdkę od swojej żony Kathariny, na pamiątkę czasów, gdy się poznali w Wiedniu i gdy codziennie słuchali piosenek Cata Stevensa, gdy się wciąż kochali i kochali w jego zaniedbanym studenckim lokum. Zabawne było w tym to, że Julius wtedy wpadł na ten sam pomysł, i dlatego w tę wigilię leżały pod choinką dwie płyty Cata Stevensa, obydwie pięknie zapakowane, jedna w skromny fioletowy papier, druga w złoty papier z mnóstwem aniołków. Zastanawiali się, czy jednej nie oddać, zdecydowali się jednak zatrzymać obydwie, każde miało słuchać swojej płyty w samochodzie, i tak też się stało.

Katharina puszczała ją bardzo często, Julius raz kiedyś włożył swoją do odtwarzacza, wołał słuchać radia. I tak płyta od dawna leżała jak sierota w schowku na rękawiczki, z którego przed kilkoma tygodniami wyciągnęła ją Stephanie.

– Pożyczysz mi ją? – zapytała. – Tak lubię słuchać Cata Stevensa w samochodzie.

I w ten sposób prezent od żony powędrował do kochanki, przy czym kochanka nie wiedziała, że był to prezent od żony. Gdy Julius jechał dokądkolwiek z jedną kobietą, zawsze myślał wtedy o tej drugiej.

Podczas drogi powrotnej z Ötztal do Innsbrucku Stephanie włożyła

płyte do odtwarzacza, bo myślała, że to uspokoi Juliusa. Ale tak się chyba nie stało. Siedział obok niej z szarą jak popiół twarzą, próbował stłumić dygot i intensywnie wpatrywał się w boczną szybę. Przed trzema godzinami ledwie uszedł śmierci.

Wczesnym rankiem pojechali ze Stephanie do Ötztal i wraz z narciarzami weszli stromym północnym zboczem na Granatenkogel. Julius zjeżdżał jako pierwszy, Stephanie miała dojechać kilka minut później. Szusował na stoku po świeżym, suchym śniegu, cieszył się nie tylko wewnętrznie, krzyczał na cały głos z radości. I wtedy się to stało: zeszła lawina i go porwała, dudniąca masa śniegu zmiotła go i niosła po skałach, sto metrów dalej w końcu twardo wylądował.

Musiał na chwilę stracić przytomność, bo gdy się ocknął, leżał na boku, na nim zaś spoczywał wielki biały ciężar, było ciemno, a on nie mógł się ruszyć. Ogarnęła go panika, wiedział, że wkrótce się udusi. To był czysty horror.

Umieram, mój Boże, ja umieram.

Przed sobą zobaczył szparę, która pozwalała mu oddychać, dosyć sporą. To go zmotywowało do zachowania spokoju i prób zrobienia rękami wszystkiego, co możliwe, aby uwolnić głowę. Julius ostrożnie przesunął ręce do przodu i zauważył, że ciężar śniegu przytłacza mu tylko nogi, ale nie tułów. Z całej siły walczył, by wydostać się na powierzchnię, i dysząc jak zwierzę, mrugając, spojrział w końcu w słońce. Jego nogi mocno tkwiły w śniegu, uwolniła je Stephanie, gdy on płakał i płakał jak małe dziecko. Ona też płakała.

Potem potrzebowali wielu godzin, zanim znów znaleźli się w samochodzie, bo Juliusa bolało całe ciało, a jazda na nartach sprawiała mu trudność. Przez chwilę próbował z deskami na ramieniu schodzić z góry w narciarskich butach, ale ponieważ to okazało się jeszcze trudniejsze, znów je przypiął i zjeżdżał na miękkich kolanach. Stephanie za każdym razem cierpliwie na niego czekała i spokojnie namawiała go do działania.

W końcu siedzieli w samochodzie i kobieta włożyła wspomnianą płytę Cata Stevensa do odtwarzacza. Julius w milczeniu patrzył przez okno, nie był zdolny do rozmowy, tkwił jeszcze głęboko w szoku. Postanowił nigdy więcej nie jeździć na nartach. Stephanie i on będą

musieli sobie znaleźć jakąś inną dyscyplinę sportu.

W Innsbrucku poprosił ją, żeby go zawiozła do hotelu, chciał ze swojej walizki wziąć valium i tabletki nasenne. Zaparkowała, on wysiadł. Gdy wychodził z samochodu, po jego lewej stronie ujądał pies; spojrział w tamtym kierunku i dostrzegł samochód Kathariny. Miał wrażenie, że serce mu na chwilę stanęło. (Ze strachu omal nie zsikał się w spodnie; był niezmiernie wdzięczny temu psu).

Och, mój Boże, Katharina tu jest! Spokojnie, reaguj szybko.

Pochylił się do Stephanie i uśmiechnął się.

– Poczekam tutaj – powiedziała do niego. – A może ci słabo? Mam ci przynieść te tabletki z pokoju?

– Nie, nie. Ale kiedy się tak zastanawiam, wolałbym zostać dzisiaj sam i po prostu iść spać, i tak muszę wyjechać wczesnym rankiem. Będziesz na mnie bardzo zła, jeśli zostanę w hotelu? – wyjaśnił.

– Jesteś pewien, kochanie? – spytała z troską. – Naprawdę dasz sobie z tym radę sam?

– Nie martw się o mnie – odparł z uśmiechem i ją pocałował.

– Widzimy się w poniedziałkowy wieczór? – upewniła się.

– Tak, oczywiście – odpowiedział, odwrócił się i poszedł do drzwi wejściowych. Czuł, że nogi ma jak z waty. Stephanie odjechała.

(Miała pod swoimi drzwiami natknąć się na równie niespodziewanego gościa: jej brat Philipp uczestniczył w kongresie lekarzy w Innsbrucku, więc wpadł niezapowiedziany do siostry – co zdarzało mu się niezwykle rzadko – i przenocował u niej. Następnego dnia chciał się wybrać do hotelu spa, żeby się jeszcze trochę zrelaksować, i zapytał ją, czy nie miałaby ochoty z nim pojechać, ale odmówiła, musiała dokończyć zlecenie. Poleciała mu hotel Interalpen w Tyrolu).

Listopad 2012: Rodzina Bergmüllerów

W tej książce chodzi o pewną rodzinę. Ta rodzina jest tak zwyczajna jak jej nazwisko: Bergmüller. Czy jest bardziej zwyczajne nazwisko? Tutaj oprócz Maierów i Müllerów chyba nie.

Ponieważ rodzina Bergmüllerów składa się z wielu osób, nieodzowne jest przedstawienie wszystkich. Co najważniejsze: to naprawdę zupełnie zwyczajna rodzina. Wkrótce w tej historii to dostrzeżesz, droga czytelniczko, drogi czytelniku, rozpoznasz po tym, że najstarszy syn ma na Facebooku tysiąc pięćdziesięcioro czworo przyjaciół, a w prawdziwym życiu tylko jednego, albo po tym, że średnia córka z dnia na dzień przestała jeść mięso. Albo po tym, że ich czterdziestoletni ojciec w jednej części kraju w weekendy jest kochającą głową rodziny, a w jego innej części od poniedziałkowego do piątkowego poranka – ekscytującym kochankiem. Albo po tym, że siedemdziesięciodwuletni dziadek jest idealnym teściem, który szanuje i wspiera synową, jak tylko się da, i czasem wyobraża sobie jej nagie ciało (to, gdy był jeszcze młodszy), za to swojemu synowi nie powie nawet jednego dobrego słowa. Albo po tym, że trzydziestodwuletnia matka często przegląda się w lustrze i przypomina sobie o tym, jak w młodości marzyła o jakimś nadzwyczajnym życiu.

Widzisz? Takich rodzin jest setki tysięcy w Europie, prawdopodobnie też na całym świecie.

Główną postacią jest bez wątpienia Katharina Bergmüller.

To matka czworga dzieci, z których tylko jedno było planowane. Z tego powodu długo miała kompleksy, bo wcześniej uważała, że tylko jednostki społeczne zachodzą w niechciane ciążę. Gdy dzieci jeszcze były mniejsze i szła z nimi przez miasto – z wrzeszczącym niemowlęciem w wózku, trzymając za rękę upartego malucha, a za nią kroczyło dwoje nadąsanych starszych dzieci – spojrzenia

przechodniów uderzały w nią jak błyskawice i uważała, że ze wstydu powinna się zapaść pod ziemię. Widziała w tych spojrzeniach pogardę i przypisywała tym ludziom myśli w rodzaju: „Nie potrafią nic innego, tylko sprowadzać dzieci na świat, a potem brać zasiłki?”.

Kiedy teraz znalazła się z dziećmi w mieście, spojrzenia przechodniów jej schlebiały, dostrzegała w nich uznanie i przypuszczała, że kryły się za nimi myśli w rodzaju: „Czworo takich miłych dzieciaków! To musi być pracowita osoba! Gdybyśmy w społeczeństwie mieli więcej takich kobiet!”. Tak już jest, że każdy widzi, co chce zobaczyć, i ma to bardzo wiele wspólnego z jego wewnętrznym stanem.

Katharina rankiem wstaje o szóstej, przygotowuje śniadanie i kanapki do szkoły, sprawia wrażenie radosnej i rześkiej, chociaż najchętniej pospałaby jeszcze z godzinę. Gdy wyprawi dzieci, usadawia się na dziesięć minut z nogami na stole, na co nigdy nie pozwoliłaby swoim pociechom, czyta gazetę i w spokoju pije kawę, zastanawiając się przy tym, co ugotować na obiad. W szybkim tempie sprząta mieszkanie, żeby potem zasiąść do komputera, obok stoi magnetofon. Gdy najmłodsza latorośl dorosła do przedszkola – przed trzema laty – zaczęła pracować jako niezależna biografka.

Odwiedza starszych ludzi, którzy chcą zostawić dzieciom i wnukom wspomnienia albo których dzieci i wnuki pragną dowiedzieć się więcej o życiu ojca czy babci. Podczas kilku wizyt nagrywa historię życia starszego pana lub starszej damy. U każdego seniora, który podczas pierwszego spotkania podsuwa jej własnoręcznie zrobione ciasteczka albo kawałki ciasta podane na staromodnej serwecie, zadaje sobie pytanie, cóż to za tajemnica tkwi w jego życiu. Lubi słuchać spokojnego głosu opowiadającego z nostalgią o minionych czasach, ludzi otwarcie i bez ogródek spowiadających się ze swojego życia. Na starość, w obliczu śmierci, nie ma już żadnych tajemnic.

W domu odsłuchuje to, co nagrała, słowo w słowo wklepując to do komputera. Stworzenie z tego surowego materiału wzruszającej historii życia zabiera Katharinie najwięcej czasu i jest najtrudniejsze, a jednak tę część pracy lubi najbardziej. Na koniec tworzy układ graficzny, szuka zdjęcia na okładkę i oddaje wszystko do drukarni.

Przekazanie gotowej książki rodzinie, często podczas uroczystości urodzinowej, i nadzwyczajna radość na twarzy starszego człowieka za każdym razem napełniają ją dumą i zadowoleniem.

Katharina uwielbia swoje zajęcie i odkąd pracuje jako biografka, jest bardziej zrównoważona. (Przyczynia się do tego, rzecz jasna, to, że dzieci podrosły i dlatego wiele rzeczy stało się łatwiejszych).

Po południu siada z najmłodszą córką i pomaga jej w pracy domowej, sprawdza zadania i referaty średniej, sprząta, pierze, robi zakupy, odwozi i przywozi dzieci, i od czasu do czasu wypija kawę z przyjaciółką albo sąsiadką. Wieczorami czyta, pracuje nad kolejną historią życia, wypija z Arthurem i Olgą kieliszek wina. Raz w tygodniu idzie wieczorem na kurs jogi, a innego wieczoru wychodzi z przyjaciółkami.

Zawsze cieszy się na weekend, bo wtedy przyjeżdża do domu jej mąż, po każdym weekendzie jest wyczerpana, bo podczas tych dwóch dni, po pierwsze, trzeba nadrobić wszystko, co wiąże się z rodzicielstwem i związkiem partnerskim, a po drugie, dlatego, że w napięciu próbuje przekonać męża, jaką jest dobrą matką, gospodynią, a przede wszystkim żoną. W poniedziałek gardzi sobą za to. Katharina wie, że jest atrakcyjna, próżność stanowi jej największą wadę, poza tym nie ma żadnych, jest nadzwyczajnie nudną kobietą: kocha swoje dzieci, chce dogodzić mężowi, cieszy się, że może bez wyrzutów sumienia wydawać zarobione przez siebie pieniądze. Czasem pragnęłaby mieć w życiu jakąś tajemnicę: jakiś dawny romans, po którym wciąż jeszcze został żal; wielbiciela, który pisze do niej listy miłosne; jakiś zwariowany wyczyn na jakiejś zwariowanej wycieczce ze zwariowaną przyjaciółką, o którym wciąż myśli. Ale nic takiego w jej życiu się nie zdarzyło.

Jest wysoką, jasną blondynką i ma niebieskie oczy. Dawniej koleżanki ze szkoły dawały jej do zrozumienia, że wygląda jak mieszanka Kim Basinger i Michelle Pfeiffer, z kolei starsi panowie mówili jej, że kilka dekad wcześniej stanowiłaby ideał dziewczyny z hitlerowskiego Związku Niemieckich Dziewcząt. Jako nastolatka chciała być drobną, opaloną, czarnowłosą dziewczyną, bo uważała, że ciemnowłose dziewczyny wyglądają bardziej tajemniczo, samą siebie

uważała za zbyt wysoką, zbyt zwyczajną, jej twarz była jak cholerna otwarta księga.

Jej najlepsze przyjaciółki we wsi mają na imię Doris i Sabine. Rozmiar buta to trzydzieści dziewięć. Hobby – czytanie. Zimą czasem biega na nartach.

Jesienią 2012 roku Vincent skończył siedemnaście lat.

Chodzi do czwartej klasy technikum i jest przeciętnym, trochę leniwym uczniem, jego ulubione przedmioty to informatyka i fizyka. Wszystkie dziewczyny w jego szkole uważają, że Vincent wygląda fenomenalnie: jest bardzo wysoki, jak jego dziadek, szczupły i dobrze zbudowany, a jasne włosy i niebieskie oczy odziedziczył po matce. Poza tym jednak mają go za nudnego dziwaka, nie interesuje się ani imprezami, ani muzyką, filmem, podróżami, a już zupełnie – nimi. „Brak mu iskry bożej” – mówią z westchnieniem.

Na Facebooku ma tysiąc pięćdziesięcioro czworo przyjaciół, ale w prawdziwym życiu tylko jednego. Przyjacielowi na imię Robert, jest o głowę niższy od Vincenta i ma pomiędzy ustami a nosem grubą bliznę po operacji zajęczej wargi. Poza tym Robert jest trochę pulchny i bardzo nieśmiały. Nie mówi literalnie ani słowa, nagabywany kiwa lub kręci głową, czasem z trudem wymamrocze coś, co potem ten, kto zadał pytanie, może sobie dowolnie zinterpretować. Katharina chyba wie, dlaczego jej syn znalazł sobie akurat takiego kompana: Vincent nie lubi mówić, a z Robertem nie musi rozmawiać, bo ten jest tak samo małomówny jak on.

Jako niemowlę i małe dziecko Vincent był płaczliwy i chorowity, trzymał się matki, dopiero w szkole podstawowej opieka nad nim stała się łatwiejsza, zrobił się bardziej samodzielny. Wraz z samodzielnością pojawił się nałóg komputerowy, Vincent przeobraził się w maniaka komputerowego. Katharina z trudem odrywała go od notebooka, na niczym innym nie potrafił się tak skupić, podczas układania lego i majsterkowania zdawał się rozkojarzony, niezrównoważony i znudzony. Reglamentowała mu czas przed komputerem, a potem pewnej nocy zauważyła, że jej dziesięcioletni syn odrabia swoje dzienne pensum po nocach,

i totalnie się wściekła. A później się poddała. Katharina latami trwała z tego powodu w rozpacz i miała silne poczucie winy, zwłaszcza gdy inne matki opowiadały, jak chętnie ich synowie na wakacjach – nieważne, czy w słońcu, na śniegu czy w deszczu – grali w piłkę. (Wiedziała, że większość z tego, co mówiły, była przesadzona, mimo to jej poczucie winy działało niezawodnie).

Dopiero w technikum Vincent nauczył się trochę kontrolować swoją manię komputerową, zaczął czytać i uprawiać sport. A od pół roku komputer w ogóle stracił swój urok: nowe hobby miało na imię Masza i wtajemniczało go właśnie w arkana miłości.

Zimą jeździ na nartach albo na snowboardzie, latem na rowerze górskim.

Z ojcem nie rozumie się zbyt dobrze. Najchętniej jada sznycel po wiedeńsku ze smażonymi ziemniakami. Mówi się na niego Vince.

Victoria jest o czterdzieści pięć minut młodsza od Vincenta.

W ciąży Katharina wiedziała, że urodzi chłopca i dziewczynkę, od początku było jasne, jak będzie miał na imię chłopiec, Julius mógł protestować do woli, nie ruszało jej to. W ogóle nie podobało mu się imię Vincent, chciał mieć Lukasa. (Katharina marzyła o małym Vincencie, od kiedy jej matka wymyśliła dla niej historię o ojcu, który nosił to imię).

Dla dziewczynki chciała znaleźć imię, które pasowałoby do Vincenta, i przyszła jej w końcu do głowy Victoria, a Julius się zgodził. Wkrótce dla wszystkich stało się jasne, że nie było lepszego imienia dla tej małej, jasnowłosej istoty: od urodzenia rozpromienionej zwyciężczyni.

W dzieciństwie Victoria rzadko chorowała, była spokojna i kreatywna, godzinami sama zajmowała się lalkami, pluszakami i majsterkowaniem. Naturalnie piękna, była najbardziej lubianą dziewczynką w przedszkolu, a później w szkole, poza tym co roku była najlepszą uczennicą w klasie, chętną do pomocy, wesołą, zrównoważoną, zawsze optymistyczną i mimo tego wszystkiego nikt jej nie zazdrościł, a to dzięki jej przyjacielskiej naturze. Nauczyciele na wywiadówkach zapewniali Katharinę, że jeszcze nigdy nie mieli

w klasie tak idealnej dziewczynki, inne matki pytała ją półzartem, czy jest pewna, że Vic – wszyscy ją tak nazywali – nie wzięła się z innej planety. Katharina czasem się o nią bała: żaden człowiek nie może być tak promienny przez cały czas, kiedy więc nastąpi w niej przełom, kiedy pozna ciemniejsze strony życia?

Victoria upodobała sobie tenis, jej ulubione przedmioty to francuski i niemiecki, doskonale gra na gitarze. Jest ukochanym dzieckiem Juliusa. Jej najlepsza przyjaciółka ma na imię Elisa. Po maturze chce na rok wyjechać do Paryża, a potem studiować w Wiedniu zarządzanie kulturą. Jest wysoka, jasnowłosa i blada jak jej matka. Najchętniej jada quiche'e.

Leonora jesienią skończy dwanaście lat, jest jedynym planowanym dzieckiem w rodzinie Bergmüllerów. Przyszła na świat lekko jak mały miś panda. W niemowlęctwie krzyczała tak rzadko, że można by o niej zapomnieć, wypijała swoje mleko, odbijało jej się i spała, to przede wszystkim. Jako małe dziecko wciąż się uśmiechała i rzadko chorowała. Najbardziej lubiła leżeć nago w łóżku obok matki, gdy ta masowała jej plecki.

W wieku pięciu lat Leonora z pomocą Vic nauczyła się czytać i od tego czasu pochłoneła wszystkie dziecięce książki, które znalazła w domu. Jej ulubioną lekturą przez długi czas była *Pippi Pończoszanka*. W karnawale nigdy nie chciała przebierać się jak inne dziewczynki za księżniczkę, tylko za rudowłosą, bezczelną Pippi.

Gdy miała osiem lat, zażyczyła sobie audiobooków o historii, których później chciała słuchać podczas podróży samochodem – rodzeństwo obok jęczało i gderało, a ona wkrótce umiała na pamięć dłuższe fragmenty. W wieku dziesięciu lat chciała sprawować patronat nad zwierzątkiem w ramach WWF, w wieku jedenastu zażądała darowizny dla Greenpeace'u, od pół roku jest przekonaną wegetarianką. Chodzi tylko w spodniach i obszernych T-shirtach i woli, by nazywano ją Leo.

Interesuje się historią i polityką, podczas programów informacyjnych i reportaży jako jedyna przysiada się do matki, a potem często chce z nią dyskutować. Przy wspólnych posiłkach papla o niesprawiedliwości na świecie: dlaczego menedżer zarabia

o wiele więcej niż kasjerka w supermarkecie; dlaczego do eksperymentów medycznych używa się prawie wyłącznie szczurów; dlaczego artysta może się starać o wsparcie, a sprzątaczką nie; dlaczego kobiety muszą gotować i rodzić dzieci; dlaczego, dlaczego. Starsze dzieci uciekają wtedy ze śmiechem do swoich pokojów, Luisa zatyka sobie uszy. Jednego o Leonorze z pewnością powiedzieć nie można: że jest konformistką. Katharinie się to podoba, a rodzeństwo denerwuje.

Jej najlepsza przyjaciółka ma na imię Mara, jej ulubione przedmioty to geografia i historia. Gdy dorośnie, chce zostać weterynarzem i działać jednocześnie w Greenpeace. Ma metr sześćdziesiąt wzrostu, rozmiar buta trzydzieści dziewięć i jest podobna do matki. Najchętniej jada spaghetti z sosem pomidorowym.

Jesienią 2012 roku Luisa, beniaminek, obchodziła szóste urodziny.

Gdy Katharina zaszła w ciążę z Luisą, już od roku pracowała jako copywriterka w agencji reklamowej, po jedenastu latach bycia gospodynią domową niezmiernie cieszyła się pracą i niezależnością finansową. Przeraziła ją niechciana ciąża; na świat przyszła dziewczynka, a ona miała ją w tych pierwszych, pełnych problemów miesiącach kochać.

Ogólnie rzecz biorąc, najmłodsza córka – tak jak jej starsza siostra – jest spokojnym dzieckiem, które dużo samo zajmuje się sobą, ale coś w niej niepokoi Katharinę. Czasem nie znosi charakteru swojej Luisy. Jej wyrzuty sumienia wówczas jeszcze bardziej rosną.

Luisa nie lubi bawić się z innymi dziećmi, najchętniej odgrywa w domu księżniczkę, sama godzinami przebiera się i maluje w swoim pokoju, żeby potem przeglądać się w dużym lustrze, wciąż i wciąż się obracać i posyłać dłońmi dookoła siebie całusy. Uwielbia ładne sukienki i spódniczki, każdego ranka długo się zastanawia, w co ma się ubrać; gdy zimą musi włożyć spodnie, wybuchają gwałtowne kłótnie; Luisa rzuca się na podłogę, wierzgając, jeśli choć jeden kosmyk jej włosów nie leży tak, jak powinien.

Jest drobna, porusza się z wdziękiem i chodzi dwa razy w tygodniu na zajęcia baletowe. W weekend, kiedy do domu przyjeżdża ojciec,

jest w swoim żywiole, w salonie kręci przed nim piruety i podlizując się, pyta wielokrotnie, czy tańczy lepiej od mamy. Gdy się skaleczy, najpierw rozgląda się dookoła, czy ktoś ją widzi, a dopiero potem zaczyna płakać; gdy wie, że ktoś jest w pobliżu, czule pieści psa, a gdy się jej wydaje, że jest sama, krzyczy na zwierzaka, że musi się jej słuchać i ciągnie go za ogon. Arthur, który kiedyś zauważył zatroskane spojrzenia Kathariny, uspokajał:

– Nie martw się, to się ułoży.

Luisa ubóstwia Victorię, czesanie jej włosów to dla niej najpiękniejsza rzecz. Jest w siódmym niebie, gdy może siedzieć w pokoju starszej siostry, nawet jeśli Victoria się uczy, a ona musi być cicho. Leonora jest zazdrosna o ten intymny związek sióstr i dlatego zachowuje się przekornie wobec młodszej.

– Jesteś tylko laleczką z 08/15 – rzuca.

Luisa ma metr trzydzieści trzy wzrostu, nosi buty w rozmiarze trzydzieści cztery, chodzi do pierwszej klasy szkoły podstawowej, a jej ulubionym przedmiotem jest czytanie. Jest podobna do swojej matki. Najchętniej jada zupę naleśnikową. Mówi się na nią Lui.

Julius Bergmüller urodził się w listopadzie 1972 roku i jest o cztery miesiące starszy od swojej żony Kathariny. Jak czytelnik już wie, ma nie tylko żonę i czwórkę dzieci, lecz także kochankę w Tyrolu, z którą chętnie jeździ na wycieczki narciarskie. To go w końcu zgubi. (Ukrywa przed żoną jeszcze inne rzeczy, o których jednak czytelnik na razie nie wie).

Julius uwielbia stare budynki i stare meble. Nowoczesnych budowli ze stali, szkła i betonu, które projektował i budował kiedyś jego ojciec architekt, nie rozumie i nie chce zrozumieć. Skrajna nowoczesność go odpycha. W wolnym czasie może godzinami odrestaurowywać wiekową zepsutą szafę albo łóżko, by dać im nowe życie. Już jako gimnazjalista rozkoszował się pomaganiem popołudniami starym renowatorowi w jego warsztacie. Później zdecydował się studiować w Wiedniu renowację i konserwację zabytków, ale musiał przerwać studia, gdy Katharina zaszła w nieplanowaną ciążę.

Julius chętnie słucha muzyki wszelakiego rodzaju. Nie lubi tańczyć.

Nienawidzi chaosu, jest w tym względzie bardzo pedantyczny, czasem męczy go hałas – poza warsztatem. Kocha swoje dzieci, ale harmider, niepokój i nieporządek, do których się przyczyniają, zupełnie wyprowadzają go z równowagi.

Julius jest wysoki, ma ciemne włosy i oczy, a jego nos wydaje się nieco za duży. Prawdopodobnie okazałby się podobny do swojej zmarłej matki Eve. Najchętniej jada stek z sosem śmietanowo-pieprzowym.

Arthur Bergmüller jest ojcem Juliusa. Urodził się w 1940 roku i dorastał w młynie jako trzymany pod kloszem jednak, był oczkiem w głowie swoich rodziców: Maxa i Luzii.

W latach sześćdziesiątych Arthur zaczął studiować w Wiedniu architekturę i dokończył studia w Paryżu. Potem tam został, nie tylko dlatego, że znalazł idealne miejsce pracy, lecz przede wszystkim dlatego, że dobrze się czuł w tym mieście. Dopiero dziesięć lat później, gdy stracił swoją wielką miłość, opuścił Francję i mieszkał przez kilka lat w Berlinie i Sztokholmie, gdzie tylko pracował jak opętany.

Arthur jest architektem duszą i ciałem. Kiedyś lubił wyraźne, proste linie i struktury oraz zestawienie betonu i stali, później jego styl się zmienił, stał się miększy. Arthur zaczął preferować drewno i szkło jako materiały budowlane.

Od jesieni 1978 roku mieszka w górskim młynie w P. Początkowo zdystansowany wobec swojego rodzinnego domu i ludzi w miejscowości, teraz czuje się tu bardzo dobrze, nie wyobraża sobie, że mógłby mieszkać gdzie indziej.

Jako młody mężczyzna Arthur był towarzyski i wesoły, dużo pracował, wiele podróżował i balował, z kręgiem swoich przyjaciół wyczyniał wszystkie możliwe głupoty. Przyjaciele Arthura nazywali go zdolną bestią. Śmierć Eve go zmieniła, przez lata trwał w żałobie, stał się zamknięty i twardy. Później chciał znaleźć miłość, chociażby po to, żeby w domu była kobieta – gospodarstwo prowadzone przez dwóch mężczyzn często okazywało się bardziej niż beznadziejne, zwłaszcza w święta. Spotykał się z kobietami, a pewna nauczycielka

nawet bardzo się w nim zakochała, ale on nigdy nie czuł do nich dostatecznie dużo. Miał wrażenie, że brakuje w nim uczuć.

Jego stosunki z synem są napięte, Arthur żywi przeświadczenie, że Julius go odpycha, i czuje się z jakiegoś powodu winny, ale nie potrafi powiedzieć dlaczego. Dbą o dobre kontakty z synem, a jeszcze bardziej dba o żonę Juliusa i czworo swoich wnucząt, które kocha ponad wszystko. Gdy ciężarna Katharina wprowadziła się do jego domu, odzyskał spokój.

Troszcząc się o rodzinę swojego syna, chce odrobić to, co przegapił w jego dorastaniu. Ale Juliusa to nie cieszy, jest zazdrosny, o czym jednak nie wie Katharina.

Listopad 2012: Katharina i Julius

Nowy początek?

Julius wszedł do holu hotelowego i się rozejrzył.

Katharina siedziała w wysłużonym fotelu w zakurzonej hotelowym lobby i czytała książkę. Idąc w jej kierunku, spostrzegł, że kolana wciąż jeszcze trochę mu drżą, i próbował to powściągnąć. Oderwała wzrok od książki i powoli wstała, a on zauważył, że się nadzwyczajnie ucieszył, widząc ją w tym staromodnym hotelowym holu. Musiał zdusić szloch, gdy mocno go do siebie przytuliła.

– Chciałam ci zrobić niespodziankę – powiedziała.

– I udało ci się – szepnął.

Powoli poszli pod rękę po schodach na górę, na pierwsze piętro.

– Muszę ci coś powiedzieć – powtórzyła kilka razy w pokoju hotelowym, ze śmiechem opędzając się od niego, bo nie przestawał się do niej przytulać i jej całować.

– Później – wymamrotał i zanurzył twarz w jej włosach. – Tak się cieszę, że tu jesteś. Daj mi pójść pod prysznic, muszę straszliwie śmierdzieć, a potem idźmy na chwilę do łóżka, obłędnie mnie podniecasz, wiesz? A następnie możesz mi powiedzieć wszystko, co chcesz.

– A gdzie byłeś? – zapytała i pierwszy raz zlustrowała jego sportowy strój. – W tych ciuchach chodzisz do swoich klientów?

Wyrwał się trochę zbyt gwałtownie, wszedł do małej łazienki, zostawił uchylone drzwi i głośno wyjaśnił, rozbierając się:

– Simon i ja poszliśmy dziś z kilkoma lekarzami na wędrowkę w raketach śnieżnych. Rozumiesz, opieka nad klientem, robimy to raz do roku.

W kabynie prysznicowej wyczerpany wystawił twarz pod strumień gorącej wody, zanim opadł na stołek. Oparł się plecami o ścianę i głęboko odetchnął, wciąż jeszcze czuł ciężar śniegu na swoim ciele, wciąż jeszcze czuł, jak rosła w nim panika.

Katharina leżała naga w łóżku, zasłony były zaciągnięte. Za każdym razem zaciągała zasłony, zanim zaczęli się kochać, często mu to przeszkadzało, lubił się kochać przy świetle dziennym, ale dziś uznał to przyćmione światło za błogie. Świat może zostać na zewnątrz, ludzie, góry, połyskujący śnieg, bez żalu pozwoli sobie to wszystko ukraść.

Julius wskoczył do niej pod kołdrę, a ona ciepło objęła go ramionami. To było cholernie prawidłowe i dobre, że to właśnie ona go obejmowała, a nie kto inny, traktował to jak znak od losu, że po tym wielkim szoku po upadku w łóżku obok niego leżała jego żona. W tej chwili był nieskończenie wdzięczny i szczęśliwy, kochali się długo i łagodnie, a potem ona zaczęła mówić. Chciał, żeby poczekała z tą rozmową do wieczora, bo bez względu na to, co miała do powiedzenia, wyłoży to swoim natarczywym i trochę teatralnym tonem, a czuł, że do tego jeszcze nie dojrzał. Chciał po prostu tylko leżeć w jej ramionach i przenieść się w sen.

– Daj mi się godzinę przespać, porozmawiamy, jadąc do domu – wymamrotał.

– Nie jedziemy dzisiaj do domu – oznajmiła ze śmiechem. – Zostajemy na weekend tutaj, w Innsbrucku. Moglibyśmy wybrać się do jakiegoś ładnego hotelu, jeśli masz ochotę. Możesz jakiś polecić? To zadzwonię. W przeciwnym razie po prostu ruszamy w nieznaną.

Stephanie porwała go kiedyś na dwa dni do hotelu Interalpen Tyrol, leżał trzydzieści kilometrów na zachód od Innsbrucku, w środku lasu. Innego ładnego hotelu nie znał.

– Zadzwoni do hotelu Interalpen, numer znajdziesz w internecie – zaproponował, a potem zasnął.

Trzy godziny później siedzieli naprzeciwko siebie w dużej hotelowej jadalni przy kolacji. Katharina mówiła mu o swojej miłości do niego, o samotności i pewnych zmianach, których by sobie życzyła. Nie chciała już żyć w weekendowym małżeństwie, chciała, by Julius był przy niej i dzieciach również w tygodniu.

– Tylko że pracuję tutaj, nie w Górnej Austrii – zaproponował. Od sześciu lat był przedstawicielem medycznym na Tyrol i Vorarlberg pewnej firmy produkującej środki psychotropowe.

– Umowę o pracę można wypowiedzieć – powiedziała Katharina.

Oparł się o krzesło i roześmiał.

– Stawiasz mi ultimatum? Albo praca, albo rodzina?

– To oczywiście żadne ultimatum. – odparowała. – Tylko, no cóż, jak by to powiedzieć? Jesteśmy rodziną, należymy do siebie, również od poniedziałku do piątku, nie chcę tak dalej żyć, jestem naprawdę nieszczęśliwa, Juliusie. Chciałabym, żebyś to zrozumiał tylko i wyłącznie jako ofertę, miłą ofertę.

Zrobiła przerwę. Zauważył, że gdy mówiła, jej oczy zwilgotniały, i wzruszył się. Wyobraził sobie, jak siedzi w samochodzie i szuka właściwych słów, wypróbowuje zdania i wciąż je szepcze pod nosem.

– Sześć lat temu znalazłeś sobie tę pracę, bo po narodzinach Luisy już tylko się kłóciliśmy, pamiętasz jeszcze? – kontynuowała Katharina. – Miesiącami jedynie się szarpaliśmy i traktowaliśmy nawzajem jak wrogowie, tak było, dlatego uciekłeś do Tyrolu. Tak, to była ucieczka, a ja poparłam tę ucieczkę, a nawet przyspieszyłam. Naprawdę działałeś mi wtedy na nerwy, nie mogłam już na ciebie patrzeć. Bardzo mi przykro, właściwie to ja jestem temu winna! Gdybym nie była taka okropna, nigdy nie szukałbyś pracy aż tak daleko od rodziny.

Julius odchrząknął i chciał jej przerwać, ale mu nie pozwoliła i szybko mówiła dalej:

– Z początku z pewnością czuliśmy ulgę z powodu separacji w ciągu tygodnia, dzięki temu atmosfera się rozluźniła, przestaliśmy się kłócić. Potem cieszyliśmy się na weekendy i urlopy. A z czasem przyzwyczailiśmy się do tego, że pracujesz tak daleko. Nie wolno nam było do tego dopuścić! Tak szybko zrobiło się z tego sześć lat, sześć długich lat! Pozostawiliśmy sprawy ich biegowi i przez to tak wiele przegapiliśmy!

Nerwowo zgmiotła serwetkę.

– Skarbie, daj mi dojść do słowa – powiedział uspokajająco. Nie znosił, gdy aż tak dawała się ponieść.

– Nie – roześmiała się – najpierw wygadam się do końca, a potem ty możesz wygłosić swoje. Oboje mamy teraz po czterdzieści lat, albo prawie czterdzieści, a dzieci wyrosły z pieluch. Nadszedł czas,

żebyśmy się bardziej skupili na sobie, żebyśmy się uważniej obchodzili z naszym związkiem i więcej robili we dwoje.

Uważniej obchodzić się ze związkiem? Och, mój Boże, czyżby zaczęła teraz czytać te poradniki o związkach, jak jej przyjaciółki, przecież wcześniej zawsze sobie z nich dworowała! Dolał wina jej i sobie i stuknęli się kieliszkami.

– Naprawdę chciałabym – kontynuowała – żebyś złożył wypowiedzenie i poszukał pracy w pobliżu domu. Jest nawet pewna możliwość, która chyba by cię zainteresowała.

– Co masz na myśli? – zapytał Julius.

Uśmiechnęła się tajemniczo i mówiła dalej:

– Poza tym chciałabym się z tobą wybrać w dłuższą podróż, może do Azji Południowo-Wschodniej, Indonezji i dalej do Australii albo coś podobnego, na mniej więcej dwa, trzy miesiące, to było od dawna twoje marzenie, prawda? Myślałam o lutym i marcu.

– A co z dziećmi? – zapytał zdezorientowany.

– Już rozmawiałam z Arthurem i Olgą – odpowiedziała. – To nie byłby żaden problem.

Julius był zaskoczony. Katharina nigdy nie dawała się oderwać od dzieci. Kiedy proponował dłuższą podróż, zawsze odpieszała tę propozycję słowami, że krótka, kilkudniowa podróż byłaby możliwa, ale na dłużej nie chce zostawiać dzieci samych.

– Naprawdę byś tego chciała? – zapytał Julius.

– Tak – odrzekła – kategorycznie tego żądam.

Pochyliła się naprzód i pocałowała go w usta, na jej wargach błyszczało czerwone wino, policzki miała lekko zaróżowione z emocji, a oczy lśniły ciemniej niż zwykle. Nie przypominał sobie, by w ostatnich latach podobała mu się aż tak bardzo, najchętniej poszedłby z nią od razu na górę do pokoju i zdarł z niej sukienkę.

– Powiedz już, co masz na myśli z tą ewentualną możliwością – poprosił, palcem wskazującym starł jej kroplę wina z warg, a potem powoli oblizwał palec. – Albo co ty na to, żebyś mi o tym opowiedziała na górze w łóżku?

– Uważam, że to dobry pomysł – odpowiedziała, puszczając oko.

Zamówili butelkę szampana do pokoju i wyszli z jadalni, trzymając

się za ręce jak dwoje młodych ludzi. W łóżku palili przy szeroko otwartych drzwiach balkonowych i chichotali. Potem Katharina opowiedziała o rozmowie, którą przed kilkoma dniami odbyła z pewnym dawnym znajomym. Na zakupach przypadkowo spotkała Ferdinanda Hauera, starszy pan wyraźnie ucieszył się na jej widok, od razu zapytał o Juliusa i spontanicznie zaprosił ją na kawę. Julius dobrze znał Hauera, konserwatora i właściciela sklepu z antykami; zanim sześć lat temu wyjechał do Tyrolu, by pracować jako przedstawiciel medyczny, był zatrudniony u niego. Chociaż dobrze się tutaj czuł, czasem bardzo tęsknił za atmosferą warsztatu, spokojnymi rozmowami z Hauerem i rzemieślniczą robotą.

– Chce sprzedać swój sklep, za bezcen, po prostu cieszyłby się, gdyby ktoś go nadal prowadził! Najpierw pomyślał o tobie, wyobraź sobie, powiedział mi: „Najbardziej by mi się podobało, gdyby Julius przejął sklep, ze wszystkich współpracowników był ewidentnie najlepszy, jako konserwator i jako sprzedawca, mój Boże, potrafił dogadać się z klientami”. Tak, dokładnie to powiedział! – śmiała się Katharina.

– Naprawdę tak mówił? – zapytał Julius.

Kiwnęła głową i badawczo patrzyła mu w twarz. Musiał przyznać, że pochwała starego Hauera po tak wielu latach napawała go dumą, i nie potrafił ukryć uśmiechu.

– Czyż to nie wspaniałe? – zapytała go poważnie. – Przyznaj, że to wspaniałe! Zawsze pragnąłeś samodzielności, to było przecież twoje marzenie! W zasadzie nienawidzisz pracy przedstawiciela handlowego, sam sobie z niej ciągle żartujesz, nazywasz siebie domokrążcą i nie znosisz chodzenia w garniturze przez cały dzień. Jesteś konserwatorem, i to całym sercem! To twoje powołanie! Pamiętam, że najlepiej ci szło, gdy pracowałeś w tym zawodzie! Byłeś wtedy taki zrównoważony i zadowolony. – I cicho dodała: – I nam razem też szło wtedy dobrze.

Czuł, jak euforia powoli ogarnia całe jego ciało, stopniowo rozprzestrzenia się i rozchodzi, od palców stóp przez pępek aż po czubki włosów, wszystko w nim ogarnia mrowienie. Tak, on też pamięta, jak dobrze mu wtedy szło, jak dobrze czuł się w tym

warsztacie, tak, długo marzył o własnym warsztacie konserwatorskim, to się zgadza, ale to było bardzo dawno temu. Czy to naprawdę jawiło się jako szansa? Musiał przyznać, że wszystko brzmiało bardzo obiecująco. Czy wystarczyłoby mu odwagi na taki skok? Pomyślał o Stephanie i nie wiedział. Katharina patrzyła mu z napięciem w oczy, a on pokrył jej twarz mnóstwem drobnych całusów.

– Julius – szepnęła – co o tym sądzisz? Jedziemy razem do Azji, a potem otwierasz własny warsztat. Robimy to czy nie?

– Tak, robimy to. Zrobimy wszystko, co chcesz, skarbie. Kocham cię – szepnął i pocałował ją w usta.

Potem znów się kochali. Kochali się przez cały weekend, przepelnieni euforią, zachwytem nad planami, bezgraniczną radością oczekiwania na wielką zmianę w życiu ich obojga.

W poniedziałkowe przedpołudnie Katharina jechała z powrotem do domu. Przez całą drogę podśpiewywała piosenki Cata Stevensa.

Gdy dotarła, od razu pobiegła do Arthura i Olgi, gwałtownie objęła oboje i opowiedziała im niecierpliwie, że Julius był zachwycony planami.

– To znaczy, że powiedział „tak”? Złoży wypowiedzenie i wróci do domu? – zapytał Arthur.

– Tak, tak, tak! – śmiała się Katharina. – Powiedział „tak”!

Julius z czarną walizeczką wypełnioną psychotropami przez cały dzień składał wizyty jednemu lekarzowi po drugim. Jego komórka dzwoniła kilka razy, to była Stephanie, za trzecim razem odebrał.

Umówili się na wieczór.

Stephanie otworzyła drzwi i stanęła przed nim naga, tylko w krawacie na szyi, a on wiedział, że nie powie nic o rozstaniu.

Listopad 2012: Katharina

Nowe zlecenie

Dwa tygodnie później Katharina otrzymała pocztą dużą kopertę z maszynopisem i płytą CD.

Wyjęła plik kartek i obejrzała je. To były kopie i dało się zauważyć, że oryginały musiały być stare, pożółkłe i pogniecione. Kilka linijek zostało zamalowanych na czarno i mimo najszczerszych chęci nie mogła ich odcyfrować. Na samej górze napisano „Powieść bez O”, a dalej następował tekst liczący kilka stron, z niewielkimi odstępami, linijka po linijce wystukany na maszynie do pisania. Katharina szybko przejrzała kartki. Rzuciło jej się w oczy, że ze strony na stronę litera O odbijała się coraz słabiej, aż na koniec wyglądała jak niepełne, kalekie C. Wiedziała, od kogo przyszła ta koperta. Ponad pół roku temu pewnej niedzieli odwiedziła ją kobieta, nazywała się Stephanie Mangold. Chciała zlecić Katharinie napisanie biografii dalekiego krewnego. W tę niedzielę była niedaleko i mogła wpaść, tak powiedziała przez telefon. Katharina ją zaprosiła.

Stephanie Mangold przyjechała z Wiednia, gdzie przebywała w sprawach zawodowych i z krótką wizytą u brata, i od razu wydała jej się sympatyczna. Była bardzo gustownie ubrana. Przywiozła Katharinie drobny prezent – mały, oprawiony olejny obrazek. Przedstawiał stary, żółty dom na wzgórzu, wokół leżał śnieg, a z tyłu widniały potężne jodły.

– To bardzo miło z pani strony – uśmiechała się Katharina – a przede wszystkim uprzejmie! Jeszcze nigdy zleceniodawca nie podarował mi niczego przy pierwszym spotkaniu.

Dokładniej przyjrzała się obrazkowi, bardzo jej się podobał.

– Przypomina w jakiś sposób Bergmühle – powiedziała.

– Tak, nieprawdaż? – zapytała Stephanie. – Ale w Austrii prawdopodobnie jest całkiem sporo żółtych domów na wzgórzu. Trafiłam niedawno na ten obrazek u pewnego antykwariusza

w Wiedniu i od razu przypadł mi do gustu. Gdy zobaczyłam zdjęcie na pani stronie internetowej, na którym w tle figuruje pani dom, też dostrzegłam podobieństwo i pomyślałam, że wezmę go dla pani. U siebie nie znalazłam odpowiedniego miejsca, więc i tak tylko się kurzył.

– Bardzo dziękuję – powiedziała Katharina i przyłożyła obrazek do ściany. – Ale dlaczego przyjeżdża pani akurat do mnie? Czyżby w Tyrolu nie było osób piszących biografie?

– Nie takich, o których bym wiedziała. W internecie znalazłam tylko pani adres – odpowiedziała Stephanie z przyjacielskim uśmiechem. – Ale też nie szukałam długo, gdy już dostrzegłam pani miejsce zamieszkania: Bergmühle jeden. Mój wuj Thomas również wyrastał w młynie – nazywał się Leitenmühle i był w Burgenlandzie. Ta paralela bardzo mi się spodobała, szczerze mówiąc. Thomasowi też by się podobała.

Do salonu wszedł Julius, przywitał się ze Stephanie Mangold i przysiadł do obu pań.

– Spodobałaby się? – zapytała poirytowana Katharina. – Pani wuj nie żyje?

– Owszem, żyje, ale nie jest z nim najlepiej.

– Muszę się z nim spotkać i zadać mu mnóstwo pytań – powiedziała Katharina.

– Mój wuj spisał swoje przeżycia w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku, po powrocie z Syberii, na stareńkiej, zepsutej maszynie Continental. Istnieje więc maszynopis, który pani prześlę, o ile jest pani w ogóle zainteresowana tym zleceniem. Ponadto mam nagranie na taśmie magnetofonowej, bo maszynopis jest niekompletny. Przepytawał go jakiś psychiatra i nagrywał to. To było już dawno temu, myślę, że po jego powrocie do domu. Zleciłam digitalizację tych taśm i można je odsłuchać z CD – opowiadała Stephanie. – Bardzo bym się ucieszyła, gdyby się pani zgodziła. Chciałabym, żeby ta niewiarygodna historia została spisana, po prostu trzeba ją zachować dla innych.

– Właściwie zazwyczaj spotykam się z daną osobą i przepytuję ją osobiście – powiedziała Katharina.

– To niestety niemożliwe. Thomas ma już daleko posuniętą demencję – tłumaczyła Stephanie. Po chwili cicho dodała: – Mieszka w domu opieki. O przeżyciach z Syberii już od dawna nie chce mówić, nie za wiele też pamięta. W ogóle nie lubi mówić. Dzięki Bogu zachowaliśmy te stare zapiski.

– Rozumiem – odrzekła Katharina, lecz mimo to żałowała. Uwielbiała widzieć przed sobą twarz, słyszeć głos, gdy czyjeś życie nabierało dla niej kształtu.

Stephanie opowiedziała w kilku zdaniach życiorys swojego wuja: w 1945 roku jako młody mężczyzna został zabrany przez Sowieców na Syberię i wrócił dopiero po dwudziestu latach jako chory i złamany człowiek. To, co tam przeżył, było niepojęte. Chciał wówczas sam spisać swoją historię, ale nie dał rady. Bliscy wkrótce zauważyli, że fatalne przeżycia w rozmaitych obozach wywołały u Thomasa silną traumę, często miewał urojenia, słyszał głosy. Bez leków nie był w stanie zasnąć, mógł poza tym wykonywać tylko lekką pracę. Przed kilkoma laty trafił do domu opieki, ponieważ nie miał się kto o niego troszczyć.

Potem rozmowa zeszła na młyny, na Bergmühle, na to, jak bardzo z biegiem czasu zmieniał się dzięki dobudówkom, i na stare meble (kobieta była architektką wewnątrz, Julius i ona doskonale się rozumieli), rozmawiali o życiu na wsi, jego wadach i zaletach, o dzieciach i innych trywialnych rzeczach. Katharinie i Juliusowi tak dobrze gawędziło się ze Stephanie Mangold, że Katharina spontanicznie zaprosiła ją na obiad.

Potem poszła do kuchni gotować, a Julius oprowadził gościa po domu. (Stephanie wetknęła przy tym Juliusowi swoją wizytówkę i szepnęła: „Zadzwoń do mnie!”). O pierwszej wszyscy zjedli w kuchni posiłek, później wypili jeszcze kawę w ogrodzie zimowym.

– Jestem zainteresowana tym zleceniem – powiedziała Katharina przy pożegnaniu. – Ale będę się mogła tym zająć dopiero jesienią, mam teraz zaczęte dwie biografie i trzy kolejne, można by rzec, w kolejce. Czy to będzie dla pani problem?

– Nie, żaden – odparła Stephanie i podała Katharinie rękę. – Nie spieszy mi się. Wyślę więc pani te zapiski w październiku albo

listopadzie, tak?

A potem odjechała swoim szykownym mercedesem.

Teraz Katharina siedziała w gabinecie i czytała te stronice. Już przestała liczyć na to, że naprawdę dostanie te dokumenty. Myślała, że kobieta się rozmyśliła.

Historia natychmiast ją wciągnęła.

Historia Thomasa

Wróciłem. Jestem w domu w domu w domu.

W DOMU! Od tak dawna marzenie ściętej głowy.

Jak łatwo to teraz napisać.

Przyjechałem ubiegłej nocy. O drugiej. Zapukałem do drzwi. W okno. To trwało wieczność. Zanim drzwi trochę się uchyliły. Mój ojciec.

Zapytał:

– Kto tam?

– To ja, Thomas – odpowiedziałem.

Matka płakała i płakała. Zestarzała się. Objęli mnie. Nic nie czułem.

Siedzę przed moją maszyną do pisania Continental. Na poddaszu. Nie za ciepło tu. Przyzwyczailem się do zimna. Wciąż jestem niespokojny. Przy maszynie się uspokoję. Jak długo o tym marzyłem! Siedzieć przed nią! Pisać. Głaszczyć czarne klawisze. Połyskują matowo. Matka zachowała dla mnie tę maszynę. Przez dwadzieścia lat. Nie używała jej.

Jest mi trudno pisać po niemiecku. Muszę poćwiczyć. Pisanie mi w tym pomoże. Jeszcze dużo myślę po rosyjsku. Albo w ogóle nie myślę. Lubię nie myśleć. Jest we mnie pustka.

Maszyna do pisania działa jeszcze bez zarzutu. Tylko O stroi fochy. Wtedy, przy tej kłótni, kiedy ojciec zrzucił ją ze stołu, litera została uszkodzona.

Mam nadzieję, że wytrzyma jeszcze trochę.

Potrzebuję tego O. Bez O się nie da.

Nawet Rosja nie da się napisać bez O. Rosja, która połknęła mnie na prawie dwadzieścia lat. Połknęła też nie mógłbym napisać bez O. Ooooooch! Wrzeszczeć jak potępieniec też nie mógłbym bez O! Ha, ha, ha! Ooooooch! Wchodzisz. Nawet twojego imienia nie mógłbym napisać: Ludovica. Ludovica Juliane.

Moja Lu. Obejmujesz mnie od tyłu. Kładziesz głowę na moim ramieniu. Bez ciebie nie mógłbym istnieć.

Moja matka mnie woła. Chce mnie zabrać ze sobą do wsi. Chce to wszystkim oznajmić. Że znów tu jestem. Jej pierworodny. Uznany za zmarłego. Muszę temu przeszkodzić. Niech dalej tak myślą. Że jestem martwy. Jestem martwy.

Walę w klawisze.

Co ja tu robię? Nie ma już młyna. Zamknęli go. Wkrótce będę miał czterdziestkę. Powinienem był zostać. W Rosji. W tym chłódzie.

Pięknie jest. Pisać. Czuć klawisze pod palcami. Pięknie jest. Uwalniają się uwiecznione słowa.

Muszę iść.

Katharina wzięła laptop i zabrała się do pracy. Zaczęła spisywać tę historię, poprawiając ją stylistycznie i prawidłowo składając.

Teraz siedzę z maszyną do pisania w kuchni, moi rodzice są w salonie. Nie pójdziemy do wsi. Zostaniemy tutaj, w młynie, który już nie jest młynem. Ja tak chcę. Jest tak inaczej niż kiedyś, gdy ten dom tętnił życiem, tak cicho. Zostali jeszcze tylko starzy ludzie i teraz ja.

Zapisywanie wszystkiego dobrze mi robi. Muszę pisać, w przeciwnym razie zacznie mnie nosić. Ta szamotanina zaczyna się w brzuchu, wędruje do serca i wchodzi do głowy. Muszę to zapisać. Tak wiele się dzieje.

Od czego mam zacząć? Jak do tego doszło? Że nie poznaliśmy się na wycieczce w góry? Albo na jakimś koncercie w Wiedniu? Jak to się mogło stać?

Jest lato, wojna się skończyła. Razem z przyjacielem wchodzę na górę i spotykam przy tym ciebie. Idziesz ze swoją siostrą. Ciągłe się z czegoś śmiejecie. Przechodzimy obok siebie i my dwoje patrzymy na siebie, ciut za długo. Mój przyjaciel szturcha mnie łokciem w żebra, a twoja siostra zdziwiona spogląda nam w twarz. Na górze, w gospodzie, siedzimy już przy stole, gdy się zjawiacie. Machamy do was rękami i pokazujemy puste miejsca. Ze śmiechem podchodzicie

bliżej.

Tak mogło być. Ale nie było. Było zupełnie nie tak.

Pośrodku ziemi niczyjej w rosyjskim bezkresie uratowałaś mi życie. Swoją grą na fortepianie. Tak było.

Ten dzień, kiedy poznałem cię w sowieckiej komendanturze wojskowej w Wiedniu, widzę jeszcze całkiem wyraźnie.

Słowa powinny płynąć.

Gdy wyprowadzają mnie z celi i wiodą na przesłuchanie, pierwszy raz widzę Ludovicę, stoi w korytarzu pomiędzy dwoma żołnierzami. Od razu rzuca mi się w oczy. Promień słońca, który wpada przez wąskie okno, rozjaśnia jej twarz. Jeszcze nigdy nie widziałem tak pięknej dziewczyny: jasnorude długie włosy, zielone oczy, małe usta, mały nos, wszystko delikatne, nawet piegi. Ma na sobie granatową sukienkę do kolan, a na niej lekki letni płaszcz, płaskie buty. Wygląda tak strasznie smutno. Chociaż długo stoimy obok siebie, nie patrzy na mnie, gapi się na przeciwległą ścianę.

Potem drzwi się otwierają i żołnierze wprowadzają mnie do środka. Gdy się odwracam, widzę, że na mnie patrzy. Kiwam głową, dodając jej odwagi.

Już nie mogę przestać o niej myśleć. Co takiego mogła zrobić, żeby to uzasadniało jej aresztowanie? Sowietom wiele nie trzeba. Wygląda tak młodo, oceniam ją na siedemnaście lat.

Dopiero cztery tygodnie później widzę ją znów w obozie przejściowym w pobliżu Sopronu. Gdy po tygodniu zamknięcia popędzono nas z cel na wewnętrzny dziedziniec, dostrzegam stojącą w rogu grupę kobiet. Uważnie przyglądam się każdej twarzy, aż mimo szala, który owinęła wokół głowy, ją rozpoznaję. Czy ją też ogolono na łyso? Ostrożnie zbliżam się do kobiet. Koniecznie muszę z nią porozmawiać, dowiedzieć się, jak się nazywa, dlaczego tu jest.

W końcu staję dwa metry od niej. Patrzy na mnie i widzę, że sobie mnie przypomina. Cieszę się z tego jak małe dziecko.

– Ty też jesteś Austriakiem? – chce wiedzieć. – Widzieliśmy się w Wiedniu na Schiffamtsgasse, prawda?

– Tak, zgadza się – mówię.

– Jak się nazywasz i dlaczego tu jesteś? – rzuca szybko, jak gdyby chciała, żebym ja ją o to nie zdążył zapytać.

To zwyczajna rozmowa pomiędzy więźniami. Właściwie chciałem ją pierwszy o to zagadnąć. Krótko opowiadam, dlaczego mnie aresztowano.

Nagle wchodzi na dziedziniec mnóstwo żołnierzy, wrzeszczą i formują z nas dwuszeregi.

– Jak się nazywasz? – udaje mi się jeszcze tylko szybko zapytać.

– Ludovica – mówi i staje obok jakiejś kobiety.

Biegnę z powrotem do swoich kolegów. Tymczasem jest nas czterech Austriaków: Fritz, Karl, Helmut i ja. Ja – dwudziestolatek – jestem najmłodszy. Pędzą nas przez otwartą bramę, do jednej z dużych ciężarówek, których stoi tak wiele, że nie daję rady ich policzyć.

Ludovica, myślę, Ludovica. Jeszcze nigdy nie słyszałem tak obcego i pięknego imienia.

Wiożą nas na dworzec, tam przeładowują do wagonów. Jedziemy siedem dni do następnego obozu we Lwowie.

To znów obóz przejściowy. Wiemy, że będziemy musieli zostać tu kilka dni, może kilka tygodni, a potem przetransportują nas do jakiegoś obozu pracy. Jaki to będzie obóz, nie wie nikt z nas, w jakiej części Związku Radzieckiego to będzie, też nie wiemy. Mamy nadzieję, że nie za daleko od naszej ojczyzny.

Zostajemy dwa tygodnie w tym zapomnianym przez Boga i ludzi obozie, potem jedziemy dalej do Moskwy, gdzie spędzamy tylko kilka dni. Nie widzę Ludoviki ani razu. Pewnej nocy wypędzają nas z przepelnionych cel i każą wyjść na wewnętrzny dziedziniec. Stoimy na mżawce, ziemia jest coraz bardziej błotnista, i czekamy.

– Zobaczysz, dziś ruszymy, oni wszyscy są podenerwowani – mówi Fritz i pokazuje głową na strażę.

Ma rację. Dookoła kręci się więcej żołnierzy niż zwykle. Czuje się atmosferę napięcia i pośpiechu.

Na wewnętrzny dziedziniec wypędzają dużą grupę kobiet, witaną przez rosyjskich więźniów wrzaskami. Mam nadzieję, że jest w niej

Ludovica. Bardzo chciałbym ją zobaczyć. Może trafimy do tego samego obozu? – marzę. Może nie będzie aż tak źle, może to tylko wielka przygoda? Może to zrobi ze mnie mężczyznę, którym zawsze chciałem być?

Wszystkie kobiety noszą czapki albo szale owinięte wokół głowy. Dostrzegam Ludovicę, macha do mnie, a ja z radością stwierdzam, że kobiety zbliżają się do naszego kąta. To tak zwany zagraniczny kąta, stoją tu razem Węgrzy, Rumuni, Niemcy i Austriacy. Ludovica do mnie podchodzi.

– Jak tam u ciebie? – pytam ją.

Śmieje się.

– Nigdy nie wiodło mi się lepiej! A u ciebie?

– No, tak, jako tako.

Gdy już chcę ją zapytać o pochodzenie i powód aresztowania, podchodzą strażnicy i brutalnie ustawiają nas w dwuszereg. Olbrzymia drewniana brama wewnętrznego dziedzińca się otwiera.

Ludovica stoi tuż przede mną, odwraca się i uśmiecha do mnie.

A potem ruszamy i moje wnętrzności kurczą się ze zdenerwowania.

Kolbami karabinów i kopniakami żołnierze pędzą nas przez ciemne miasto, prowadząc owczarki na napiętych smyczach. Psy groźnie warczą, gdy podchodzimy do nich za blisko. Staramy się ścieśnić. Przede mną idą Fritz i Karl, ja kuśtykam obok Helmuta. Już przed tygodniami podeszwy oderwały mi się od reszty butów, co uniemożliwia normalne chodzenie. Kobiety idą na początku długiej kolumny, potem maszerujemy my, za nami setki innych, tak samo smutnych jak my postaci, zmęczonych, głodnych, w podartym, brudnym ubraniu.

Po godzinnym marszu docieramy na duży dworzec i prowadzą nas na oddalony peron. Przed nami pojawiają się olbrzymie, czerwone bydłące wagony, których otwarte przesuwne drzwi wyglądają jak czarne gardziele. Przed tym monstrualnym pociągiem stoi jeszcze więcej żołnierzy, jeszcze więcej psów. Panika we mnie rośnie.

– Wszystko bym teraz oddał za jednego papierosa – mówi Fritz.

W powietrzu czuje się strach i nerwowość. Nie chcę tam wejść, myślę z rozpaczą, nie chcę z nimi wejść. To nie jest moje miejsce!

Chcę do domu! To wszystko jakaś straszna pomyłka!

Ach, a jednak brak ochoty na przygody? – drwi coś w samym środku mnie.

Czuję strach w całym ciele. Zaciska mi krtań.

Przed pierwszym wagonem odkrywam kilka kobiet w chustkach na głowach. Z pomocą żołnierzy wnoszą kocioł i żywność do wagonu. Kuchnia? W drugim wagonie mają jechać wielkie podróżne kufry i meble. Dla strażników?

Czerwone bydlece wagony są najwyraźniej zarezerwowane dla nas, więźniów. Niezliczone czerwone wagony ustawione jeden za drugim. Prowadzą nas aż na koniec. Kobiety stają przed ostatnim wagonem, my przed przedostatnim.

Długo tkwimy na chłodzie. Przeszczepujemy z nogi na nogę. Trzemy dłońmi ramiona, żeby się trochę ogrzać. Przynajmniej już nie pada. Gdybyśmy wtedy wiedzieli, jak łagodny jest ten chłód w porównaniu z zimnem, które nas czeka!

Patrzemy ku rozległym polom. Podnoszą się lekkie opary mgły. Wschodzące słońce barwi je na czerwono.

– To przecież przepiękne – słyszę dziewczęcy głos obok mnie.

Odwracam się i widzę stojącą obok moją Ludovicę. Oddaliła się od swojej grupy. Zafascynowana wpatruje się w czerwone słońce.

– Boisz się? – pytam cicho.

Zwleka, a potem mówi:

– Tak, bardzo. A ty?

Próbuję udawać odważnego:

– Troszkę. – Po chwili pytam: – Czego się boisz najbardziej?

– Że nie wrócę i już nigdy nie zobaczę swojej rodziny – wyznaje.

Rozlega się gwizdek. Ludovica szybko ściska moją rękę, patrzę jej zdziwiony w twarz, a potem ona biegnie z powrotem do kobiet. Czuję uścisk jej dłoni na swojej i ciężko oddycham.

Naczelnik, tak określa się przełożonego, wyjaśnił mi Fritz, pokazuje na kobiety i coś krzyczy do żołnierzy. Potem wśród żołnierzy za nami następuje poruszenie. Chciwie zaciągają się jeszcze dwa razy i wyrzucają skrecone przez siebie papierosy wypełnione machorką.

– *Dawaj, dawaj!* – krzyczą, popychają kobiety i ciągną do ostatniego

wagonu.

Kobiety z wahaniem wchodzą przez odsunięte drzwi, niektóre trzymają się za ręce. Jakiś żołnierz mówi coś do innych i wszyscy się śmieją, potem spuszcza dwa psy ze smyczy. Żołnierze odsuwają się o parę kroków i znów przypalają sobie machorkę. Ze śmiechem obserwują tę scenę.

Psy rzucają się na kobiety, te wrzeszczą, biegnąc wprost w otwarte drzwi. Te z przodu się wdrapują, co w długich płaszczach jest trudne, bo rampa ma półtora metra wysokości. Pierwsze w wagonie wciągają następne.

Jeden pies zadowala się staniem za kobietami, szczekaniem i warczeniem. Od czasu do czasu łapie za jakiś płaszcz, ale natychmiast go puszcza. Drugi wgryza się w Ludovicę, chwytając ją za łydkę i nie puszcza. Patrzę na to skonsternowany i przerażony. Ona krzyczy i jęczy. Drą się jej rajstopy, zaczyna krwawić. Inne kobiety nie są w stanie jej dłużej utrzymać, pies ciągnie ją na ziemię, a ona leży na tym mokrym, brudnym peronie.

Pies na chwilę puszcza jej piszczel. Ludovica chce wstać, ale w sekundę pies wgryza się w jej prawe udo. Dziewczyna znów pada i próbuje rękami osłonić twarz. Nie wiem, co powinienem zrobić, i patrzę bezradnie na Fritza, Helmuta i Karla. Żołnierze tylko się uśmiechają.

– Musimy jej pomóc! – krzyczę.

– Lepiej daj spokój – szepcze Fritz – bo cię odstrzelą. Wcześniej czy później odwołają tego psa. Wiesz już przecież, że chodzi o upokorzenie.

Tak, tymczasem dowiedziałem się tego aż za dobrze.

Właściwie przy żadnym przesłuchaniu się nade mną nie znęcali. Zawsze chodziło tylko o upokorzenia, które miały człowieka złamać. Przy przyjęciu do więzienia w Wiedniu odcięli mi wszystkie guziki od koszuli, kurtki i spodni. Godzinami siedziałem głodny i spragniony w dusznym pokoju przesłuchań i byłem maglowany na temat zdarzenia, które doprowadziło do mojego aresztowania.

To idiotyczne zajście! Gdybym mógł cofnąć czas! Podczas pierwszych miesięcy to było jedyne, o czym myślałem.

Przesłuchujący siedział przede mną, wciąż jadł i pił. Kiedyś kazał sobie przynieść sznycel wiedeński, zaczął jeść i chwalił austriacką kuchnię. Minutę później przyszedł jakiś mężczyzna z maszynką do strzyżenia włosów i rozłożył na podłodze stary koc. Zmuszono mnie, żebym ukląkł przed tym kocem, związano mi paskiem ręce na plecach. Mężczyzna ogolił mnie na łyso. Na koc spadało pasmo po paśmie włosów, on podniósł je i wcisnął mi do ust. Dławiąc się, wypłułem włosy. W tle oficer mlaskał, gdy ja myślałem, że się uduszę. Nocami nie dawali mi spać, co godzina przychodził do celi żołnierz i budził mnie kopniakiem. We wszystkich obozach przejściowych zostawiali nas na żer silnym Rosjanom, a ci zabierali nam płaszcze, buty i inne rzeczy. Strażnicy przypatrywali się obojętnie. Upokorzenia bez końca.

Przestaję myśleć i czuję już tylko nienawiść. Jest mi w tym momencie obojętne, czy umrę. Na Syberii tak czy owak do tego dojdzie. Wiem to. Nie jestem wojownikiem, jestem rozpuszczonym maminsynkiem. Wszyscy tak mówią. Przede wszystkim ojciec.

Rzucam się na tego psa i daję mu kopniaka w brzuch. Chwytam go mocno za ogon i gwałtownie odciągam. Zwierzę puszcza nogę Ludoviki, ona szybko wstaje i wdrapuje się do wagonu. Pies odwraca głowę w moją stronę. Wygląda jak zdziczały wilk, jak bestia. Jego zęby są niebezpiecznie blisko mojego prawego przedramienia. Dookoła nas podnosi się tumult, zdenerwowani żołnierze podchodzą bliżej. Słyszę, jak Karl mówi: „Człowieku, jesteś głupkiem!”

Błyskawicznie puszczam ogon psa, a on szykuje się do skoku. Chce sięgnąć mi do twarzy, czuję, że chce mi wygryźć oczy, nos, policzki. Obydwoma rękami chwytam go za szyję i duszę. Tak mocno, jak potrafię. Uwalania się nagromadzona we mnie wściekłość, wściekłość ostatnich miesięcy. Ta wściekłość, która rośnie we mnie od czasu kłótni z ojcem. To ta kłótnia jest winna wszystkiemu, gdyby nie ona, nie uciekłbym z domu, do miasta.

Nigdy bym nie... Rosjanie by mnie nigdy nie aresztowali.

Mój Boże, ciągle ją czuję, gdy siedzę i stukam w klawisze. Ogromną wściekłość na ojca. Również twój los potoczyłby się inaczej, Ludovico, gdyby mnie przy tym nie było, w tej piekielnej podróży do krainy

zapomnianych. Tego jestem pewien.

Z powrotem. Z powrotem do Moskwy, z powrotem do tego dnia, którego załadowano nas jak bydło do wagonów.

Kłęczę na ziemi, na tym psie, ściskam coraz mocniej, dopóki nie pojawia się nade mną żołnierz. Daje mi kopniaka w bok, ale nie puszczam psa. Jeszcze raz mocno ściskam. Żołnierze otaczają mnie i zaczynają systematycznie bić. Puszczam psią szyję, żeby obydwoma rękami ochronić głowę. Kopią mnie, aż tracę przytomność.

Gdy z jękiem ją odzyskuję, leżę na zgniłej, śmierdzącej słomie. Całe ciało mnie boli, ledwie się ruszam. Słyszę głośny i równomierny stukot, podłoga wibruje, smród jest nie do zniesienia. Zapiera mi dech. Oczy muszą się przyzwyczaić do ciemności. Powoli rozpoznaję Fritza, Karla i Helmuta. Siedzą wokół mnie w kucki i opowiadają mi, że jakiś żołnierz wycelował we mnie pistolet i już chciał nacisnąć spust. Ale na czas przyszedł naczelnik, ostro pokazał mu ręką, żeby schował broń, i zażądał wyjaśnień. Żołnierze zaczęli się jąkać. Fritz, który całkiem niezłe mówi po rosyjsku, miał odwagę, by szybko przedstawić mu sprawę z psem.

Potem ten człowiek mocno chwycił Fritza za kołnierz. Powiedział do niego: „Dobrze na niego uważaj, jeszcze jedna taka głupia akcja i własnoręcznie go zastrzelę”. Następnie pokazał jemu, Karlowi i Helmutowi, że mają mnie, nieprzytomnego, zanieść do wagonu. Już w wagonie Fritz usłyszał jeszcze: „Mamy ich tam dostarczyć żywych, czy to jasne?”.

Leżę zboląły na podłodze, doskwierają mi zwłaszcza prawy bark i prawe biodro. W głowie dudni i chce mi się rzygać. Jedziemy całymi dniami bez jednej przerwy.

W naszym wagonie jest w sumie stu czterech ludzi. Połowa z nich to Rosjanie, druga połowa – my, obcokrajowcy.

Rosjanie od razu zajmują górne piętro w wagonie, oczekując, że tam, dzięki szczelinom, dociera więcej powietrza i światła. W jednym rogu jest w podłodze dziura, to toaleta. Tak spartańsko jeszcze nigdy nie mieszkałem. Albo siedzimy w kucki, albo leżymy na brudnej drewnianej podłodze. Czasem któryś wstaje i przestępuje z prawej na lewą nogę i odwrotnie, zrobienie paru kroków jest niemożliwe.

Wszędzie w kucki siedzą ludzie.

Każdej nocy pociąg zatrzymuje się z piskiem. Otwierają się drzwi, dwóch żołnierzy z płonącymi pochodniami wdrapuje się do wagonu. Olbrzymim drewnianym młotem starannie opukują podłogę, ściany, sufit, rozdając przy tym dla uciechy razy w głowę, plecy, ramiona. Wciąż jeszcze widzę ich szydercze uśmieшки, słyszę ich dudniący rechot.

– Po co oni to robią? – pytam Fritza.

– Chcą zapobiec temu, żeby ktoś poluzował deski i potajemnie uciekł.

Głód jest straszny, wszyscy mówimy o jedzeniu. Czuję się marnie, jak chory, i strasznie tęsknię za domem, często nie mogę powstrzymać łez. Kiedyś Karl dostrzega moje mokre policzki.

– Weź się w garść – mamrocze. – Wszyscy teraz bardzo cię szanują z powodu tej sprawy z psem, nawet Rosjanie. To ważne. Bo cię nie szykanują.

Karl ma rację. Zauważam, że dosięga mnie wiele dziwnych spojrzeń. Rosjanie zostawiają nas, Austriaków, w spokoju, w przeciwieństwie do Węgrów i Rumunów. Im zabrali siłą już sporo ubrań.

– Co z ciebie za jeden? – pyta mnie raz starszy Węgier perfekcyjnym niemieckim. – Wyglądasz na zniewieściałego, a zaczynasz walkę z psem. To bardzo odważne i bardzo głupie jednocześnie.

Nie odpowiadam. Starszy człowiek nie popuszcza:

– Powiedz, kim jesteś z zawodu?

– Nikim specjalnym, pracowałem w domu.

– Macie w domu gospodarstwo?

– Młyn.

Węgier się śmieje:

– On jest młynarzem!

Jestem młynarzem. Najzwyklejszym na świecie młynarzem z małej wioski. Kimś, kto nosi wory ze zbożem należącym do chłopów i handlarzy i jest wciąż biały od mąki. Kimś, kto słucha ostrych rozkazów swojego ojca. Kimś, kto chciałby pójść do gimnazjum, kto

mógłby się przebić i zostać kimś innym.

Po trzech dniach pociąg zatrzymuje się na otwartej przestrzeni. Przez szczeliny w drewnianych ścianach widzimy biały, świeży śnieg, oślepia nas. Żołnierze spacerują to w jedną, to w drugą stronę i palą. Godzinami panuje cisza, do czasu, aż drzwi gwałtownie się otwierają i dwóch żołnierzy na brudne dyle podłogi wrzuca kilka bochenków chleba. Nikt nie ma odwagi się poruszyć. Każdy chciwie patrzy na bochenki. W końcu wjeżdża jeszcze drewniany cebrzyk i drzwi znów się zamykają. Wszyscy podnieceni krzyczą jeden przez drugiego, dopóki nie zostaje wyznaczonych dwóch ludzi, którzy mają wydać jedzenie. Jeden bierze solone śledzie z cebrzyka i je rozdaje. Drugi łamie bochenki chleba na jednakowe kawałki. Potem wszyscy siedzą cicho na podłodze i jedzą z namysłem, mlaszcząc.

Kilka godzin później dopada nas pragnienie. Do jedzenia nie było wody, ani kropli, solone śledzie to najgorsze, co mogło się zdarzyć. Pragnienie jest nie do wytrzymania, język przykleja się do podniebienia.

Jedziemy i jedziemy. Dopiero po dwóch dniach odsuwają się drzwi i dostajemy cebrzyk pełen brudnej wody, do tego jedną chochlę. Co u Ludoviki? – zadaję sobie czasem pytanie. Czy pies mocno ją zranił? Kiedyś Helmut mówi: „Dziś jest dwudziesty szósty października”. Jestem zupełnie zaskoczony i nie mogę uwierzyć. Odkąd opuściliśmy Moskwę, pozostaję w drodze już ponad trzy tygodnie! Myślę o swojej matce i znów powstrzymuję łzy. Nie wie, co mi się przytrafiło i gdzie jestem. Ostatni raz widziałem ją trzy miesiące temu.

Następnego dnia pociąg się zatrzymuje. Otwierają się drzwi i żołnierze pokazują nam rękami, że możemy wysiąść. Z wahaniem schodzimy w śnieg i marznąc, stoimy jeden obok drugiego. Rozglądam się za Ludovicą, ale jej nie widzę. Panuje trzaskający mróz, z naszych ust unosi się para. Jesteśmy na jakiejś małej stacji rozrządowej. Za nami leży jakieś miasto i ktoś szepcze do mnie, że to Omsk. Słońce wschodzi czerwono, zatapia wieże kościelne i domy w niezwykłym świetle.

Z każdego wagonu wyładowują zmarłych i ot tak rzucają w śnieg, w naszym wagonie jest czterech. Po prostu się już nie obudzili. Zbliża

się ciężarówka i zatrzymuje, wśród strażników panuje ożywiony ruch. Podnoszą do góry plandekę, naszym oczom jawi się majestatyczny, czarny fortepian. Naczelnik wydaje polecenie i pięciu żołnierzy wdrapuje się na skrzynię ładunkową. My, więźniowie, w napięciu się przypatrujemy.

– Ten oficer nazywa się Władimir Iwanowicz Teljan i jest melomanem – szepcze do mnie Fritz. – Forte pian kupił tu, w Omsku. Zabiera go ze sobą. Ma objąć komendę nad jakimś obozem. Zgłosił się na ochotnika. Płaca na Syberii jest o wiele wyższa. Podobno jest jednym z tych wyjątkowo strasznych.

– Skąd to wiesz? – pytam go zaskoczony.

Pokazuje głową na strażników, którzy stoją kilka metrów od nas.

– Przysłuchiwałem się im.

Oddalam się od przyjaciół i idę powoli w kierunku ostatniego wagonu. W swoich butach zanurzam się w sypkim śniegu. Ludovica stoi z boku i wpatruje się w fortepian na ciężarówce, jej wargi drżą.

– Jak się masz? – zagaduję cicho. – Mocno cię ten pies pokaleczył?

Odwraca się do mnie z uśmiechem.

– Dzięki Bogu rana nie była zbyt głęboka – odpowiada. – Dziękuję ci za pomoc. Ci żołnierze bardziej zranili ciebie niż mnie ten pies. Jak ty się masz?

– Jak się mam mieć w tym piekielnym transporcie? – mówię i próbuję wyglądać na odważnego.

Stoimy bez słowa w śniegu. Ona znów wpatruje się błyszczącymi oczami w fortepian. Po cichu obserwuję ją z boku. W odróżnieniu od innych kobiet wyprostowała plecy, jakby nic nie mogło jej złamać, ani nikt. Sprawia wrażenie silnej i delikatnej jednocześnie.

– Jak myślisz, dokąd nas zabierają? – pyta.

Forte pian tymczasem zdjęto z ciężarówki i postawiono na pokrytym śniegiem peronie.

– Nie mam pojęcia, wylądujemy gdzieś na Syberii – przypuszczam.

Inne kobiety zwracają na nas uwagę i podchodzą bliżej. Otaczają nas.

– Jak się nazywasz? – indaguje mniej więcej trzydziestoletnia kobieta.

– Thomas – odpowiadam.

– Cóż za piękne imię dla bohatera! – mówi ze śmiechem.

Inne kobiety zaczynają zadawać pytania, te zwyczajne, które znam z więzienia w Wiedniu i z obozów przejściowych: skąd jesteś? dlaczego cię aresztowali? ile masz lat? Próbuję odpowiedzieć na jedno po drugim, ale dużo chętniej dowiedziałbym się czegoś o Ludovice. Dlaczego tu jest?

Nagle biegnie do nas z krzykiem trzech żołnierzy. Drzę przerażony. Rośnie we mnie strach. Cofam się o parę kroków, ale jest za późno. Żołnierze przechodzą obok nas i uderzają pałkami dookoła. Rozbiegamy się.

Jeden z żołnierzy bije mnie, bije i bije, trafia w plecy, barki, ramiona, żebra. Próbuję zasłonić twarz. Przenika mnie palący ból, a także strach i nienawiść.

Gdy padam na ziemię, stawia nogę na moich plecach, kątem oka widzę, że celuje do mnie z pistoletu. Żołnierze coś do siebie wołają i słyszę zbliżające się kroki. Ktoś podciąga mnie w górę i staje naprzeciwko niego. Nosi długi niebieskoszary płaszcz z futrzanym kołnierzem, futrzaną czapkę i wyglansowane do połysku czarne wysokie buty ze skóry.

– To znowu ty – rzuca Władimir Iwanowicz Teljan po niemiecku z silnym akcentem. Baczenie mi się przygląda.

Żołnierze coś mu wyjaśniają.

– Mówią, że bez pozwolenia oddaliłeś się od swego wagonu. I że stworzyłeś grupę. To zabronione – wyrzuca z siebie.

– Nie stworzyłem żadnej grupy – odpowiadam cicho, jękając się.

– Nie zrozumiałem cię – mówi Teljan.

Podchodzi bliżej. Moja twarz jest już tylko dwadzieścia centymetrów od jego twarzy. Czuję jego oddech.

A niech mnie zastrzeli, myślę. To byłaby przynajmniej szybka śmierć, lepsza od tego bolesnego marznięcia i głodowania.

– Nie stworzyłem żadnej grupy – powtarzam.

Tym razem mówię to bardzo głośno i z przerwami po każdym słowie. On wpatruje się we mnie, a jego twarz wykrzywia się z wściekłości.

– Nie potrzebuję tu żadnych buntowników! – drze się i wyciąga z kabury pistolet. Przystawia mi lufę do czoła.

Słyszę wysoki wrzask. Ludovica rzuca się w naszą stronę i krzyczy:

– Niech pan przestanie!

Teljan patrzy na nią, potem znowu na mnie.

– To wzruszające – mówi.

Pistolet pozostaje przy moim czole.

– Proszę pana, niech mu pan pozwoli żyć – błaga Ludovica. – Ten fortepian, mogę panu na nim grać. Mogę też pana nauczyć, jeśli pan chce.

Oficer patrzy na nią zaskoczony, przygląda się jej długo i uważnie. Jego twarz się przy tym zmienia, równocześnie emanuje ciekawością, zdziwieniem i żądzą sensacji.

– No, teraz będzie naprawdę interesująco – mówi i dodaje ze śmiechem: – Co możesz mi zagrać? – Ogląda ją od góry do dołu.

– Na przykład *Sonatę Księżycową* Beethovena albo jego *Appassionatę*, albo *Fantazję c-moll* Mozarta, albo *Sceny dziecięce* Schumanna, albo *Nokturny* Chopina, albo jego *Balladę nr 1 g-moll*. Albo niech pan wymieni utwór, którego chce pan posłuchać. – Gdy mówi, wciąż gniecie swoje palce.

Oczy Teljana się zwięzają, przy czym nie przestaje wpatrywać się w jej twarz. W końcu zabiera pistolet od mojego czoła i wkłada z powrotem do kabury przy pasku.

– Jak się nazywasz? Skąd jesteś i dlaczego zostałeś aresztowana? – rzuca krótko.

– Nazywam się Ludovica Juliane Steiner, pochodzę z Wiednia i jestem pianistką – odpowiada.

Opiera się jego spojrzeniu.

On patrzy na nią i oddycha głęboko.

– Dlaczego zostałeś aresztowana? – pyta, specjalnie przeciągając słowa.

– Kogoś zastrzeliłam – mówi cicho ona.

– Kogo? – dopytuje krótko.

– Rosjanina – odpowiada.

– Ach tak, jesteś tą morderczynią, opowiadano mi o tobie.

Pianistka, która jest morderczynią! Patrząc na jej dziecięcą twarz i nie mogę uwierzyć.

– Zrobiłabym to jeszcze raz! – głośno oznajmia Ludovica.

Twarcz Teljana się wykrzywia, prawa dłoń wędruje z powrotem do kabury. Przez chwilę panuje cisza i jest to cisza, która szarpie nerwy. Wszyscy wstrzymują oddech. Ludovica spokojnie patrzy mu w twarz.

– Schumann – decyduje Teljan. – I jeśli już chcesz temu chłopcu ratować życie, radziłbym ci dobrze grać.

– Dobrze – mówi ona. – Muszę przedtem trochę rozgrzać ręce.

Gra.

Gra z namiętnością, która porywa nas wszystkich. Tak jakby przez ostatnie tygodnie niczego innego nie robiła. Jej twarz wydaje się wyobcowana, nieobecna.

Pośrodku żołnierzy i setek wychudzonych więźniów stoi w śniegu majestatyczny fortepian. Siedzi przy nim dziewczyna w granatowej sukience, która gra Schumanna. *Sceny dziecięce Schumanna.*

Ta muzyka nas porywa. Zabiera nas do naszych najbliższych, których zostawiliśmy. Niesie w nieznaną przyszłość, której się boimy. Nie mogę powstrzymać łez.

To dziwne, siedzę w kuchni mojego dzieciństwa i przypominam sobie te minuty aż za dobrze. O wiele lepiej niż następne lata na mrozie, w brudzie i nędzy.

Również Teljan jest oczarowany, widać to po nim. Okrywa płaszczem jej ramiona, prowadzi ją do pierwszego wagonu i poleca, by dano jej talerz ziemniaków. O mnie zupełnie zapomina. Ona pośpiesznie je, gdy setki więźniów chciwie się przypatrują. Jeden nawet zaczyna wyć, brzmi to przerażająco. Jakiś żołnierz uderza go kolbą karabinu w brzuch, ten pada, a jego przyjaciele zabierają go stamtąd. Fortepian zostaje przeładowany, trwa to wieczność. Marzniemy i nawet tęsknimy za powrotem do śmierdzącego ciepła naszych wagonów.

Znów wszyscy wsiadamy. Ludovicę prowadzi teraz do ostatniego wagonu dwóch żołnierzy. Przechodząc obok, uśmiecha się do mnie.

Pociąg jedzie dalej. Przez cały dzień inni kpią ze mnie, nazywając mnie „lubym”.

To O chodzi ciężiej niż inne litery. Często jestem zmuszony drugi raz wciskać klawisz. Musi jeszcze chwilę wytrzymać. Bez O nie mogę napisać do końca swojej historii. Bez O nie ma odwagi. Moja odważna Ludovica.

Pisanie jest dobre. Słowa płyną.
Jestem strasznie zmęczony.

Katharina bardzo późno idzie spać.

Listopad 1972: Arthur

Kłótnia babek

Samolot z Paryża wylądował na lotnisku Wiedeń-Schwechat późnym popołudniem. Trzydziestodwuletni Arthur Bergmüller schodził stromym korytarzem z czterotygodniowym niemowlakiem owiniętym w jasnyniebieski kocyk. Czuł się bardzo wyczerpany i musiał się w skupieniu trzymać jedną ręką poręczy, żeby nie upaść. Mały przez cały lot wrzeszczał jak opętany i nie chciał pić z butelki, stewardesy ze współczuciem patrzyły na wykończonego ojca, ale współpasażerowie jęczyli, a niektórzy głośno przeklinali. Pewna mała dziewczynka bez ogródek zapytała go, czy porwał to dziecko, na co Arthur wstał i poszedł do pierwszej klasy. Nie pomogło, osesek i tutaj wrzeszczał z całą mocą swoich małych płuc. Po kilku minutach zdenerwowany starszy pan zapytał: „Dobry człowieku, niech pan powie, gdzie jest jego matka?”, na co Arthur naskoczył na niego, że ma zamknąć swój głupi dziób, i wrócił do drugiej klasy.

Minęła cała wieczność, zanim w końcu trzymał w garści swoją walizkę i wchodził do hali przylotów. Jego matka Luzia objęła go mocno ze łzami w oczach, kilka razy szepnęła do niego: „Zobaczysz, gdy znajdziesz się w domu, znów będzie wszystko dobrze, znów wszystko będzie dobrze”, a on wiedział, że już nie będzie mu dobrze, nigdy więcej.

Od razu zabrała od niego wrzeszczące dziecko. W poczekalni fachowo przewinęła i nakarmiła maleństwo, zanim włożyła je do przywiezionego kosza. To był olbrzymi kosz z rączką, do którego kiedyś Arthur musiał zbierać gruszki w ogródku, żeby je przynieść do piwnicy, do prasy na moszcz.

– Uszyłam gruby materac do kosza, nie jest ani za twardy, ani też za miękki, dotknij. Niemowlęta w żadnym wypadku nie mogą mieć za miękko, ale też oczywiście nie powinny mieć za twardo – paplała, lekko kołysząc koszem w jedną i drugą stronę. Mały natychmiast

zasnął. Arthur apatycznie siedział obok.

Pół godziny później znaleźli się w samochodzie, on prowadził, a Luzia zajęła miejsce obok kosza na tylnym siedzeniu. Ponieważ padał gęsty śnieg, podróż trwała bardzo długo i dopiero późnym wieczorem dotarli na miejsce. Ojciec Arthura, Max, stał z latarką przed domem, gdy parkowali. Arthur poczuł nawet coś w rodzaju wzruszenia, kiedy ten stary, wysoki mężczyzna przyczłapał do niego i wziął go w ramiona, co – o ile sobie przypominał – zdarzało mu się tylko, gdy on był małym dzieckiem.

Przy kolacji tych dwoje starych ludzi robiło wszystko, żeby zapomnieć o swojej żałobie: na stole była jego ulubiona potrawa, faszerowana papryka z sosem pomidorowym; jedli w salonie, nie w kuchni; rozpalili nawet w dużym kominku ogień, który miło płonął; i oboje opowiadali wszelkie możliwe anegdoty o tym, co w ciągu ostatnich lat zdarzyło się we wsi. Mimo to Arthurowi przez cały czas było zimno.

– Zostaw go u mnie na noc – rzekła mu potem spokojnie Luzia przy zmywaniu, gdy pochyliła się nad koszem, który stał przy kuchennym stole. – Jestem stara i nie potrzebuję już za wiele snu, a ty wyglądasz, jakbyś to i owo musiał nadrobić.

Ciężko opadł na krzesło.

– Nie wiem, co mam robić, mamo.

– A co masz robić? Wychować swoje dziecko, oczywiście, cóż by innego? A z czasem wszystko przeboleć, również to, to chyba najważniejsze. I pracować w swoim zawodzie. Architekci w Mühlviertel to rzadkość.

– Myślisz, że powiniennem tu zostać? – zapytał zdziwiony.

– Tak, oczywiście, a gdzie byś chciał jechać? W tym dużym domu miejsca wystarczy. Całe górne piętro jest puste, urządz sobie mieszkanie według swojego gustu. Będziemy się bardzo cieszyć, sam wiesz; my we czwórkę w Bergmühle, czy to nie byłoby piękne?

– Nie umiem go kochać – powiedział cicho.

Matka przestała wycierać naczynia i położyła mu rękę na ramieniu:

– To przyjdzie. Do tego czasu będę go kochać za dwoje.

Przez trzy dni Arthur trwał w stanie podobnym do zamroczenia, nie

robił nic oprócz spania, drzemania, jedzenia, przyglądania się, jak jego rodzice tulą i całują wnuka, i wożą go wózkiem – skąd go mieli? – po błyszczącym śniegu, i znów spania. Nic nie myślał, nic nie czuł.

Czwartego dnia po przyjeździe późnym przedpołudniem wstał i po raz pierwszy od dawna był w stanie myśleć nieco jaśniej. Szwendał się po całym domu i dokładniej przyglądał każdemu z pokoi, pomieszczenia wydawały mu się większe i jaśniejsze niż w młodości. Wtedy nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby spędzić życie w tym mrocznym domostwie. Zostać tu z dzieckiem? Jego matka prawdopodobnie miała rację – mój Boże, potrzebował jej pomocy – to było najlepsze rozwiązanie dla wszystkich, przede wszystkim dla małego. Co by z nim począł w jakimś obcym mieście? A do Paryża w żadnym wypadku nie wróci, tam wszystko byłoby tylko bolesnym wspomnieniem.

Dni mijały. Słońce znów wzięło górę, a śnieg stopniał. Arthur dużo samotnie spacerował, pomagał ojcu w rąbaniu drewna, zaczął kreślić plany przebudowy domu. W byłym młynie – został zamknięty na początku lat sześćdziesiątych – miało powstać jego biuro architektoniczne.

Gdy minęły dwa tygodnie, w pewien poniedziałek około południa wiejską drogą nadjechała pod dom taksówka. Z samochodu wysiadła elegancko ubrana kobieta, była to Esther, matka Eve; poprzedniego dnia przyleciała z Nowego Jorku do Wiednia i przenocowała w hotelu, wczesnym rankiem przyjechała pociągiem do Linzu i dalej, do P. taksówką.

Siedziała przy stole w starej, prostej kuchni i wyglądała w wąskiej, ciemnoczerwonej kaszmirowej sukience, z krótkimi tlenionymi włosami i z mocnym makijażem jak z innego świata. Płakała cicho, gdy podali jej dziecko.

Przez całe popołudnie nie spuszczała oka z wnuka, nazywała go Jules, z oddaniem się nim zajmowała i wciąż nosiła na rękach. Luzia zaoferowała, że przygotuje dla niej pokój, a ona z wdzięcznością przyjęła propozycję. Przy kolacji Esther zdominowała rozmowę, opowiadała o swoim mężu, który przed kilku laty zmarł na zawał serca, o córce Eve, jak w dzieciństwie chciała jeździć do szkoły na

swoim kucyku. Luzia milkła coraz bardziej.

Esther powoli przestała mówić. Arthur wstał, by pomóc matce posprzątać ze stołu. Luzia niosła naczynia do kuchni z głośnym brzękiem, wydawało się, że w środku kipi w niej wściekłość, a gdy z hukiem odstawiła talerze, rzuciła bez ogródek:

– Ona chce to dziecko.

– Co masz na myśli? – zapytał zmieszany Arthur.

– Chce go zabrać ze sobą – odpowiedziała Luzia, a wokół jej ust powstała zmarszczka goryczy.

– Co ty opowiadasz?

– Jeszcze zobaczysz – powiedziała.

Miało się okazać, że Luzia wiedziała, co mówi.

Trzeciego dnia Esther ze swoim amerykańskim akcentem opowiedziała, że jest w Austrii po raz pierwszy od 1945 roku, a na pogodne pytanie Maxa, dlaczego tak długo nie odwiedzała swojej pięknej ojczyzny, odpowiedziała:

– Od czasu, gdy w mojej pięknej ojczyźnie lżono mnie, prześladowano, zabito całą moją rodzinę i męża, a mnie prawie zagłodzono w obozie koncentracyjnym, nie czułam potrzeby przyjeżdżania.

Po tym nastąpiła skrócona wersja jej życiorysu: Esther urodziła się w 1917 roku w Wiedniu jako córka szanowanego żydowskiego lekarza, jej siostra Sarah przyszła na świat cztery lata później. Jej matka i ojciec byli nowocześni, wyemancypowani, żydowskie pochodzenie swoich rodziców i dziadków zostawili za sobą, wyśmiewali ortodoksyjnych Żydów ze Wschodu. To nie uratowało ich jednak przed prześladowaniem przez narodowych socjalistów, cała rodzina Esther straciła życie w obozie koncentracyjnym w Dachau. Ona sama ukryła się ze swoim mężem adwokatem, również Żydem, poza Wiedniem u zaprzyjaźnionego małżeństwa, które miało duże gospodarstwo rolne. Esther i Samuel latami mieszkali na przemian w piwnicy i stodole. Wiosną 1943 roku Esther urodziła w ukryciu dziewczynkę i nazwała ją Eve. Ktoś musiał zadenuncjować młodych małżonków, bo kilka dni później SS zrobiło nocną obławę

w gospodarstwie. Esther i Samuela zabrano, mała Eve spała niezauważona w starej walizce, która leżała na chybottliwym regale pomiędzy słoikami dżemu i kompotu. Gospodyni zabrała dziecko, Samuel zmarł w lutym 1945 roku w kamieniołomach obozu koncentracyjnego Mauthausen, Esther, mocno doświadczona, ocalała, myśl o córce trzymała ją przy życiu.

W czerwcu 1945 roku stanęła przed płotem gospodarstwa i obserwowała dwuletnią jasnowłosą dziewczynkę, która wesoło biegała w ogrodzie za motylem. Musiała się wziąć w garść, żeby głośno nie krzyczeć, gdy dziecko nie bardzo chciało, by je przytuliła. We wrześniu poleciała z córką do dalekich krewnych w Nowym Jorku i zdecydowała się zostać. Cztery lata później wyszła za mąż za nieco starszego przemysłowca Gabriela Bloomberga, który adoptował Eve. Esther nie mogła mieć więcej dzieci i bardzo cierpiała z tego powodu. Zaangażowała się w życie kulturalne Nowego Jorku, przejęła szanowaną galerię i zdobyła uznanie jako krytyk sztuki. Wspierała głównie młodych żydowskich twórców. (Eve kiedyś opowiadała, że jej matce od początku sprawiało przyjemność rujnowanie kariery niemieckich i austriackich artystów, a gdy ją kiedyś o to zapytała, ta odpowiedziała: „To się nazywa odpowiedzialność rodziny za losy wszystkich jej członków, moje dziecko!”).

Eve Bloomberg wyrastała jak typowa amerykańska dziewczyna, chodziła do prywatnego college’u, tańczyła na przyjęciach, studiowała języki. A teraz nie żyła, zmarła przy urodzeniu pierwszego dziecka.

Nastąpiło nieprzyjemne milczenie. Każdy wpatrywał się w swój talerz i z namysłem żuł, bo co można było powiedzieć po takiej opowieści? Wszystko brzmiałoby banalnie, nie istniały słowa pocieszenia. Po chwili Max westchnął i rzekł:

– Tak, tak, przestępstwa Hitlera były straszne. – Nie patrzył przy tym Esther w oczy.

– Hitler sam ich nie popełnił – odpowiedziała sucho, spoglądając na swego wnuka, którego trzymała na kolanach, i dodała: – To przez austriackich narodowych socjalistów nie mogłam trzymać w ramionach swojej córki w tym wieku.

A potem akurat Austriak poznał tę córkę przed ośmioma laty

podczas jej podróży po Europie, pomyślał Arthur. Esther z góry go odrzuciła, i to tylko na podstawie jego narodowości. Przypominał sobie nieliczne spotkania z nią, wszystkie były trudne, również dlatego, że Eve i jej matkę łączyły wysoce delikatne stosunki. Esther szczerze nienawidziła wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z Niemcami lub Austrią, i nie mogła się w żaden sposób uwolnić od swojej nienawiści.

Wszystkimi metodami walczyła o to, by jej córka wróciła do Stanów Zjednoczonych, aż w końcu zakręciła kurek z pieniędzmi, ale i to nie pomogło, Eve została w Paryżu – z tym Austriakiem – i podjęła pracę jako tłumaczka.

Jeszcze tego samego wieczoru, gdy siedzieli razem w salonie, Esther zaczęła bez ogródek mówić:

– Bardzo chętnie zabrałabym Julesa do Fort Lauderdale. Powinien się wychowywać u mnie na Florydzie. Możecie być pewni, że będzie miał u mnie dobrze – ciągnęła.

Opowiadała o swoich planach, jaki pokój przygotowałyby dla wnuka, do jakich szkół by chodził. Arthur mógłby przyjeżdżać w odwiedziny tak często, jak by chciał, żeby chłopiec poznał ojca. Inni milczeli przez większość czasu, na koniec przypaliła sobie papierosa.

Arthur był zaskoczony intuicją swojej matki, która już na początku wyczuła, o co tej kobiecie właściwie chodziło, i dziwił się własnej naiwności. Podziwiał też taktykę Esther, by najpierw opowiedzieć o swoim życiu, a potem domagać się dziecka. Bo wiedział – i jego rodzice to wiedzieli, widział to po ich twarzach – że to nie była zwykła prośba, pobrzmiwała w niej cała brutalna przeszłość i czyniła z prośby żądanie; żądanie, które stanowiło nieodwołalne moralne prawo. Odmówić wnuka kobiecie, która przeżyła w obozie koncentracyjnym rzeczy nie do opowiedzenia, straciła rodzinę i swoją wielką miłość, było niesprawiedliwością. Gdy się jej zabrało jedyną córkę i chyba nie pozostawało całkiem niewinnym śmierci tej córki, odrzucenie prośby o oddanie wnuka było niesprawiedliwością. To byłaby podwójna niesprawiedliwość: on – Austriak – i wszyscy Austriacy wraz z nim byli winni!

Ale czy tylko o to chodziło? Czy nie słyhać było jeszcze jakiejś innej nuty, czegoś cichego, co Arthur wyczuwał głęboko w sobie? Czy skrycie nie doznawał ulgi, że już wkrótce nie będzie musiał patrzeć na dziecko, które zabrało mu Eve?

Odegnął te kielkujące myśli. Nie, nie mógł jej tego odmówić, tak to wyglądało, nie radził sobie z nią w swojej bezmiernej żalobie i drażliwości, nie był przygotowany do konfliktu, ona to wiedziała, on to wiedział, tylko jego matka nie chciała tego dostrzec, ona walczyłaby o wnuka.

Spojrzał na Luzię. Potworność żądania Esther dosłownie odjęła jej mowę.

Dziecko zaczęło krzyczeć, Luzia chybotliwym krokiem poszła do kuchni i z nim wróciła, Esther wyciągnęła po nie ręce, ale Luzia to zignorowała i kołysząc dziecko, chodziła to w jedną, to w drugą stronę. Patrzyła przy tym badawczo w twarz Arthura, a on chciał być daleko stąd.

– Powiedzże coś – domagała się od niego.

On mógł tylko bezradnie wzruszyć ramionami, a ona patrzyła na niego wielkimi oczami.

Proszę, nie zacznij płakać, mamo, myślał, proszę, nie zacznij teraz płakać, oszczędź mi tego, dłużej już nie mogę.

– Wygląda to tak – kontynuowała Esther – państwa syn i moja córka nie byli przecież małżeństwem, dlatego Jules nosi nazwisko Bloomberg i jest obywatelem amerykańskim, a z punktu widzenia prawa jest tak, że jeśli matka umiera, dziadkowie ze strony matki automatycznie...

– Ojcostwo jest ustalone – przerwała jej Luzia. – Mój syn go adoptuje, wówczas będzie się nazywał Bergmüller, i on będzie go wychowywał.

Kobiety okopały się na swoich pozycjach, Arthur zauważył, że obie wzięły głęboki wdech. Kłótnia była nieunikniona.

– Nie musi się pani bać, Jules będzie miał u mnie bardzo dobrze, kocham go jak syna, nie jak wnuka. Mogę mu dać wszystko, wszystko, pójdzie do najlepszych szkół i będzie mógł zdobyć każdy zawód – uspokajająco powiedziała Esther i powiodła wzrokiem po

starym salonie.

Luzia odparowała głośno:

– Nie musi się pani tak demonstracyjnie rozglądać, sama wiem, że wszystko tu jest stare i skromne. Co chce pani przez to dać do zrozumienia? Że my tutaj, w tym starym domu, nie możemy temu dziecku zaoferować wszystkiego, tak jak pani? Wiem też, że jestem stara. Kocham Juliusa jak wnuka, a nie jak syna, bo jest moim wnukiem. A tu stoi mój syn i on jest ojcem tego dziecka! Przecież nie może pani chcieć, żeby dziecko wychowywało się bez ojca! Myśli pani, że czas spędzony przez panią w obozie koncentracyjnym i pani bogactwo uprawniają panią do zabrania ojcu dziecka? Szczerze mówiąc, uważam to po prostu za zwykłą arogancję.

Arthur drgnął, Luzia też uświadomiła sobie w tym momencie, co powiedziała. Obraziła byłą więźniarkę obozu koncentracyjnego i nazwała ją arogancką, a tego chyba nie wolno robić. Czyżby można ją uznać za antysemitkę?

Esther zatkało, patrzyła, z trudem zachowując spokój, w trzy speszzone twarze i powoli wstała.

– Jak pani śmie! – wysyczała.

Luzia również wstała, żałowała swojej nieprzemyślanej wypowiedzi, ale nie chciała dać tego po sobie poznać i powiedziała spokojnie:

– Przecież nie chce pani, żeby mały wyrastał bez ojca.

– Ojciec nigdy nie jest tak ważny jak matka, a Jules przede wszystkim nie powinien wyrastać z ojcem, który go nie kocha – odrzekła Esther.

– Ale on go przecież kocha – zapewniała Luzia.

– Ach tak? Jestem tu od trzech dni i ani razu nie wziął swego syna na ręce – powiedziała Esther.

– Ja też przez ostatnie trzy dni nie wzięłam swojego wnuka na ręce – oburzyła się Luzia. – Ma to wiele wspólnego z panią, bo przez cały czas mały jest u pani na rękach.

– Ale on nawet na niego nie spojrział – odparła Esther.

Arthur nie mógł już tego znieść i uciekł z pokoju. Przed drzwiami domu zapalił papierosa, po chwili przyszła Esther.

– Nie możesz mi go nie dać – powiedziała i również przypaliła sobie papierosa.

Milczał i wpatrywał się w dal.

– Jedź z nami na Florydę. Znam kilku dobrych architektów, którzy ucieszą się, jeśli będą cię mogli zatrudnić. Wynajmę dla ciebie dom w pobliżu – mówiła.

Arthur roześmiał się gorzko i spojrzał jej w twarz:

– Twój dom nie jest dość duży?

Esther spuściła wzrok, a on dalej wpatrywał się w ogród. Wiedział, że chciała mieć wnuka wyłącznie dla siebie, oferta nie była poważna, tylko pro forma, żeby pozbyć się tej odrobiny wyrzutów sumienia wynikających z tego, że go właściwie wcale nie chciała w pobliżu.

– Masz rację, nie mogę ci go odmówić – powiedział cicho, nie patrząc na nią. Odwrócił się do drzwi, ona chwyciła go za ramię i zapytała:

– Dogadaliśmy się zatem?

Arthur kiwnął głową, szybko wszedł do domu i zamknął za sobą drzwi pokoju.

Całą noc przewracał się na łóżku, zasnął dopiero o świcie. Gdy wstał, pierwszą osobą, jaką zauważył, była Esther, która wyszła z pokoju z walizką, zażądała aktu urodzenia, a on jej go wręczył, poza tym podpisał kilka linijek, których treści nie przeczytał. Po południu przyjechała taksówka, ona oświadczyła, że chce spędzić noc w wiedeńskim hotelu, ponieważ następnego dnia wczesnym rankiem ma samolot do Nowego Jorku.

W kuchni siedział jego ojciec i czytał gazetę. Arthur przysiadł się do niego.

– Te dwie kobiety jeszcze dziś rano stoczyły bitwę – powiedział Max.

O mój Boże, pomyślał Arthur.

Milczeli przez chwilę, potem Max dodał:

– On jest ostatnim Bergmüllerem, masz też świadomość. Byłoby wspaniale, gdyby wyrastał tutaj, a potem odziedziczył ojcowiznę i dalej na niej gospodarował. Jak przecież wiesz, nasza rodzina mieszka tu od setek lat.

Nie wyjeżdżaj z tym, pomyślał Arthur, nie wiem, co począć z tym głównym à la Buddenbrookowie.

Matkę spotkał przed domem, wyszła na ostatni spacer z wnukiem. Rozgorączkowana mówiła do niego, że powinien to jeszcze raz przemyśleć, że jest odpowiedzialny i nie może przecież tak po prostu oddać dziecka.

– Naprawdę chcesz, żeby twój syn wychowywał się bez ojca? – spytała.

– Co powinienem być zrobić? Przeżyła tak wiele złego, było mi jej żal. Po prostu nie mogłem powiedzieć „nie”, nie mogłem! – odrzekł Arthur.

– Wielu ludzi przeżyło straszne rzeczy! Proszę, Arthurze, nie rób tego, proszę cię! – Patrzyła na niego przenikliwie i błagalnie.

– Będzie mu u niej naprawdę dobrze. Zaakceptuj to. Możemy go co roku odwiedzać – odpowiedział zrezygowany.

Luzia spojrzała na niego z gorzkim rozczarowaniem; wiedziała, że ani razu nie poleci do Stanów, na to Max czuł się za stary, a ona nie chciała go zostawiać samego. Przez dwanaście lat we dwoje mieszkali w tym wielkim domu, jakoś przeżywali długie zimowe wieczory, tęskniąc za tym, by Arthur tu wrócił. Przez ostatnie tygodnie odważała się marzyć o szczęśliwych latach, o domu pełnym dziecięcego śmiechu, o małym chłopcu, który siedzi na jej kolanach i nazywa ją babcią. Marzyła o jesieni życia, która miała być jednocześnie przyszłością i rekompensatą za wiele lat samotności. On ukradł jej te lata.

Gdy przyjechała taksówka i Esther z dzieckiem wsiadła, Arthur był jedynym, który jej przy tym pomagał. Jego rodzice woleli zostać w środku.

W nocy śniła mu się Eve, leżeli na swoim łóżku w paryskim mieszkaniu ubrani tylko w bieliznę, było gorąco, okno szeroko otwarte, pomiędzy nimi spoczywało dziecko, popiskiwało z zadowoleniem i sprawiało wrażenie kilkumiesięcznego. Nagle dziecko znikło, dziwne, po prostu wyfrunęło przez okno, i chociaż mógł je zatrzymać, nie zrobił tego. Eve spojrzała na niego smutno i wyszła z mieszkania, on leżał jak spętany na łóżku i nie mógł jej

zatrzymać. Obudził się zlany potem, była godzina czwarta rano.

Co on narobił? Co on, na Boga, narobił? Oddał swojego syna na wychowanie kobiecie, którą ledwo znał i której bezkrytycznego wobec siebie, nadętego sposobu bycia nie znosił! Eve by tego nie zaaprobowała pod żadnym pozorem, nagle stało się dla niego jasne, że ona w ogóle nie umiała porozumieć się ze swoją matką. Ale było za późno, zanim dojechałyby do Wiednia, mały tkwiłyby już w samolocie, w drodze za ocean. A zabranie go stamtąd byłoby równoznaczne z porwaniem, pod tym w każdym razie się podpisał. Butelką wódki zalał kapitulację i wyrzuty sumienia i zarzygał całą łazienkę.

Dni ciągnęły się niemiłosiernie, ludzie we wsi patrzyli mu w twarz poirytowani. Arthur stał się niespokojny i czuł, że nie może tu zostać.

– Pojadę na jakiś czas do Berlina, mój przyjaciel tam mieszka i mnie zaprosił, w jego biurze jest wolna posada – poinformował rodziców.

Siedzieli przy śniadaniu i smutno na niego patrzyli.

Zapakował torbę podróżną i dał się matce zawieźć na dworzec do Linzu. Odjeżdżając, patrzył na dom, stał przed nim ojciec i machał ręką za samochodem. Ogarnęło go przecucie, że widzi go ostatni raz.

W samochodzie po cichu obserwował matkę, która wyglądała o dziesięć lat starzej, i było mu przykro.

Na peronie poprosiła go ze łzami z oczach:

– Odwiedzaj nas czasem, dobrze?

Obiecał to. Wyjęła z kieszeni płaszcz zdjęcie i podała mu ze słowami:

– Żebyś nie zapomniał o swojej rodzinie.

Przy każdym pożegnaniu dawała mu jakieś rodzinne zdjęcie z tymi słowami: żebyś nie zapomniał o swojej rodzinie. Wiedziała, że Arthur miał skłonność do zapominania o rodzinie.

Wziął zdjęcie i spojrzał na nie. Jeszcze go nie widział, jakiś sąsiad zrobił je zaraz po jego przyjeździe, przedstawiało jego i rodziców stojących przed domem, ci dwoje tryskali dumą, Luzia miała na rękach wnuka. Długo na nie patrzył, zanim włożył je do kieszeni płaszcz.

Wjechał pociąg i objęli się, Luzia zaczęła płakać i mocno go

przytuliła. Musiał się jej niemal siłą wyrwać. Dopiero w pociągu, gdy odjeżdżał, miał odwagę spojrzeć przez okno, matka stała na peronie i była coraz mniejsza. Wyczerpany opadł na swoje miejsce.

Sześć lat później Arthur miał wraz z synem Juliusem przyjechać na ten sam peron, żeby na zawsze wrócić do domu.

21 grudnia 2012: Katharina

Impreza z okazji końca świata

Po południu zadzwonił policjant z Kitzbühel i przekazał jej tę wiadomość.

Wyszła z telefonem w ręku na balkon i patrzyła na biały ogród. Przez dwa dni intensywnie padał śnieg, wciąż jeszcze leciały pojedyncze grube płatki, które wyglądały jak kryształy: miękka śniegowa pierzynka sprawiała, że wszystko zdawało się ciche i stłumione. Marznąc, drugi raz pytała rozmówcę, w jakiej sprawie dzwoni – z powodu głośnej muzyki w kuchni przedtem go nie zrozumiała – gdy się odwróciła i przez szybę obserwowała Arthura, Olgę i dzieci, którzy po prostu dalej tańczyli i jednocześnie pokładali się ze śmiechu, bo Olga właśnie próbowała naśladować figury baletowe Luisy. Katharina miała się jeszcze latami zastanawiać nad tą paradoksalną sytuacją: wiadomość dotarła do niej akurat podczas imprezy zorganizowanej przez jej dzieci z okazji końca świata.

Mężczyzna powtórzył przez telefon to, co najwyraźniej już powiedział, gdyż zrobił to powoli, głośno i wyraźnie, i Arthur musiał zauważyć zmianę wyrazu jej twarzy, bo otworzył drzwi balkonowe, zbliżył się do niej i spojrzał na nią z pytaniem w oczach. Również Leonora i Luisa podeszły bliżej do drzwi balkonowych, które były uchylone, chciały posłuchać rozmowy i z ciekawością wpatrywały się w Katharinę. Powoli dotarło do niej, że musiała wyglądać na dość przerażoną i roztrzęsioną, bo dziewczynkom zrzedły miny. Dlatego gwałtownie wyprostowała ramiona i starała się wyglądać w miarę możliwości normalnie, poza tym z nagłą zmieniła język na angielski.

– *An accident, did you say?* – powtórzyła dwukrotnie, na co sześćioletnia Luisa odwróciła się do starszego brata, który stał z przyjacielem przy kuchennym stole i mieszał koktajl, i zapytała go:

– Co to jest eksident?

A Vincent zatrąbił głośno i z dumą:

– To jest wypadek!

Na balkonie Arthur i Katharina drgnęli równocześnie.

Dzieci tygodniami błagały, by pozwoliła im zorganizować imprezę z okazji końca świata, aż wreszcie uległa, następnego dnia i tak była sobota, nie musiały więc iść do szkoły. Ale zgodziła się na zaproszenie tylko po jednym z przyjaciół – co zaakceptowały niechętnie, bo właściwie wszystkie chciały zaprosić po pięcioro albo sześcioro kolegów. Ona miała przyrządzić pizzę, młodzież miała sama zrobić sobie koktajle, słuchać okropnie głośnej muzyki, a później obejrzeć film.

Przed południem dwudziestego pierwszego grudnia Katharina była w mieście, kupiła ostatnie gwiazdkowe prezenty dla dzieci i cieszyła się z tego. W kręgu znajomych nie odważyłaby się nigdy powiedzieć prawdy, a mianowicie tego, że uwielbiała oddawać się bez reszty szalowi zakupów bez wyrzutów sumienia.

Najczęściej tylko z aprobatą kiwała głową, gdy znajomi snuli intelektualne wynurzenia, krzywiąc się, że to straszliwa degeneracja tak biegać po przepelnionych sklepach i kupować klamoty, których i tak nikt nie potrzebuje i które po jakimś czasie trzeba wyrzucić, gdzie więc miejsce na ciszę potrzebną do refleksji? Ona była innego zdania, ale nie chciała tego wszystkim oznajmiać, prawdopodobnie spotkałaby się jedynie z brakiem zrozumienia. Lubiła kupować prezenty i uwielbiała błysk w oczach dzieci, gdy je w Wigilię rozpakowywały.

Przed powrotem do domu przekąsiła coś w kawiarni, wypiła do tego prosecco i obserwowała ludzi, chłonęła tętniące wokół życie. Cieszyła się na ferie świąteczne z Julusem, chcieli szczegółowo zaplanować podróż do Azji Południowo-Wschodniej, pójść na kolację z przyjaciółmi i do teatru. W ostatnich tygodniach byli tacy szczęśliwi. Po feriach Julius, który już złożył wypowiedzenie, musiałby pracować w Tyrolu jeszcze tylko trzy tygodnie.

W drodze do domu Katharina nagle poczuła się słabo i musiała zjechać na pobocze, żeby się pozbierać. Dopadły ją mdłości i silny ból

głowy i doznała paraliżującego uczucia, że jednemu z dzieci przytrafiło się coś złego. Potrzebowała kilku minut i wielu głębokich oddechów, żeby w końcu móc jechać dalej, ale dopiero po półgodzinie to nieprzyjemne uczucie stopniowo ustąpiło.

Gdy o pierwszej wróciła do domu, dzieci i ich przyjaciele już tam byli i nikomu najwyraźniej nic złego się nie stało. Leonora i Luisa od razu wypadły z domu, podbiegły do auta, żeby zajrzeć do bagażnika, i musiała niemal siłą je przegonić:

- No już, uciekajcie, prezenty dostaniecie w poniedziałek!
- Ile nocy jeszcze trzeba przespać? – zapytała Luisa.
- Jeszcze trzy, ty głupolu! – powiedziała Leonora.

Na to Luisa ułożyła usta w dzióbek i dała siostrze kuksańca w żebra. W korytarzu stała Olga z założonymi na piersi rękami, Katharina wręczyła jej kluczyki do samochodu i szepnęła:

- Bardzo, bardzo dziękuję!

Olga miała ukryć prezenty w sypialni Arthura.

Niedługo potem ośmioro dzieci jadło w kuchni pizzę i mus czekoladowy, a później jednogłośnie postanowiło zmienić plan imprezy, najpierw chciały obejrzeć film, a później zrobić koktajle i posłuchać muzyki.

To była czwarta część sagi o wampirach, obecna na ustach wszystkich dzieci i młodzieży, Leonora chciała ją koniecznie obejrzeć, zanim wybierze się do kina na zapowiadaną piątą część, i przeforsowała ten film u rodzeństwa. Katharina przysiadła się do sześciu dziewczynek, które zajęły miejsca na sofie – Vincent uznał film za zbyt dziecinny i wraz z przyjacielem zaszył się w pokoju – i nie mogła po cichu się nie śmiać z niewiarygodnego widoku sypialni wampira Edwarda i z rozczulonych min dziewczynek.

Fabuła powalała prostotą: znająca się na modzie wampirzyca planuje ślub wampira ze zwykłą śmiertelniczką, uroczystość w końcu hucznie się odbywa, pojawia się przystojny wilkołak i skarży się, że śmiertelniczka właściwie powinna wyjść za niego, następnie młoda para spędza miesiąc miodowy na samotnej wyspie u wybrzeży Brazylii, gdzie albo grają w szachy, albo ze sobą sypiają. Wampir rozdzwicza śmiertelniczkę, a ona zachodzi w ciążę. Wracają do

domu, gdzie ciężarna niemalże umiera przez płód, którego śmierci życzą sobie z kolei wilkołaki i wrogie wampiry, rodzina Volturich, z którego to powodu nagle wszyscy nawzajem się zwalczają. Dziecko przychodzi na świat, a jego matka zamienia się w wampirzycę, na tym film się kończy.

– Mój Boże, jakie to wszystko głupie! – jęczała cały czas Victoria.

– Ja też chciałabym być wampirem, nie, lepiej wilkołakiem, nie, jednak lepiej wampirem – wzdychała tęsknie Luisa. – Wtedy nigdy nie musiałabym spać ani jeść, byłabym szybka i silna, i piękna.

– Powinna była wyjść za Jacoba, a nie za Edwarda, głupia krowa! – powtarzała Leonora. – On jest o wieeeeeele przystojniejszy i taki szykowny!

Po filmie Katharina z Luisą i jej przyjaciółką Gretą piekły pierniki, bo dziewczynki się nudziły, nie były zainteresowane tym, by zadekować się ze starszymi w pokoju i słuchać muzyki albo grać w gry komputerowe. Katharina stała przy kuchennym stole, wałkowała ciasto, a potem patrzyła, jak dziewczynki z oddaniem wycinają z niego różne kształty: aniołka, serce, konika na biegunach, gwiazdkę. Stopniowo dołączyły Victoria i Leonora z przyjaciółkami, usiadły przy dużym stole, i w końcu wyszli z pokoju nawet Vincent i jego przyjaciel Robert.

Chłopcy zaczęli mieszać koktajle, dziewczyny mniej lub bardziej pomagały w wykrawaniu ciasteczek, cały czas wszyscy się wygłupiali i chociaż starsi wołali: „Nie, proszę, nie, nie chcemy słuchać tego gówna”, Luisa puściła płytę z *Ö3 Greatest Christmas Hits*, którą dostała w zeszłym roku na gwiazdkę. Więc wszyscy słuchali Johna i Yoko *Happy X-Mas* i *Last Christmas* Wham! i nagle przy *Feliz Navidad* José Feliciano młodsze zaczęły tańczyć. Tańczyły wokół dużego stołu, Luisa i Greta w stylu baletowym, robiły piruety, aż im się zakręciło w głowach; Leonora i Mara podskakiwały dookoła, jakby były w dyskotecce, co Victoria i Vincent skomentowali, przewracając oczami. Katharina z przyjemnością się im przypatrywała, w takich chwilach czuła się całkowicie spełniona w swoim instynkcie macierzyńskim, nie mogła się napatrzeć na dzieci i myślała, jaka to szkoda, że Julius nie może z nią dzielić tych chwil, tak wiele

w ostatnich latach stracił.

Luisa otworzyła drzwi, gdy rozległo się pukanie. Do mieszkania weszli Arthur i Olga, Arthur przytulił do siebie Luisę, a Olga wręczyła Katharinie dwie butelki wina musującego. I kiedy powiedziała z tym swoim wspaniałym akcentem: „No, wypijemy za tę katastrofę? O północy już nas przecież nie będzie”, a Vincent zawołał głośniej: „Dziadku, nie potrzebujemy szampana, mamy tu mojito i caipirinę, co wolisz?”, zadzwonił telefon.

– Tu policja miejska w Kitzbühel – oznajmił jakiś mężczyzna i od razu odchrząknął.

Katharina musiała uciec na balkon, bo nie mogła dosłyszeć, co mówił. Po jednej stronie widziała pokryty śniegiem krajobraz o zmierzchu, a po drugiej swoją kuchnię, oświetloną jak wielkie okno wystawowe, w której szalała gromadka dzieci. Arthur zauważył przerażenie na jej twarzy, wyszedł na balkon. Patrzył na nią pytająco, gdy dwa razy, jękając się, wyrzekła: „*An accident, did you say?*”.

Leonorę i Luisę, które stały obok niej i słuchały, energicznym ruchem ręki odesłała z powrotem do salonu, zanim zamknęła drzwi balkonowe. Gdy w końcu zrozumiała, co dzwoniący chciał jej powiedzieć, musiała oprzeć się o szklane drzwi, bo wszystko wokół niej zaczęło się kołysać i na krótką chwilę pociemniało. Arthur chwycił ją za ramię i podtrzymał.

Rozmowa była skończona, Katharina upuściła komórkę i drżąc na całym ciele, szepnęła do Arthura:

– To był policjant. Powiedział, że Julius nie żyje. I jeszcze jakaś kobieta. W Kitzbühel zdarzył się wypadek drogowy. Wjechała w nich ciężarówka. Mamy jak najszybciej przyjechać do szpitala okręgowego St. Johann, żeby go zidentyfikować.

Pół godziny później siedzieli w samochodzie i jechali na zachód. Arthur prowadził, Katharina zajmowała miejsce obok niego; drżała i tłumiała odruch wymiotny.

– Może nie chodzi o... o naszego Juliusa – wymamrotał Arthur.

– Mam nadzieję, że masz rację.

Siedziała i wpatrywała się w okno. Myślała o tak wielu rzeczach

i jednocześnie o niczym. Nagle pozostały tylko obrazki.
Związek z Juliuśem zaczął się jej przewijać w głowie jak film.

Historia Thomasa

Siedzę przy swojej starej maszynie do pisania i walę w klawisze. Muszę to zapisać, żeby móc dalej żyć. Moi rodzice patrzą na mnie wielkimi, przerażonymi oczami.

Urodziłem się dwudziestego szóstego kwietnia 1925 roku w młynie.

Tak, zgadza się, w młynie.

Młyn, w którym się urodziłem, jest nie tylko młynem, lecz także domem mieszkalnym, moim rodzinnym domem. To bardzo duży budynek, w zachodniej części znajduje się młyn, wygląda z zewnątrz trochę jak mały pałac. Ten duży dom w lesie jest przepiękny i od czterystu lat pozostaje w posiadaniu mojej rodziny. Jestem synem młynarza, nie, źle, jestem synem pięknej młynarki. Młynarza nie ma. A moja matka jest naprawdę przepiękną kobietą.

Młynarz nawet krócej niż rok po moich narodzinach zniknął. Bo już nie chciał być młynarzem. Rozwiął się dosłownie jak biały kurz, ażeby w Australii kopać ziemię w poszukiwaniu złotego kurzu. Tak, to prawda.

Nie brakowało mi go, nic nie wiem o życiu z ojcem. Wyrastałem w dużej rodzinie, było nas w sumie dziewięcioro. Dobrze nam było ze sobą.

W domu mieszkaliśmy nie tylko matka i ja, lecz także starzy rodzice mojej matki i jej niedorozwinięty umysłowo brat Hermann. Oprócz tego siostra mojego zaginionego ojca, Hedwig, jej mąż, Alfred, i dwójka dzieci, Gudrun i Rudolf. Alfred i Hedwig razem prowadzili młyn, moja matka dobrze im za to płaciła, była lepszą krawcową niż młynarką. Szyła sukienki, płaszcze, spódnice i bluzki dla kobiet ze wsi i z okolicy.

Matka dawała mi w prezencie książki. Lubię czytać. Lubię pisać. W wieku dwunastu lat chodziłem do gimnazjum w mieście i mieszkalem u dalekich krewnych mojej matki, weekendy i wakacje spędzałem w domu.

Po wielu latach wraca prawdziwy młynarz, tuż przed wielką wojną. Jego prawa noga jest sztywna, ktoś zaatakował go w obozie poszukiwaczy złota, a potem by się wykrwawił, gdyby przyjaciel nie zaprowadził go do lekarza.

Moja matka bardzo się cieszy. O wiele za bardzo, tak uważam. Ten mężczyzna zostawił ją na lodzie na prawie piętnaście lat, a ona przyjmuje go znów z otwartymi ramionami! Miesiącami nie posiada się ze szczęścia! Dziewięć miesięcy później rodzi mojego młodszego brata. Dla mnie zmienia się wszystko. Wszystko.

Alfred idzie na wojnę, jego rodzina przenosi się do miasta, nie są już potrzebni. Każdego dnia tęsknię za nimi, przede wszystkim za Gudrun i Rudolfem, byli moim rodzeństwem. Rudi i ja dzieliliśmy pokój i często mu czytałem albo coś opowiadałem.

On mnie nie kocha. Mam na myśli ojca, on mnie nie kocha. Momentami wydaje mi się, że mnie nienawidzi. Czasem patrzy na mnie z dziwnym wyrazem twarzy, który mnie przeraża.

Mam zastąpić Alfreda. Każdego dnia haruję z ojcem w młynie. Nie pozwala mi chodzić do gimnazjum. Mam siedemnaście lat, brakuje mi tylko roku do matury. Śpię w izbie obok sypialni rodziców i słyszę dochodzące stamtąd odgłosy i płacz dziecka.

Jest wojna. We wsi na początku niewiele z tego do nas dociera. Potem coraz trudniej kupić książki i muszę je pożyczać od dyrektora szkoły. Chcę się wynieść stąd, jak najdalej, czuję, że jest mi za ciasno. Nie potrafię zrobić nic tak, żeby ojciec był zadowolony, wciąż się ze mną kłóci, a matka cierpi z tego powodu, widzę to po niej. Nic już nie jest w porządku. Nic mnie już nie trzyma we wsi, w położonym na uboczu młynie, najchętniej wyjechałbym do dalekich krajów. Na wojnę nie chcę iść, jestem tchórzem. Dwaj moi znajomi zostali ciężko ranni i opowiadali straszliwe rzeczy. Jednemu odstrzelili obie nogi.

Marzę o końcu wojny i o tym, żeby potem zrobić maturę. Chciałbym studiować. Co roku proszę o maszynę do pisania na urodziny. Chcę pisać, chcę podróżować. Ojciec ma dość mojego marzycielstwa. Często jestem bliski tego, by po prostu uciec z domu, wyemigrować, do Szwajcarii albo do Wielkiej Brytanii. Moja matka wciąż mnie zatrzymuje, dlatego też dała mi w prezencie na gwiazdkę

w 1942 roku maszynę do pisania Continental. Uszyła za nią dwa kostiumy i dołożyła pół świniaka. Zrobiła to bez wiedzy ojca i on jest bardzo rozgniewany.

Ja jestem szczęśliwy i piszę codziennie, zaczynam jedną powieść po drugiej. Klecę coś, najczęściej o bohaterze, który ratuje piękną kobietę przed łotrem. Sam jeszcze niczego nie przeżyłem i tęsknię za przygodami, które mógłbym przenieść na papier. Pamiętam, że uważałem się za zdolnego i że marzyłem o karierze pisarza, o sławie i pieniądzach, o takich metropoliach jak Londyn czy Nowy Jork. Śmieszne marzenia młodzieńca. Kiedyś daję kilka stron do przeczytania dyrektorowi szkoły, on sam pisze wiersze, które pewne czasopismo wciąż drukuje. Gdy mi je oddaje, oczekuję pochwały. Ale ten mężczyzna tylko łagodnie się uśmiecha i mówi: „Młynarzu, zostań przy tym, co umiesz!”.

Czuję się zraniony, ale przede wszystkim oburzony. I nie odpuszczam, piszę dalej.

Ojciec pewnego dnia się wścieka, gdy łapie mnie z książką.

– Masz się za kogoś lepszego?! – krzyczy na mnie. – Młynarstwo nie jest dla ciebie dość dobre? Jesteś jak...

Matka przerywa mu przerażona. On nie mówi, do kogo ponoć jestem podobny.

Beze mnie nie da rady prowadzić młyna, bo nie może sobie pozwolić na to, żeby kogoś zatrudnić. Jestem jego parobkiem. Ze swoją sztywną nogą często okazuje się bezradny, jego twarz dziwnie się wówczas wykrzywia.

Wreszcie wojna się kończy. Wybuchają chaos i szal radości, nawet u nas w wiosce. Wciąż przejeżdżają obok czołgi, rosyjskie i amerykańskie, hordy obdartych żołnierzy przechodzą przez naszą wieś, oni wszyscy chcą do domu. Tylko ja chcę uciec. Chcę uciec daleko. Chcę wyjechać do Nowego Jorku.

Pewnego dnia ojciec łapie mnie na pisaniu. Zrzuca maszynę na ziemię i policzkuje mnie. Policzek piecze, a ja drzę z upokorzenia. Podnoszę maszynę i widzę, że litera O wisi. Klawisz z trudem daje się wcisnąć i znów stoi w szeregu innych liter, jak karny żołnierz. Wkręcam arkusz papieru i piszę kilka linijek dla mojej matki.

Informuję ją, że chcę dotrzeć do Bremy i tam wsiąść na statek płynący do Nowego Jorku. Zabieram wszystkie swoje oszczędności. Wychodzę z domu tylko z plecakiem. Jest dwunasty sierpnia 1945 roku. Moja wolność potrwa tylko kilka dni.

Przypadek chce, że spotykam dwóch znajomych z sąsiedniej wsi.

Co za koszmarny przypadek!

Razem maszerujemy w kierunku miasta i mamy nadzieję, że nas ktoś podwiezie. Jesteśmy podekscytowani i rozbawieni. Ci dwaj mają ze sobą wino, opróżniamy butelki. Jest gorąco i chcemy popływać w rzeczce. Dostrzegamy grupę młodych ludzi i podkradamy się do nich. To rosyjscy żołnierze z dwiema austriackimi dziewczynami. Kąpią się. Jak okiem sięgnąć nie ma nikogo, czują się bezpiecznie. My, wskutek upojenia, czujemy się mocni, zabieramy im ubrania i przecinamy opony w ich jeepie. Potem z chichotem uciekamy. Później palimy ubrania, są w nich również dokumenty.

Trzy dni później rozdzielamy się, już niedaleko miasta. Do dziś nie wiem, czy ich też zatrzymano. Przy jakiejś kontroli nagle pewien zdenerwowany żołnierz pokazuje na mnie i mówi coś wzburzony do drugiego. Potem zostaje aresztowany. W komendanturze dowiaduję się, z jakiego powodu. Najwyraźniej ktoś nas widział, gdy robiliśmy ten głupi kawał.

Następują wielogodzinne przesłuchania. Wśród kąpiących się był oficer, który miał przy sobie nie tylko paszport, lecz także inne ważne dokumenty. Nie wierzą mi, że byliśmy pijani, nie wierzą w spalenie ubrań wraz z papierami. Są święcie przekonani, że te rzeczy oddaliśmy innym ludziom. Moje milczenie działa na moją niekorzyść.

Dwa dni później odwożą mnie do Wiednia na Schiffamtsgasse, gdzie odbywa się krótki proces przed trybunałem wojskowym.

Tam pierwszy raz widzę Ludovicę.

Na podstawie owianego złą sławą paragrafu pięćdziesiątego ósmego, szpiegostwo, zostaje skazany na piętnaście lat obozu pracy. Załamuję się. Nie wolno mi napisać listu do matki. Wszystko wydaje mi się upiornym snem.

Jedziemy pociągiem z Wiednia do Sopronu, do pierwszego obozu przejściowego, tam poznaję Fritza, Karla i Helmuta. Od początku

uwazamy, by się nie pogubić, i koniecznie chcemy pozostać razem. Studenci Karl i Helmut są braćmi i pochodzą z St. Pölten. Pewnej nocy rzucali kamieniami w rosyjski czołg i niechcący ciężko zranili przy tym rosyjskiego żołnierza, który nagle pojawił się za wozem. Później zmarł w szpitalu. Lubię ich wesoły, nieskomplikowany sposób bycia, bawią mnie. Dla nich to wszystko jest przygodą, czasem zarażają tą myślą i mnie. Masz swoją przygodę, myślę później. Fritz jest czterdziestoczteroletnim urzędnikiem, który własnoręcznie wyrzucił z pewnego wiedeńskiego muzeum rosyjskiego podporucznika. Później ten podporucznik twierdził, że Fritz go ciężko zranił, a ponadto obraził. Fritz jest spokojny i zamknięty, ale bardzo łagodny.

Potem jedziemy dalej do Lwowa, do drugiego obozu przejściowego, a w końcu do Moskwy, gdzie czekamy pięć dni na dalszą podróż. Pewnej nocy zabierają nas i prowadzą na dworzec.

Udajemy się w długą podróż i coraz bardziej oddalamy od domu. Opowiadania innych więźniów o obozach pracy budzą przerażenie. To są obozy śmierci, mało kto tam przeżywa. Potworny mróz, głód, ciężka praca, choroby. Fritz tłumaczy nam z rosyjskiego. Mój lęk i rozpacz rosną do niezmiernych rozmiarów.

Krajobraz, który widzę przez szpary w ścianach, fascynuje mnie. Te zielone równiny, te potężne lasy, olbrzymie jeziora, góry z białymi szczytami! Potem zaczyna padać śnieg. Płatki opadają łagodnie, tańcząc wokół nas, gdy możemy na chwilę wyjść z pociągu. Podczas jazdy ich wirowanie to taniec czarownic wokół wagonu. To wszystko jest nie do opowiedzenia piękne. Wchłaniam to w siebie.

Styczeń 1995: Katharina i Julius

Brzemienne w skutki zdanie

O siódmej rano włączył się radio-budzik i spikerka monotonnym głosem zaczęła czytać wiadomości. Julius zerknął na drugą stronę łóżka, pusto, słyszał wodę szumiącą w łazience. W błogim półśnie odwrócił się na brzuch, wsłuchał w głos z radia i zagubił w sennych marzeniach. Te minuty z rana, gdy kołysał się to w jedną, to w drugą stronę między snem a jawą, lubił najbardziej. Usłyszał kroki i odwrócił się z powrotem na plecy.

Katharina powoli podeszła do łóżka, była kredowobiała. I gdy spikerka na koniec oznajmiła, że Plácido Domingo obchodzi dziś pięćdziesiąte czwarte urodziny, próbując nadać swojemu monotonnemu głosowi nieco weselsze brzmienie, Katharina powiedziała: „Jestem w ciąży”.

Julius natychmiast oprzytomniał i usiadł.

Później już nie wiedział, jak długo trwał w tym podobnym do szoku stanie i kiedy zaczął choć trochę jaśniej myśleć: czy to było kilka dni, czy tydzień, a może nawet cały miesiąc? Jak we mgle przetaczał się w tym czasie ze swojego mieszkania na uniwersytet albo do warsztatu i z powrotem do mieszkania, gdzie przewracał się na łóżku obok Kathariny, nie mogąc zasnąć.

Jedyną godziną, którą jeszcze wyraźniej i jasno miał przed oczami, gdy wspominał ten dzień, była ta pierwsza, kiedy padło pomiędzy nimi to brzemienne w skutki zdanie. Katharina siedziała z mokrymi włosami na łóżku, ubrana w jeden ze swoich białych podkoszulków od Hubera, z których on wciąż żartował, bo uważał je za staromodne, i dzinsy. Miała zgarbione plecy i zaczęła obgryzać paznokiec na lewym kciuku, nie zauważył u niej nigdy tego nawyku.

– Co jesteś? – zapytał osłupiały, a ona jeszcze raz powtórzyła głośno to zdanie, ale nie patrzyła mu przy tym w oczy, tylko gapiła się na tapicerkę.

– Na pewno? – dopytywał.

– A w przeciwnym razie bym ci powiedziała? – odpowiedziała pytaniem, urażona. Sprawiała wrażenie dziwnie odrętwiałej i nieobecnej.

Julius rozejrzał się po swojej niezbyt schludnej sypialni, popatrzył na szarozieloną zasłonę, która przysłaniała duże okno, meble pokryte tanim, jasnym fornirem, ścienne lustro, brudnobeżowy dywan, i miał wrażenie, że wszystko wokół niego się kołysze. Przecież zawsze się zabezpieczali! Najwyraźniej byli przy tym nie dość skrupulatni.

Zupełnie się nie zorientował, że Katharina kupiła test ciążowy, nie mówiąc już o jej podejrzaniach, że jest w ciąży, bo nie miała miesiączki. Dlaczego mu o tym nie powiedziała? Spytał ją o to.

– Nie lubię niepotrzebnie siać paniki – odrzekła. – Po prostu chciałam być pewna, zanim z tobą porozmawiam.

Julius spojrzął jej prosto w twarz, wciąż jeszcze gapiła się na tapicerkę, aż w końcu powoli podniosła wzrok i popatrzyła mu w oczy; jej były pełne łez. Ale te łzy go nie wzruszyły, nie czuł potrzeby, by ją objąć, przeciwnie, czuł, jak rośnie w nim wściekłość, ale jednocześnie nie rozumiał tej wściekłości i próbował ją stłumić.

Nie miał pojęcia, co ona myślała albo czuła w tym momencie, i uświadomił sobie, że właściwie niewiele o niej wie. Poznali się dopiero przed dwoma miesiącami, gdy Katharina, uzbrojona w aparat fotograficzny, pojawiła się u niego w warsztacie. Oprócz uczęszczania na studia konserwatorskie Julius pracował też u renowatora, a Katharina w agencji reklamowej. On niedawno skończył dwadzieścia dwa lata, ona była o rok młodsza.

Lutował właśnie starą trumnę, gdy nagle przed nim stanęła. Od razu rzuciła go na kolana.

Wyjaśniła, że wysłano ją, by zrobiła zdjęcia do zaproszeń na dzień otwarty, i przeprosiła, że się nie zapowiedziała. Chociaż jego szef i inni współpracownicy akurat byli na jakiejś budowie, Julius zapewniał ją, że nie mogła wybrać lepszego momentu. Pokazał jej cały warsztat, wszystko cierpliwie tłumaczył i miał nadzieję, że nie zauważyła jego nerwowości.

– Właśnie pracuję nad trumną – powiedział – w której w tysiąc

osiemset sześćdziesiątym siódmym roku przywieziono z Meksyku ciało cesarza Maksymiliana. To znaczy, miało w niej zostać przywiezione, ale potem okazało się, że trumna się nie nadaje, bo nie można w niej było przymocować zwłok i mogłyby zostać zbyt mocno uszkodzone. Do transportu użyto więc meksykańskiej trumny, a tuż przed przybyciem do Triestu przełożono zwłoki, bo austriacka trumna była bardziej reprezentacyjna. Teraz jest restaurowana na pewną wystawę. Wierzchnią trumnę zrobiono z miedzi, a wewnętrzną, drewnianą, wyłożono brokatem. Materiał miejscami się oddziela, mam go znów przymocować, a tutaj muszę zlutować. Widzisz?

– Łał, wyczytałeś to wszystko? – zapytała z podziwem.

– Nie – przyznał zakłopotany. – Szef mi opowiedział. Właściwie nie lubię czytać.

(Katharina zignorowała to zdanie. Czegóż to człowiek nie ignoruje, jeśli pociąga go jego vis-à-vis, a hormony wariują? Dopiero dużo później uświadomiła sobie, że powinno jej to być dać do myślenia).

Zrobiła mnóstwo zdjęć warsztatu, maszyn, starych mebli, które były wszędzie porozstawiane, i jego.

Koniecznienie muszę się z nią jeszcze spotkać, cały czas myślał Julius.

– Nie powinniśmy sobie zrobić zdjęcia we dwoje? – zapytał naraz i sam dziwił się swojej odwadze. – Z samowyzwalaczem, tak myślę. Za tą trumną, dobrze?

Gdy stanęli jedno obok drugiego za trumną, ich ramiona się zetknęły, a on poczuł się jak naelektryzowany. Gdy ukradkiem na nią spojrział, zauważył, że się zarumieniła i unika jego wzroku.

Poprosił, żeby w najbliższych dniach wpadła po drodze i przyniosła najbardziej udane zdjęcia, a ona obiecała, że to zrobi. Spotkają się zatem. Gdy poszła, pracował dalej jak uskrzydłony. Już dwa dni później przyjechała ze zdjęciami, a że zjawiała się tuż przed końcem pracy, poszli razem coś wypić.

Tego wieczoru silny pociąg, który do siebie czuli, stał się dla Juliusa prawie nie do zniesienia, musiał się powstrzymać, żeby się na nią nie rzucić i jej nie pocałować. Umówili się na następny wieczór i wtedy odważył się przywitać ją całusem w policzek. Godzinę później rozbierali się nawzajem w jego pokoju.

Odkąd zostali parą, spędzali ze sobą niemal każdą noc, najczęściej u niego, bo jej małe mieszkanie było położone na skraju miasta, a poranna droga metrem do ich miejsc pracy trwała bardzo długo.

Olbrzymie łóżko Juliusa stało się ich statkiem, który łagodnie się kołysał, kiedy prawie bez przerwy się kochali. Dosłownie splatali się ze sobą, nienasytzeni, chciwi wzajemnie swych ciał. W tych godzinach, gdy byli razem, świat poza pokojem przestawał istnieć, nie potrzebowali niczego i nikogo, spotykali się z przyjaciółmi tylko osobno, nigdy razem, niczego nie robili razem. Oboje pragnęli tak długo, jak to możliwe – nie całkiem tego świadomi i nie mówiąc o tym drugiemu – utrzymać ten związek w tajemnicy. Oboje nie chcieli zostać zbyt szybko uznani przez znajomych za parę, woleli rozkoszować się sekretem, obawiali się, że ten czar, który czuli wokół siebie, pryśnie. To była mroźna zima, ale tylko w drodze do pracy i z powrotem zauważali mimochodem, że wiał nieprzyjemny wiatr albo że padał śnieg, w mieszkaniu tego nie czuli, grzali się nawzajem swoimi rozpalonymi ciałami.

Tak mijały tygodnie. Tylko podczas Bożego Narodzenia się rozstali, bo Julius spędzał te dni w domu u ojca, a Katharina u wuja, ponieważ jej matka z przyjacielem byli w podróży dookoła świata. Mając w pamięci ciało tego drugiego i tęskniąc za sobą nawzajem, stali oboje pod różnymi choinkami i śpiewali *Cichą noc*, myśląc przy tym raczej o nocach gorących.

A teraz ona siedziała przed nim i mówiła: „Jestem w ciąży”.

Julius przemógł się i w końcu ją objął, szepnął jej do ucha, że wszystko będzie dobrze i że powinna jeszcze dziś iść do ginekologa, żeby to wyjaśnić, bo może test ciążowy nie działa jak należy. Katharina patrzyła na niego zdziwiona.

Jak co rano wyszli razem z kamienicy, w której na drugim piętrze mieściło się mieszkanie Juliusa, tylko tym razem nie trzymali się jak zwykle za ręce, i wypili w piekarni na rogu kawę, intensywnie wpatrując się przy tym w filiżanki, żeby nie patrzeć sobie w oczy. Nie rozmawiali ze sobą, każde zajęte swoimi myślami i bez śmiałości, by przedstawić je temu drugiemu. Oboje myśleli o tym samym, o aborcji,

i żadne nie miało odwagi zacząć otwarcie rozmawiać na ten temat.

Julius czuł, jak cały czas kipi w nim złość, i nagle uświadomił sobie dlaczego. Przemilczała przed nim podejrzenia, że jest w ciąży, i kupiła test ciążowy; dlaczego nie mogła też przemilczeć, że test wypadł pozytywnie? Dlaczego nie mogła po prostu umówić wizyty w klinice aborcyjnej i się tego pozbyć, nie informując go o tym? Musiał przyznać, że ten wariant najbardziej by mu się podobał. To byłoby oznaką siły i niezależności, a on uwielbiał kobiety silne i niezależne. A jeśli kobieta powiadamiała mężczyznę, że jest w ciąży, w grę od razu wchodził moralny aspekt sprawy. W takiej informacji nigdy nie chodziło tylko o biologiczny fakt, lecz wibrowało w niej tak wiele: „Sprawię, że wkrótce będziesz ojcem” albo: „Rośnie we mnie cząstka ciebie”. Czy na świecie było wielu mężczyzn, którzy mieli odwagę rzucić wtedy kobiecie w twarz: „Pozbądź się tego!”, nie wydając się sobie samemu potworem? Bał się jej reakcji, ale wiedział, że w żadnym razie nie chce tak wcześnie zostać ojcem.

Katharina również biła się z myślami, nie mogąc przestać pośpiesznie mieszać swojej kawy. Aborcja to było pierwsze, co jej przyszło do głowy, kiedy już siedziała w pokoju na łóżku; nie wychowała się w katolickim duchu i czuła się nowoczesną kobietą: ja decyduję o swoim życiu i swoim ciele. I chociaż tak myślała, obawiała się oznajmić to Juliusowi. Wiedziała o nim tak niewiele! Co myślał o pewnych rzeczach, co odrzucał, a co popierał? A co, jeśli jest jawnym przeciwnikiem aborcji i byłby przerażony, gdyby ją zaproponowała? Jeśli spokojnie by się jej przysłuchiwał, żeby potem z odrazą się odwrócić? Nie zniosłaby, gdyby uznał ją za zimną i bez serca.

Katharina gorączkowo myślała dalej. Jej palce zacisnęły się na filiżance tak mocno, że aż pobieleły jej knykcie. Ale jeszcze bardziej się bała, że sam Julius proponuje aborcję. Nie dlatego, że uważała taką propozycję na niemoralną, lecz dlatego, że byłoby to jednocześnie zaprzeczenie ich uczucia. Była w Juliusie bardzo zakochana i ich krótki namiętny związek budowała na swoim romantycznym wyobrażeniu wielkiej miłości. Poczulałaby się wówczas

tak, jakby Julius powiedział: „Nie ma między nami miłości, sypiałem z tobą tylko z powodu twojego ciała”. Głęboko by ją to uraziło, wiedziała o tym. Byłby to już drugi raz, kiedy uległa iluzji, i potrzebowałaby wiele czasu, żeby to przeboleć. Jej pierwszy chłopak był studentem chemii, który dość twardo się z nią obchodził. Kiedyś wypił za dużo i niemal ją zgwałcił, potem się z nim rozstała.

Tylko co powinna zrobić? Zaproponować aborcję czy nie?

Przed piekarnią pocałowali się na do widzenia i rozeszli, żadne nie odwróciło się jak zwykle i nie pomachało drugiemu; ona ruszyła pieszo do biura, on pojechał metrem do warsztatu konserwatorskiego. Jeszcze do niedawna Katharina studiowała dziennikarstwo i romanistykę, ostatniego lata przez znajomego swojego wuja dostała wakacyjną pracę jako copywriterka w dużej agencji reklamowej, praca tak się jej podobała, że nie mogła się jesienią zmotywować, by wrócić na uniwersytet. Wśród kolegów – głównie młodych – czuła się dobrze i dawała się porwać atmosferze luzu i powierzchowności, która wydawała się panować w biurze permanentnie: wszyscy zawsze byli w dobrym nastroju, plotkowali swobodnie przez cały dzień, wieczorem często szli razem coś wypić i dobrze się bawili. Rozkoszowała się przede wszystkim tym, że wraca po południu do domu i jest wolna, nie musi już kuć. Ponadto obydwaj szefowie agencji motywowali ją do pozostania ponadprzeciętnie wysoką pensją, miała podobno talent, tak jej mówili, i niezawodne wyczucie gry językowej. Klienci chcieli, by to ona napisała ich broszurę czy prospekt. Od tego czasu od ósmej rano do czwartej po południu siedziała w biurze z trójką kolegów i pisała teksty reklamowe o hotelach, samochodach, biurach podróży i kosmetykach.

Z budki telefonicznej Katharina od razu zadzwoniła do swojego ginekologa. Chociaż tłumaczyła, że sprawa jest pilna, najbliższy wolny termin miał w przyszłym tygodniu. Było jej zresztą wszystko jedno, bo i tak czuła, że jest w ciąży, zmiany w jej ciele były jednoznaczne.

Tydzień mijał powoli, Katharinie dni wlekły się rozpaczliwie. Z nikim o tym nie rozmawiała, tęskniła za matką. Codziennosc wyglądała jak zwykle, Katharina jechała po pracy do domu, żeby tam

czekać na Juliusa, albo pakowała parę rzeczy i jechała do niego. Żadne z nich nie spotykało się z przyjaciółmi. Byli jak sparaliżowani, sypiali wprawdzie ze sobą, jednak starali się unikać drażliwego tematu, co nie zawsze się udawało.

Pewnego wieczoru Katharinie się wymknęło:

– Nie chcę jeszcze mieć dziecka, absolutnie nie, to dla mnie o wiele za wcześnie! Nie chcę utyć, a tego okropnego porodu w ogóle nie chcę, a już najmniej pragnę drącego się niemowlaka!

Julius wziął ją po tym pocieszająco w ramiona, już miał ostrożnie napomknąć o aborcji, ale potem dał sobie spokój. Wciąż jeszcze liczył, że to pomyłka.

Starszy, siwowłosy ginekolog potwierdził ciążę.

– Jest pani w szóstym tygodniu ciąży, a termin porodu przypada na dwudziestego czwartego września – powiedział i pilnie zanotował wszystko w karcie, zanim się z powrotem do niej odwrócił.

Z pełnym zaangażowaniem na twarzy zapytał ją, czy to planowana ciąża i czy się cieszy. Katharina zdołała tylko lekko pokręcić głową i powstrzymać łzy. Jego współczująca mina wydawała się rutynowa, jego twarz natychmiast się zmieniła, gdy dyskretnie przesunął w jej stronę po biurku folder pewnego ambulatorium zajmującego się przerywaniem ciąży, i znów zajął się swoimi zapiskami w karcie. Pospiesznie wetknęła folder do torebki, zanim wstała.

Gdy wróciła do domu, zrobiła sobie herbatkę rumiankową i położyła się na sofie. Bolała ją głowa i czuła się marnie, dwie godziny przewracała się z boku na bok. W tej chwili boleśnie tęskniła za matką, chciałyby ją poprosić o radę.

Wszystko wydawało jej się złym snem, nie miała jeszcze dwudziestu dwóch lat i była w ciąży z mężczyzną, w którym wprawdzie się zakochała, ale spotykała się z nim dopiero kilka tygodni. Nigdy nie sądziła, że mogłoby się jej coś takiego przytrafić, przedtem wciąż po cichu robiła sobie żarty, gdy ktoś opowiadał o nieplanowanej ciąży. Byli za głupi, żeby się zabezpieczyć, zarzucała im w duchu za każdym razem. Jej myśli wciąż krążyły wokół słowa aborcja i czytała raz po raz folder ambulatorium. Miała przecież marzenia, nie bardzo konkretne wprawdzie, bynajmniej nie plany, nie

mówiąc już o celach, ale chciała właśnie tego, o czym się rozmawiało, gdy się było młodym: wychodzić z domu, bawić się, dużo podróżować, przeżywać i oszczędzać pieniądze, kupić własne mieszkanie. (Jak pogodzić jedno z drugim, zazwyczaj pozostawało kwestią otwartą).

Chwyciła za telefon i zaczęła wybierać numer przychodni, w której by to zrobiono, dzieci chciała mieć najwcześniej za dziesięć lat. Zanim ktokolwiek odebrał, rozłączyła się. Powtórzyło się to trzy razy, za każdym razem znów pospiesznie się rozłączała. Z jękiem odwróciła się na bok i zamknęła oczy.

Gdy je z powrotem otworzyła, jej wzrok padł na książkę leżącą na stole w bawialni, była to *Nieznośna lekkość bytu* Milana Kundery, którą akurat drugi raz przeczytała. Uwielbiała tę książkę, tragiczna historia miłości Tomasza, chirurga, i Teresy, kelnerki, po prostu ją oczarowała.

Nagle wiedziała, dlaczego odkładała słuchawkę i nie umówiła się na wizytę. Brakowało jej nieznośnej lekkości bytu. Pod koniec września nie będzie mogła przestać myśleć o narodzinach swojego dziecka, którego nie będzie. Będzie zadawać sobie pytania: czy to byłaby dziewczynka, czy chłopiec, czy dziecko miałoby jej niebieskie oczy, czy ciemnobrązowe oczy Juliusa? Rokrocznie późnym latem, o tej porze roku, którą najbardziej lubiła, będzie sobie w wyobraźni odmalowywać sceny: siedzę ze swoją roczną pyzatką córeczką, która jest do mnie niesamowicie podobna, przed własnoręcznie upieczonym tortem z jedną różową świeczką, ona piszczy zadowolona i promiennie na mnie patrzy. Ach nie, nie robię tego, nie ma żadnego dziecka, zostało na czas usunięte, wyskrobane do metalowej miski o dziwnym kształcie.

Musiałyby o tym myśleć co roku (w tym roku moje dziecko poszłoby do szkoły) i nie tylko co roku, co miesiąc (teraz zaczęłoby raczkować), każdego dnia (Czy połaskotałoby mnie po przebudzeniu?). Była pewna, że ta sprawa nigdy by jej nie dała spokoju, nie mogłaby zapomnieć. Dobrze siebie znała, wiedziała, jakim torem biegną jej myśli. Dla niej życie z dzieckiem mogło nie być aż tak zrujnowane jak życie po usunięciu dziecka.

Jakoś to będzie, pomyślała i próbowała się przed lustrem uśmiechnąć, chciała sobie dodać odwagi, bo nie miała najmniejszego wyobrażenia o tym, jak to się powinno potoczyć. Zrobiła sobie wielki omlet z szynką i serem i obejrzała na wideo *Dzień świstaka*.

Dopiero późnym wieczorem zadzwoniła do Juliusa, przekazała mu, że ginekolog potwierdził jej ciążę, i wsłuchiwała się w jego oddech. Oprócz krótkiego „OK, zrozumiałem” nie powiedział nic.

Przez chwilę milczeli, potem Katharina zebrała się na odwagę i oznajmiła:

– Julius, muszę ci coś powiedzieć. Przez cały tydzień poważnie zastanawiałam się nad aborcją. Jest mi wszystko jedno, co o tym myślisz.

– Zasadniczo nie mam nic przeciwko temu – odpowiedział z wahaniem.

– Ja też nie – odparła Katharina. – Ja też nie jestem nastawiona przeciwko ani też za. O czymś takim każdy musi zdecydować sam. Ale...

– Tak? – powiedział Julius; brzmiało to jak stęknienie.

– Ale – kontynuowała Katharina, próbując nadać głosowi ton stanowczości – ja po prostu nie jestem w stanie tego zrobić. Nie podołam temu. Obciążałoby mnie to i prześladowało przez całe życie.

„Obciążałoby mnie to i prześladowało przez całe życie”. To zdanie miało prześladować Juliusa tygodniami. Był całkiem zdruzgotany, gdy Katharina poinformowała go, że chce urodzić dziecko, i potrzebował dużo czasu, żeby przyzwyczaić się do myśli, że zostanie ojcem.

Nieśmiało zaczęli rozmawiać o przyszłości i ją planować. Już nie unikali tematu. Nie będzie tak źle, próbowali sobie wmawiać. Chcieli poszukać razem większego mieszkania, Julius rzuciłby uniwersytet i pracowałby już tylko przy konserwacji antyków, i tak by mu się podobało, studia konserwatorskie szczególnie go pociągały, wolał uprawiać rzemiosło. Katharina najszybciej, jak to możliwe, wróci do pracy, a dziecko oddadzą do żłobka.

Zaczęli więc rozmawiać o przyszłości, nie mając wspólnej przeszłości. Ani razem nie podróżowali, ani razem nie mieszkali. Nie

istniał jeszcze krąg wspólnych znajomych, nie dało się żyć wspólnymi przeżyciami. Ich ciała znały się na pamięć i nic poza tym. Katharina wiedziała wprawdzie, że Julius jest jedynakiem i wychował się bez matki, że jego najlepszy przyjaciel ma na imię Florian, że pracę z drewnem uwielbiał już jako nastolatek, a Julius wiedział, że Katharina jest jedynaczką i wychowała się bez ojca, jej najlepsza przyjaciółka ma na imię Elisabeth, a jej ulubionym przedmiotem był w szkole francuski. Nie znali swoich słabości ani mocnych stron, nie wiedzieli, czy to drugie dobrze funkcjonuje na co dzień, co chciałoby robić na urlopie. Nie znali tych okropnych drobnych nawyków, które mogą uczynić z życia piekło.

Zaczęli się poznawać, wiedząc, że wkrótce zostaną rodzicami.

Miesiąc później dowiedzieli się, że prawdopodobnie zostaną rodzicami bliźniąt.

Luty i marzec 1995: Katharina

Czapki z głów, mój synu, piękna dziewczyna!

Ponieważ nie miała innej możliwości, Katharina poinformowała matkę przez telefon, że oczekuje dziecka i szuka wraz z Juliušem mieszkania.

Akurat w tym momencie Linda była ze swoim przyjacielem w Sydney. Pierwsze, o co zapytała córkę, to: „Powiedz szczerze, cieszysz się na to dziecko? Jesteś szczęśliwa z tym Juliušem?”, a Katharina musiała euforycznie potwierdzić „tak”; gdyby powiedziała „nie”, matka natychmiast przyleciałaby do domu, by wspierać ją w nadchodzącym czasie. Katharina wiedziała o tym i nie chciała tego. Linda była całe życie sama i w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat – w sanatorium – poznała swoją wielką miłość, owdowiałego lekarza rodzinnego. Pół roku temu oboje spontanicznie postanowili, że wyruszą w podróż dookoła świata. Katharina z całego serca sprzyjała matce, z którą miała dobry kontakt. Linda przez całe życie harowała dla swojej córki i małej firmy spedycyjnej brata.

Powoli mijały tygodnie. Katharina traciła odwagę, której Julius z kolei nigdy nie nabrał. Z szukaniem mieszkania nie posuwali się naprzód, były albo za drogie, albo zupełnie nieodpowiednie. Gdy nieśmiało poinformowała szefa, że oczekuje dziecka, uniósł się gniewem.

– Czy wy, kobiety, nie macie nic innego do roboty, tylko sprowadzać dzieci na świat? To przecież bzdura! Ileż ty masz lat? – pomstował głośno. – Masz talent, Katharino, stawiałem na ciebie. Jestem naprawdę rozczarowany. Ale za każdym razem wygląda to tak samo, zawsze, gdy zatrudniłam jakąś kobietę, ta zaraz znika, bo uległa obłędowi reprodukcji. Kosztujecie mnie przecież pieniądze! Inwestuję w was! Na początku nic mi nie przynosicie, nic! Trzeba was najpierw zbudować! Potem szybko rodzicie dzieci i idziecie na macierzyński, a po dwóch latach chcecie wrócić do pracy, jakby nic się nie stało,

jakby ta branża się nie rozwijała. Do tego w domu małe dziecko, które ciągle choruje, więc wciąż bierzecie zwolnienia. I oczywiście zawsze okres ochrony przed zwolnieniem! Wy, kobiety, same jesteście sobie winne, że firmy nie chcą was zatrudniać.

Atmosfera w biurze była nieprzyjemna, nie pracowała tam jeszcze na tyle długo, by mogły się rozwinąć prawdziwe przyjaźnie. Koledzy, z mieszaniną współczucia i niezrozumienia na twarzy, zazwyczaj jej unikali, nikogo nie interesowało, jak się tak naprawdę czuje. Szybko zatrudniono młodego mężczyznę, który miał ją zastąpić, jej zaś powierzano już tylko nieistotne zlecenia.

Ale najgorsze było to, że Julius i ona często nie wiedzieli, jak mają się nawzajem traktować, swoboda z czasów ich romansu zniknęła jak sen. Wzajemna atrakcyjność przygasła. Katharina nie miała specjalnej ochoty na seks, Julius na rozmowy. Zauważyła, że jest zamkniętym w sobie, introwertycznym mężczyzną. Nie znajdowali tematów, na które mogliby porozmawiać, oprócz tak praktycznych rzeczy jak imiona, mieszkanie, meble, zakup żywności.

I dostrzegła coś jeszcze: to już nie był romans, ale też jeszcze nie związek. Trwali w stanie zawieszenia. Oboje w rozpacz. Gdy ginekolog podczas USG poinformował ich, że widzi nie jeden, ale dwa płody, zupełnie się załamali. Julius upił się do nieprzytomności w swojej garsonierze, ona sama w swoim mieszkaniu płakała, aż zasnęła.

A potem przyjechał Arthur.

Katharinie wydał się wybawcą w momencie najcięższej próby.

Następnego wieczoru – Katharina akurat przyszła do Juliusa, bo tuż przedtem ustalili przez telefon, że jeszcze raz zastanowią się nad aborcją – ktoś zapukał do drzwi, a gdy Julius otworzył, stanął przed nim ojciec. Julius wpatrywał się w niego jak sparaliżowany. Arthur załatwiał w mieście jakieś służbowe sprawy i chciał tylko odwiedzić syna, zanim pojedzie przenocować do hotelu.

– Cześć, nie wpuścisz mnie? – zagadnął jowialnie.

W ręku miał kosz pełen jedzenia, który podał Juliusowi.

– Dziękuję – rzekł Julius i cofnął się o krok, by ojciec mógł przejść.

Arthur wszedł do maleńkiego pokoju, a Katharina podeszła do niego z wahaniem. Była ciekawa ojca swego chłopaka, często wypytywała o niego Juliusa i zawsze dostawała tylko wymijające odpowiedzi. Poza tym irytowało ją, że Julius nie powiedział ojcu ani słowa, że wkrótce sam zostanie ojcem. Wyobrażała sobie Arthura jako starszego, niesympatycznego mężczyznę.

Arthur podszedł do Kathariny i podał jej rękę, uścisk jego dłoni był ciepły, miękki i jednocześnie mocny.

– Jestem Arthur – powiedział.

– Katharina – odpowiedziała.

– Twoja dziewczyna? – zapytał syna.

Julius kiwnął głową.

– Czapki z głów, mój synu, piękna dziewczyna – orzekł z uznaniem Arthur, a sposób, w jaki to mówił, sprawił, że nie brzmiało to ani sprostnie, ani jak pochlebstwo, było powiedziane szczerze i po przyjacielsku.

Siedzieli naprzeciwko siebie, Arthur na jedynym krześle, a oni oboje na łóżku, nikt nie wiedział, co ma powiedzieć, wyczuwało się atmosferę napięcia. Arthur zapytał, jak długo już są razem.

– Trzy miesiące – odrzekł Julius.

Katharina nagle uświadomiła sobie, jak dziwna musi się Arthurowi wydawać ta sytuacja, i zrozumiała, że musiał poczuć, że coś jest nie w porządku. Przyglądała się jego twarzy i temu, jak ledwie zauważalnie błądzi wzrokiem po małym, nieposprzątanym pokoju, jak ukradkiem lustruje syna i ją samą. Odchrząknął.

– Sprawiacie na mnie wrażenie, jakbyście już co najmniej siedem lat byli parą i mieli właśnie za sobą potężną awanturę – zaczęła.

Julius popatrzył na niego zmieszany.

– Katharina ma zapłakane oczy, a ty wyglądasz, jakbyś całymi nocami nie sypiał. Poza tym unikacie patrzenia na siebie, utrzymujecie między sobą odległość pół metra i nie trzymacie się za ręce. Świeżo zakochaną parę wyobrażam sobie inaczej. Nie chcecie mi powiedzieć, co się dzieje?

Julius puścił farbę.

– Katharina jest w ciąży – rzucił szybko i przełknął ślinę. Po

krótkiej przerwie dodał: – I nie możemy znaleźć odpowiedniego mieszkania, a poza tym to będą bliźniaki.

Katharina w napięciu czekała na reakcję Arthura i zaskoczona dostrzegła, jak na jego twarzy pojawia się coś promiennego.

– Będę dziadkiem! – wymknęło mu się, wstał i rozłożył ramiona.

Dopiero wiele lat później miał jej wyznać prawdę: że był mocno oszołomiony i wytracony z równowagi tą wiadomością, ale nie dał tego po sobie poznać, żeby ich podbudować.

– Wyglądaliście na wykończonych i nieszczęśliwych, miałem jeszcze dolewać oliwy do ognia? I na co zdałaby się mówka umoralniająca? Po prostu potrzebowaliście w tej sytuacji trochę motywacji – powiedział.

– Bardzo nam wtedy pomogłeś – powiedziała Katharina.

Ale wracając do studenckiego pokoju, gdzie Arthur objął Katharinę i Juliusa i powiedział:

– Gratuluję wam i sobie też! Dziecko nigdy nie jest katastrofą! Poradzimy sobie z tym, pomogę wam.

Julius zeszywniał w objęciach ojca i wymamrotał:

– Jak chcesz nam pomóc?

– Przede wszystkim oboje potrzebujecie świeżego powietrza – wesoło orzekł Arthur. – Idziemy świętować, i to z fasonem, dobrze? Pięknie to uczymy.

Zabrał ich na kolację. Przedtem Julius musiał się przebrać, jego ojciec obstawał przy świeżej koszuli i marynarce. Zawieźli Katharinę do domu, gdzie miała się doprowadzić do porządku, i obiecali odebrać ją za pół godziny.

Obydwaj panowie punktualnie co do minuty zjawili się przed jej drzwiami i każdy wręczył jej bukiet kwiatów: Julius olbrzymi, z za którego nie widać było jego twarzy, Arthur nieco mniejszy. Katharina nie mogła się powstrzymać, patrząc na nich, i mimowolnie zachichotała. Gdy Arthur wręczył jej kwiaty z ukłonem i szarmanckim uśmiechem, lekko się zarumieniła. (To był ten rumieniec, który Juliusa bardzo irytował i który miał znacząco wpłynąć na przebieg ich związku. Ale o tym później).

W swobodnej atmosferze siedzieli w restauracji i jedli kolację,

Katharina miała na sobie czerwoną sukienkę i wyglądała wspaniale, wszyscy troje paplali podekscytowani. Julius opowiadał o jakiejś starej toaletce z osiemnastego wieku, nad którą właśnie pracował, Katharina chętnie mówiła o swoim życiu, o wychowującej ją samotnie matce, która przed rokiem w sanatorium poznała mężczyznę swoich marzeń i wcześniej przeszła na emeryturę, by wyjechać z nim w podróż dookoła świata, o studiach, które jej się wcale nie podobały, i o pracy copywriterki, która jej się bardzo podobała.

Arthur zapytał oboje, czy nie chcieliby następnego dnia pojechać do P., syn sąsiadów brał ślub i on oraz Julius byli w zasadzie zaproszeni. To byłaby dla Kathariny dobra okazja, by poznać ich rodzinną miejscowość. Julius spojrział pytająco na Katharinę, a ona spontanicznie kiwnęła głową. Wiedziała, że zmiana otoczenia pozwoli im chociaż na krótki czas zapomnieć o całej sytuacji.

Około północy Arthur pożegnał się z obojgiem i pojechał taksówką do hotelu. Miał ich odebrać następnego ranka. Katharina w dobrym humorze podśpiewywała w łazience, gdy zmywała makijaż. Ten wysoki, charyzmatyczny mężczyzna o niskim głosie od razu jej się spodobał.

– Twój ojciec jest bardzo miły – stwierdziła.

Julius nie odpowiedział, może jej nie słyszał.

Następnego ranka Arthur przyjechał po nich samochodem. Pojechali do studenckiego mieszkania, gdzie Julius zapakował parę rzeczy, a potem wydostali się z wielkiego miasta. Po trzech godzinach dotarli do małej miejscowości P. Podskakując na wybojach, przetoczyli się przez centrum wsi, a Katharina zafascynowana oglądała kolorowe fasady domów z barokowymi szczytami, szeroki rynek z wiejską studnią i pręgierzem.

– Naprawdę tego używano? – zapytała.

– No jasne – potwierdził Julius. – Kiedyś przywiązywano przestępców do pręgierza, żeby ich ukarać. Chętni, przechodząc, mogli ich lżyć, opluwać i obrzucać zgniłymi warzywami.

– Ilu ludzi tu mieszka? – chciała wiedzieć.

– Około dwóch tysięcy – odpowiedział Arthur.

Dowiedziała się też, że najbliższe małe miasteczko oddalone jest

o piętnaście minut jazdy, a najbliższe duże miasto, Linz, o pięćdziesiąt. Wiele osób musiało tak dojeżdżać do pracy.

Jechali dalej, obok drogi rozciągały się łąki i pola, wszystko już zieleniało i kwitło, Katharina się dziwiła, w ostatnich tygodniach nie dotarło do niej, że nadeszła wiosna. Skręcili, przejechali przez las i znaleźli się w końcu przed domem. Stał majestatycznie na wzgórzu, na dole w dali widać było maleńką wioskę, kilka metrów za domem szumiały potężne jodły.

– No, oto i on, Bergmühle, Górski Młyn – powiedział Arthur, gdy Katharina wysiadała z samochodu.

Od razu zakochała się w tym starym żółtym domu, i nie tylko on, lecz także krajobraz i wieś ją zachwyciły. Opadły z niej hałas i pośpiech wielkiego miasta, była spokojna i swobodna, tak jak już dawno się nie czuła. Katharina, która całe życie spędziła w mieście i praktycznie nie bywała na wsi, z wyjątkiem dwóch tygodni letniego urlopu nad morzem w zatłoczonym Bibione – na więcej Linda nie mogła sobie pozwolić – uległa czarowi wiejskiego życia.

Weekend, który tu spędziła, uważała za jeden z najpiękniejszych od lat. Wszystko ukazywało się w najlepszym świetle, nie tylko pogoda dopisała (błękitne niebo, promienne słońce, kwitnące krzewy i drzewa), również dom lśnił (Arthur kazał go wypucować do połysku, gdy się dowiedział, że przyszła synowa przyjedzie), ludzie na weselu okazali się nie tylko nieskomplikowani, lecz także serdeczni, przyszły dziadek był miły (rozpuszczał oboje, jak tylko się dało) i nawet Julius wydawał się spokojniejszy niż zwykle.

Te trzy dni zdecydowały o ich przyszłości. W poniedziałkowy poranek Arthur przygotował na śniadanie i podał im jajecznicę z boczkiem, a potem zapytał ją nagle:

– No, nie chcielibyście się tu przeprowadzić? Jest dość miejsca. To przecież rozwiązałoby wasze problemy. Nie chcę was namawiać, przemyślcie to po prostu.

Po tygodniu w mieście zadzwonili do Arthura i oznajmili, że chętnie przyjmą jego propozycję. Chcieli tego oboje, nikt nie musiał nikogo przekonywać. Kathariny nic już nie trzymało w mieście, odkąd

jej matka się wyprowadziła, szkoda jej było tylko kręgu przyjaciół. Julius jednak obstawał przy tym, by mieć w domu własną przestrzeń, nie chciał mieszkać razem z ojcem.

– Oczywiście, ja też tego nie chcę – zgodził się Arthur. – Dostaniecie mieszkanie na parterze, ja zostanę na górze.

Zaplanowali przeprowadzkę w pierwszych dniach lipca, na początku urlopu macierzyńskiego. Linda pogratulowała córce przez telefon jej decyzji.

Katharina później, gdy w pierwszych latach borykała się ze swoim macierzyństwem, często myślała o tych dniach. Zadawała sobie pytanie, kim byłaby, gdyby nie okazały się takie piękne (niemalże kiczowate). Co by zrobiła? Nadal mieszkałaby w wielkim mieście? Usunęłaby ciężę? Byłaby jeszcze z Juliusem? Nie wiedziała. Zmachana i zmęczona, ubrana w poplamiony i rozciągnięty T-shirt, wносиła wiadro z obsranymi pieluchami do śmietnika i wyobrażała sobie, że jako dobrze ubrana kobieta sukcesu siedzi w swoim biurze, nieustępliwa i skuteczna, podziwiana przez kolegów i przyprawiająca o zazdrość koleżanki. Potem zarzucała sobie, że jest dziecinna, i z hukiem zamykała pokrywę śmietnikowego kontenera. W tym czasie żałowała, że czaru tego jednego weekendu wiosną 1995 roku nie uznała za zaślepienie.

W piątym miesiącu ciąży ginekolog wysłał ją na zwolnienie, co sprawiło, że postanowili z Juliusem przełożyć przeprowadzkę na pierwszy weekend maja. Z dnia na dzień, można by rzec, spakowali swoje manatki w wielkim mieście. Przyjaciółki Kathariny były bardziej niż zaskoczone, a jej samej też wydawało się to ucieczką. Gdy szła przez mieszkanie matki i wszystko, co do niej należało, pakowała do kartonów, ogarnęły ją poważne wątpliwości. Czy znała Juliusa dość dobrze, żeby mieszkać razem z nim? Czy nie będzie się czuła samotna w tej wsi? Czy nie powinna raczej poprosić matki, by wróciła, żeby zamieszkać tu razem z nią i dziećmi i jej pomóc? Nie, musiała się w końcu nauczyć stać na własnych nogach. Myślała o zielonym krajobrazie, o szumiącym lesie i cieszyła się na to nowe życie.

Arthur wynajął minibusa i pomógł im obojgu, a ponieważ nie mieli

zbyt wielu rzeczy, wszystko poszło szybko. Odmalował parter, kazał odnowić kuchnię i łazienkę, resztę mebli mieli sami wyszukać w najbliższych tygodniach.

A potem Katharina dosłownie doczłapała się do porodu. Na dwóch drzewach owocowych w ogrodzie wisiał hamak, w którym spędziła wiele godzin, czytając, drzemiąc, śpiąc, marząc. Julius przez długi czas nie mógł znaleźć pracy, Arthur zaproponował mu część etatu w swoim biurze architektonicznym – potrzebował kogoś, kto załatwiałby sprawy biurowe – ale Julius odmówił.

W końcu znalazł posadę w dużej firmie ubezpieczeniowej i przeszedł tam szkolenie jako przedstawiciel handlowy. Praca nie sprawiała mu przyjemności i miał nadzieję wkrótce wyszukać coś innego, ale nie wiedział do końca, w jakim kierunku zawodowym powinien pójść. Najchętniej pracowałby jako konserwator w warsztacie, w którym już dorabiał podczas wakacji jako gimnazjalista, ale tam nie zarabiałby dosyć, by utrzymać rodzinę.

W kontakcie z obcymi Julius był niepewny i nieśmiały, poza tym brakowało mu smykałki do interesów, mówił ludziom uczciwie, czy naprawdę potrzebują jakiegoś ubezpieczenia i jakie byłoby dla nich najlepsze. To większości się podobało, dlatego woleli podpisywać umowy ubezpieczenia z nim niż z jego doświadczonymi, złotoustymi kolegami. Niektórzy, głównie starsi, byli też ciekawi najmłodszej latorośli Bergmüllerów i w firmie ubezpieczeniowej zdecydowanie prosili, by przyszedł do nich właśnie on. Jemu samemu mówili potem bez ogródek w twarz:

– Twoi dziadkowie byli bardzo pracowitymi i porządnymi ludźmi, zobaczmy, do czego zdolny jest ich wnuk.

Zarabiał dobrze i to rekompensowało mu napięcie, które odczuwał za każdym razem, zanim nacisnął dzwonek u drzwi.

Spośród kolegów z firmy ubezpieczeniowej najbardziej troszczył się o niego czterdziestoczteroletni Robert. Od początku obydwaj bardzo dobrze się rozumieli.

– Przypominasz mi mnie samego, gdy byłem młody – mówił przy piwie do Juliusa. – Przy każdym kliencie jesteś taki nerwowy i pełen poczucia winy, bo chcesz, ba, musisz mu coś sprzedać, w przeciwnym

razie stracisz pracę! Uwolnij się od tego, inaczej zwariujesz! Osraj to!

„Osraj to” było ulubionym powiedzeniem Roberta i podobało się Juliusowi.

Zazwyczaj nie mógł przyjść do domu na obiad, dlatego Katharina gotowała dopiero wieczorem. Często niezapowiedziani wpadali po drodze znajomi Juliusa albo Arthura ze wsi i przynosili jej drobne upominki dla dzieci. Katharina podejrzewała, że są ciekawi tej wysokiej blondynki z miasta, wielu tak o niej mówiło, i chcieli ją poznać.

Gdy Julius późnym popołudniem wracał do domu, czasem wybierali się na basen (który przed wielu laty zaprojektował Arthur) albo szli na spacer do lasu, albo jechali samochodem Arthura do miasta i oglądali w kinie film. Czasem zapraszali byłych kolegów z klasy Juliusa. Było im dobrze.

Dla Kathariny gwałtownie się to zmieniło, gdy na świat przyszły bliźnięta.

Historia Thomasa

Sześć tygodni po naszym wyjeździe z Moskwy docieramy nad Morze Ochockie. Pierwszy raz widzę morze. Zdziwieni patrzymy ze wzgórza w dół na błyszczącą, cichą wodę. Zakwaterują nas w obozie złożonym z drewnianych baraków. To jak dotychczas najgorszy z obozów przejściowych. My czterej, Fritz, Karl, Helmut i ja, zostajemy przegnani przez silniejszych Rosjan ze swoich pryczy. Musimy spać pod nimi, na gołej ziemi. W nocy kałuże zamarzają. Około północy dostajemy kawałek starego chleba i pół miski zupy z kapusty. Musimy po to stać w kolejce ponad godzinę. Poza tym możemy się po obozie przejściowym swobodnie poruszać. Moje buty zupełnie się rozlatują. Na jakiejś kupie śmieci znajduję kawałek starego sznurka i przywiązuję podeszwy.

Jestem ciekawy, jak się wie dzie Ludovice, i rozglądam się za nią. Trzeciego dnia widzę ją w końcu za drutem kolczastym, w obozie, gdzie umieszczono kobiety. Ma na sobie gruby płaszcz i wysokie futrzane buty. Mówi, że Teljan jej dał. Oficer zwraca też uwagę na to, by dostawała dość jedzenia. Każdego dnia prowadzą ją do jego baraku, gdzie gra mu na fortepianie.

– I nie chce od ciebie nic więcej? – pytam zdziwiony.

Ona kręci głową.

– Tylko siedzi i słucha. Jest przy tym zatopiony w myślach. Wydaje mi się, że raz miał wilgotne oczy.

Proszę ją, by opowiedziała o sobie, i z ciekawością nadstawiam uszu. Jej pełne imię i nazwisko brzmi Ludovica Juliane Steiner i ma dopiero dziewiętnaście lat. Jej matka, z domu Reichenfels, pochodzi ze zubożałej szlacheckiej rodziny i jest pianistką. Ojciec pracuje jako wyższy urzędnik w gospodarce leśnej. Siostra Susanna jest pięć lat młodsza od niej. Lu, jak nazywa ją większość, od dzieciństwa uczyła się gry na fortepianie. Ponieważ miała talent, szkolili ją sławni nauczyciele. Wkrótce mogła towarzyszyć matce podczas tournée.

Wspólne występy matki i córki przyjmowano gorąco, bilety zawsze były wyprzedane. Lu koncertowała w wielu miastach, między innymi w Londynie i Nowym Jorku.

Jestem zaskoczony. Ma tak niewiele lat i już widziała taki kawał świata! Gdy pyta o moje pochodzenie, wciąż się jąkam. Głupio mi opowiadać, że jestem zwykłym młynarzem. Nie widziałem świata oprócz stolicy naszego kraju związkowego. Tam do 1942 roku robiliśmy ze dwa albo trzy razy większe zakupy. Musieliśmy iść kawałek piechotą, potem jechaliśmy koleją.

– Wyobrażam sobie, że twój zawód jest piękny – mówi tylko i uśmiecha się do mnie. – To takie ważne, bez was nie mielibyśmy co jeść.

Mam na końcu języka pytanie, dlaczego stała się morderczynią, ale nie mam odwagi go wypowiedzieć. Również ona nie pyta, dlaczego mnie skazano i uwięziono.

Strażnicy się do nas zbliżają i rozchodzimy się. Wieczorem znów się spotykamy. Tym razem chce wiedzieć, dlaczego tu jestem, a ja jej opowiadam.

– A ty? – pytam na koniec i wstrzymuję oddech.

Nie odpowiada mi. Podchodzi do nas dwóch żołnierzy i zabierają ją. Dalej z tyłu widzimy Teljana. Jak długo już nas obserwował?

Następnego wieczoru Ludovica nie przychodzi w nasze miejsce spotkań. Martwię się. Moi przyjaciele się ze mnie śmieją. Opowiadają mi o plotkach, które słyszeli od innych: Ludovica z zimną krwią i bez mrugnięcia okiem zastrzeliła rosyjskiego oficera.

Spędzamy w tym obozie przejściowym niezliczone dni, które ciągną się, są beznadziejne i szare. Przestaje padać śnieg i ściska mróz. Mróz, jakiego nie znałem. Wpełza do samego wnętrza człowieka i sprawia, że wszystko zastyga. W naszych cienkich płaszczach i kurtkach nie jesteśmy przeciwko niemu dobrze uzbrojeni. Głód robi resztę. On jest najstraszniejszy. Kiedyś znajduję na ziemi obok kupy śmieci głowę śledzia. Rozglądam się i szybko ją podnoszę. Pożeram ją za barakiem. Wydaję się sobie zwierzęciem. Patrzę w dół na siebie. Nie myłem się od tygodni. Ubranie jest sztywne od brudu. Często łapię się na tym, że chciałbym po prostu zasnąć i już się nie

obudzić.

Pewnego wieczoru nie czekam na próżno, znów przychodzi. Opowiadamy sobie nawzajem o dzieciństwie. Lu spędzała każde lato ze swoją rodziną u dalekich krewnych w Tyrolu. Tygodniami mieszkali na przemian w jakiś góralskim gospodarstwie i na hali, w chacie.

Za każdym razem, gdy wracam do swoich przyjaciół, przekomarzają się ze mną.

Dwa dni później znów się widzimy.

Tym razem bierze mnie za rękę i mówi z naciskiem:

– Próbuj wszystkiego, żeby przeżyć. Słyszysz?

– Czy szybka śmierć nie jest lepsza niż ta wegetacja przez tyle lat?

– pytam ją.

– Nie! – stwierdza stanowczo. – Najważniejsze to pozostać przy życiu. Pewnego dnia wrócimy do domu. Jakoś. Może zmieni się sytuacja polityczna i wcześniej nas uwolnią. Może dojdzie do interwencji. Albo...

– Jesteś wielką optymistką – mówię. – Stalinowi interwencje są zupełnie obojętne. I nikt nie wie, gdzie jesteśmy i czy jeszcze żyjemy.

– Ja ucieknę – oznajmia cicho.

– Co? – wymyka mi się głośno.

Szybko się rozglądam. Ale nikt nas nie słyszał. Dokładnie przyglądam się Ludovice. Chociaż jak na dziewczynę jest dość wysoka, wszystko jest w niej szczupłe i delikatne. Jak miałyby poradzić sobie z ucieczką przez niezmierną tajgę? Wydaje mi się to niemożliwe.

– Nie patrz tak na mnie – śmieje się. – Jestem twardsza, niż myślisz.

– Ale jak chcesz tego dokonać? – pytam.

– Jakoś dam sobie radę – mówi przekornie. – Stąd nie byłoby to takie trudne, wiesz? Zawiozą nas na północ i stamtąd uciec już nie będzie tak łatwo. Może popłynę do Japonii. Może pomaszeruję w dół do Chin. To wszystko niedaleko stąd. Nie uważałeś na geografii?

Mimowolnie muszę się uśmiechnąć. Widzimy zbliżających się strażników.

– Po prostu próbuj wszystkiego, żeby pozostać przy życiu – mówi z naciskiem. – Obiecay mi to. Kiedyś stąd wyjdziemy. Nieważne jak. Zobacysz, pewnego dnia znów zagram koncert w Wiedeńskim Towarzystwie Muzycznym, a ty będziesz siedział w pierwszym rzędzie. Potem pójdziemy z przyjaciółmi to uczcić. A że będziemy mieli po czterdzieści lat, nieważne. Pozostań przy życiu!

Potem pospiesznie się oddała. Patrząc za nią i jestem wzburzony. Nie wolno mi się zakochać, myślę, po prostu nie mogę się zakochać. To by wszystko pogorszyło. Ale to bez sensu. Przez cały czas myślę tylko o niej. Jedno jej się udało: budzi się we mnie coraz silniejsza wola przetrwania.

– Na co czekamy? – pytam Fritza. – Po co siedzimy w tym portowym gnieździe?

Ponieważ jako jedyny z nas mówił po rosyjsku, był naszym łącznikiem ze światem. Wiedział, o czym rozmawiają inni więźniowie. Podśluchiwał strażników.

– Mają nas stąd zabrać statkiem. Mówią, że na Kołymę. To jeszcze dalej na północ. Docierają tam tylko statki, nie ma drogi lądowej ani połączenia kolejowego. I jest mnóstwo obozów pracy. Wydobywa się na przykład złoto, ołów i cynę – opowiada Fritz. – Zimy są tam podobno straszne. Trwają dziewięć miesięcy, a temperatura spada poniżej minus sześćdziesięciu stopni.

– Ale kiedy ruszymy dalej? – pyta Helmut.

– Trzeba najpierw naprawić śrubę lodołamacza. Bez lodołamacza nasz statek nie odpłynie.

W sumie spędzamy w tym obozie trzy tygodnie. Ludoviki więcej nie widzę. Martwię się. Pewnego dnia pędzą nas na dół do portu. Zrozpaczony szukam jej wzrokiem, ale nigdzie nie mogę dostrzec. Boję się, że już nigdy jej nie zobaczę. Przed nami wyłania się statek, na morzu widzimy potężny lodołamacz. Dookoła pływają lodowe kry.

– Wiesz, jaki dzisiaj dzień? – pyta Karl.

– Nie – odpowiadam. – Powiedz mi.

– Dziś jest dwudziesty czwarty grudnia – szepcze.

Patrząc na niego zaskoczony. Ma łzy w oczach.

Dziś jest zatem wigilia Bożego Narodzenia! Prawie nie mogę w to

uwierzyć. Myślę o odświętnie nakrytym stole, o uroczystej kolacji, o ubranej choince w izbie, a przede wszystkim o matce. Kto wie, czy jeszcze kiedyś ją zobaczę. Pragnienie, by wzięła mnie w ramiona, jest olbrzymie. Z matką zawsze łączył nas bliski związek, dopóki nie wrócił ojciec.

Pędzą nas po chybotliwej kładce na statek. Schodzimy po stromej drewnianej drabinie do jego brzucha, stłoczeni w pomieszczeniu pod pokładem spędzamy następne dni. Przestaję liczyć. Wielu ma chorobę morską, wielokrotnie wymiotują. Smród jest nie do zniesienia. Raz na dzień możemy grupami wyjść na pokład i rozprostować nogi. Zanim z powrotem zejdziemy na dół, każdy z nas tą samą chochlą może wypić kilka łyków wody. Smakuje koszmarnie. Do tego jest kawałek twardego chleba. Mój żołądek burczy i boli z głodu. W nocy na statku wyłączają wszystkie światła i płyniemy wolniej. Fritz stara się podsłuchać, dlaczego tak jest.

– Japończycy i Amerykanie mają nic nie wiedzieć o transportach więźniów – wyjaśnia nam.

Potem wybucha tyfus, nie tylko wśród więźniów, ale też wśród załogi. Straże wpadają w panikę. Próbuje oddzielić zdrowych od chorych. Wielu umiera, a ciała wyrzuca się wprost do morza. Spośród nas choroba dopada Karla. Leży, jęcząc, z silnymi bólami brzucha i wysoką gorączką obok nas, dopóki nie przenoszą go do innego pomieszczenia. Krzyczy, bo nie chce, żeby go od nas oddzielili. Widzę go wtedy ostatni raz.

Z powodu kry wolno posuwamy się naprzód. Dopiero po siedemnastu dniach docieramy do portu. Zazwyczaj, tak mówi Fritz, podróż trwa tylko pięć dni.

Z portu do miasta na górze droga jest bardzo stroma. Z trudem się wdrapujemy. Obok nas jeżdżą ciężarówki z chorymi. Wielu z nas musi nieść worki z żywnością, meble albo jakieś maszyny, mnie również coś wciskają. Ale gdy padam pod ciężarem, ktoś to ode mnie zabiera.

Wlecemy się ulicami prawdziwego miasta, w którym są nawet murowane budynki. Wydaje nam się rajem.

– To miasto nazywa się Magadan – mówi Fritz.

Znów jakiś obóz przejściowy. Który to? Już nie wiem. Prowadzą

nas do łaźni i możemy wziąć prysznic. Jest nawet ciepła woda i kawałek mydła. My trzej wyrwamy je sobie dla żartu, dopóki jakiś Węgier nie wyrwie nam go naprawdę. To pierwszy prysznic od czasu, gdy byliśmy w Moskwie. Prowadzą nas nago do innego pomieszczenia do fryzjera. Przerażony przyglądam się, jak mężczyznom przede mną najpierw goli włosy z głowy, a potem brzytwą usuwa owłosienie na ciele, od góry do dołu. Najpierw wąsy i broda, potem włosy pod pachami, na piersiach, a wreszcie włosy łonowe. Na koniec muszę się pochylić, żeby mógł ogolić włosy pomiędzy pośladkami. Nóż tylko wyciera, nie myje.

Później Fritz mi wyjaśnia, że Rosjanie panicznie boją się wszy. Jeśli złapią kogoś, kto ma wszy, ogolą mu nawet rzęsy i brwi. Według nich wszy roznoszą choroby. W następnym pomieszczeniu dostajemy nowe ubrania i buty. Nasza stara odzież zostaje spalona. Jęczę. Wszystkie moje ubrania uszyła matka! Znikają ostatnie rzeczy przypominające mi ojczyznę, po prostu je spalono!

– Przestań się mazać – objeżdża mnie Helmut. – Popatrz na to. Wszystko nowe!

I rzeczywiście, dostajemy zupełnie nowe okrycia, są niebieskie i grubo watowane. Wręczają nam również dobre buty i czapki z nausznikami. Wkładamy je i oglądamy się. Mimo woli musimy się roześmiać, przypominamy niebieskie, wypchane bałwany. Już nie jesteśmy tymi, którzy poznali się w obozie przejściowym w Sopronie. Wyglądamy zupełnie inaczej. I jeden jest do drugiego podobny.

Ten obóz jest lepszy od poprzedniego. W każdym razie w baraku dla obcokrajowców każdy dostaje własną prycę i nie musi spać na ziemi. Dzięki naszym watowanym ubraniom nie marzniemy tak bardzo. Również jedzenie jest lepsze, do chleba dodają nawet kawałek skóry z boczku. Każdego dnia możemy zostać przetransportowani do obozu pracy. Wciąż myślę o Ludovice. Bardzo chcę ją zobaczyć. Opanowała moje myśli. Czy też była na statku? Proszę Fritza, żeby się dowiedział, czy kobiety też przyjechały do Magadanu.

– Zapomnij o niej – mówi Fritz. – Musisz się skupić na przetrwaniu, nie możesz myśleć o niczym innym.

– Proszę, dowiedz się – nalegam.

Moje błagalne spojrzenie go rozmiękcza.

– Dobrze – burczy. – Nadstawię ucha.

Następnego dnia mówi mi, że Ludovica – wszyscy nazywają ją „pianistką” – zachorowała na pokładzie na tyfus. Leży w izbie chorych kobiecego obozu i jest z nią lepiej. Czuję ulgę.

– Naucz mnie rosyjskiego – proszę Fritza.

Najpierw się broni. Uważa, że jego znajomość języka jest zbyt mała.

– To przecież nie szkodzi – mówię. – Nauczysz mnie tego, co umiesz.

Od tej chwili się uczymy, również Helmut się przyłącza. To sprawia, że czas, który poza tym się dłuży, teraz mija szybciej. Inni obcokrajowcy przysłuchują się nam z rozbawieniem, zwłaszcza starszy Estończyk, ma na imię Kristjan. Ponieważ nie mamy niczego do pisania, wszystko robimy ustnie. Fritz mówi nam coś kilkakrotnie, my powtarzamy. Wyjaśnia nam też, co to znaczy po niemiecku.

– Co znaczy *job twoju mać*? – pytam.

Te trzy słowa dotychczas słyszałem bardzo często, zarówno od rosyjskich więźniów, jak i strażników. Fritz jest zakłopotany.

– To wulgarne słowa, nie mogę tego przetłumaczyć – mówi. – Żaden kulturalny Rosjanin by tego nie powiedział.

Naciskamy na niego.

– To w przenośnym znaczeniu tyle co: niech to cholera – wyjaśnia w końcu.

– I dlatego robisz takie ceregiele? – pyta Helmut.

Kristjan się śmieje. Nie może się uspokoić.

– Dosłownie to znaczy: pieprz swoją matkę – tłumaczy nam.

Kristjan pomaga Fritzowi w lekcjach. To dobronudzny człowiek, skory do żartów i płynnie mówi po rosyjsku i niemiecku. Ten pięćdziesięcioletni długo mieszkał w Berlinie i za żonę miał Niemkę. Po wejściu Rosjan oboje aresztowano za szpiegostwo. Prawdziwy powód był inny: jego żona Elisabeth pracowała jako podkuchenna w kancelarii Hitlera. Od aresztowania jej nie widział, nie wie, czy jeszcze żyje. Nie wie też, co z ich dziećmi i czy udało im

się ucieczka z babcią do amerykańskiej strefy okupacyjnej. Oczywiście Kristjana wilgotnieją, gdy opowiada nam swoją historię.

Pewnego dnia pytają nas na porannym apelu, czy jesteśmy „specjalistami”. Wszyscy stolarze, ślusarze, elektrycy, murarze, instalatorzy są proszeni o zameldowanie się w konkretnym baraku. A zwłaszcza lekarze.

– Jestem młynarzem – mówię z dumą do małej komisji złożonej z trzech mężczyzn.

Fritz tłumaczy. Mężczyźni się śmieją i machają, żebym szedł dalej.

Fritz, Helmut i ja znów szybko stajemy na dworze. Czujemy się niepotrzebni. Nie nauczyliśmy się niczego, co mogłoby nam chociaż trochę ułatwić życie na tym beznadziejnym pustkowiu. Kristjan opowiada nam, że wykształceni rzemieślnicy mają lepsze warunki podczas odbywania kary. Nie używa się ich do ciężkich prac w obozach.

Ponieważ najwyraźniej nie spodziewano się tak szybko kolejnej partii więźniów, tygodniami pozostajemy w tym obozie. Mamy odpocząć i nabrać sił, podobno. Helmut jest coraz bardziej zamknięty, czeka na swego brata, Karla. Nie wiemy, czy on żyje. Helmut oddaje swoją dzienną rację chleba komuś, kto zna sanitariusza w obozie chorych. Ale ten nie może udzielić zadowalającej odpowiedzi. Kristjan rozmawia z nim, a potem nam tłumaczy:

– Wszyscy ciężko chorzy pacjenci zostali przewiezieni do Debina, do centralnego szpitala Lewyj Bierieg. To mniej więcej czterysta pięćdziesiąt kilometrów stąd. Tam można poddać ich kuracji. Tu nie ma odpowiednich środków do leczenia infekcji. Lewyj Bierieg oznacza lewy brzeg, bo leży po lewej stronie rzeki Kołymy. Czy był wśród nich austriacki student o imieniu Karl? Nie wie. Było ich tak wielu.

Pewnego dnia w połowie marca staje się to, czego wszyscy się obawialiśmy. Każą nam zabrać wszystko, co mamy. Nie jest tego wiele, tylko nasze ubrania. W punkcie zbornym spotykamy się z innymi więźniami. Liczą nas, siedmiuset czterdziestu jeden mężczyzn. Żadnych kobiet. Nie wiemy, co nas czeka i dokąd nas wiozą. Czuję ten sam paniczny lęk, który rósł we mnie wtedy

w Wiedniu, gdy skazano mnie przed trybunałem wojskowym na piętnaście lat ciężkich robót.

Czy wrócę żywy? – zadaję sobie pytanie. Czy zobaczę swoją rodzinę? A Ludovicę? Gdzie ona jest? Co u niej?

Idziemy pieszo, zostawiamy za sobą domy. Na skraju drogi spotykamy kilka kobiet, które chcą nam sprzedać solone śledzie i chleb. Patrzą na nas ze współczuciem. Za miastem stoi kolumna ciężarówek.

Do jednej ciężarówki, przykrytej tylko prowizorycznie plandeką, wsiada do czterdziestu mężczyzn. Próbuje chronić się przed zimnem i wiatrem, który wieje przez szpary. Godzinami jedziemy wyboistymi drogami, potem nagle słyszymy: „Wysiadać!”. Pierwsze pojazdy są rozładowywane. Zaskoczeni widzimy sanki, psy i mnóstwo dużych skrzyń oraz worków. Ciężarówki odjeżdżają, my stoimy zagubieni w białej nieskończoności. Oczy nas boją i naciągamy czapki głęboko na czoła.

Maszerujemy. Psy zaprzęgnięto do sanek i ciągną ciężary. Konwojujący żołnierze poganiają ludzi i zwierzęta batami. Psy narzucają prędkość, ludzie ledwie nadążają. Pierwsi mają trudniej niż następni, bo muszą wydeptać ślad w głębokim śniegu. Ci z tyłu mają za to baty na karku. Codziennie następuje zmiana. Nocami sypia się w prowizorycznie rozbitych namiotach, w których ludzie wzajemnie się grzeją. Gdy namioty są rozstawione, każdy dostaje kawałek chleba, jednego solonego śledzia i herbatę. Rankiem otrzymujemy tylko herbatę. To jest marsz śmierci.

Idziemy i idziemy. Przez lasy. Przez tajgę. To już nie jest marsz, zataczamy się z wyczerpania. Mijają tygodnie. Wielu umiera, padają na ziemię albo już się nie budzą. Na śniegu jest coraz więcej roztopionej wody. Zwierzętom trudniej ciągnąć sanie. Ciężko nam iść, bo buty chłoną wodę. Przyszła wiosna. Tak jak wcześniej obawialiśmy się tego obozu, teraz chcielibyśmy w końcu do niego dotrzeć.

Siedzę w kuchni i stukam w klawisze. Jest już ciemno. Powinienem iść spać.

1973–1987: Katharina

Ojciec o imieniu Vincent

Przyjaciółka Kathariny z przedszkola miała na imię Barbara i każdego ranka, kiedy ojciec ją tam odprowadzał, unosił ją do góry i kręcił nią w powietrzu. Za każdym razem Katharina patrzyła z zazdrością na ten spektakl: olbrzymi, brodaty mężczyzna z brzuszkiem – wyglądał jak sympatyczny miś – chwycił córkę obydwoma dłońmi wokół talii, przy czym jego palce się stykały, tak wielkie miał łapska, podnosił szczupłe ciało parę razy w górę i opuszczał w dół, i oboje przy tym wołali: huuu, huuu. Potem nagle podrzucał ją, ona szybowiała z rozłożonymi ramionami prawie metr do góry, po czym ojciec ją łapał, a jej włosy powiewały w górę i w dół i śmiała się uszczęśliwiona.

Katharina pierwszy raz zapytała swoją matkę, dlaczego Barbara ma ojca, a ona nie, gdy miała trzy lata. Linda bez słowa przytuliła córkę i łagodnie ją kołysała. Ponieważ oczy jej matki były przy tym strasznie smutne, nie miała odwagi jeszcze raz zapytać. Dopiero w szkole podstawowej nieco się dowiedziała: to był urlopowy flirt w Rzymie z młodszym mężczyzną, trwał parę tygodni, Linda później nigdy już nie spotkała tego człowieka.

Katharina urodziła się pierwszego marca 1973 roku, jej matka miała wówczas trzydzieści osiem lat. Linda została z córką w domu przez rok, a potem wróciła do pracy w sekretariacie firmy spedycyjnej swojego brata. Siedziała tam w maleńkim ciemnym pokoju i dbała o wszystkie handlowe i administracyjne sprawy małego przedsiębiorstwa: terminy, oferty, rachunki, plany dyżurów, rozliczenia wypłat, mające nastąpić naprawy ciężarówek. Przez ten rok, kiedy Linda siedziała z dzieckiem w domu na urlopie macierzyńskim, jej brat Harald był w rozpacz, bo w biurze zapanował chaos.

Katharina wychowywała się bezpiecznie w trzypokojowym

mieszkanu na skraju wielkiego miasta, nie brakowało jej niczego. Jej niewysoka, krągła, rudowłosa i lekko sepleniąca matka (nie potrafiła prawidłowo wymówić litery S) była wesołą osobą, jej śmiech zaczynał się jako głęboki bulgot w gardle i wybuchał z niej wysoki jak dźwięk dzwonek, był zaraźliwy i towarzyszył Katharinie przez całe dzieciństwo i młodość. Linda wciąż zapraszała do siebie przyjaciółki, piły kawę, razem gotowały, głośno dyskutowały o romansach Barbary Cartland i Danielle Steel, Katharina wędrowała przy tym z jednych kolan na drugie, była pieszczona i przytulana, od czasu do czasu kobiety chodziły do operetki, wówczas ona zostawała u wuja Haralda.

Linda próbowała umożliwić córce prawie wszystko, czego ta zapragnęła. Były ze sobą blisko i rozmawiały o wszystkim, tylko jednego tematu Linda unikała: przestawała mówić, gdy tylko Katharina chciała się czegoś więcej dowiedzieć o swoim ojcu. Za każdym razem Linda miała ten smutny, zmieszany wyraz twarzy, który tak bardzo do niej nie pasował, że Katharina w końcu pomyślała, że jej ojciec może siedzieć w więzieniu albo jej matka mogła zostać zgwałcona.

A jednak marzyła o ojcu, takim, który by ją odbierał ze szkoły, wybierał się z nią na wycieczki, podarował jej kucyka. Wyobrażała go sobie jako wysokiego blondyna z błyszczącymi, niebieskimi oczami. Ponieważ nie była ani trochę podobna do matki, musiała odziedziczyć wygląd po ojcu.

Pewnego wieczoru, gdy miała czternaście lat, nie popuściła, wzięła w dłoń twarz matki i nalegała:

– Chcę wiedzieć wszystko o swoim ojcu. To dla mnie ważne i obstać przy tym. Jeśli nie chcesz mnie stracić, powiesz mi teraz prawdę.

Usłyszała te zdania dzień przedtem w jakimś ckliwym dramacie w telewizji. Na te patetyczne słowa córki Linda najchętniej zareagowałaby śmiechem, chociaż bardziej jej było do płaczu. Owinięte w dwa koce siedziały na sofie i matka zaczęła opowiadać.

W wieku dwudziestu trzech lat Linda zakochała się w pewnym studencie prawa z bardzo dobrego domu. Byli parą przez dziewięć lat, dopóki młody adwokat nie uległ presji rodziny i nie zaręczył się

z córką zaprzyjaźnionej, szanowanej rodziny lekarzy. Lindę to zraniło, ale szybko to przeboleła, była zbyt wesoła, żeby przejmować się rozstaniem, jej chłopak po prostu nie miał dość charakteru, by skutecznie przeciwstawić się rodzicom. Żyła dalej własnym życiem, spotykała się z przyjaciółkami i dużo wychodziła z domu. Pięć lat później były narzeczone zadzwonił we łzach, że jest nieszczęśliwy ze swoją żoną, że chce się z nią spotkać, w Rzymie, na parę dni, że ją zaprasza. Zgodziła się, ale obstawała przy tym, że sama zapłaci, była go ciekawa. Ale już gdy odebrał ją z dworca, czuła, że popełnia błąd, jej były chłopak nie tylko utył i wyłysiał, lecz był też ordynarny i obleśny, nie chciał rozmawiać, tylko od razu przeszedł do rzeczy. Opowiadał jeden nieprzyzwoity dowcip za drugim i już po kilku minutach złapał ją za piersi. Wzbraniała się, więc chwycił ją prawą ręką za potylicę i przyciągnął jej twarz do swojej. Dławiła się jego językiem w ustach, aż w końcu uwolniła się, bijąc go pięściami. Stali w jakiejś odludnej, ciemnej uliczce, żadnego człowieka jak okiem sięgnąć. Czuła się upokorzona i powiedziała mu, że ma zamiar spędzić ten weekend sama, wzięła swoją torbę podróżną i odeszła. Jemu się to nie spodobało, pognał za nią, przytrzymał ją za ramiona i molestował, mocno obejmując, przytulając do siebie, chwytając za tyłek, i wciąż chciał ją całować. Potem wszystko poszło bardzo szybko. Obok przechodził jakiś mężczyzna i zawołał po angielsku: „Zostaw ją w spokoju!”. Gdy adwokat nie reagował, oderwał go od Lindy i uderzył w żołądek, po czym ten padł na kolana.

Jej wybawca łagodnie wziął wstrząśniętą Lindę za rękę i wyprowadził z uliczki, niosąc jej torbę podróżną. (Najpóźniej przy sformułowaniu „wziął mnie łagodnie za rękę” Katharina zorientowała się, że matka kłamie).

Był Amerykaninem, dziesięć lat młodszym od niej, od niedawna mieszkał w Los Angeles i pracował w wytwórni firmowej jako chłopiec na posyłki, czasem też jako statysta. Koniecznie chciał zostać aktorem. Od kilku tygodni samotnie podróżował po Europie, żeby odnaleźć samego siebie, jak mówił. Nie zastanawiając się, zabrał ją ze sobą do hotelu, gdzie były jeszcze wolne pokoje. Następne dni spędzili razem w Rzymie, spacerując i oglądając zabytki, jedząc lody.

Ten młody mężczyzna był zafascynowany jej grubymi, rudymi, falującymi włosami, które sięgały aż do talii, ją fascynowały jego wzrost, miał prawie o trzydzieści centymetrów więcej od niej, i mięśnie. Był bardzo atrakcyjny, jasnowłosy i niebieskooki – jak Katharina.

Drugiego wieczoru wypili za dużo wina i spędzili noc w jego pokoju, a po niej jeszcze dwie. To były przepiękne noce miłosne, których Linda w żadnym wypadku nie chciałaby w swoim życiu stracić, Amerykanin był czuły i zmysłowy. Potem on musiał jechać dalej do Neapolu, a ona musiała wracać, urlop się skończył. Świadomie nie wymienili się ani adresami, ani telefonami, wiedzieli, że to nie ma przyszłości, głównie ze względu na różnicę wieku. Po tym urlopowym romansie żadne nie miało ochoty na rozczarowujące wizyty w codziennym życiu. Namiętnie pocałowali się na peronie, zanim Amerykanin wskoczył do pociągu, a ona pomachała mu ręką. Trzy tygodnie później, w Wiedniu, stwierdziła, że jest w ciąży, i od początku cieszyła się na to dziecko. Dla niej to było w porządku. Była dostatecznie dorosła, czuła się gotowa na macierzyństwo, również na to, by wychować dziecko samotnie. Ale czasem miała poczucie winy w stosunku do Kathariny, która nie mogła poznać swojego ojca.

– Jak miał na imię? – zapytała Katharina.

– Vincent – odpowiedziała Linda.

Vincent, zatem jej ojciec miał na imię Vincent.

– A dalej?

– Nie podawaliśmy sobie nazwisk.

– Co jeszcze o nim wiesz? Gdzie się urodził? Ile ma rodzeństwa? Co robią jego rodzice? – dopytywała Katharina.

– Kochanie moje, naprawdę znam tylko jego imię. Nie rozmawialiśmy o przeszłości, tylko o przyszłości, o naszych marzeniach i planach.

– A jakie on miał plany?

– Chciał po swojej podróży do Europy w końcu naprawdę rozpocząć karierę jako aktor, aktorstwo było jego wielkim marzeniem.

Jej ojciec nazywał się zatem Vincent i był wysokim, jasnowłosym

Amerykaninem, który pracował w przemyśle filmowym. Omal nie powiedziała opryskliwie: „Jeśli to prawda, ja jestem cesarzową Chin”, ale się powstrzymała, czuła, że w opowieści matki coś się nie zgadzało, i podejrzewała, że matka kłamała z miłości do niej. Promienny bohater (a do tego aktor z Kalifornii!), który wybawił ją od natarczywości obleśnego, łysego adwokata, łagodnie wziął za rękę, dokładnie trzy razy się z nią zmysłowo kochał i którego ona jeszcze raz namiętnie pocałowała, zanim odjechał pociąg? Linda czytała zdecydowanie za dużo romansów.

Katharina jednego była pewna: matka nie powiedziała jej prawdy. Jeśli spędza się z jakimś mężczyzną kilka intensywnych dni i nocy, podaje się sobie nazwiska, miejsce urodzenia, liczbę rodzeństwa albo zawód rodziców, myślała. Na co dzień widziała w swojej matce bardzo otwartą, uczciwą kobietę, która złorzeczyła, gdy przyłapała córkę na kłamstwie. Dlaczego teraz kłamała? Dlaczego Katharina nie powinna znać prawdy? Bo była straszna? Musiała być straszna.

Powiedziała wujowi Haraldowi, że nie wierzy w wersję matki z urlopowym flirtem w Rzymie, i poważnie poprosiła go, by wyznał prawdę.

– Mam czternaście lat, wujku Haraldzie, naprawdę mam prawo wiedzieć, kim jest mój ojciec. To była przygoda na jedną noc i dlatego mama się wstydzi? A może on siedzi w więzieniu?

Harald zapewniał, że Linda powiedziała prawdę, ale po jego jankaniu poznała, że on też kłamie. Jej wuj był prostym, dobrodusznym mężczyzną i elokwencja nie należała do jego najmocniejszych stron.

– Okłamujesz mnie – rzuciła mu w twarz bez ogródek. – Mame zgwałcono, o to chodzi?

Przy tych słowach drgnął i to zdradziło jej wszystko. Zatem gwałt, jej wesoła, roześmiana matka została zgwałcona, a ona, Katharina, nie była dzieckiem miłości, tylko produktem fizycznego gwałtu. Musiała przełknąć ślinę. Wuj ją obserwował i w końcu wziął jej dłonie w swoje.

– Katharino – zaczął z namysłem, a ona zauważyła, że szukał właściwych słów. – Twoja matka kocha cię ponad wszystko i to jest

najważniejsze, prawda? Nie zadawaj już pytań. Nie zawsze człowiek musi wszystko wiedzieć.

Nie zadawała więcej pytań. Nie chciała znać szczegółów tej straszliwej sceny, nie chciała ich sobie wyobrazić, wystarczyła jej wiedza, że ten mężczyzna był wysoki, jasnowłosy i niebieskooki. Zaczęła nienawidzić swojego wyglądu. Przefarbowała włosy na czarno.

Jej matka kochała ją tym bardziej. Katharina podziwiała decyzję, by po tego rodzaju traumatycznym przeżyciu zaakceptować ciążę, i dziwiła się bezwarunkowej miłości, którą ją codziennie darzyła.

Wiedziała, że Linda, wymyślając jasnowłosego amerykańskiego wybawcę imieniem Vincent, chciała dać jej takiego ojca, z którym mogłaby się identyfikować, i zaskakiwało ją psychologiczne wyrafinowanie tego postępowania – nie podejrzewałaby jej o to. Linda dodała wymyślonemu ojcu takie atrybuty, które czternastolatce musiały się wydawać atrakcyjne: silny, przystojny opiekun słabych kobiet, aktor z Hollywood. Katharina uwielbiała hollywoodzkie filmy i koniecznie chciała kiedyś pojechać do Kalifornii.

1978: Julius

Bergmühle

Tuż przed szóstymi urodzinami Juliusa zdiagnozowano u jego babki Esther raka płuc. Lekarze dawali jej kilka tygodni życia. Bezzwłocznie zapisała wszystko w testamencie organizacji dobroczynnej na rzecz rodzin zmarłych ofiar Holocaustu, następnie skontaktowała się z Arthurem, aby zabrał swojego syna do siebie, a gdy stanął obok jej łóżka, surowo nakazała mu być dobrym dla małego. Jej wnuka, który nie przestawał szlochać, buntować się i mocno trzymać babki, trzeba było w końcu siłą zabrać ze szpitala.

W swoim pokoju Julius znalazł olbrzymią walizkę, którą domowy personel dla niego zapakował. Schował się pod łóżkiem. Do pokoju wszedł wysoki mężczyzna z wąsami i zbliżył się do niego. Juliusa ogarnął lęk, poraził go i zasznurował mu krtań. Mężczyzna wyciągnął go spod łóżka i wyprowadził za rękę z jego pokoju i z domu. Julius przestał cokolwiek widzieć, nic nie słyszał, nie czuł nóg i stóp, które prowadziły go do żółtego samochodu. Jego mały piesek James, dwuletni beagle, biegł za nim, szczekając i piszcząc, rzucał się na drzwi samochodu, gdy chłopiec do niego wsiadł.

Julius szeptem śpiewał dziecięcą piosenkę, którą kiedyś często śpiewała mu babcia, i kiwał się do przodu i do tyłu, gapiąc się przed siebie. Gdy piosenka się kończyła, zaczynał od nowa, śpiewał wciąż i wciąż, nie mógł inaczej, miał pustą głowę, była w niej tylko ta piosenka.

*Malutki pajaczek po rynnie wspinał się.
Nagle spadł deszcz i zmył pajaczkę precz.
Potem wyszło słońce i osuszyło deszcz.
I malutki pajaczek znów po rynnie wspinał się¹.*

Ten wysoki mężczyzna, który był podobno jego tatą, tak mu tłumaczyła Esther, kilka razy prosił go, żeby przestał, aż w końcu chwycił go i nim potrząsnął. Julius zamilkł. Bał się tego mężczyzny.

Po dwóch dniach dotarli późną nocą do dużego starego domu, w pokojach było lodowato i Julius marzł cały czas. Długiej podróży już nie pamiętał. Ponieważ nie działało światło, mężczyzna zaprowadził go z latarką do jakiegoś pokoju na pierwszym piętrze, rozebrał i położył do łóżka, Julius pozwolił na to bez sprzeciwu. Wydawało mu się, że ciężka kołdra go zmiążdży, pościel sprawiała wrażenie wilgotnej. Mężczyzna zamknął za sobą drzwi i zostawił go samego.

Ogromnie bał się ciemności, a przede wszystkim samotności, w domu na Florydzie spał razem z babcią w olbrzymim łóżku, a za każdym razem, kiedy udawał się na spoczynek, ona kładła się z nim na chwilę i czytała mu jakąś historyjkę. Potem zostawiała szeroko otwarte drzwi do jasnego przedpokoju, żeby go słyszeć, gdyby wołał, i żeby w pokoju nie było ciemno. James, prezent na czwarte urodziny, leżał w koszu obok łóżka i cicho chrapał. Julius zaszywał się potem w jedwabnej, pachnącej pościeli i przysłuchiwał, co robi Esther, aż w końcu zasypiał. Rankiem budziły go całusy.

To była najdłuższa noc jego dotychczasowego życia. Julius myślał, że musi umrzeć. Masywne meble w pokoju rzucały upiorne cienie, które wyglądały, jakby wokół niego tańczyły czarownice, i pojawiały się dźwięki, które, jak sądził, mogły wydawać tylko potwory. Nie mógł wiedzieć, że były to myszy, które rozpanoszyły się w niezamieszkanym domu. Zdrętwiały leżał tam i nawet nie był w stanie płakać, zabrakło mu już łez. Chciało mu się do toalety i nie wiedział, gdzie ona jest, miał sucho w ustach, ale nie znalazłby kuchni. W końcu odważył się wyjść z łóżka i wysikał się do starej szafy. Dopiero nad ranem zasnął.

Obudził go ten mężczyzna, dotykając jego ramienia. Julius podskoczył ze strachu. Zawsze otaczały go wyłącznie kobiety, a teraz był sam z jedynym mężczyzną, który go przerażał. Na śniadanie dostał kromkę twardego chleba z odrobiną masła, a do tego gorącą herbatę. Przy pierwszym łyku poparzył sobie język. Myślał

o śniadaniu w domu, o ciepłej, słonecznej kuchni, o miękkim pączku z dziurką, świeżych gofrach, o pysznym kakao z bitą śmietanką, i dławił się chlebem. Łzy znów się pojawiły, przełykał je w rozpacz, ten mężczyzna nie powinien widzieć, że płacze. Wyglądał na takiego złego i twardego i... zmienił się! Julius ukradkiem patrzył na niego z boku i potrzebował chwili, zanim uświadomił sobie, co było przyczyną tej zmiany: na twarzy czegoś brakowało, wąsów, musiał je zgolić.

Mężczyzna nie wziął go na kolana, nie objął, nie pogłaskał ani nie pocałował, tylko czasem chwycił go za rękę, ale przypominało to raczej trzymanie niż gest wynikający z chęci uspokojenia. Nieustannie mówił do niego w obcym języku, Julius wiedział, że to niemiecki, jego babka czasem rozmawiała z ludźmi w tym języku. Julius nie rozumiał ani słowa, ale to chyba nie niepokoiło tego mężczyzny. Pokazał mu cały dom i dziecku wydał się on strasznie stary, zakurzony i brudny, brzydziły go podłoga, ściany, każdy mebel, i tęsknił za czystym, jasnym domem babki, w którym znał każdy kąt. Wszystko tu wydawało mu się ponure, zimne i nagie. Gdzie było słońce?

– Ten dom nazywa się Bergmühle – wyjaśnił mężczyzna i tym razem przetłumaczył wszystko na angielski. – Już od setek lat nosi takie miano. Młyn, czyli Mühle, na górze to po niemiecku Berg, Bergmühle. *Mill on the mountain. Mountain mill.* Chłopi i kupcy z okolicy przywozili w workach swoje zboże i tu mielono je na drobną, białą mąkę. Chodź, pokażę ci.

Mężczyzna zabrał go do dużego przedsionka i poprowadził dalej przez małe drewniane drzwi do miejsca, gdzie dawniej znajdował się młyn. Było to duże, wysokie pomieszczenie, pośrodku którego wystawał szeroki koniec ogromnego drewnianego leja. W jednym rogu pięły się wąskie, strome schodki z drewna, weszli po nich na górne piętro młyna. Tu znajdował się lej do napełniania walcowych żaren. Jego tata objaśnił mu wszystko dokładnie, pierwszy raz rozmawiał z nim po angielsku.

– Twój dziadek był tu ostatnim młynarzem. Bardzo kochał swój zawód. Ale od prawie dwudziestu lat młyn pozostaje zamknięty.

Teraz w Austrii jest już tylko kilka dużych młynów, a ludzie kupują gotową mąkę w sklepach – powiedział na koniec.

Julius przyglądał się wszystkiemu i wyobraził sobie spoconego młynarza, który niesie ciężkie worki ze zbożem na pochyłonych plecach. Słyszał jego sapanie, widział krople potu na czole.

Gdy wyszli i stanęli przed budynkiem, Juliusowi wydawało się, że dom mruga do niego okiem. Podobało mu się coś w tym starym domostwie, jednak nie umiałby powiedzieć co. Potem poczłapali przez śnieg aż do ulicy, i gdy się odwrócił, zorientował się, o co chodziło: ten dom wyglądał nieskończenie smutno – tak jak on.

Julius marzył i marzył. To był drugi raz w jego życiu, kiedy widział śnieg. Pierwszy raz zdarzyło się to zeszłej zimy, kiedy z babcią Esther spędził dwa tygodnie nad jeziorem Tahoe, żeby nauczyć się jeździć na nartach. Śmiech na połyskującym śniegu, lepienie bałwana z innymi dziećmi, babcia, która zjeżdżała z nim między kolanami po stoku, szklanka musującej coca-coli na słonecznym hotelowym tarasie, babcia, która wciągała go na kolana, wciąż i wciąż go całowała, babcia, która zawsze tak ładnie pachniała, babcia, przy której w każdej chwili czuł się bezpieczny...

Następnego ranka ten mężczyzna zaprowadził go do szkoły i gdy Julius już miał wejść do klasy, spróbował uciec, ale przed drzwiami wejściowymi został złapany. Porwano go do sali i postawiono przy tablicy, tam patrzyło na niego z ciekawością dwadzieścia pięć par oczu. Mężczyzna nagle zniknął bez pożegnania, a tego, co mówiła nauczycielka, nie rozumiał. Nauczycielka się nie poddawała, wciąż powtarzała jedno zdanie, które i on w końcu cicho wypowiedział, na co wszystkie dzieci wybuchły głośnym śmiechem. Julius wpatrywał się w stół przed sobą i czuł już tylko nienawiść, nienawiść do tego zimnego kraju, nawet nienawiść do ponad wszystko ukochanej babci, która tak po prostu położyła się, żeby umrzeć. Zaczął krzyczeć – był to wysoki, przenikliwy krzyk. Dzieci zasłoniły sobie uszy, a ponieważ również na ich prośby nie przestał się drzeć, nauczycielka długą drewnianą linijką uderzyła w swoje biurko. Zrobiła to tak mocno, że linijka pękła, ułamany kawałek poleciał w powietrze i trafił go w lewą brew. Ból kazał mu zamilknąć.

W południe mężczyzna odebrał go ze szkoły. Pojechali do jakiegoś gospodarstwa, tam mógł sobie wybrać małego kotka.

– Żebyś za dużo nie myślał o swoim psie – powiedział ten mężczyzna.

Chociaż żaden mu się szczególnie nie podobał – miały zaklejone oczy i śmierdzące futerka – zdecydował się na rudo-białego.

Dni wlekły się niemiłosiernie, dla Juliusa to był czas we mgle. Nocami włączał lampkę na biurku, żeby wywieść w pole ciemność, i łatwiej mu się zasypiało, ale gdy tylko ten wysoki mężczyzna go budził, wszystko stawało się dla niego męką, przede wszystkim te trzy posiłki. Siedział naprzeciwko mężczyzny, który mierzył go swoimi lodowo niebieskimi oczami, a ponieważ polecono mu, by zjadał z talerza wszystko, zmuszał się do przełykania nieznanego jedzenia, wciąż bliski łez. Przeżuwające usta mężczyzny zbliżały się coraz bardziej, były coraz większe, te żujące usta zajmowały całą kuchnię, za chwilę pożarłyby i jego. Julius musiał odwrócić wzrok, wszystko wokół niego wirowało.

W szkole wyśmiewano i wyszydzano go z powodu jego zabawnej wymowy, na przerwie stał samotnie. Gdy wracał ze szkoły do domu z czerwonymi oczami, a od niedawna docierał tam pieszo, ojciec uderzał go po ramieniu i kazał być mężczyzną. Mały kotek chodził za nim po domu wszędzie, Julius go nie lubił.

Tylko z domem powoli się zaprzyjaźniał. Miał wrażenie, że dom żyje, że jest pogrążony w rozpacz tak jak on, i złapał się na tym, że z nim rozmawia. Gdy wieczorem leżał w łóżku, wsłuchiwał się w jego odgłosy, wydawało mu się, że dom szepcze – ściany jęczały, podłogi trzeszczały, lampy na suficie pobrzękiwały, drzwi skrzypiały. Julius słyszał kroki mężczyzny i zawsze wiedział, dokąd ten szedł, i mógł na to zareagować. Dom oferował mu wiele kryjówek i mógł stać się w nim niewidzialny, mężczyzna go nie znajdował, nieważne, jak długo szukał. Było tu wiele pustych pomieszczeń ze starymi kufkami i komodami. Czasem po prostu siedział cicho w jakimś kufku, który stał zagubiony w którymś z opuszczonych pokoi, czasem w nim zasypiał i po obudzeniu nie wiedział, gdzie się znajduje. Godzinami siedział na poddaszu i odkrył tam wiele skarbów: stare meble,

komody wypełnione ubraniami, zakurzone pudełka pełne zdjęć i listów. Te stare rzeczy mu się podobały, nie mógł się na nie napatrzeć i myślał o tym, co musiały przeżyć.

W pewnej szafie na poddaszu, wypełnionej starymi garniturami, znalazł maszynę do pisania. Zabrał ją – była okropnie ciężka – i postawił na zakurzonym biurku. Ostrożnie naciskał czarne klawisze z literami. Część jeszcze działała. Znalazł też gwizdek, stare czasopisma po angielsku, pożółkłe pocztówki, a nawet indiańskie mokasyny. Julius oglądał je zafascynowany. Jak autentyczne mokasyny znalazły się w Bergmühle? Czy nosił je prawdziwy wódz?

W listopadzie Julius miał urodziny i ten mężczyzna, którego teraz nazywał tatą, bo tak sobie życzył, zabrał go gdzieś, nie podając celu wycieczki.

– Niespodzianka! – zawołał, gdy weszli na pływalnię.

Sto metrów za domem babci było morze, nieskończone szumiące morze, Julius je uwielbiał, aż za bardzo. Ostatniego lata zapędził się za daleko i nagle stracił grunt pod stopami. Wpadł pod wodę, w panice przebierał rękami i nogami, ale woda wciągała go coraz głębiej i pozbawiała tchu. Babcia w końcu go wyciągnęła. Od tego czasu bał się wody i odważał się do niej wejść tylko trzymany przez nią za rękę.

Mężczyzna wskoczył do basenu i opryskał Juliusa wodą. Ten odsunął się i przysiadł na jakimś leżaku, ale mężczyzna od razu się zjawił, ze śmiechem podniósł go w górę i powiedział:

– Sześciolatek musi umieć pływać.

Wrzucił go do wody.

Następnego dnia Julius zachorował. Ponad tydzień leżał w łóżku z wysoką gorączką i zapaleniem płuc, mężczyzna wciąż przynosił mu gorącą herbatę, tabletki i coś do jedzenia: kompot z jabłek, rosół z kury, ryż z warzywami. Dwa razy przyszedł lekarz, żeby go zbadać. Julius leżał w łóżku, chciał zasnąć i nigdy więcej się nie obudzić. Wyobrażał sobie, jak na chmurce szybuje do bram nieba. Święty Piotr otwiera ciężką, złotą bramę, pozwala mu wejść, widzi swoją babcie Esther i frunie w jej objęcia. Ale wciąż budził się pod ciężką kołdrą w starym łóżku.

Gorączka w końcu ustąpiła i Julius powoli zdrowiał. Miał zostać w domu przez kolejne dwa tygodnie i nie chodzić do szkoły, bardzo się z tego cieszył. Leżał w łóżku i oglądał stare, podniszczone książki dla dzieci swojego taty, w jednej były dziwne, okropne obrazki: młody mężczyzna z dziko rozwianymi włosami i długimi pazurami; jakaś dziewczynka, która stała w płomieniach; gruby chłopak, który był coraz chudszy; i inny, który tak się kołysał na swoim krześle, że się przewrócił, a przy tym ściągnął ze stołu obrus wraz z zastawą.

Kotek wciąż skakał na jego łóżko i wpełzał pod kołdrę, gdzie go drapał i gryzł. Przypomniawszy sobie miękki, wilgotny nos Jamesa, ciepły język, którym go lizał. Nagle ogarnęła go dzika wściekłość, obiema rękami przygniół kołdrę na kocie i przyciskał bardzo długo i bardzo mocno, aż nic się nie ruszało. Potem wytrącony z równowagi przyglądał się martwemu zwierzęciu i szlochał bez zahamowań. Dlaczego to zrobił? Czy był zły? Czy ten mężczyzna go tym zaraził? Nie wiedział. Drżąc na całym ciele, zaniósł martwego kota na strych. Położył go w najdalszym kącie i rzucił na niego stare lniane worki.

Gdy pierwszy raz wstał po chorobie i przekradał się przez dom, coś zauważył: już nie marzył, a mgła, która otaczała go od opuszczenia chorej babci, zniknęła. Julius znów mógł wyraźnie widzieć i słyszeć wszystko wokół siebie, coraz lepiej rozumiał obcy język. W szkole się bronił: odkąd ugryzł jakiegoś chłopaka w ucho, dali mu spokój. Ale swojego nowego życia wciąż jeszcze nie mógł znieść i wciąż jeszcze bał się tego wysokiego mężczyzny, którego nazywał tatą.

Kiedyś ten posadził go na sankach i chociaż chłopak nie chciał zjeżdżać sam, popchnął go po prostu i Julius ze świstem popędził w dół stoku. Ponieważ nie umiał ani kierować sankami, ani ich zatrzymać, wjechał w sam środek krzaków róż i podrapał sobie twarz. Innym razem ojciec chwycił go, posadził na krześle w kuchni i ogolił mu włosy, więc następnego dnia musiał iść do szkoły łysy. Kiedy indziej znów nie pozwolił mu przez dwie godziny wstać od stołu w kuchni, bo nie chciał zjeść zupy jarzynowej.

Tuż przed wakacjami nauczycielka zachorowała i przyszła nowa. Miała na imię Renate i interesowała się nim, tak myślał, przynajmniej dopóki nie zauważył, że to zainteresowanie dotyczyło raczej jego

ojca. Nakrył ich, jak się całowali, był bardzo urażony i przez wiele dni do szaleństwa zazdrosny. Ponieważ jednak odkrył, że ich związek może mu przynieść korzyść, stłumił te uczucia, a wkrótce one same całkiem zniknęły. Julius naprawdę się cieszył, że ci dwoje są parą. Jego tata stał się nagle całkiem innym człowiekiem, poweselał.

Renate często przychodziła z wizytą i czasem nocowała. Dzięki niej wiele rzeczy stało się prostszych, a także piękniejszych i miększych. Wieczorem leżała obok Juliusa w łóżku i głośno mu czytała, całowała go w czoło, zanim wyszła z pokoju. Za każdym razem pytała, czy ma zostawić otwarte drzwi. Chciała wiedzieć, co lubi jeść, i gotowała to, na stole leżała serweta i stał na niej wazon z kwiatami. Oprawiała jego rysunki i wieszała na ścianie, razem odrabiali prace domowe albo budowali w lesie domek dla skrzatów i elfów.

Trwało to dwa lata. Pewnego dnia, to było latem, zniknęła. Jesienią znów przyszła nowa nauczycielka. Tata wytłumaczył mu, że Renate wróciła do miasta, nie powiedział dlaczego. Julius wiedział, że musiało to mieć coś wspólnego z jego tatą, pod koniec często słyszał, jak ci dwoje się kłóca, a jego nienawiść rozgorzała na nowo.

1995–2001: Katharina

Życie rodzinne

Pewnego upalnego niedzielnego popołudnia w sierpniu Katharina urodziła bliźniaki. To nie był skomplikowany poród i w tych pierwszych dniach w szpitalu, z dziećmi obok siebie w łóżku, czuła się bardzo szczęśliwa.

Linda i jej przyjaciel przyjechali ją odwiedzić i zostali z nią dwa tygodnie. Katharina cieszyła się obecnością matki, która wiele jej pomagała, i ciężko jej było, gdy tych dwoje wyjechało z powrotem do Republiki Południowej Afryki, gdzie w Kapsztadzie kupili mieszkanie i teraz żyli. Linda płakała przy pożegnaniu:

– Czuję się rozdarta. Z jednej strony chciałabym być blisko ciebie, żeby ci pomagać i patrzeć, jak rosną moje wnuki, z drugiej już nie potrafię sobie wyobrazić życia bez Karla.

Każdego dnia zdana tylko na siebie Katharina uświadamiała sobie, że ogrania ją obłąd. Jesień i zima wydawały się groźne, czuła się uwięziona. Brakowało jej matki i coraz bardziej też życia w wielkim mieście oraz kręgu przyjaciół, była przeciążona pracą przy dzieciach. Chłopak był beksą i często chorował, dziewczynka też z początku dużo płakała, a potem wydawała się aż zanadto spokojna i nie chciała jeść. Katharina się martwiła.

Zmartwienia były wszechobecne i prawie nie pozwalały jej odetchnąć: czy ona znów ma gorączkę? dlaczego ona nie zje ani łyżki kaszki? Za mało przybiera na wadze, mówi pediatra. Co to za czerwone plamy? Mój Boże, on ma zimne rączki i nóżki! Dlaczego on tyle płacze, co robię nie tak? I nie miała odwagi się przyznać, że jej dzieci jawiły się jej jako obce istoty, wstydziła się tego.

W tym czasie zaczęły ją dręczyć koszmary senne, podobne do siebie: trwała wojna, a ona nie potrafiła ochronić swoich dzieci. Jest chłodna zimowa noc, ulice rozorane bombami, przemykające obok pochylone postacie. Źle ubrane dzieci stoją obok niej, krzycząc

z głodu i zimna, a ona wie, że nie ma nigdzie ciepłego domu ani ciepłego koca, zamarzną jeszcze tej nocy, a ona nie może na to nic poradzić. Albo: żołnierze wydzierają jej dzieci, rozbierają ją i każą nagusieńkiej leżeć na śniegu; gdy gwałcą ją w jakiejś szopie, widzi przez okno chude, drżące, posiniałe z zimna dzieci i słyszy, jak płaczą i płaczą. (Co dziwne, zawsze chodziło o zimno i Katharina zauważyła, że jej największą troskę stanowiło wciąż, by bliźniaki miały dostatecznie ciepło, budziła się kilka razy w ciągu nocy, chociaż dzieci twardo spały, tylko po to, by je ciągle przykrywać). Te koszmary dopadały ją także za dnia i nie potrafiła się przed nimi obronić, po prostu ją nachodzili.

Czasem budziła się i nie umiała rozstrzygnąć, czy to dzień, czy noc, ani gdzie jest. Czasem strach ogarniał ją w samochodzie, bo nagle nie wiedziała, czy jedzie właściwą stroną drogi. Kiedyś zapomniała na chwilę imię córki i dostała ataku paniki. Całymi dniami rozmawiała ze sobą i myliła przy tym słowa, na krzesło mówiła stół i odwrotnie, na jedzenie mówiła picie, zamiast „śpiewać” mówiła „tańczyć”, zamiast „siedzieć” – „leżeć”. „Leżę przy stole i piję ryż z warzywami, a przy tym tańczę pełną gębą”. Potem zaczynała się histerycznie śmiać, a jej śmiech brzmiał jak łkanie. Zadawała sobie pytanie, dlaczego reprodukcja u człowieka jest tak żmudna i skomplikowana. Dlaczego do rozmnażania nie może służyć odkład z małego palca u nogi, który odrywa się po dwóch miesiącach, a potem hoduje w doniczce na parapecie i patrzy, jak rośnie mniej więcej do wieku szkolnego? I gdy w poczekalni do pediatry spoglądała w twarze innych, wciąż zadawała sobie pytanie: dlaczego im się udaje, a mnie nie – macierzyństwo, życie, szczęście?

Jasny punkt stanowiły w tym okresie książki. W salonie Arthura było ich mnóstwo, a ona pożyczła sobie jedną za drugą, zaczęła od najwyższej półki po lewej i systematycznie przegryzała się latami przez regały jak gąsienica, tak mówił o tym Arthur. Gdy dzieci spały, czytała, zatapiała się w innym świecie i cierpiała wraz z bohaterami. Julius nie miał dla tego zrozumienia i tego nie lubił, wolałby, żeby więcej zajmowała się nim.

– To jest jak nałóg! – przekonywał ją.

Drugim jasnym punktem był sam Arthur, który pomagał, jak tylko umiał (nie miał doświadczenia z dziećmi i w pierwszych miesiącach szło mu trochę nieporadnie). W weekendy gotował za nią i chodził z bliźniętami na spacer, wieczorem czuwał nad śpiącymi niemowlętami, żeby mogli gdzieś wyjść, poza tym płacił za pomoc domową, która przychodziła raz w tygodniu. Katharina była mu wdzięczna. Bez niego nie zniosłaby swojego nowego życia na wsi z dwójką dzieci i uciekłyby do wielkiego miasta, tego była pewna.

Pewne też było jednak, że związek z Juliusem nie rozwija się dobrze. Wracał do domu późnym wieczorem, zmęczony i rozdrażniony pracą z klientami. On, który mówił niechętnie, miał ze swadą przekonywać ludzi, by coś kupili. Nie miał siły, by zdjąć jej dzieci z głowy, Katharina nie miała siły, żeby go pocieszyć, sama oczekiwała pocieszenia, była nieszczęśliwa i wciąż śmiertelnie zmęczona. Dużo w tym czasie płakała, Juliusa to odpychało. Utknęli w martwym punkcie.

Gdy pierwszy raz się pokłócili, Katharina czuła się jak uderzona obuchem w głowę. Była świadoma, że dorastała w poczuciu bezpieczeństwa i nigdy nie miała do czynienia z prawdziwą awanturą. Nie nawykła do konfliktów, a przede wszystkim nie nawykła do walki o cokolwiek. Gwałtowność, z jaką Julius prowadził te spory, wstrząsała nią, więc szybko się poddawała. Wkrótce poczuła, że nie jest w stanie sprostać Juliusowi, to było, jakby wbiegła wprost na ścianę, która ją potem z drwiną wyśmiewała, a to budziło w niej znów przekorę, piekliła się i krzyczała, co sprawiało, że on stawał się jeszcze chłodniejszy. Miała świadomość swej słabości, to uczucie stanowiło dla niej nowość.

Julius mówił cicho, z lodowatą, wyrachowaną miną i natychmiast atakował ją osobiście, krytykował zawsze jej charakter, zamiast rozmawiać o samej sprawie. Kłótnię redukował do jej złych cech, kwintesencja brzmiała: w ogóle byśmy się o to nie kłócili, gdybyś nie była *taka*. Tymczasem dobrze ją poznał i dokładnie wiedział, jak ją zranić. Przedstawiał tak okropny obraz Kathariny, że w tych momentach miała uczucie, że nie chce, nie może dłużej żyć, bo tak straszny człowiek jak ona nie ma do tego prawa. Aż do chwili, gdy

uświadomiła sobie, że robił to z wyrachowania, żeby ją sobie podporządkować. Wiele dni po takiej kłótni była zraniona, ogłuszona i sparaliżowana, nie potrafiła sobie wyobrazić, że inne pary też się tak spierają, a potem po prostu żyją z tym dalej. Tak musiało być, ale jak to miało normalnie funkcjonować?

Jeśli natychmiast ustępowała, dzielnie odgrywając pokonaną, Julius wynagradzał ją objęciami i czułościami. Gdy tego nie robiła, całymi dniami się do niej nie odzywał i patrzył na nią z pogardą, czego nie potrafiła długo znosić. Zawsze się poddawała, wcześniej czy później, aż w końcu przestała zwracać na to uwagę. Zaczęła unikać konfliktów i przestała rozmawiać z Julusem. Przed lustrem wypróbowywała maskę nieustającego przyjaznego uśmiechu.

Ich rozumienie miłości bardzo się różniło, dla Kathariny wsparcie i pewne przewidywanie ze strony partnera były w związku bardzo ważne. Myślała, że on musi przecież zauważyć niektóre rzeczy, na przykład to, że ona jest zmęczona, czy naprawdę musi mu to wyraźnie powiedzieć? Proszę, Juliusie, zabierz ode mnie dzieci na godzinę, idź z nimi na spacer, ja już nie mogę! Czy człowiek naprawdę musi to mówić, jeśli to oczywiste? Wydawało jej się to śmieszne.

– Mam się domyślać, czego chcesz? – zapytał kiedyś rozgniewany, gdy zwróciła mu na to uwagę. – Powiedz wyraźnie, jeśli czegoś ode mnie oczekujesz.

Przyjęła to do wiadomości i w jakiś sobotni poranek rzuciła mu w twarz:

– Nie chcę się z tobą kochać, Juliusie, przez całą noc nie zmrużyłam oka, jestem zmęczona. Nie mógłbyś zabrać dzieci ze sobą do salonu i dać mi chwilę pospać? Albo możesz iść z nimi na zakupy, nie mamy już nic w lodówce.

Na to on naskoczył na nią, że wiecznie stroi fochy, że jej ciągle zrządzenie działa mu na nerwy i że nie pozwoli sobą rządzić. Katharina nie wierzyła własnym uszom. Potem Julius ubrał się i poszedł do piwnicy, gdzie urządził sobie mały warsztat, ona skonsternowana została.

Katharinę męczył ten zaklęty krąg.

Często była bliska tego, by spakować walizki, zabrać dzieci i wrócić do Wiednia. Powstrzymał ją tylko strach, że sama w wielkim mieście sobie nie poradzi. A przede wszystkim myśl, że jej dzieci nie powinny, tak jak ona, wychowywać się bez ojca.

Potem nagle wszystko się zmieniło, z dnia na dzień.

Pewnego upalnego sierpniowego popołudnia Katharina siedziała na kocu w ogrodzie i przypatrywała się dwuletnim bliźniakom, które bawiły się w piaskownicy, gdy nagle pod dom podjechał samochód. Wsiadła z niego młoda kobieta i podeszła do niej, Katharina oceniła ją na jakieś dwadzieścia pięć lat.

– Ty musisz być Kathariną, żoną Juliusa – powiedziała z uśmiechem i wyciągnęła do niej rękę. – Ja jestem Doris. Julius i ja chodziliśmy razem do szkoły. Często u nas bywał. Dawał mi korepetycje z angielskiego.

Katharina już kilka razy słyszała o Doris: uczęszczała z Julusem nie tylko do podstawówki, lecz także do tej samej klasy w gimnazjum. Kiedy inne dzieci kontynuowały naukę we wsi, Julius i Doris należeli do tych nielicznych z ich rocznika, którzy poszli do gimnazjum w miasteczku i codziennie przez wiele lat jeździli autobusem po dziesięć kilometrów tam i z powrotem. Julius kiedyś opowiadał, że była najbardziej oryginalną dziewczyną w klasie, zawsze zazdrościł jej spontaniczności i bezczelności, on był dla wielu zbyt nieśmiały.

– Jak ci leci? Dobrze się tu u nas czujesz? Masz już przyjaciółki? – pytała Doris i po prostu usiadła na kocu obok niej.

– No tak, ja... Właściwie nie mam – jękała się Katharina, zaskoczona, i nagle poczuła, że jest bliska łez.

Doris przypatrywała się jej przez chwilę i Katharina musiała odwrócić wzrok, nie chciała, by obca kobieta patrzyła, jak płacze.

– Już rozumiem – powiedziała Doris i dodała: – Powinniśmy to zmienić, prawda?

Katharina spojrzała na nią zaskoczona.

– Dlaczego nie przychodzisz na basen? – zapytała Doris. – Jest taki upał.

– Tak, to prawda. Ale nie mam odwagi iść sama na basen z tą

dwójką, musi dołączyć ktoś jeszcze – odpowiedziała Katharina.

– Ja dołączę – oznajmiła Doris. – Chodź, pakuj rzeczy i jedź za mną. Jest tam już moja matka, na pewno się ucieszy, że będzie mogła przypilnować dwójki maluchów. Uda się nam poplotkować.

Katharina się zdziwiła. Zapakowała ręczniki, gdy Doris została z dziećmi. Na basenie rozłożyły swoje koce obok Claudii, matki Doris. Claudia wyciągnęła do niej rękę i powiedziała:

– No, w końcu poznaję przyjaciółkę Juliusa.

Przez całe popołudnie pilnowała bliźniaków, gdy młode kobiety rozmawiały.

Doris była niższa od Kathariny i bardziej żyłasta, opalona na brązowo, krótkie czarne włosy sterczały jej we wszystkie strony. Młoda kobieta wydawała jej się sympatyczna, ale najbardziej podobało jej się w niej otwarte spojrzenie. Doris opowiedziała, że dwa dni temu wróciła z Indii, gdzie ostatnie pół roku spędziła w różnych aśramach, by nauczyć się jogi, przedtem studiowała w Wiedniu weterynarię. Teraz chciała zostać tutaj i otworzyć gabinet weterynaryjny. Jej chłopak, Andreas, miał we wsi warsztat mechaniczny i cieszył się, że wreszcie wróciła do P. Doris wydawała się tryskać energią, a Katharina, zafascynowana, przysłuchiwała się jej opowieściom o Indiach. Miała przy tym wrażenie, że zna Doris od zawsze.

Gdy wieczorem wesoło opowiedziała Juliusowi o nowej przyjaciółce, zauważyła, że drgnął, gdy usłyszał jej imię.

– Co się stało? – zapytała i objęła go od tyłu. – To twoja dawna miłość?

Julius odrzekł:

– Ją zapytaj, jestem ciekawy, co powie.

– Ale ja chcę to wiedzieć od ciebie – nalegała Katharina.

Od niego dowiedziała się, że Doris przez lata była jego cichym marzeniem, jako przyszczaty młodzian gorąco się w niej kochał i długo pozostawał zbyt tchórzliwy, żeby jej to wyznać. W szóstej klasie zostali wreszcie parą, ale związek potrwał tylko kilka tygodni.

– Już przy pierwszym pocałunku czuliśmy, że nie pasujemy do siebie. A kiedy pierwszy raz chcieliśmy się ze sobą przespać, to była

katastrofa, po prostu się nie dało.

Doris nie mogła się nie roześmiać, gdy Katharina ją o to zapytała.

– Leżeliśmy obok siebie w łóżku i nawzajem się rozbieraliśmy – powiedziała. – Już przy tym czuliśmy, że nic z tego nie będzie, nic. Sam pocałunek kilka dni przedtem był irytujący. Jak to powiedzieć? Brakowało pociągu, wyglądało to tak, jakbyśmy byli rodzeństwem, takie to sprawiało wrażenie. Poza tym byliśmy zupełnie niedoświadczeni, no tak, w każdym razie on nie włożył we mnie swojego i w końcu dostaliśmy ataku śmiechu. Później w nocy nie spaliśmy ze sobą, tylko totalnie się upiliśmy i zawarliśmy braterstwo krwi. Prześcieradło było zakrwawione, chociaż byłam nadal dziewicą, a moja matka następnego dnia się przeraziła. Potem pozostaliśmy po prostu tylko przyjaciółmi, zawsze dobrze się rozumieliśmy.

Od tej pory Katharina i Doris widywały się regularnie i dzięki przyjaciółce w życiu Kathariny wiele się zmieniło, poczuła się w końcu w P. jak w domu. Radość życia i wesołość Doris były zaraźliwe. Przyjaźń kobiet wydawała się też dobrze robić Juliusowi, rozumiał się z chłopakiem Doris, Andreasem, robili we czwórkę wiele rzeczy.

Doris otworzyła swój gabinet weterynaryjny, a po kilku tygodniach, gdy przyszli z Andreasem z wizytą do Kathariny i Juliusa, w obecności Arthura zapytała:

– Nie wzięlibyście małego kotka? Pewien rolnik ma pięć młodych i prosił mnie, żebym popytała, czy ktoś nie chce.

Katharina zwróciła się do Juliusa:

– Jak myślisz? Vince'owi i Vic byłoby miło.

Arthur nagle spojrzał znad jedzenia na Juliusa, sprawiał wrażenie zainteresowanego, tak się Katharinie wydawało. Julius drgnął i odpowiedział:

– Wolałbym psa.

– Znam też kogoś, kto ma akurat szczeniaki – wtrąciła Doris.

Kilka dni później wpadła z małym owczarkiem i włożyła go Vic do rąk, ale pies się jej wymknął i machając ogonem, pobiegł do Juliusa. Ten się pochylił i podniósł go wysoko, na co pies polizał go po uchu. Julius się roześmiał i przytulił szczeniaka.

To od początku był jego pies, nikt nie miał co do tego wątpliwości. Jak długo Juliusa nie było, pies tolerował dzieci i bawił się z nimi, ale gdy tylko Julius wchodził do domu, kończyło się. Pies biegł do niego i nie odstępował na krok. Julius nazwał go James.

Julius stał się spokojniejszy, wrażliwszy i bardziej uważny w stosunku do Kathariny, przede wszystkim dłużej zostawał w domu i odciążał ją od dzieci. Katharina znów bardziej czuła jego miłość. Złożył wymówienie w firmie ubezpieczeniowej i zaczął pracować u starego konserwatora, u którego dorabiał już w gimnazjum.

Chociaż w warsztacie zarabiał mniej, szło im znacznie lepiej. Julius rozkwitał. Bliźniaki poszły do przedszkola. Również Katharina rozkwitała. Ponieważ nie znalazła takiej pracy na część etatu, która by jej odpowiadała, pomagała Arthurowi parę godzin w tygodniu w jego biurze, a oprócz tego chodziła na kursy komputerowe.

Doris i Andreas chcieli mieć dziecko, Katharina i Julius też dali się porwać tej idei. Latem 1999 roku obydwie panie zaszły w ciążę, we czwórkę wciąż o tym mówili i w końcu we właściwym dla nocy sylwestrowej zakrapianym nastroju uroczyście wypili za to szampana.

Wiosną na świat przyszły dwie dziewczynki: Leonora i Mara.

Po tym drugim porodzie ciało Kathariny się zmieniło, ze zdziwieniem zauważyła, że jej włosy nabrały blasku, ma czystą i lśniącą cerę, a jej oczy błyszczą. Pierwszy raz w życiu uznała, że jest piękna, poza tym przez ciągły pośpiech przy trójce dzieci, pracę w domu i biurze Arthura zeszczuplała jak nigdy dotąd. Zaczęła się inaczej ubierać. Najpiękniejsze dla niej było jednak to, że dzięki drugiej córce czuła się pogodzona z macierzyństwem, Leonora skłaniała ją do śmiechu.

Szczęście to przyjemne uczucie.

Pewnego wieczoru Julius przyniósł jej bukiet róż i na kolanach poprosił o rękę, chciał się z nią ożenić, i w dodatku wziąć ślub kościelny. Tym razem to przyjaciele dali się porwać tej idei, chociaż Doris uważała ślub kościelny za wysoce konwencjonalny.

– No, daj już spokój – powiedziała jej Katharina. – Ja dałam się namówić na ciążę, a ty dasz się teraz namówić na ślub w kościele. Zobaczysz, to na pewno cudowne przeżycie i nie będziesz żałować.

Huczne podwójne wesele odbyło się w czerwcu 2001 roku, Doris miała na sobie bardzo krótką, intensywnie czerwoną sukienkę, a Katharina długą, kremową.

Miała dwadzieścia osiem lat, do ołtarza prowadził ją Arthur.

Historia Thomasa

Moja matka tu siedzi i patrzy na mnie udręczona. Ojciec szykuje dla mnie śniadanie. On ciągle ze mną rozmawia, łagodnym głosem. Opowiada, że po drugiej wojnie światowej zaczęło się umieranie małych młynów, tylko kilka dużych mogło się utrzymać w okolicy. To nie jest to samo, mówi. Fabryka produkuje mąkę, używając mnóstwa maszyn. W fabryce nie ma młynarza, który rozmawia z chłopami, umawia się na coś i potwierdza umowę podaniem ręki. Nie ma nikogo, kto nosi ciężkie worki. Nikogo, kto wdycha zapach zboża, gdy się otworzy worek. Nikogo, kto słucha odgłosu walców w żarnach. Nikogo, kto jest wciąż pokryty białym pyłem. Pyłem, który wnika w każdą zmarszczkę na skórze.

Wygląda smutno. Mnie też jest przykro. Cieszyłem się na ten młyn. Co innego mógłbym robić? Teraz nie mam tu nic do roboty. Nic.

Spałem tylko parę godzin. Odwiedziła mnie Lu i płakałem. Muszę pisać dalej. Gna mnie do maszyny do pisania. To musi ze mnie wyjść.

Tygodniami byliśmy w drodze.

Zbliżamy się do dwóch małych baraków. Z jednego wychodzi trzech oficerów i kilku żołnierzy. Poznaje Teljana. Odhaczają nas na jakiejś liście, niektórych skreślają.

– Wygląda na to, że jesteśmy u celu – mówi Fritz.

Z siedmiuset czterdziestu jeden mężczyzn zostało sześciuset dwunastu. Zaskoczeni rozglądamy się dookoła. Gdzie jest ten obóz? Nie ma żadnego. Tylko zielony mech pod nogami, a za nami tundra, przed nami tundra. Mniej więcej sto metrów dalej na północ wznosi się jakaś samotna góra, nieszczerólnie wysoka, z kopulastym wierzchołkiem. Niedaleko nas płynie rzeka, możemy się w niej umyć. Później fryzjer goli nam owłosienie na ciele. Chcemy uprać nasze rzeczy, ale na to jest jeszcze za zimno. Każą nam czekać. Odwszawiają ubrania jakimś śmierdzącym proszkiem.

Znów rozstawiamy nasze namioty, wygląda na to, że tym razem na dłużej. Wokół prowizorycznego obozu nie ma ani wieżyczek strażniczych, ani drutu kolczastego. W promieniu pięćdziesięciu metrów możemy się swobodnie poruszać.

Wolno nam wypoczywać trzy dni, potem dzielą nas na dwie grupy. Jedna zostaje w obozie z namiotów, drugą zabierają żołnierze. Wszyscy patrzymy na siebie bezradnie. Nikt nie mówi, dokąd idą. Również Helmut jest wśród nich, rzuca nam zrozpaczone spojrzenie. Fritz, Kristjan i ja mamy szczęście, zostajemy razem. Ci dwaj nadal dają mi lekcje rosyjskiego, a ja szybko się uczę.

Czuję, że Teljan mnie obserwuje.

Sami musimy sobie zbudować obóz w ciągu lata. Czasu mało, pod koniec września zaczyna się następna zima. Pogoda jest łagodna, praca znośna, plagą są tylko chmury komarów. Żądłą nas dosłownie do krwi, w końcu dostajemy siatki, które możemy nałożyć przez głowę. Co dwa tygodnie przyjeżdża zapas żywności i wyposażenie lazaretu. Gdy wracamy z lasu, duże, ciężkie skrzynie i worki już czekają. Czasem stoi przy nich jeep, innym razem pod nimi znajdują się meble. Zadajemy sobie pytanie, kto to wszystko przywozi. A przede wszystkim jak? Nigdy nie widzimy żadnych przybyłych więźniów. Tylko od czasu do czasu wpada nam w oko, że jest więcej strażników, że są wśród nich obce twarze. Dla nas to zagadka.

Kiedyś jeden opowiada nam podekscytowany, że widział pozostałych więźniów w pobliżu tej dziwnej góry. Zastanawiamy się, czy tam budują drugi obóz.

Przydzielono mnie do brygady drwali. Każda brygada dostaje brygadzystę. Brygadzista jest za wszystko odpowiedzialny, zwłaszcza za wykonanie normy, za to dostaje większe racje żywnościowe. Nasz brygadzista nazywa się Stepan i jest roztropnym mężczyzną w wieku około czterdziestu pięciu lat. Cały dzień spędzamy w lesie i ścinamy drzewa.

Żołnierze, którzy nam towarzyszą, są w stosunku do nas przyjaźni. Wiedzą, że ze wszystkich więźniów, którzy są na Syberii, my trafiliśmy najgorzej.

Nie mamy pojęcia, że będzie jeszcze gorzej. Nie mamy też czasu,

żeby cokolwiek sprawdzać. Wieczorem padamy śmiertelnie zmęczeni w swoich namiotach. Kristjan raz się odważył zapytać jakiegoś żołnierza o tę drugą grupę, gdzie są. Mężczyzna tylko się roześmiał i zobaczyliśmy jego złoty ząb.

– Góra! – powiedział tylko i wskazał na północ.

Czasem siedzę po prostu kilka minut na słońcu, pozwalają mi. Jestem najmłodszy w całej brygadzie. Krajobraz jest piękny, w oddali połyskują białe góry. Zastanawiam się nad ucieczką. I jednocześnie wiem, że nie mam szans na przeżycie.

Czasem oczy mi wilgotnieją, jeśli za wiele myślę o matce.

Czasem muszę w nocy powstrzymywać łzy, żeby głośno nie zaszlochać.

Czasem nie wiem, co począć z czystej rozpacz.

Czasem marzę o Ludovice. Wiem, że muszę o niej zapomnieć.

Pnie drzew powinny mieć określoną średnicę, żeby nadawały się do budowy baraków. Wszystko robimy ręcznie, nie ma maszyn. Po ścięciu drzewa odrąbuje się gałęzie i drobno tnie. Są cennym opałem. Pnie się okorowuje, a potem ciągnie do obozu. Tam kolejne brygady budują baraki i chaty z bali. Najpierw powstają barak kuchenny i duży lazaret, ma kilka pomieszczeń i małą salę operacyjną. Stawiają też klub, łaźnię, duże pomieszczenie magazynowe. Rośnie mała miejscowość pośrodku niczego. Większość więźniów jest ambitna i budują mieszkalne domy z bali z całą starannością.

– Weźcie się w garść – wciąż mówią. – To ma być wygodne. Prawdopodobnie spędzimy tu całe lata. Może potem dojdą kobiety. Czy nie powinny mieć trochę przytulniej?

– Ale po co tu jesteście? – pytają niektórzy sceptycy. – Czy w pobliżu jest kopalnia złota? Albo jakiś kołchoz, w którym mamy pracować? Albo kopalnia węgla? Dlaczego, na miłość boską, przyprowadzili nas na ten koniec świata?

– To przecież jasne, mamy tu ścinać drzewa – stwierdza ktoś. – To wyrąb lasu. Pnie drzew zostaną potem latem zabrane statkiem do Magadanu. Stamtąd można je dostarczyć wszędzie.

– Ty głupku! – śmieje się inny. – Wokół Magadanu rosną drzewa jak okiem sięgnąć.

Tymczasem już rozumiem proste rozmowy.

Tego lata wiele się uczę. Nic nie mówię i słucham. Słucham o historii Związku Radzieckiego, o bolszewikach, o Leninie, o Stalinie. Opowiadają mi o błatnych, przestępcach, którzy należą do zhierarchizowanej i solidarnej organizacji, podobnej do mafii, rodzaju tajnego związku ze ścisłymi zasadami, prawami i własnym żargonem. To łagierna elita, natychmiast rozpoznająca się po określonych gestach. Rząd prowadzi z nimi bezwzględną walkę. Kristjan mówi mi, że u nas jest bardzo wielu błatnych i powinienem na nich uważać.

Gdy pod koniec września zaczyna padać śnieg, mamy nadzieję na przesiedlenie do baraków. Rozkazują nam rozebrać namioty i schować je porządnie w chacie magazynowej.

– No, w końcu będziemy mieli dach nad głową! – cieszy się wielu.

Ale bardzo się mylimy. Każą nam pakować swój dobytek i wyprowadzają nas z obozu, idzie z nami nawet trzech oficerów. Żołnierze, którzy nam towarzyszą, są uzbrojeni, to dla nas nowość. Zmierzamy w kierunku góry. Wielu z nas, wściekłych, odwraca się i zaczyna kłócić z żołnierzami, a ci kopią protestujących po goleniach. Gdy jeden nie chce przestać, celują do niego z pistoletu. Potem wszyscy idą bez szemrania, ale z zaciętym wyrazem twarzy. Nie odchodzimy daleko, oceniam, że około stu metrów. Przedzieramy się przez gęste krzaki.

Nagle zatrzymujemy się, dzielą nas na trzy równe grupy. Fritz, Kristjan i ja nadal mamy szczęście, jesteśmy razem w pierwszej. Grupy się rozchodzą, naszej towarzyszy Teljan. Zarośla się kończą, potykamy się o kamienie, wspinając się.

Prowadzą nas do wnętrza góry. To wejście do kopalni, na początku szyb jest jeszcze szeroki i wysoki, potem coraz węższy i niższy. Wokół nas panuje noc. Nikt nie zapala latarni. Trzymam się mocno kurtki więźnia przed sobą, ten z tyłu mocno trzyma się mnie. Długim szeregiem chwiejnie idziemy coraz dalej w głąb góry. Jest tak ciemno, że nie wiemy, co przyniesie kolejny krok.

Nagle ci z przodu się zatrzymują. Zapala się jakieś światło, potem kolejne. Rozglądamy się osłupiali. Znajdujemy się w jakiejś kawernie, jaskinia ma niecałe dwa metry wysokości. Wyżsi z nas muszą się

pochylać. Dostrzegam drugi korytarz. Przed sztolnią, która prowadzi na zewnątrz, stoi mały stolik, na nim migoczące światełko, obok dwa kulawe stołki. Ten drugi stoi na ziemi naprzeciwko kolejnego wejścia do sztolni.

Teljan zaczyna z grubsza objaśniać. Że będziemy tu w przyszłości mieszkać. Tu wewnątrz jest przynajmniej ciepło, bo zima na górze jest na północy niemiłosierna.

– Dziś macie wolne – dodaje na koniec.

Oprócz tych dwóch stołków nie ma żadnych mebli, nie ma pryczy ani słomy na ziemi. Wszystko jest nagą skałą. Na naszych twarzach pojawia się niedowierzanie. Kristjan krzyczy:

– Nie możecie nam tego zrobić, świnie!

Sami strażnicy są zakłopotani i nic już nie mówią. Wszyscy, oprócz dwóch, opuszczają kawernę. Ci dwaj z pistoletami maszynowymi siadają przy wejściu do sztolni prowadzącej na zewnątrz. Przykucam wkrótce na ziemi i opieram się o skalną ścianę. Mam wrażenie, że się duszę. Inni stoją godzinami dookoła, niezdecydowani, i się denerwują. Niektórzy płaczą z wściekłości. Jeden, ma na imię Iwan i jest nerwusem, staje przed żołnierzami i żąda, by go wypuścili na zewnątrz.

– Miesiącami budujemy chaty, żeby potem tu szczeznąć, to nie może być prawda! – krzyczy.

Potem podchodzi do jednego i chce go chwycić za kołnierz. Ogłuszający huk prawie rozdziera mi błony bębenkowe, Iwan leży na ziemi, rżężąc, i umiera. Nagle zapada śmiertelna cisza. Wszyscy przyciskają się z powrotem do skalnych ścian. Żołnierz wymachuje pistoletem.

– Tak będzie z każdym, kto nie zachowa spokoju! Pogódźcie się z tym! – mówi.

Cały się poci.

Przez sztolnię przybiegają żołnierze i wynoszą ciało. Siedzimy i gapimy się przed siebie. Potem wnoszą jedzenie w cebrzykach i rozdzielają, później mamy spać. Każdy próbuje znaleźć jakąś w miarę wygodną pozycję na twardej ziemi. W nocy wielu podrywa się z krzykiem, bo boją się udusić. Ja mam uczucie, że sufit obniża się

i obniża, i mnie przytłacza.

W następnych miesiącach pracujemy. Tylko pracujemy. Jest strasznie. Nie chcę do tego wracać myślami. Rozpacz zaciska mi krtań.

Muszę zrobić przerwę.

Wpędzili nas w labirynt sztolni. Na koniec połowa idzie na lewo, pozostali na prawo. Sam w życiu nie odnalazłbym z powrotem naszej kawerny. Sztolnia się kończy, dookoła stoją kilofy i kosze. Wciskają mi kilof w dłoń. Walimy z całej siły w skałę, rąbiemy i rąbiemy. Po kilku godzinach nie czuję rąk, na dłoniach mam mnóstwo pęcherzy. Inni podobnie. Praca z trudem posuwa się naprzód. Potrzeba dużo czasu, żeby odłamki skał odpadły od ściany. Większe inni muszą drobno połupać na ziemi, jeszcze inni wkładają te okruchy do koszy. A tragarze wynoszą je potem na zewnątrz. Wszyscy walczą o to, by być tragarzem, bo każdy chce wyjść na zewnątrz. Na światło. Na powietrze. Żołnierze dzielą nas rankiem. Rankiem? Dla nas zawsze panuje noc.

– Co się dzieje z tymi odłamkami? – cicho pyta Kristjan jakiegoś tragarza.

– Wysypujemy je do drewnianej zsuwni. Na dole stoi mnóstwo maszyn, do czego, nie mogłem rozpoznać. Na dole są też mężczyźni. Jakoś nie wyglądają na więźniów – opowiada. – Wszystko jest takie zadymione i mgliste. Nic dokładniej nie da się zobaczyć.

Rozpędzają nas.

Nigdy nie jesteśmy sami. Zawsze stoi obok strażnik. Nie możemy swobodnie rozmawiać. Jeśli kilku mężczyzn skupi się obok siebie i szepczą, żołnierz wyciąga pistolet i ich rozpędza. Najbardziej palącym z naszych pytań jest, co my tu w ogóle wydobywamy. To nie złoto, nie srebro, nie ołów, nie cyna, nie węgiel. Nikt z nas nie zna rudy, która jest w tych odłamkach skalnych.

– Może w ogóle nic tu nie ma i po prostu budujemy tylko podziemny system korytarzy – zastanawia się ktoś. – Na jakąś późniejszą wojnę.

Wyśmiewają go.

Tracę poczucie czasu. Nagle pewnego dnia po obudzeniu mówią:

– Dziś nie musicie pracować.

Patrzemy na siebie zdziwieni. Nie wiemy, jak długo już jesteśmy w górze. Kristjan pyta strażnika.

– Co czternasty dzień macie wolne – odpowiada strażnik.

Każdego wolnego dnia możemy na krótko wyjść z góry na zewnątrz i rozprostować nogi. Jest tak strasznie zimno, że większość już po niedługim czasie tęskni za jaskinią. Ja nie. Nacieram sobie śniegiem dłonie i twarz, inni robią to co ja. Staram się ruszać jak najwięcej, chociaż czuję w całym ciele wyczerpanie, którego nie umiem opisać. Jeśli zanadto się oddalam, strażnik od razu mnie woła i daje mi pistoletem maszynowym do zrozumienia, że mam wracać. Ale gdy raz udaje mi się odejść kawałek dalej, odkrywam coś niewiarygodnego: widzę na horyzoncie białe niedźwiedzie! Potrzebuję chwili, zanim przyjdzie mi do głowy ich nazwa. Jeśli są tu białe niedźwiedzie, morze musi być niedaleko. Opowiadam o tym innym w jaskini, wyśmiewają mnie.

Podczas tej godziny na powietrzu znów wszyscy się widzimy. Wszyscy, z którymi przed wieloma miesiącami wyruszyliśmy z Magadanu. Albo prawie wszyscy. Niektórzy nie przeżyli. Sześć grup w sześciu jaskiniach. Około sześciuset mężczyzn. Nie znamy już dokładnej liczby.

Helmut wygląda strasznie. Ale prawdopodobnie my wszyscy też. Nie ma lustra, w którym moglibyśmy to sprawdzić. Wesoły student z Wiednia jest złamanym człowiekiem, już prawie nie mówi.

– Nie przeżyję tego dłużej – mamrocze za każdym razem, gdy Fritz, Kristjan i ja się na niego natykamy.

Zaprowadzono go wraz z innymi do góry zaraz po przybyciu do obozu. My przynajmniej mieliśmy to szczęście, że żyliśmy i pracowaliśmy przez cztery miesiące wśród przyrody, zanim i dla nas zapadła noc. Każdy ostrożnie rozpytuje się dookoła. Wiecie, co tu wydobywamy? Nikt nie wie. Kiedyś jakiś przemądrzały Rosjanin pyta żartem strażnika:

– Co to jest takiego ważnego, co stąd wyciągamy? Gotujecie to i zjadacie?

Ten go objeżdża:

– Przestań zadawać pytania.

– Na wielu rzeczach tu oszczędzają – zastanawiają się inni. – Schronieniu, opale, drucie kolczastym, wieżach strażniczych, reflektorach, strażnikach. Tani obóz.

Niektórzy mówią też o ucieczce:

– Przy następnym wyjściu zwiewam!

Ale zawsze mówi się o tym następnym wyjściu. Każdy wie, że nie da się przeżyć w tej dziczy nie do przewyciężenia bez mapy, kompasu, bez dostatecznej ilości prowiantu. Jak daleko stąd mieszkają ludzie? Czy są życzliwie nastawieni? Ile tysięcy kilometrów trzeba by pokonać, żeby dotrzeć do Finlandii?

Przy każdym czwartym wyjściu na zewnątrz najpierw jedną, potem drugą połowę więźniów prowadzą do obozu, tego obozu, który zbudowaliśmy własnymi rękami. Z nostalgią rozglądamy się dookoła. Wydaje się, że mieszkają tu jacyś ludzie, w niektórych oknach widzimy zasłony. Ale oprócz strażników, którzy idą obok nas, nie dostrzegamy nikogo.

W łaźni możemy się umyć. Czarne twarze znów stają się białe. Blade. Staramy się jak najbardziej przedłużyć ten czas. W końcu fryzjer z brzytwą wykonuje swoją robotę. Zabierają ubrania do odwyszawiania. Dostajemy inne rzeczy. Następnym razem znów je wymienią. Marsz z powrotem do góry jest jak droga na szafot.

To nie jest życie. To powolne umieranie.

Po pewnym czasie zauważam, że zęby mi się poluzowały. Poza tym wciąż boli mnie głowa. Bóle są czasem tak silne, że chcę krzyczeć. Do tego dochodzą zawroty głowy i mdłości. Moje kończyny wydają się ciężkie jak z ołowiu. Przy pracy czasem mdleję. Inni muszą mi wówczas pomagać. Wstydzę się.

Gdy czwarty raz prowadzą nas do łaźni, zauważamy, że nadeszła wiosna. Woda z roztopów jest wszędzie.

Gdy nasza smutna kolumna idzie chwiejnie pomiędzy chatami z bali i barakami, słyszymy grę na fortepianie.

Ktoś w tym zapomnianym przez Boga miejscu gra na fortepianie.

Ktoś gra na fortepianie!

Wszyscy patrzą po sobie zdziwieni. Zatrzymujemy się, a potem

strażnicy ostro nas poganiają.

Od razu wiem, że to musi być Ludovica. To ten sam utwór, który grała wtedy w pobliżu Omska. Również Fritz go rozpoznaje.

– Jest tu twoja pianistka. – Uśmiecha się.

Jeszcze nigdy w życiu tak się nie cieszyłem! Radość przenika całe moje ciało. Zaczynam płakać.

– Weź się w garść! – ochrzania mnie Fritz.

Nagle jakiś oficer wpada do świetlicy. Nie mogę rozpoznać, kto to. Gra na fortepianie nagle się urywa. Wchodzimy do łaźni.

Zatem Ludovica tu jest.

Ludovica!

Mam ogromną nadzieję, że w miarę dobrze jej się wiedzie. Prawdopodobnie pracuje w kuchni albo w lazarecie. A może jednak w górze? Nie, ci Rosjanie nie mogą przecież być aż takimi potworami, żeby kazać tam pracować kobietom! Jak tu dotarła? Tak jak my, na piechotę? Moje myśli gorączkowo się kłębią. Tak bardzo chciałbym ją zobaczyć!

Tym razem fryzjer jest bardziej przyjacielski niż zwykle. Plotkuje z nami i pyta każdego o imię. Gdy odwracam się od niego do kupy ubrań, wciska mi w rękę małą złożoną karteczkę. Nikt tego nie zauważa, wydaje się, że ma w tym wprawę. Serce aż podskakuje mi z nerwów. Szybko się ubieram i wykorzystuję rozgardiasz. Ukrywam karteczkę w kieszeni kurtki.

Ukradkiem rozglądam się dookoła, gdy idziemy między domami. Żadnej gry na fortepianie, ani śladu ludzi, nie ma Lu w oknie.

Kartkę mogę przeczytać dopiero w kawernie. Przysiadam na ziemi w pobliżu lampy olejowej. Uważam, by nikogo wokół mnie nie było.

„Daj się dostarczyć do lazaretu! Najszybciej, jak to możliwe. Lu”.

Wciąż czytam te słowa. Dopóki nie muszę szybko ukryć karteczki, bo inni się zbliżają.

Potrzebuję przekonującego powodu, żeby dostać się do lazaretu. Przed miesiącami wybuchła w innych kawernach czerwonka, wielu musiało iść do lazaretu i tam umarło. Z naszej grupy dotychczas odstawiono tam tylko jednego, z powodu strasznego wypadku. Temu mężczyźnie spadł w sztolni na nogi odłamek skalny. Lewą nogę

uwolniliśmy. Zawołany lekarz musiał drugą amputować na miejscu. To był krwawy spektakl przy bardzo złym świetle. Musiałem wyjść i zwymiotować. Mężczyzna zmarł dzień później w lazarecie, jak nam mówiono.

Nie mam innego wyboru niż przez cały dzień symulować czerwonkę. Nie wtajemniczam nawet Kristjana i Fritza, to zbyt niebezpieczne. Odmawiam jedzenia i biegam co chwila do latryny, krzyczę i jęczę. Do strażnika mówię:

– Tylko krwawe kropelki!

Kładę się na ziemi, nawet kopniaki nie skłaniają mnie do wstania. Ten naradza się z drugim. W końcu przychodzi dwóch sanitariuszy i zabierają mnie na noszach, najwyraźniej nie chcą już ryzykować epidemii.

W lazarecie umieszczają mnie w pomieszczeniu z dziesięcioma łózkami. Oprócz mnie jest tam jeszcze trzech pacjentów, ja leżę sam przy oknie. Łóżko zaścieleno świeżym, białym prześcieradłem, jestem w siódmym niebie. Jakiś sanitariusz rozbiera mnie i myje. Przychodzi lekarz i pyta mnie o objawy. Wszystko zapisuje.

W nocy ktoś delikatnie mnie budzi. To Ludovica.

Siedzi na moim łóżku i patrzy na mnie z góry. Na początku myślę, że to sen, potem jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, obejmujemy się. To pierwszy raz, kiedy czuję jej ciało tak blisko.

Gdy inni pacjenci chrapią, my szepczemy, radośnie podnieceni. Ona jest tu od czterech tygodni, przyплыnęła statkiem, a z nią fortepian. W porcie przyjął ją Teljan, który wyraźnie się cieszył, że ją widzi. Pracuje jako pielęgniarka w lazarecie. Ale może też każdego dnia ćwiczyć grę na fortepianie, jest mnóstwo nut, które Teljan kazał sobie przysłać. Poza tym czasem mu gra, raz musiała to robić nago. Jestem przerażony.

– Czy on coś ci zrobił? – pytam ją.

– Nie, siedział tylko w swoim fotelu i się mi przyglądał. Zazwyczaj jest dla mnie miły, ale wiem od innych więźniów, że bywa nieobliczalny i bardzo porywczy. Prawdopodobnie dlatego, że stracił żonę.

Opowiada mi, czego się dowiedziała od pewnego strażnika. Młoda,

piękna żona Teljana, miała na imię Ludmiła, była utalentowaną pianistką, która przed wojną koncertowała na całym świecie. W 1944 roku zatrzymała się w Rydze u swoich rodziców. Zakochała się w niemieckim podporuczniku i chciała wyjechać razem z nim do Berlina. Ale Teljan, który jakoś to zwęszył, zaskoczył ich, gdy chcieli wyjść z domu. Dowiedział się, że poznali się już przed laty na jakimś koncercie w Warszawie i od tego czasu korespondowali. Teljan się wściekł i zastrzelił oboje, przedtem musiał im zrobić coś strasznego, ale strażnik dokładnie nie wiedział co. Sąd go uniewinnił, to byli przecież tylko wróg i żona zdrajczyni. Po zakończeniu wojny Teljan zgłosił się na ochotnika do służby na Syberii, żeby kierować tu obozem. Wielu robi to z powodu wyższej płacy, którą oferują, jeśli się człowiek dobrowolnie udaje do krainy zapomnianych.

Z listy więźniów Ludovica dowiedziała się, że muszę tu być. Dlatego grała *Sceny dziecięce* Schumanna w dniu kąpieli, żeby dać mi znak. Teljan gwałtownie jej przerwał, wtedy pierwszy raz ją uderzył.

– Całkiem niedaleko jest niewielka zatoczka z portem! Nazywa się Ławrentija. Przedtem był tu tylko mały rybacki port Czukczów, teraz kursują też mniejsze frachtowce do Magadanu i z powrotem. Mogą pływać tylko od początku czerwca do końca września, bo potem wszystko znów zamienia się w lód. Wywożą uran i wracają z prowiantem i zaopatrzeniem.

– Uran? – pytam.

To, co wydobywamy, to ruda uranu. Jeszcze nigdy o tym nie słyszałem. Z tej rudy otrzymuje się uran, metal, który jest radioaktywny. Wszystko podlega najściślejszej tajemnicy. Wcześniej czy później wszyscy ciężko zachorujemy i umrzemy. Obóz zbudowano po to, żeby umieścić tu przede wszystkim inżynierów, którzy mają nadzorować pozyskiwanie uranu, a także dla strażników.

– Rozumiesz, Thomasie? Tutaj jest port. Jesteśmy na wschodnim krańcu Syberii! Cieśnina Beringa jest niedaleko stąd!

– Co chcesz przez to powiedzieć? – pytam.

Słyszymy kroki i na chwilę milkniemy. Kroki się oddalają.

– Możemy uciec – odpowiada ona.

Przedstawia mi swój plan ucieczki: w nocy prześlizgniemy się do

portu i ukradniemy małą łódkę. Wyruszymy nią na pełne morze i popłyniemy na Alaskę. Dzieli nas od niej jakieś dziewięćdziesiąt kilometrów. Nie wierzę własnym uszom.

– Wyobraź sobie, tylko dziewięćdziesiąt kilometrów, Thomas! Damy radę! W dzieciństwie często żeglowałam z ojcem. Umiem to robić. Spakowałam już dwa plecaki z prowiantem. To wystarczy nam na trzy tygodnie. Zanim cię wypiszą, musimy uciekać.

– A jak mamy dotrzeć do portu i ukraść łódkę? – pytam ją.
Dokładnie mi to przedstawia.

2001–2005: Katharina

Jeszcze jedno dziecko

Po weselu dom został w całości przebudowany, ponieważ rodzinie na parterze brakowało już miejsca. Arthur przerobił pusty młyn i urządził w nim dla siebie dwupoziomowe mieszkanie z oddzielnym wejściem, żeby Julius, Katharina i trójka dzieci dostali dodatkowo pierwsze piętro domu. Z dwóch dotychczas oddzielnych mieszkań powstało jedno duże.

Arthur sam sfinansował przebudowę, Katharina zauważyła, że Julius cierpiał z tego powodu, był rozdrażniony i napięty. Gdy Leonora skończyła cztery lata i poszła do przedszkola, Katharina od razu zaczęła szukać pracy, chciała zarabiać, żeby podreperować rodzinny budżet.

– Muszę sobie znaleźć pracę na cały etat – powiedziała do Arthura.
– Po prostu potrzebujemy pieniędzy.

– Słusznie – ocenił Arthur. – To ci na pewno dobrze zrobi. Wkrótce nie będę już nikogo potrzebował w biurze.

– Ale dlaczego? Mogę wklepać te rachunki w weekendy albo wieczorami – odparła Katharina.

– W przyszłym roku skończę sześćdziesiąt pięć lat i chcę przejść na emeryturę – wyjaśnił Arthur, a Katharina popatrzyła na niego zaskoczona, nie potrafiła sobie wyobrazić swojego teścia bez pracy.

Odkąd mieszkała w Bergmühle, nie знаła innego Arthura niż tylko pochylonego w swoim biurze nad planami albo pijącego z klientami kawę przed domem i dyskutującego o pomysłach, albo spieszącego do samochodu, bo musi pilnie jechać na budowę i już jest spóźniony. Sprawiał wrażenie wciąż jeszcze młodego i pełnego energii.

– To zrobimy wymianę – roześmiał się. – Ty zaczniesz pracować, a ja przestanę. No nie, tak do końca nie przestanę, chciałbym nadal robić trochę mniejszych rzeczy. Wówczas dzieci nie musiałyby każdego popołudnia zostawać w świetlicy albo przedszkolu, bo

miałbym czas. Czy to dobry deal?

Katharinie łzy napłynęły do oczu i objęła Arthura.

– Bardzo, bardzo dziękuję, Arthurze, to by mi bardzo pomogło – szepnęła.

– Nie wierzę, że to tylko z powodu pieniędzy. Wygląda na to, że jesteś w końcu gotowa opuścić bezpieczne gniazdko. – Doris tak to ujęła. Dwa lata po narodzinach córki urodziła jeszcze syna, ale przed południem zawsze otwierała swój gabinet weterynaryjny, w tym czasie jej matka opiekowała się dziećmi.

Przyjaciółka miała rację, Katharina chętnie na całe lata zaszyła się w domu, czuła się zbyt słaba, zbyt wrażliwa, żeby utrzymać się w świecie pracy. Z trójką małych dzieci, które często chorowały, nigdy nie miała na to sił i odwagi; teraz była gotowa, bardziej niż gotowa, dzieci dostatecznie podrosły.

Najchętniej pracowałaby w agencji reklamowej, potrzebowała kreatywnej pracy i wiedziała, że ma talent do tworzenia wszelakich reklam. Nie chciała pisać listów i informacji dla notariusza albo adwokata.

Maszerowała z aplikacją w teczce po wszystkich agencjach w pobliskich miejscowościach i przedstawiała się. Miała szczęście, jedna z nich zadzwoniła po kilku dniach z informacją, że będą potrzebować nowej kierowniczkę projektu. Katharina ledwie mogła uwierzyć.

Harald Hoch, szef, wyjaśnił jej, gdy podpisywali umowę o pracę:

– Nie chcę żadnej młodej panienki, która za chwilę pójdzie na urlop macierzyński. U pani rodzenie dzieci wygląda na zakończone. Witamy w naszym zespole.

Dla Kathariny zaczął się czas wyteżonej pracy, ale uwielbiała wychodzić rano z domu ładnie ubrana, opuszczać swój mały świat i wkraczać do nowego – ekscytującego. Szef osobiście ją przyuczał i od razu zauważył, że miała wycucie nie tylko do tekstów, lecz także do całej koncepcji kampanii reklamowych. Katharina szybko awansowała na ulubienicę Hocha, zabierał ją ze sobą do klientów, by przedstawiać im koncepcje, często też razem chodzili na lunch. Katharinę zaskoczyło to, że odbierała to iskrzenie między nią a szefem

jako przyjemne. W domu wszystko wydawało jej się ciasne i uciążliwe, często czuła na sobie badawcze spojrzenie Juliusa.

A potem nagle szczęście znów pożegnało się z nią w jedną noc: Katharina zaszła w niechcianą ciążę.

Gdy spojrzała na trzymany w dłoni pozytywny test ciążowy, wszystko wokół niej zawirowało, musiała przysiąść na brzegu wanny, tak jej się kręciło w głowie. Całymi dniami czuła się wykończona. Wiedziała, że tym razem by tego nie zniosła, po prostu już nie mogła, dochowała się trójki dzieci, dla których poświęcała wszystko oprócz pracy. Bliźniaki miały po dziesięć lat, Leonora pięć, Katharina kochała swojego męża, kochała swoją pracę, swoje wieczory z jogą, urlopy z Doris i Andreasem. Idealnie było tak, jak było, nie chciała żadnej zmiany, kontrolowała swoje życie – nawet jeśli ta decyzja nie przyszła łatwo i czuła się moralnie wykończona, była rozedrgana i rozkojarzona. W nocy przyglądała się swoim śpiącym dzieciom. Czy ma prawo ukryć to przed nimi, zabrać im brata, siostrę? Nie mogą się tego nigdy dowiedzieć, Julius też nie – nie wiedziała, jak by zareagował. Sama po kilku miesiącach już by o tym nie myślała, taką miała nadzieję.

Termin u lekarza był już ustalony, gdy Julius wieczorem – dzieci już spały – objął ją w kuchni i powiedział:

– Jesteś w ciąży, prawda?

Tak drgnęła, że nie było co zaprzeczać. Z jękiem przyznała, że owszem, a Julius bezgranicznie się ucieszył.

– To przecież wspaniale, Katharino! Późne dziecko! On albo ona będzie ukoronowaniem naszego związku. Powiedzmy to od razu dzieciom i Arthurowi.

Katharinie z trudem udało się go od tego odwieść i przedstawiła mu swoje wątpliwości, przede wszystkim natury finansowej – znów latami nie wniesie do domu żadnych pieniędzy. Dlaczego zredukowała to do pieniędzy? Przecież nie o to chodziło, wszystko w niej krzyczało: ja już tego nie chcę! Teraz moja kolej!

– Czy to takie ważne? – promieniał Julius. – Aż tak źle nie zarabiam. Ty dostajesz zasiłek na dzieci i możesz znów pracować

kilka godzin w tygodniu dla Arthura.

– Julius – powiedziała z naciskiem – posłuchaj, ja po prostu już więcej nie chcę. Mamy przecież trójkę dzieci! Nie chcę być więcej w ciąży i mieć czwartego dziecka! Nie chcę więcej oglądać pieluch, chcę...

Przerwał jej, kładąc jej palec na ustach, a potem łagodnie ją pocałował. Poprosił, żeby poczekała kilka tygodni z decyzją, a ona wiedziała, że to najgorsze rozwiązanie. To coś by rośło, wkrótce miałyby kończyny, stałoby się dla niej prawdziwym dzieckiem.

Julius nadal pozostał łagodny i opiekuńczy, rozpieszczał ją, jak tylko mógł, a ona w towarzystwie jego i dzieci czuła się podle i była rozdarta. Kiedy siedziała w biurze, doskonale wiedziała, co powinna zrobić, potem w domu się tego wstydziła. Raz Julius przyszedł do niej do biura wraz z dziećmi, były schludnie ubrane i najwyraźniej kazał im przedtem zachowywać się wyjątkowo miło i grzecznie. I rzeczywiście to ją rozczerwiło. Przejrzała jego zamiary. Chciał jej powiedzieć: czy to ci naprawdę zastąpi macierzyństwo?

Kilka dni później dzieci przy śniadaniu z uśmiechem zapytały matkę:

– Jak myślisz? To będzie chłopiec czy dziewczynka?

Katharina wrzała z wściekłości. Julius znów przemawiał do niej uspokajająco:

– Jesteśmy małżeństwem i mamy troje dzieci, Katharino. Jesteśmy rodziną! Nie możesz się go pozbyć, żałowałabyś tego już zawsze! Czy troje, czy czworo, to bez różnicy, one przecież rosną tak szybko. Zobacysz, myk, myk i zaraz pójdzie do przedszkola, a ty wrócisz do pracy.

Chociaż w środku wszystko się w niej buntowało, Katharina dała się Juliusowi przekonać, by zatrzymać to dziecko. Ponieważ cała rodzina już wiedziała o ciąży, nie widziała innej możliwości, czuła się zapędzona w ślepy zaułek. W końcu musiała poinformować też Hocha – to było dla niej jak pójście na szafot, jeszcze nigdy nie czuła się aż tak nieprzyjemnie. Hoch tylko spojrział na nią zdziwiony i nie powiedział słowa, ale Katharinie wydawało się, że jego spojrzenie wyraża nie tylko niezmierne rozczarowanie, lecz także pogardę.

Następne miesiące to była męka, a wzrok Hocha stał się nie do zniesienia. Szybko ją zastąpiono, ta nowa była – podobnie jak ona – wysoka i jasnowłosa. Przypomniała sobie, jak przed jedenastu laty przeżyła to samo w Wiedniu, i miała uczucie, że to się będzie wciąż i wciąż powtarzać.

Mój Boże, tkwię w zaklętym kręgu.

Lekkość, którą Katharina odczuwała w ostatnich latach, uleciała. Cięża przebiegała ciężko, tak samo było z porodem. Dziecko przyszło na świat w ciepłe popołudnie czerwca 2006 roku, było dziewczynką i dostało na imię Luisa. Po porodzie Katharina wpadła w głęboką depresję, zamknęła się, również przed Doris.

O wpół do trzeciej w nocy karmiła dziecko. O wpół do szóstej karmiła dziecko. O szóstej wstawiała i robiła śniadanie i kanapki do szkoły pozostałej trójce dzieci. O wpół do siódmej budziła bliźniaki, o siódmej budziła średnią. Przed południem sprzątała każdy pokój, odkurzała, myła podłogi, stawiała się przy tym agresywna, rzucała filiżanką o ścianę i krzyczała, krzyczała, krzyczała, prała, prasowała, jechała po zakupy, w przerwach karmiła małą. Gotowała obiad, jadła razem z Leonorą, odrabiała z nią pracę domową, karmiąc piersią. O drugiej podgrzewała obiad dla bliźniaków i słuchała zakreconych historii o nauczycielach („Oni w ogóle nie kumają!”) i kolegach z klasy („On jest kompletnie porąbany!”). Setny raz grała z Leonorą w Uno, kiedy bliźniaki odrabiały lekcje. Była przy tym śmiertelnie zmęczona i najchętniej przespałaby się z godzinkę. Sprawdzała prace domowe, karmiąc małą. Słuchała referatu o biedronkach (Victoria) i o wiewiórkach (Vincent). Grała w państwo, miasto, rzeka ze starszymi. Przegrała walkę z komputerem i miała wyrzuty sumienia. Szła z wózkiem na spacer i zabierała ze sobą Leonorę wbrew jej woli. Przyrządzała kolację i jadła ją z rodziną. Sprzątała kuchnię, bo Julius był na to zbyt zmęczony, wolał na sofie czytać gazetę.

Jaki, na miłość boską, takie życie miało cel i sens? Co było w nim dobrego? Dbać o cztery życia, jeśli się nie ma własnego? – myślała każdego wieczoru i powstrzymywała łzy.

A potem się tego dowiedziała.

Kiedy nie mówi się już przypadek, tylko los?

Gdyby Vincent nie oznajmił głośno przy śniadaniu, że chce w końcu zjeść znów na obiad sznycel, Katharina w ogóle nie pojechałaby tego dnia do supermarketu, albo gdyby pielucha Luisy przy wsiadaniu do samochodu nie była pełna, Katharina znalazłaby się tam kilka minut wcześniej i nie dowiedziałaby się. To wszystko by się nie zdarzyło. Nie kłóciliby się miesiącami, a Julius nie wyjechałby do Tyrolu, żeby pracować jako przedstawiciel medyczny. Wszystko potoczyłoby się inaczej.

Takie myśli bardzo często dręczyły Katharinę po śmierci Juliusa.

W supermarkecie w miasteczku Katharina natknęła się na Roberta, dawnego kolegę z pracy Juliusa w towarzystwie ubezpieczeniowym. Robert miał przed dwoma laty ciężki wypadek na nartach i od tego czasu był skazany na wózek inwalidzki, młoda przyjaciółka od razu go porzuciła, a była żona, gdy prosił ją, by pozwoliła mu zamieszkać we wspólnym niegdyś domu, tylko roześmiała mu się w twarz: „O nie! Zasłużyłeś na to wszystko!”. Od tego czasu Robert mieszkał sam w obskurnej kawalerce i upijał się każdego dnia już od rana. Julius był jedynym, który go od czasu do czasu odwiedzał.

W supermarkecie Robert wyjechał wózkiem z za rogu i niemalże staranował wózek Kathariny. Przeprosił ją, a ona potrzebowała dłuższej chwili, zanim go rozpoznała, tak się zaniedbał. Zauważyła, że był pijany, i szybko się pożegnała. Wtedy on dostrzegł w wózku Luisę – mała gapiała się na niego swoimi wielkimi, niebieskimi oczami – i zaczął się śmiać. Katharina odwróciła się z odrazą, a on bełkotał:

– Nie patrz tak na mnie, wielka damo.

Szła dalej, a on wołał za nią:

– Słodka ta mała, którą ci dorobił twój mężulek. Nie pokapowałaś, co? Twoje flirty z szefem mu się nie podobały! Chciał mieć z powrotem swoją kurę domową! Do wyłącznej dyspozycji.

Serce Kathariny biło szybciej, gdy spieszyła z wózkiem do kasy. Robert chyba się rozkręcił, bo krzyczał za nią:

– I miał rację! Wy, baby, jesteście po prostu szczytem wszystkiego! Szczytem!

Kilka osób już się do niego odwróciło, a Katharina najchętniej

zapadłaby się pod ziemię.

W samochodzie zauważyła, że drżą jej dłonie i kolana, a gdy dotarła do domu, zaczęła płakać. Wiedziała, że Robert mówił prawdę, co do tego nie miała żadnych wątpliwości, po prostu czuła, że tak musiało być. Jak mogła być tak ślepa i dać się złapać w pułapkę? Łuski spadły jej z oczu i uświadomiła sobie tak wiele z tego, co stało się potem. Jej myśli galopowały, bolała ją głowa.

Dziwne pytania Juliusa o miesięczkę (nigdy przedtem go to nie interesowało!), o jajczkowanie, jego namawianie do zrobienia przerwy w przyjmowaniu pigułek, do których jej ginekolożka już dawno ją przekonała, jego obietnica, że w tym czasie będzie sumiennie używał prezerwatyw. Czegóż to on nie robił. Z wyjątkiem...

Ten wieczór zapadł jej w pamięć, wieczór, podczas którego świętowali z Doris i Andreasem urodziny Juliusa. Sporo wypła i gdy poszli do łóżka, zaczęli się całować.

Więcej nie pamięta, nigdy przedtem jej się to nie zdarzyło. Musiała przez cały dzień zostać w łóżku, tak jej było niedobrze, i teraz znów było jej niedobrze, kiedy myślała o tym, co się prawdopodobnie wydarzyło. Tego wieczoru Julius mieszał koktajle. A potem – skąd wiedział, że była w ciąży, chociaż nie dała po sobie niczego poznać?

Wtedy poczuła w sobie najpierw pustkę, a następnie bezgraniczny gniew. Gdy Julius wrócił do domu, natychmiast skonfrontowała go z tym zarzutem i dostrzegła po jego minie, że to, o co go obwiniła, było prawdą. On zaprzeczał. Oboje krzyczeli na siebie godzinami, gdy dzieci lekko zaszyły się w swoich pokojach.

– Robert jest pijakiem, gada bzdury – powtarzał wielokrotnie, ale ona nie dała się uspokoić.

Nie mogła pojąć tego, co Julius jej zrobił. Kłócili się tygodniami i nabierali do siebie wrogości, a pewnego dnia Katharina wykrzyczała zdanie, które zdecydowało o tym, że Julius wypowiedział pracę w warsztacie i poszukał sobie nowej z dala od domu.

– Nienawidzę cię! – krzyczała. – Nienawidzę cię, nienawidzę cię! Niechbym cię nigdy nie poznała, ty zakłamany dupku!

Mijały tygodnie, stawały się miesiącami. Katharina od poniedziałkowego poranka do piątkowego wieczoru zostawała sama i naprawdę się uspokoiła. To, że powiedzenie „Czas leczy rany” ma uzasadnienie, odczuła na własnej skórze. Luisa rosła i wkrótce trudno było sobie wyobrazić, że mogłoby jej nie być, przyczyny i okoliczności jej spłodzenia przestały mieć znaczenie. Kiedyś zobaczyła Hocha z tą wysoką blondynką siedzących w jakiejś kawiarni i nie mogła się w duchu nie roześmiać na myśl o tym, jak jej następczyni nadskakuje szefowi. Jej własna próżność i pragnienie zrobienia na nim wrażenia po latach wydały jej się dziecinne.

Gdy Arthur ją zapytał, czy nie chce znów poszukać pracy w agencji reklamowej, teraz, gdy Luisa ma dwa lata, a on może się nią opiekować, Katharina ze śmiechem odpowiedziała:

– Nie, Arthurze, nie chcę już pisać żadnych reklam, teraz wydaje mi się to takie powierzchowne. Poszukam czegoś, co można robić w domu. Przy czwórce dzieci jest mnóstwo pracy, nie da się tego ogarnąć przy zaangażowaniu w coś innego. Wiem, że dałbyś radę, ale ja miałabym wyrzuty sumienia. Tu się całkiem sporo dzieje popołudniami.

Bliźniaki miały trzynaście lat i chodziły do gimnazjum, do którego uczęszczał kiedyś Julius. Katharina często musiała popołudniami uczyć się i ćwiczyć z Vincentem. Leonora chodziła do drugiej klasy podstawówki i potrzebowała matki przy odrabianiu prac domowych, Luisa wciąż biegała i trzeba jej było cały czas pilnować.

Mimo to do domu wkroczył spokój. Katharina czuła taką bliskość ze swoimi dziećmi jak nigdy dotąd. Musiała przyznać, że nieobecność Juliusa sprawiała jej przyjemność, nie musiała się kłócić, opadło z niej napięcie. Sama podejmowała decyzje, co oszczędzało jej nużących dyskusji. W końcu miała czas dla siebie i rozkoszowała się tym. Arthur ją wspierał, gdy potrzebowała pomocy, wiele robiły razem z Doris. Nie czuła się ani trochę samotna.

Rok później zaczęła pracować jako biografka. Podpowiedziała jej to Claudia.

– Niedawno jedna pacjentka wyznała mi: „Chętnie poprosiłabym o spisanie mojego życia dla dzieci i wnuków! To przecież takie

ważne, żeby zachować wszystko, co przeżyliśmy! Ale ja tego nie potrafię, nie umiem dobrze pisać i nawet z klawiatury nie mogę korzystać z powodu artretyzmu!” – opowiadała pewnego wieczoru, gdy Katharina przyszła do Doris i we trzy postanowiły wypić po kieliszku wina. – Wtedy pomyślałam o tobie, Katharino. Co myślisz o pracy biografki? Mnie się ten pomysł podoba. Potrafisz pisać i lubisz to robić, prawda? Dlaczego nie miałyby się to stać twoim nowym zawodem? Jest tak wielu starszych ludzi, którzy chcieliby spisać swoje życie, żeby wnuki mogły o nim poczytać. Potrzebujesz do tego tylko komputera i strony internetowej.

1978–1981: Arthur

Samotny wilk

W nocy dwunastego listopada 1978 roku Arthur z synem przyjechali do Bergmühle, jego rodzinnego domu. Miał trzydzieści osiem lat. Gdy położył dziecko do łóżka, wędrował z latarką od jednego pomieszczenia do drugiego – nie było prądu – i był przerażony dramatycznym stanem domu. Potem usiadł przy świeczce w zakurzonej kuchni i opróżnił butelkę czerwonego wina, obok niego w szafach i pod podłogą hałasowały szczury. Nie spał całą noc, prześladował go obraz oskarżycielskiej twarzy jego matki. Wiedział, że wszystko mogło pójść inaczej.

Ostatni raz był tu z powodu pogrzebu matki, niecały rok wcześniej. Po śmierci ojca – ten pewnego ranka się nie obudził – przez dwa lata mieszkała sama w tym wielkim domu, aż w styczniu tego roku zachorowała na ciężką gripę. Umarła tydzień później w szpitalu na niewydolność serca. Arthur, który w tym czasie pracował w Australii, zdążył akurat na pogrzeb i od razu z powodu ważnego projektu musiał wracać. Ignorował listy sąsiadki, notariusza i banku.

Nazajutrz poszedł pieszo na dół do wsi, z tym cichym dzieckiem za rękę. Odwiedził przyjaciółkę matki i pożyczył od niej samochód, bo miał tego dnia złożyć kilka wizyt w urzędach. Chciał między innymi zarejestrować swoje biuro architektoniczne i u niewielkiego handlarza samochodami w sąsiedniej miejscowości kupić sobie jakieś auto.

Od prowadzącego filię banku, nazywał się Leitner, dowiedział się, że rodzice zostawili kupę długów. Zupełnie go to zaskoczyło. Prawdopodobnie ukryli przed nim tę historię ze wstydu: często odwiedzał ich pewien młody mężczyzna i zyskał ich przyjaźń i zaufanie. Chciał zbudować obok starego, nieczynnego Bergmühle nowoczesny młyn. Leciwy ojciec Arthura, niegdyś namiętny młynarz, był tym projektem zachwycony i podżyrował wysoki kredyt, który

wziął ten młody człowiek.

– Wszyscy go ostrzegaliśmy – opowiadał Leitner. – Ale nie chciał nas słuchać, powiedział: „Martin (tak miał na imię ten człowiek) jest dla mnie jak syn, ufam mu”.

Tydzień później ten Martin wraz z pieniędzmi zniknął jak sen, podejrzewano, że wyniósł się do Ameryki Południowej, również detektyw nie potrafił go odnaleźć. Wszystko to działo się w połowie lat sześćdziesiątych i od tego czasu rodzice próbowali ze swoich emerytur i niewielkich oszczędności spłacać ten kredyt, ale nie bardzo im się udawało. Jego matka i ojciec dali się zatem nabrać oszustowi i nigdy nie mieli dość odwagi, żeby mu o tym powiedzieć. Arthur musiał to przełknąć, miał jeszcze większe poczucie winy. Gdyby chociaż trochę troszczył się o rodziców, toby się nie stało. Dlaczego tak ich zostawił na lodzie? Wyobraził sobie swojego dumnego ojca, gdy dotarła do niego wieść, że jako żyrant musi spłacić całą kwotę bankowi, który go ostrzegał, i to wraz z odsetkami, miesiąc w miesiąc. Jak trudne do zniesienia musiało być dla niego to upokorzenie.

– Pomagaliśmy mu, jak tylko mogliśmy – powiedział Leitner. – Przyznaliśmy jedną z najniższych stawek oprocentowania. Doradzaliśmy też sprzedaż lasu i łąk, ale sam wiesz, jak uparty był twój ojciec, nie chciał oddać ziemi. Zakładam, że teraz chętnie wypiłbyś kieliszek.

Arthur rzeczywiście potrzebował kieliszek i gdy go wychylił, spojrzał na chłopca, który siedział przy małym stoliku i kolorował narysowany w grubej książce traktor. Z profilu dostrzegł podobieństwo do Eve.

Oto gdzie się znalazł: w zaniedbanym domu, z małym dzieckiem, które wydawało mu się obce, i z mnóstwem długów. Poza tym nie było wiadomo, czy biuro architektoniczne tu, na prowincji, będzie dobrze prosperować, ale nie miał wyboru, ze względu na dziecko nie mógł codziennie jeździć do miasta, to było o wiele za daleko.

Dla Arthura zaczął się okres intensywnej pracy. Oszczędnościami z ostatnich piętnastu lat (jako architekt dobrze zarabiał i nie musiał utrzymywać rodziny) spłacił większą część długu rodziców, ale musiał

wziąć dodatkowy kredyt, żeby sfinansować remont domu, który bezzwłocznie zaczął. Przy rejestracji biura władze rzuciły mu kłody pod nogi, ponieważ dotychczas uprawiał swój zawód tylko za granicą. Burmistrz pomógł Arthurowi, zlecając mu w imieniu gminy dwa duże zadania – miał zaprojektować przedszkole i obiekt sportowy z basenem, boiskiem do piłki nożnej i kortem tenisowym – a poza tym zgłosił władzom pilne zapotrzebowanie na architekta w tej okolicy. Dwa dni później Arthur dostał pozwolenie i rzucił się do pracy.

Dziwił się ludziom w P. Przyjęli go bez uprzedzeń i wciąż proponowali mu pomoc, nie zadając wielu pytań, dlaczego tak długo go nie było i co robił. Gdy szedł z dzieckiem na zakupy albo siedział w gospodzie przy posiłku, często zdarzało się, że ludzie do niego podchodzili, podawali mu z uśmiechem rękę i mówili:

– Świetnie, że znów tu jesteś.

Wspierała go na początku zwłaszcza sześćdziesięcioletnia rezolutna Philomena, przyjaciółka jego matki, która pod koniec życia jego rodziców troszczyła się o nich. Pomagała mu w pierwszych tygodniach przy sprzątaniu domu i opiekowała się Juliusem. Często wpadała niezapowiedziana z obiadem i zabierała brudne rzeczy, żeby je uprać i przynieść wyprasowane.

Gdy myślał o swoich starych, samotnych rodzicach, czuł, że zupełnie nie zasłużył na to serdeczne przyjęcie, i było mu wstyd. Myślał też o sobie, o tym, jak w wieku osiemnastu lat uciekł z tej miejscowości, bo wówczas uważał życie na wsi za kołtuńskie, konserwatywne i pozbawione kultury. Teraz, dwadzieścia lat później, te myśli wydawały mu się stereotypowe.

Oprócz remontu domu i pracy na Arthurze spoczywała też opieka nad synem, i ze wszystkich wyzwań to było największe.

Na początku z trudem znosił sposób bycia tego dziecka, musiał się dzień po dniu na nowo starać, by pozostać dla niego miłym. Chłopak ewidentnie go nie lubił, nie dawał się dotknąć, wzdrygał się z piskiem, jeśli to zrobił. Nigdy nie patrzył mu otwarcie w oczy, zawsze spuszczał wzrok, zazwyczaj z płaczem.

Gdy Arthur zlecał mu jakąś drobną pracę, najpierw się oglądał, czy ojciec na niego patrzy, i dopiero wtedy zaczynał ją wykonywać.

Wydawało się, że wciąż kalkuluje, jak ma postąpić, jego zachowanie sprawiało wrażenie nienaturalnego, nieautentycznego, jakby był aktorem na scenie.

Arthur podarował mu małego kotka, żeby ułatwić dziecku przyzwyczajenie się do nowego otoczenia; był to żwawy zwierzak, który wymagał uwagi i chciał się bawić z Juliusiem. Arthur to doceniał. Pewnego dnia kot zniknął. Arthur znalazł go w końcu martwego w rogu na strychu, truchło nieznośnie śmierdziało. Gdy przycisnął chłopca, ten powiedział, konsekwentnie unikając jego spojrzenia, że już od dawna nie widział kotka i nie wie, dlaczego był martwy, może wczołgał się pomiędzy worki i tam się udusił, dodał.

Kiedyś zadzwoniła nauczycielka i wezwała go do szkoły. Jego syn omal nie odgryzł innemu dziecku płatka ucha, rana wymagała szycia. Powiedziała, że trudno jej uwierzyć, że ten cichy, introwertyczny Julius jest zdolny do czegoś podobnego. Arthur natychmiast uwierzył. Tym razem Julius nie zaprzeczał, ale też nie potrafił wyjaśnić, dlaczego to zrobił, w jego oczach błyszczało tyle nienawiści, że Arthur się przestraszył.

Julius tygodniami nie odzywał się do niego ani słowem, a jeśli Arthur obstawał przy odpowiedzi, szeptał coś po angielsku. Siedział tylko i nie dawał się niczym zainteresować. Arthur chciałby mieć pełnego energii syna, który otwarcie patrzy mu w oczy, wdrapuje się na kolana, przygląda z podziwem jego pracy, zręcznie posługuje się narzędziami; syna, który do niego zawoła: „Hej, tato, pogramy teraz w piłkę albo poganiamy się?”.

W Juliusie kryła się pewna podstępność i Arthurowi przemykała czasem myśl: to przecież nie jest syn mój i Eve. Za każdym razem sam siebie napominał, postanawiał być dla niego cierpliwszy, ale w gruncie rzeczy przeszkadzała mu obecność tej małej istoty z cienkimi czarnymi włosami i rozbieganymi oczami.

Tylko jedno podobało się Arthurowi w jego synu: Julius pokochał Bergmühle od pierwszego wejrzenia. Kiedyś Arthur powiedział żartem do pewnego murarza, że chce zburzyć ten dom i zbudować nowy, bo tak będzie taniej. Na co Julius wykrzyczał swoje pierwsze słowa po niemiecku: „Nie, nie, nie!”.

Arthur nie mógł się nie roześmiać, teraz wiedział, że jego syn rozumie większość tego, co do niego mówi. Wtedy pierwszy raz w swoim wspólnym życiu z synem poczuł do niego czułość. Podniósł go wysoko i obiecał:

– Oczywiście, że nie zostanie zburzony. Pięknie go wyszykujemy.

Gdy wiosną powoli się do siebie zbliżali, doszło do kolejnego incydentu: w klasie pojawiły się wszy, prawie każde dziecko je miało, również Julius. Arthur nie wiedział, co ma zrobić, więc poszedł prosto do fryzjerki, która odesłała go do domu, z ubolewaniem informując, że nie może obsłużyć nikogo, kto ma wszawicę. Poradziła mu jeszcze, by kupił w aptece szampon przeciwko wszom, a tam z kolei dostał wskazówkę, żeby ostrzyć Juliusowi golarką włosy bardzo krótko, a dopiero potem umyć je szamponem. W sklepie elektrycznym kupił golarkę i ogolił nią głowę Juliusa, który siedział na krześle jak sparaliżowany. Żeby dodać chłopakowi odwagi, sobie też ogolił głowę, ale to chyba nie pomogło, podobnie jak i to, że następnego dnia prawie wszyscy chłopcy w klasie byli krótko ostrzyżeni. Julius znów wiele dni nie odezwał się ani słowem.

Miesiąc później wkroczyła w ich życie Renate i zrobiło się lepiej. Pracowała w szkole podstawowej i przejęła klasę Juliusa, gdy jego poprzednia nauczycielka ciężko zachorowała. Arthur zakochał się w wesołej i pełnej humoru Renate z krótkimi brązowymi włosami i zaczął się piękny okres, nie tylko dla niego. Czuł, że również Juliusowi częsta obecność kobiety dobrze robi.

Po dwóch latach Renate jasno mu powiedziała, że oczekuje więcej, chce żyć razem z Arthurem, a nie tylko bywać gościem w jego domu, i mieć własne dzieci, poza tym jej rodzina życzyłaby sobie jasnych stosunków, czytaj: ślubu. Arthur ociągał się i zwlekał, idealnie pasowało mu status quo, na więcej nie umiał się zdecydować. To, że Renate mieszka z nim w domu, mógł sobie wyobrazić, ale nie chciał drugi raz się żenić, a przede wszystkim mieć więcej dzieci. Po prostu nie mógł, nawet jeśli bardzo pragnął, żeby została, wszystko w nim się przeciwko temu buntowało.

Ponieważ pojawił się konkurent, młody lekarz z miasta, który wytrwale zabiegał o jej względy, postawiła Arthurowi ultimatum.

Tego wieczoru wypili za wiele i Arthur, pijany, padł nawet przed Renate na kolana.

– Proszę, zostań ze mną, bez ciebie moje życie jest beznadziejne – powiedział.

– Pozwól mi się do ciebie wprowadzić i zrób mi dziecko – odparła ona i padła obok niego na kolana.

– Pozwolę ci się do siebie wprowadzić i będę cię rozpieszczał przez całe życie, ale nie zrobię ci dziecka i nie ożenię się z tobą, jeśli to jest kolejne żądanie – mówił. – Po prostu nie mogę, Renate, nie mogę, nie mogę, nie mogę, ale to nie znaczy, że uszczęśliwię cię mniej niż ten... ten konował.

– A ja nie mogę, nie mogę, nie mogę zrezygnować z własnej rodziny – powiedziała cicho.

– Julius i ja jesteśmy twoją rodziną – odpowiedział Arthur.

– Wiesz, że to nie to samo! – odrzekła Renate.

Arthur milczał.

– Jesteś tchórzem – rzuciła. – I pewnego dnia będziesz tego żałował.

Tydzień później zaręczyła się z lekarzem i przeniosła do miasta. Gdy opróżniała swoje mieszkanie w P., cały czas miała nadzieję, że Arthur pojawi się z różami w ręku i zaproponuje jej małżeństwo. Nie przyszedł.

Okazało się, że się przeliczyła. Wprawdzie do obłędu tęsknił za Renate, zwłaszcza w pierwszych miesiącach, ale nigdy nie żałował swojej decyzji, żeby nie zakładać już rodziny. Na to czuł się zbyt zmęczony.

Historia Thomasa

Tak często, jak to możliwe, spotykam się w nocy z Ludovicą w gabinecie zabiegowym. Tam nikt nam nie przeszkadza i nie musimy się bać, że inni pacjenci się obudzą. Teljan zarządził, aby zawsze przydzielano jej nocny dyżur, nie chce, aby rozmawiała czy wręcz zaprzyjaźniała się z pacjentami. Pracuje od jedenastej wieczór do siódmej rano, potem ktoś ją zmienia. Do południa może się przespać, po południu godzinami gra na fortepianie albo pomaga w kuchni. Nie ma wolnej ani jednej nocy.

Szepczemy ze sobą, opowiadamy sobie wiele o naszym dzieciństwie. Ona mówi o podróżach, koncertach, publiczności, brawach i o tym, jak bardzo tęskni za tym światem. Ale najbardziej tęskni za swoją rodziną. Opowiada o rodzicach i siostrze z takimi szczegółami, że wyobrażam ich sobie tak dokładnie, jakby stali przede mną.

W końcu mam odwagę zapytać, dlaczego zabiła tego rosyjskiego oficera. Pamiętam, że niechętnie o tym mówi.

– Rosyjski żołnierz chciał zgwałcić moją siostrę. Miała dopiero czternaście lat! Wzięłam pistolet ojca i go zastrzeliłam. To było okropne! Wszędzie była krew, a ten martwy mężczyzna leżał na mojej siostrze!

Płacze w rozpacz, a ja ją podtrzymuję. Uwielbiam jej zapach. Wszystko w niej uwielbiam. To, jak wygląda, jak mówi, jak się porusza, jak drgają jej brwi, gdy coś się jej nie podoba, jak marszczy się jej nos, zanim zacznie się śmiać.

Pewnej nocy przychodzi i szeptuje podekscytowana:

– Pogoda jest dziś idealna, musimy ruszać. Przyjdź za godzinę do toalety.

Jestem przerażony i zrozpaczony. Ta cała sprawa, nasz plan, to na poważnie. Czy powinienem jej powiedzieć, że uważam jej plan za nierealny, że z nią nie pójdę? Tak bardzo się boję, że nas schwytają,

że później będzie jeszcze straszniej. Ale nagle uświadamiam sobie, że gorzej już nie może być. Boję się wprawdzie, ale jej ufam. Zrobiłbym wszystko, żeby nie wracać do kopalni! Wszystko wydaje się lepsze od tego. A jeśli razem utoniemy w morzu, myślę, jest mi wszystko jedno. Tylko żeby nie wracać tam, gdzie panuje wieczna noc, gdzie się haruje jak zwierzę i nie ma żadnej radości, żadnej nadziei, że się jeszcze kiedyś zobaczy ojczyznę.

Gdy wszyscy pacjenci w sali chrapią, wyślizguję się do toalety. Przedtem układałam na łóżku pościel tak, jakby ktoś w niej leżał, bo do świtu nikomu nie może rzucić się w oczy, że mnie nie ma. Ludovica czeka na mnie w toalecie i wręcza mi ubranie i plecak, a do tego słoiczek pełen śmierdzącego tranu. Rozbieramy się i smarujemy tym tranem. Jeśli wpadniemy do wody, to może nam uratować życie. Pierwszy raz widzę nagą kobietę. W jakże osobliwej sytuacji!

– Po co te grube watowane ubrania? – pytam ją. – Jest lato i ciepło na dworze.

– Na morzu jest lodowato, zobaczysz – odpowiada.

Ubieram się, a przy tym cały czas dygoczę z nerwów. Wychodzimy przez okienko i zamykamy je od zewnątrz. Pochyleni, jak najszybciej wybiegamy z małego obozu, który przed rokiem pomagałem budować. To, że nie mieszkają tu więźniowie, działa teraz na naszą korzyść, nie ma prawie żadnych środków ostrożności, żeby zapobiec ucieczce. Nie jest specjalnie ciemno, tylko mlecznobiało, noce tu, na północy, na wschodnim przylądku, nie są latem prawdziwymi nocami, dopiero zimą robi się znów ciemno. To z jednej strony zaleta, bo nie potrzebujemy latarki, z drugiej strony łatwiej nas dostrzec.

Ludovica prowadzi nas przez zarośla prosto do portu. Zna drogę, bo po długich błaganiach mogła dwa razy towarzyszyć Teljanowi i strażnikom, gdy odbierali skrzynie z zaopatrzeniem. Po niecałej godzinie widzimy z góry port, przed nami jest bardzo strome zbocze.

– Nigdy nie zejdziemy tędy na dół, połamiemy sobie karki – mówię.

– Zejście szosą potrwałoby zbyt długo, nadłożylibyśmy drogi, chodź już – szepcze. – I zapamiętaj: bez względu na to, co się stanie, w żadnym wypadku nie krzycz. A w porcie nie możemy zamienić słowa, nawet po cichu.

Schodzi przede mną, ja idę za nią. To, co robimy, jest obłędem, można nas zobaczyć z portu, myślę jeszcze, zanim ześlizgnę się i spadam. Omal nie krzyczę ze strachu, muszę stłumić głos siłą, wymyka mi się tylko jęk. Na dole uderzam o ziemię i moje prawe ramię przenika ból. Ludovica ślizgiem pokonuje kilka ostatnich metrów i podchodzi do mnie. Pomaga mi się podnieść i dalej biegniemy razem. Kieruje mnie do małej łódki, zacumowanej z dala od innych. Jest otoczona luźnymi lodowymi krami.

Kiedy wsiamam do chybotliwej łodzi i obmacuję dno w poszukiwaniu wiosła, ona odwiązuje cumę. Potem obydwójce odsuwamy wiosłami małe lodowe kry na bok i wiosłujemy ile sił. Łódka ma mniej więcej cztery metry i jest z drewna. Ludovica wie o niej tyle, ile opowiedziała jej młoda czukocka kobieta, która pracuje w kuchni i z którą się zaprzyjaźniła. Ludovica w zeszłym roku, podobnie jak ja, uczyła się rosyjskiego. Dialekt tej kobiety sprawiał jej jednak czasem trudności.

Ta mała Czukczyjka nazywała się Unna i zawsze, gdy były same, opowiadała Ludovice o kulturze i tradycjach jej ludu, który Stalin wyśmiewał.

Czucze są ludem podobnym do Eskimosów, mieszkają w jarangach – namiotach ze skóry reniferów. Ci osiedleni nad brzegiem morza żyją z polowań na morsy i wieloryby, ci zaś, którzy mieszkają w tundrze, z hodowli reniferów. Łódki Czuczów znad morza nazywają się *bairadas*, są zbudowane z drewnianej ramy i pokryte skórą morsów. Oprócz nich używa się też większych łodzi z drewna i aluminium do polowania na morsy i wieloryby. Podczas trzech letnich miesięcy myśliwi muszą złowić tyle zwierząt, żeby ich rodziny mogły przeżyć zimę.

Unna kochała swoją ojczyznę, Czukotkę, ale nienawidziła Związku Radzieckiego i często płakała. Zabrano jej dzieci, żeby wychować je w domu dziecka na prawdziwych radzieckich towarzyszy. Jej mąż zginął dwa lata temu podczas polowania na morsy. Wyszedł z innymi wiele kilometrów na pak lodowy, by dotrzeć na otwarte morze, gdzie można spotkać morsy. Ale tam lód jest zdradziecki, może pęknąć, mogą utworzyć się w nim rysy. Kawałek kry się oderwał i zabrał

mężczyznę w morze, inni myśliwi nie mogli zrobić nic, tylko patrzeć. Wszyscy wiedzieli, że jego szanse na przeżycie są bliskie zera i że taka śmierć jest straszna.

– Ktoś, kto odpływa na krze lodowej w morze, staje się *teryky* – opowiadała Unna. – To olbrzymi potwór w futrze. Tak mówią nasze legendy. Jeśli taki *teryky* wróci, rodzina musi go zabić, wtedy uwolnią go od jego losu.

Wiosłuję tak szybko, jak mogę, mam wrażenie, że ręce mi odpadną. Wszędzie dookoła pływają lodowe kry i to wszystko utrudnia. Dzięki Bogu, są nieduże i możemy je odsunąć wiosłami. Im bardziej oddalamy się od portu, tym jest ich mniej.

– Musimy dotrzeć w nocy jak najdalej – wyjaśniała mi kilka dni temu Ludovica. – Gdy rano odkryją nasze zniknięcie, najlepiej, żebyśmy byli już po drugiej stronie. Przeszukają najpierw port, żeby sprawdzić, czy nie brakuje jakiejś łódki.

Gdy już jesteśmy daleko w morzu, Ludovica chce włączyć silnik. Nie działa. Próbujemy znów i znów.

– Może nie ma w nim benzyny – mówię w rozpaczy.

Chybotliwość łódki i niezmierzone wody wokół mnie sprawiają, że bardzo się boję. To dla mnie coś zupełnie nieznanego – wprawdzie często pływałem łódką, ale tylko na jeziorze, nigdy na otwartym morzu. Jeszcze nigdy nie byłem nad morzem. Moja umiejętność pływania jest bardzo ograniczona.

W końcu silnik powoli, z terkotem zapala. Oddychamy z ulgą.

Ludovica siedzi przy rumplu i próbuje ostrożnie ominąć ostatnią krę.

Łódka, turkocząc, posuwa się naprzód, a ja mocno trzymam się burty. Wiatr i woda chłozczą mnie po twarzy. Jest lodowato i mokro, cieszę się, że włożyłem watowaną kurtkę i czapkę.

Gdy wstaje świt, widzimy po lewej przed nami ląd. Wiem od Ludoviki, że to muszą być Wyspy Diomedesa. Chociaż oddzielone wąskim przesmykiem, nawet z niewielkiej odległości stapiają się w jedną wyspę. Na ich brzegach oprócz morsów siedzi mnóstwo ptaków, a ich stada nagle zrywają się nad wodę. W górę wznoszą się też fontanny wypuszczane przez wieloryby, a przez hałas silnika

przebijają się pomruki morsów. Mlecznobiała noc znów zamienia się w dzień, wschodzi czerwone słońce.

Lu w skupieniu steruje, ja siedzę przed nią. Zostawiamy wyspy za sobą. Płyniemy i płyniemy, wydaje mi się, że całą wieczność. Chociaż teraz świeci słońce, jest zimno i wilgotno. Mój lęk wciąż rośnie. Tymczasem strażnicy już dawno odkryli nasze zniknięcie i nas szukają. W każdej chwili szybsza łódka może się pojawić za nami.

A potem, gdy nadchodzi wieczór, widzimy w oddali wybrzeże. Z nierównego niebieskiego paska na horyzoncie powoli robi się ląd z szarobrazowymi skałami, kamienistymi przylądkami i zielonymi dolinami.

– To musi być Alaska! – krzyczę.

– Uda nam się, Thomasie, uda nam się – mówi szczęśliwa Lu. – To niewiarygodne.

Poruszamy się szybko i patrzę na ciemną, groźnie wyglądającą wodę. Odwracam się i z dumą spoglądam na Ludovicę – bez niej nigdy nie odważyłbym się na ucieczkę, nie miałbym pojęcia o morzu czy łódkach. W tym momencie, trwa to tylko ułamek sekundy, wszystko wydaje mi się przygodą. Przygodą z najodważniejszą dziewczyną świata u mojego boku. Dziewczyną, którą kocham.

Potem go dostrzegam i nie potrafię pojąć tego zjawiska. Jakiś potwór wyskakuje z wody mniej więcej trzydzieści metrów od nas i z powrotem elegancko się zanurza. Jest olbrzymi i napędza mi stracha. Silne fale rzucają łódką. Muszę się trzymać, żeby nie wypaść za burtę. Jest mi niedobrze.

– O mój Boże, czy to wieloryb?! – krzyczę.

Ludovica kiwa ze strachem głową i przeszukuje wzrokiem otoczenie.

Potem dochodzi do zderzenia z olbrzymim szarym zwierzęciem. Jak znikąd wynurza się z głębiny i taranuje naszą łódkę. Wszystko dzieje się tak szybko! Widzę przed sobą coś śliskiego, podobnego do szarej ściany, tak blisko, że można tego dotknąć, i to natychmiast znika w wodzie. Łódka się unosi i wywraca do góry dnem. Kiedy wypadam, myślę jeszcze, że to chyba jednak nie był wieloryb, tylko teryky.

Wpadam do lodowatej wody. Jest tak zimna, że paraliżuje całe ciało. To straszne, nadchodzi panika. Gruba watowana kurtka nasiąka wodą i ciągnie mnie w dół. Z całych sił poruszam rękami i nogami, wypływam na powierzchnię. Rozglądam się i nie widzę Ludoviki.

Przeżony wykrzykuję jej imię.

1997–2001: Julius

Mrs. Robinson

Julius i Katharina szli w rześki wieczór spacerem do domu Claudii. Kobiety poznały się przed tygodniem i Claudia zaprosiła ich oboje na kolację, na której miał być też chłopak Doris, Andreas. Katharina przed planowaną kolacją była trochę podminowana, wzięła Juliusa za rękę i przez cały czas paplała o pociesznych zabawach językowych Vincenta.

– Wyobraź sobie, ten mały skrzat pyta mnie dzisiaj: mama, chcesz przeżyć ze mną przygodę? – opowiadała. – To było niewiarygodne słodkie!

Julius słuchał tylko jednym uchem, był spięty, ale nie chciał dać tego po sobie poznać. Zobaczyli przed sobą dom, na pierwszym piętrze paliło się światło, Doris machała do nich z otwartego okna.

Gdy weszli i stanął przed kobietą, która od lat osładzała mu życie, poczuł się zupełnie nieprzygotowany na to spotkanie. O dziwo, podczas tych dwóch lat, odkąd znów mieszkał w rodzinnej miejscowości, nigdy jej nie spotkał, może dlatego, że to Katharina robiła zakupy, a on nigdy nie miał nic do załatwienia we wsi. Widział ją tylko dwa razy, gdy przejeżdżała obok autem.

Teraz stał naprzeciwko niej i przetaczała się przez niego fala pożądania, chciał się przed tym obronić, ale nie mógł. Bał się, że straci nad sobą kontrolę, i to po wszystkich tych latach! Pewnie dlatego, że tak na niego patrzyła, tkliwie i badawczo jednocześnie, czuł skurcze w brzuchu i podczas kolacji musiał dwa razy wyjść do toalety. Do swojego odbicia w lustrze powiedział: „Teraz jesteś dorosłym mężczyzną, w stałym związku, a poza tym ojcem dwójki dzieci! Nie jesteś już wyrostkiem jak wtedy, więc weź się w garść!”.

– Dobrze wyglądasz – zwróciła się do Juliusa Claudia i przypaliła mu papierosa.

Palili w milczeniu. Oboje stali na balkonie; wewnątrz, w kuchni,

siedzieli Doris, Andreas i Katharina.

– Twoja przyjaciółka jest bardzo ładna i miła – powiedziała i wydmuchała mu dym w twarz.

– Tak, ale to już właściwie wszystko – odrzekł on.

– Ach, Juliusie – westchnęła Claudia i delikatnie chwyciła go za ramię. – Co się dzieje?

– Ona jest nudna – odpowiedział Julius i głęboko się zaciągnął.

– Ma codziennie robić dla ciebie striptiz? – roześmiała się Claudia.

– Mój Boże, macie dwoje małych dzieci, to bardzo męczące dla twojej żony.

– Nie wiem – powiedział Julius. – Powinna przykuwać moją uwagę, wciąż na nowo budzić moje zainteresowanie, być ekscytująca, powinna patrzeć na mnie, jakbym był jej bohaterem. Ale ona jest wciąż zmęczona i rzadko miewa ochotę na seks.

– To przecież normalne – stwierdziła Claudia.

– Nie, to nie jest normalne – zaprotestował Julius i zgasił papierosa.

– Patrzy na mnie z cierpieniem i wyrzutem, a ledwie Arthur stanie w drzwiach, promienieje i papla. Ani śladu zmęczenia.

– A, tu cię boli – powiedziała Claudia, lekko przechyliła głowę na bok i przez chwilę go obserwowała. – Teraz bardzo przypominasz mi tego piętnastolatka, który wciąż skarżył się na ojca.

Julius musiał się uśmiechnąć.

– A ty przypominasz mi trzydziestopięciolatkę, która leży w negliżu na łóżku i kiwa palcem na tego piętnastolatka – odparował.

Cicho się roześmiała i ten śmiech wydał mu się niewiarygodnie zmysłowy. Otworzyła drzwi balkonowe i już chciała wejść do kuchni, wtedy on ją zatrzymał i powiedział:

– Wciąż jeszcze wyglądasz fantastycznie, wiesz?

Na to ona ujęła jego głowę w dłonie i lekko pocałowała go w czoło. Juliusowi wydawało się, że widzi w jej oczach łzy.

Przy stole w salonie akurat trwała narada, na jaki kolor Doris ma pomalować poczekalnię i swój gabinet weterynaryjny. Jaki kolor uspokoi zwierzęta, jaki je przestraszy? Katharina optowała za ciepłym pomarańczem, Andreas proponował, by namalować na ścianach czarne spirale, żeby zahipnotyzować pacjentów. Wszyscy zgodzili się,

że nie ma pojęcia o zwierzętach, i ze śmiechem obrzucili go serwetkami.

Claudia podała deser, tiramisu. Odkorkowali kolejną butelkę wina.

– Tiramisu mamy jest najlepsze na świecie, dosłownie rozplywa się w ustach – powiedziała Doris i przesłała Claudii całusa.

Przez chwilę rozmawiali o przepisach na tiramisu, potem znów o urządzaniu gabinetu weterynaryjnego na parterze. Kiedyś był tam sklep rzeźniczy dziadka Doris, ale od piętnastu lat pomieszczenia stały puste. Claudia zaproponowała Doris, że weźmie urlop i pomoże jej przy malowaniu.

Julius rejestrował głosy jako przyjemną paplaninę wokół siebie, czuł się dobrze. To był normalny związek matki z córką, dobrze funkcjonująca rodzina, nawet jeśli niewielka, teraz dołączył do niej Andreas. Rodzina, której członkowie nawzajem się szanują, otwarcie okazują sobie życzliwość i zainteresowanie, w której nie ma fałszywej uprzejmości, starania się, strachu przed kompromitacją. Również wtedy, przed dziesięciu laty, to mu się w tym domu podobało. Zawsze pragnął takiej rodziny, zazdrościł tego Doris, Claudii i Andreasowi.

Pomiędzy Arthurem a sobą czuł gruby mur, którego nie umiał pokonać. Na ten mur składały się obawa, zakłopotanie, lęk, że bez względu na to, co zrobi, to tak czy owak nie spodoba się to ojcu, a także wciąż jeszcze wybuchająca w nim nienawiść. Często łapał się na myśli, że marzy o śmierci Arthura. Wtedy Bergmühle należałoby w końcu wyłącznie do niego, a także Katharina, ona przecież też należała do niego, Juliusa, to jego żoną przecież była! Co poszło nie tak? Dlaczego takie mury powstają również między nim a nią?

Julius z przyjemnością jadł tiramisu i myślał o ich pierwszym spotkaniu w Wiedniu, gdy Arthur i on kupili Katharinie kwiaty, a potem zabrali ją, żeby we trójkę zjeść kolację i uczcić ciążę.

„Pięknie to uczcimy” – powiedział wtedy Arthur i tego wieczoru wyrwał ich z rozpacz.

Julius wręczył Katharinie wielki bukiet róż – Arthur nie pozwolił mu za niego zapłacić – a ona dla żartu dygnęła i podziękowała. Gdy ojciec później dał jej znacznie mniejszy bukiet – to były goździki, Arthur uwielbiał goździki, uważał, że są w świecie kwiatów

niedoceniane – Katharina się zaczerwieniła i to był ten rumieniec, który tak bardzo Juliusa irytował. Arthur ewidentnie zrobił na niej duże wrażenie.

W restauracji Julius chciałby w tak nieskrępowany sposób rozmawiać ze swoim ojcem, jak robiła to jego ciężarna dziewczyna. Opowiadała mu tak wiele o swoim życiu. Gdy on mówił z ojcem, rozmowa składała się z pustych słów, frazesów, czasem nawet nie udawało mu się spojrzeć Arthurowi w oczy.

Kiedyś podsłuchiwał, jak Katharina rozmawia przez telefon, w szczegółach przedstawiała swojej matce przeprowadzkę na wieś, do Bergmühle. Wspominała przy tym wiele o Arthurze, co powiedział i co zrobił, Arthur to, Arthur tamto. Mówiła na przykład: „Ten człowiek to dla mnie fenomen, nie gada za wiele, tylko po prostu działa, a najlepsze jest to, że zawsze robi to, co trzeba!”. Na koniec padło zdanie: „To po prostu prawdziwy mężczyzna”.

Juliusowi robiło się w przedpokoju na przemian zimno i gorąco. Zatem to Arthur był prawdziwym mężczyzną. A kim był on? Najwyraźniej w oczach swojej dziewczyny nie był prawdziwym mężczyzną. W tym momencie pierwszy raz przemknęła mu ta myśl: życzenie, żeby szlag trafił ojca. Bo – ta myśl także mu zaświtała – przy swoim ojcu nigdy nie zdołałby się stać mężczyzną.

Zadzwoił telefon Andreasa, jego matka potrzebowała go pilnie w domu, żeby zanieść ojca do łóżka. Julius dobrze znał historię tej rodziny. Straszny pan miał stwardnienie rozsiane i od wielu lat siedział w wózku inwalidzkim jak olbrzymia, nieforemna kupa mięsa, niezdolny do poruszenia czymkolwiek. Tylko po oczach widać było, że w tym ciele wciąż jeszcze tliło się życie, no i mógł nadal mówić, chociaż bardzo niewyraźnie.

Andreas, który zapisał się do Wyższej Szkoły Technicznej i błyszczał na zajęciach z fizyki, chemii i matematyki, przedtem wyjechał z Doris do Wiednia i tam chciał studiować fizykę. Choroba ojca zmusiła go do pozostania na wsi, przejęcia warsztatu mechanicznego (dlatego maturzysta z wyróżnieniem musiał odbyć naukę u mechanika) i pomocy matce w opiece nad ojcem. Chłopak był najmłodszy z pięciorga dzieci, ale to jego właśnie choroba ojca

dotknęła najbardziej. Był nadzwyczaj współczującym człowiekiem, i to dosłownie: codziennie współodczuwał chorobę ojca. Kiedyś przez cały dzień siedział w wózku inwalidzkim i starał się jak najmniej poruszać. Nie udało mu się wytrwać choćby przez dwie godziny, miał wrażenie, że zwariuje, i pobiegł z płaczem do swojego pokoju. Chociaż pisanie wypracowań nie przychodziło mu łatwo, na pisemnej maturze z niemieckiego jako jedynemu udało mu się dostać najwyższą ocenę. Klasa musiała zinterpretować wiersz Rilkego *Pantera* i Andreas zaczął swoje wypracowanie słowami: „Pantera w wierszu Rilkego przypomina mi mojego ojca. Tym, czym dla tego czarnego zwierzęcia jest klatka, dla mojego ojca jest jego chore ciało. «Jej wzrok znużony gonitwą wytrwałą nie widzi nic, miganie tylko krat»². Oczy mojego ojca każdego ranka, kiedy pomagam mu wstać z łóżka, wyglądają na równie zmęczone...”. To wypracowanie wydrukowano w gazetce maturalnej.

Zanim szybko zbiegł po schodach, Andreas mocno uścisnął rękę Juliusowi i poklepał go serdecznie po ramieniu:

– No, będziemy się teraz z pewnością częściej widywać.

Doris ruszyła z Kathariną na dół, na parter, chciała nowej przyjaciółce pokazać przyszły gabinet. Claudia zaczęła sprzątać ze stołu i poszła do kuchni.

– Pomogę przy sprzątaniu, dobrze? Znam przecież rozkład mieszkania – zaproponował Julius, gdy obie młode kobiety wyszły z kuchni. Widział jeszcze, że Katharina z chichotem wzięła Doris pod rękę. Ostatnio lubiła chodzić ze wszystkimi pod rękę.

Julius zaniósł brudne talerze z salonu do kuchni, gdzie już czekała na niego Claudia. Stała przy zlewie i wyciągnęła do niego ręce, żeby odebrać stos talerzy, dotknęli się przy tym.

Impet, z jakim Claudia go objęła i pocałowała, niemal go powalił. Kilka sekund później siedziała na kuchennym stole i namiętnie się kochali. Ona go wzięła, nie on ją. Czuł wilgotne ciepło jej wnętrza, wodził dłońmi po jej udach i szczęśliwy stwierdził, że wciąż są szczupłe i napięte jak kiedyś. Chciwie chłonał jej zapach. Jak bardzo za nią tęsknił, i za jej cudownym ciałem!

– Będę mógł jeszcze przyjść? – zapytał cicho, gdy się ubierali.

- Jak odrobisz pracę domową – zgodziła się z uśmiechem.
- A co to za praca? – zapytał.
- Bądź miły dla swojej przyjaciółki – odpowiedziała i zapięła mu spodnie. – Pomóż jej w domu, zatroszcz się o dzieci.

Około północy Julius i Katharina ruszyli do domu. Oboje byli pijani i szczęśliwi.

Kilka dni później Julius towarzyszył Katharinie na pierwszych zajęciach jogi, które Doris prowadziła w sali gimnastycznej przedszkola. Chociaż zjawili się dziesięć minut przed czasem, w środku było już mnóstwo zwawych kobiet. Julius rozłożył swoją matę w kącie, usiadł na niej i obserwował, przysłuchiwał się. Większość uczestniczek była młoda, kilka znał ze szkoły. Machały mu szybko ręką, po czym siadały na wolnej macie i od razu zaczynały rozmawiać z innymi kobietami.

– Codziennie uprawiam jogę przez godzinę i wyobraż sobie, że bardzo dobrze mi to robi! – mówiła perfekcyjna sportsmenka.

– Odkąd drobno im kroję owoce i warzywa, jedzą! Każdego dnia zjadają trzy talerze! I nie chorują już tak często. Mogę ci tylko polecić. – To z kolei perfekcyjna matka.

– Nigdy bym tego nie zrobiła, gdybym wiedziała, że on czegoś takiego nie lubi! Zrobiłabyś to, gdybyś wiedziała, że twój mąż tego nie znosi? Ja po prostu nie mogę. Jeśli się dokładnie wie, że on tego nie lubi, to się tego nie robi! – A to perfekcyjna partnerka.

– Dopiero gdy objętość się podwoi, dodaję pozostałe składniki, ale muszą być letnie, a potem zagniatam tak długo, aż jest jedwabiście gładkie i pojawiają się pęcherze powietrza – podawała przepis perfekcyjna pani domu.

Julius z rozbawieniem słuchał potoku słów tych kobiet. Naprawdę przyszły tu na jogę? Czy raczej żeby głośno zakomunikować innym, co przez cały dzień robiły, myślały i czuły, co stanowiło ich ja? I czy w ogóle prawdą było to, co mówiły, czy raczej należało z góry założyć, że przesadzają albo wręcz konfabulują? Julius miał w tej sprawie wątpliwości i doszedł do wniosku, że dla kobiety chyba jest ważne, by podczas spotkań zaprezentować siebie tak, jak chciałyby, by widzieli ją inni.

Spojrzał na Katharinę, siedziała po turecku obok Doris i się śmiała. Próbował w tym gwarze dosłyszeć, co mówiła, ale choć bardzo się starał, nic nie rozumiał. Naprawdę interesowało go, jaki obraz siebie chciała ukazać jego kobieta. Katharina kilka razy pochyliła się do Doris, zdjęła jakiś włos z jej ramienia i demonstracyjnie głośno się śmiała. Julius założył, że pragnęła wszystkim zakomunikować, czym najlepszą przyjaciółką jest nauczycielka jogi. Obydwie spojrzały na niego i z uśmiechem pomachały mu ręką. On też im pomachał. Z ulgą, że się nawzajem odnalazły. Na następną lekcję jogi już z Kathariną nie poszedł. Zamiast tego pilnował śpiących dzieci i zaprosił Roberta, kolegę z firmy ubezpieczeniowej, do siebie na piwo. Z jednego piwa zrobiło się siedem, Robert miał mocną głowę.

Julius od dwóch lat pracował w dużej firmie ubezpieczeniowej i sprzedawał ludziom na swoim terenie ubezpieczenia komunikacyjne, majątkowe i na życie. Czterdziestoczteroletni Robert, stary wyjadacz w tym interesie, od początku wziął go pod swoje skrzydła. Julius był nieśmiały, nerwowo stawał przed klientami i uczciwie im mówił, że nie potrzebują ubezpieczenia albo że wystarczy im tańszy wariant. Dlatego klienci go lubili i zawierał więcej umów niż inni początkujący.

– To przecież tylko trik – powiedział do niego Robert przy wieczornym piwie. – Mnie nie oszukasz.

Julius najpierw spojrział na niego, zbity z tropu, a potem zaczął się śmiać. A więc Robert go przejrzał. Razem opanowali tę grę do perfekcji: we dwóch przychodzili do klientów, chętniej do starszych osób, którym Robert starał się wcisnąć jakiś produkt, dopóki Julius – wszystko na oczach potencjalnych nabywców – nie zaczynał się kłócić, że ma nie kantować ludzi, bo właściwie te ubezpieczenia to przecież największe oszustwo, on już od dawna się zastanawia nad wypowiedzeniem, bo nie może dłużej znieść, że jedyny produkt, który się do czegoś nadaje i ma sens, to ten... i tak dalej. *Bad guy, good guy.*

Trwało to, dopóki kiedyś przed jakimś klientem przez nieuwagę nie odegrali tego po raz drugi. Mężczyzna założył ręce na piersi i oparł się na krześle, stawał się coraz bardziej milczący, czego ci dwaj z początku nie dostrzegli, tak dalece w tym gadaniu wpadli

w samouwiebienie, i przysłuchiwał się agentom z przymkniętymi oczami. Potem nagle wstał, wyciągnął rękę w kierunku drzwi i zawarczał:

– Won!

Julius i Robert przy wieczornym piwie zgodzili się, że ta scena nadawałaby się do filmu, śmiali się do rozpuku. Do klientów już nie wolno im było chodzić razem, mężczyzna doniósł na nich do szefa.

Tego wieczoru Julius wyznał Robertowi, że poważnie zastanawia się nad poszukaniem sobie nowej pracy, bo mimo tej zabawy, jaką ma z nim przy piwie, jako agent ubezpieczeniowy zdecydowanie nie czuje się szczęśliwy.

– Tak, tak, wiem, że chcesz uprawiać rzemiosło – powiedział z westchnieniem Robert, bo Julius już kilka razy z nim o tym rozmawiał. – Robić coś własnymi rękami, a nie sprzedawać coś, co istnieje tylko na papierze.

– Ty też powinieneś spróbować – odrzekł Julius. – To bardziej satysfakcjonujące.

– Jestem za stary na zmianę zawodu – zaprotestował Robert. – Własnymi rękami obrabiam tylko swoją żonę, i czym innym oczywiście też. O czym ja mówię? Jestem za stary również na takie pieprzne żarty.

Julius musiał się rozeźmiać. Nie potrafił sobie wyobrazić Roberta bez jego pieprznych żartów. Wiedział, że Katharina go nie lubiła, ale było mu to obojętne, miał kogoś, z kim mógł się od czasu do czasu spotkać sam na sam. Na przykład z Andreasem nigdy nie widywał się sam, po prostu nie miał takiej potrzeby, chociaż naprawdę go cenił. Spotykali się zawsze we czwórkę, można by rzec: w dwupaku.

Andreas był układny, Robert wręcz przeciwnie: był anarchistą.

Pewnego wieczoru Katharina i on odbierali Andreasa z jego rodzinnego domu. Matka Andreasa wyszła im naprzeciw i zdenerwowana poprosiła Juliusa, by pomógł jej i Andiemu w łazience, bo przy przenoszeniu ojca z wanny na wózek inwalidzki przytrafiło im się nieszczęście. Poszedł za nią do łazienki. Ojciec Andreasa, Rudi, leżał nagi na mokrej podłodze, a jego syn starał się go podnieść. Julius nie wierzył własnym oczom: to już nie był dla

niego człowiek, tylko potężna kupa mięsa. Natychmiast zaczął się wstydzić swoich myśli i z tym większym zapalem wysłuchał wskazówek Andreasa, przykucnął i chwycił jego ojca pod prawą pachę. Brzydził się gąbczastego, bladego, mokrego ciała i starał się nie dać tego po sobie poznać. Matka podniosła do góry nogi i w końcu we trójkę udało im się posadzić mężczyznę na wózku. Andreas przez cały czas przemawiał przy tym czule do ojca i wolną ręką gładził go po ramieniu albo policzku, gdy go wycierał. Julius ledwie mógł znieść tyle miłości, musiał się odwrócić.

Mój Boże, to straszne. Co ja bym zrobił, gdyby Arthur na to chorował, pomyślał Julius. Byłby całkowicie zdany na mnie.

Kilka dni później Julius leżał rozluźniony na podwójnym łóżku w pokoju pensjonatu Monika i czekał na Claudię. Zajazd znajdował się w odległości piętnastu kilometrów od P. i dlatego znakomicie nadawał się na ich potajemne spotkania, raz lub dwa razy w tygodniu. O pierwszej Claudia wyszła z gabinetu lekarza, gdzie pracowała jako asystentka i pomoc medyczna, i od razu pojechała w umówione miejsce. Julius wykorzystał na to przerwę obiadową. Pokoje w pensjonacie wynajmowano w dużej mierze robotnikom, w okolicy turyści praktycznie się nie trafiali. Monika, właścicielka, była starszą samotną panią, krępą i brzydką, ale najwyraźniej ani trochę wścibską. Uśmiechnęła się do obojga, gdy za pierwszym razem zakłopotani zapytali, czy mogliby wynająć pokój na dwie godziny, i od razu się zgodziła. Nie żądała dowodu ani wypełniania formularza, a i cena była śmiesznie niska. W pokoju na poddaszu leżał miękki czerwony dywan, ledwie widoczny, bo wydawało się, że całe pomieszczenie zajmuje wyłącznie łóżko. Juliusowi i Claudii było to zupełnie obojętne. Kochali się, śmiali i rozmawiali.

Za pierwszym razem przywiózł ze sobą magnetofon i kasetę: *The Best of Simon and Garfunkel*.

Przed dziesięcioma laty Doris pierwszy raz zabrała Juliusa do swego domu, miał udzielać jej korepetycji. Claudia postawiła im na biurku kanapki i niby niechcący pogłaskała go po policzku. Godzinę później Doris musiała wyjść, żeby zdążyć na lekcję jazdy konnej,

a Julius sprzątał w jej pokoju swoje rzeczy. Gdy z plecakiem mijał sypialnię Claudii, zauważył, że jest otwarta, i gdy przechodząc, ukradkiem rzucił tam okiem, zobaczył Claudię w samej bieliźnie leżącą na boku w łóżku. Prędko poszedł dalej, ale Claudia zawołała go po imieniu. Staął, szybko oddychając. Nie wiedział, co ma zrobić. Po prostu wykraść się z tego domu? Czy biec ile sił? A może jednak wrócić? Zwyciężyła ciekawość, zdecydował się na to ostatecznie, obrócił się jak na zwolnionym filmie i wszedł do sypialni. Na nocnej szafce z magnetofonu leciała właśnie piosenka Beatlesów *Here Comes the Sun*.

– Zamknij drzwi – poleciła, a on to zrobił. – A teraz usiądź tu przy mnie – rzekła i lekko klepnęła lewą ręką w łóżko.

Julius uczynił to, gapiąc się w podłogę, nie miał odwagi na nią popatrzeć.

– Spójrz na mnie – powiedziała.

Julius powoli podniósł wzrok. Twarz mu płonęła.

– Podobam ci się? – zapytała.

– Tak, bardzo – szepnął.

Zaczęła go powoli rozbierać, i gdy leżał obok niej nagi, a ona chwyciła jego członek, stało się. Uszy go piekły ze wstydu.

– Prze-prze-prze-pra-a-szam – jękał się.

– To nic – uspokoiła go. – Po prostu się rozluźnij.

Zdjęła bieliznę, wzięła jego dłoń i prowadziła ją. Potem się kochali. Julius cały czas był czerwony na twarzy i niezręczny. To miało się bardzo szybko zmienić.

Od tego czasu przychodził prawie co tydzień w sobotnie popołudnie. Tego dnia Doris miała lekcje jazdy konnej. Julius przerabiał więc z Doris angielskie słówka, a gdy wychodziła, by pognać rowerem do stajni („Moja córka nie może się o tym dowiedzieć” – nakazała mu surowo Claudia), jej matka udzielała mu lekcji seksu i nie tylko. Nazywał ją po cichu swoją dobrą wróżką. Dzięki niej jego życie zupełnie się zmieniło.

Claudia uwielbiała muzykę z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Za każdym razem ze starego magnetofonu leciały piosenki Beatlesów, Elvisa Presleya, Janis Joplin, Bee Gees, Jimiego

Hendriksa. A kiedyś włączyła *The Best of Simon and Garfunkel* i przy pewnej piosence – Julius jej nie znał – zaczęła się śmiać. To była *Mrs. Robinson* i Claudia wyjaśniła Juliusowi, o co w niej chodzi. Opowiedziała mu o filmie *Absolwent*, w którym Dustin Hoffman grał maturzystę mającego romans z matką dziewczyny, w której się zakochuje. Słuchali tej piosenki jeszcze raz i jeszcze raz, i śpiewali razem:

*And here's to you Mrs. Robinson
Jesus loves you more than you will know oh oh oh
God bless you please Mrs. Robinson
Heaven holds a place for those who pray hey hey hey*

Zadawała mu prace domowe, które musiał odrabiać. Podczas jego drugiej wizyty zapisała mu na kartce nazwy kosmetyków, które powinien nabyć w aptece, by smarować nimi swoją pryszczatą skórę. Kiedyś kazała mu kupić parę dżinsów i luźny T-shirt, uważała, że jego sztruksowe spodnie i koszule są zbyt staromodne.

– Idziesz do młodej, miłej sprzedawczynie i prosisz ją o radę, słyszysz? Nie robisz tego sam! Mówisz jej, że chcesz kupić tylko takie rzeczy, w których byś się jej podobał – tłumaczyła Claudia.

Innym razem podała mu nazwisko fryzjerki z sąsiedniej miejscowości, która miała mu zaproponować nową fryzurę.

Jego wygląd zmienił się do tego stopnia, że nie tylko koledzy z klasy zaczęli go postrzegać inaczej, lecz także ojciec.

– Masz dziewczynę? – zapytał z uśmiechem Arthur. Typował, że chodzi o tę bezczelną nastolatkę z odważną krótką fryzurą, której jego syn od pewnego czasu udzielał korepetycji z angielskiego, ale Julius poczerwieniał i pokręcił głową.

Również w sprawie Arthura kochanka Juliusa próbowała czasem zadawać mu pracę domową. Robiła to bardzo ostrożnie, co Julius uświadomił sobie kilka lat później. Wiedziała o trudnych stosunkach pomiędzy nimi. Gdy trochę podrażyła, opowiedział jej o tym i Claudia zauważyła, że mówienie na ten temat wcale nie poprawia sytuacji, jedynie nakręcał się coraz bardziej i im więcej opowiadał, tym

mocniej wydawał się podenerwowany, a jego nienawiść rosła.

Wspominał, że ojciec prosto ze szpitala, w którym umierała jego babka, zabrał go do Europy. Ani nie poczekał, aż umrze, ani na pogrzeb, ani nie porozmawiał o tym z dzieckiem. Tematy „babcia” i „śmierć” dla Arthura nie istniały; on, sześciolatek, potrzebował, żeby ktoś mu tłumaczył, co się wokół niego dzieje. Był wówczas bardzo smutny i zagubiony, ale Arthur nigdy go nie objął, nie pocałował, a nawet nie pogłaskał. Nigdy nie polecili na Florydę na grób babci.

– To dziwne – powiedziała Claudia. – Nie znam Arthura dobrze, ale od tak wielu osób słyszałam, jak ofiarnie się o ciebie troszczył.

– Może z zewnątrz tak to wyglądało! – odparł wzburzony Julius. – Ale oni nie widzieli przez ściany Bergmühle, co się działo. Nic nie wiedzą.

Żeby zmienić temat, Claudia zajęła się uwodzeniem go.

Przy następnym spotkaniu powiedziała:

– Patrz mu w oczy, Juliusie. Zawsze gdy jesteś z nim, zwłaszcza gdy rozmawiacie, patrz mu w oczy, jasne? Masz dziwny nawyk niepatrzenia ludziom w oczy, to sprawia wrażenie, że masz coś do ukrycia, a wcale nie masz! Jesteś szczerym, otwartym młodym człowiekiem. Powtórz to po mnie – poleciła Claudia, kiedy całował jej piersi.

– Jestem szczerym, otwartym młodym człowiekiem, bardzo napalonym na twoje piersi – powiedział Julius.

– Dużo się już nauczyłeś – roześmiała się Claudia i po chwili dodała: – Dobra, to wyobrażaj sobie na twarzy Arthura właśnie moje piersi! Jego oczy to moje piersi. Żarty na bok. Napinasz ramiona, wyciągasz szyję i kierujesz spojrzenie na twarz swego ojca, zrozumiano? Zobaczysz, to czyni cuda.

I rzeczywiście czyniło cuda. Chociaż z początku musiał się bardzo przemagać, zaczął patrzeć ojcu w oczy. Za pierwszym razem pomogła mu wyobraźnia: naprawdę zobaczył nad nosem Arthura małe twarde piersi Claudii i musiał się roześmiać. Tego wieczoru poszli razem na bilard.

Claudia zadawała mu też prace domowe związane z jego kolegami

i nauczycielami, często były to drobiazgi:

– Przywitaj się z nim choć raz po przyjacielsku.

Albo w sprawie jego flegmatyczności:

– Musisz odkryć, co sprawia ci radość!

W tym czasie Julius odkrył swoją miłość do drewna i starych mebli.

– Właściwie najchętniej poszedłbym na naukę do stolarza, ale Arthur obstaje przy tym, żebym skończył gimnazjum.

– Możesz przecież podczas wakacji pracować u stolarza albo konserwatora – zaproponowała Claudia.

Julius udał się zatem pewnego popołudnia po szkole do warsztatu Ferdinanda Hauera i oznajmił:

– Chciałbym podczas wakacji pracować u pana.

Nie mógł przy tym zapobiec lekkiemu rumieńcowi na twarzy i w duchu przeklinał swoją skłonność do czerwienienia się.

Czterdziestodziewięcioletni Hauer był konserwatorem sercem i duszą, otworzył swój warsztat jako młody człowiek i przez całe życie pracował ciężko, ale z radością. Restaurował stare drewniane meble, konserwował drewniane podłogi i boazerie i nierzadko otrzymywał publiczne zlecenia, po czym odnawiał wraz z innymi zabytkowe budynki. Czasem odkupił od jakiegoś klienta antyk i później go komuś odsprzedał. Jego konikiem były komody z lustrem i sekretarzyki.

Hauer się roześmiał:

– Szczerze mówiąc, jeszcze mi się nie zdarzyło, żeby stanął w moich drzwiach gimnazjalista i powiedział, że chce latem u mnie pracować. Powiedz mi, dlaczego mam cię zatrudnić.

Julius był zakłopotany.

– Tylko bez paniki, opowiedz mi trochę o sobie – zaproponował przyjaźnie Hauer.

Julius pomyślał o Claudii i zmusił się, by otwarcie spojrzeć w oczy temu mężczyźnie. Udało się. Nie zaczerwienić się, zachować spokój i rozmawiać.

– Wyrastałem jako jedynak w starym domu i wszystkie meble w nim też były stare. Może to brzmi głupio, ale stały się moimi przyjaciółmi, rozmawiałem z nimi. Pytałem je, co przeżyły i widziały.

Nie odpowiadały mi oczywiście, dlatego sobie to wyobrażałem. Wyobrażałem sobie ich historię.

Hauer zatrudnił Juliusa na sześć tygodni wakacji i nie żałował. Chłopak był bardzo zręczny w obróbce drewna i dobrze się ze sobą dogadywali. Podczas następnego lata znów go przyjął.

Julius nabrał pewności siebie.

Wiedział, że zawdzięcza to tylko Claudii.

Kiedyś zapytał ją:

– Dlaczego to robisz?

– Tak po prostu. Jesteś moim dobrym uczynkiem – roześmiała się.

Teraz znów widywali się w małym, podupadłym pensjonacie Monika, a właścicielka o tym samym imieniu konspiracyjnie uśmiechała się za każdym razem, gdy bez słów podawała im klucz. Szli za rękę na górę, na drugie piętro, pokrytymi czerwonym dywanem schodami. Czasem Julius pytał na do widzenia:

– A moja praca domowa?

I śmiali się. Tylko raz powiedziała:

– Za dużo biadolisz nad swoją pracą, poszukaj sobie wreszcie nowego zajęcia!

Dwa tygodnie później Julius wszedł do warsztatu starego Hauera i przeprowadził z nim długą rozmowę. Pożegnali się uściskiem dłoni i Julius, pogwizdując, wyszedł z warsztatu. Za miesiąc miał zacząć. Natychmiast spotkał się ze swoim szefem z ubezpieczeń i wręczył mu wypowiedzenie.

Historia Thomasa

Płynę w lodowatej wodzie i rozpaczliwie wołam Ludovicę.

Aż w końcu pojawia się kilka metrów ode mnie. Mam wrażenie, że minęła wieczność. Płynie do mnie. Jestem w panice i już tylko wrzeszczę, że umrzemy.

– Cicho bądź, zdejmij kurtkę, jeśli jest za ciężka, i płyn! – krzyczy do mnie. – Tam jest łódka, musimy się do niej dostać!

Widzę daleko z przodu przewróconą łódź i staram się drżącymi palcami odpiąć guziki kurtki, ale mi się nie udaje. Po chwili się poddaję i płynę za Ludovicą. Jest dużo szybsza ode mnie. Przez cały czas muszę się przeciwstawiać chęci, by dać się wciągnąć temu zimnu w głębinę. Mam wrażenie, że woda kłuje mnie jak igły.

– Ruszaj się, wciąż się ruszaj! – woła do mnie Ludovica po dotarciu do łódki.

Z trudem udaje się nam w końcu odwrócić łódź. Opuszczają nas siły. Nasze przemoczone watowane ubrania utrudniają każdy ruch. Najpierw ona wchodzi do łódki, gdy ja po drugiej stronie ją przytrzymuję, a potem ja podciągam się przez burzę. Ledwie mi się to udaje, tak jestem słaby. W łódce natychmiast zdejmujemy kurtki. Przez to zderzenie łódź przecieka. Woda wpływa, próbuję ją wylewać rękami. To bezcelowe, poziom wody rośnie.

Siedzimy, drżąc z zimna, jedno obok drugiego, nie mamy wioseł ani naszych plecaków z prowiantem. Silnika nie daje się zapalić. Mokre ubrania stwardniały na mrozie. Widzimy przed sobą brzeg Alaski.

– Nie poddam się – szlocha Ludovica sinymi ustami. – Płynę tam!

– Poczekaj! Spróbujemy rękami – mówię. – Ty wiosłuj po jednej stronie, ja po drugiej.

Wychylamy się na obydwie strony i wiosłujemy jak szaleni. Po chwili zauważamy, że to nic nie daje, ledwie poruszamy się w kierunku brzegu. Kreska lądu w oddali doprowadza nas do obłądu,

wydaje się tak blisko, a jednocześnie jest nieosiągalna.

– Musimy płynąć, w przeciwnym razie tu zamarzniemy – płacze Ludovica. Czołga się do mnie i mnie całuje.

– Nie, nie – bronię się. – Nie umiem tak dobrze pływać jak ty. Nie dam rady!

– Dasz radę, Thomas, tam z przodu jest brzeg, widzisz go przecież, to prawdopodobnie tylko kilometr, damy radę! – zaklina mnie.

– Poczekajmy tutaj, przecież kiedyś muszą się pojawić rybacy – mówię. – Mieszkają tu Eskimosi, którzy latem łowią, prawda?

– Nie wiem, czy akurat tutaj ktoś mieszka i łowi, Alaska jest przecież olbrzymia. A poza tym do tego czasu zginiemy. – Pokazuje wpływającą do łódki wodę i znów zaczyna płakać. Nagle mocno zasznurowuje swoje watowane wysokie buty i wchodzi do wody. Gdy chcę ją siłą zatrzymać, uwalnia się.

– Chodź ze mną, Thomasie, płyn za mną, proszę! – woła jeszcze, potem odpływa. Oddala się w szybkim tempie i jest coraz mniejsza.

Siedzę tam wytrącony z równowagi i patrzę za nią. Minuty boleśnie mijają. Gdy wchodzę do lodowatej wody, muszę stłumić krzyk. Płynę za nią, bo nie mam innego wyjścia. Jest lato, mówię sobie, nawet jeśli woda jest zimna, nie zamarzniesz tak długo, jak się ruszasz. Za wszelką cenę próbuję zachować spokój, nie wpaść w panikę i wydychać ból powodowany przez chłód. Opowiadała mi o tym kiedyś moja matka, o porodzie, bólach i oddychaniu. Płynę i płynę. Aż nie czuję już rąk i nóg, aż mi płuca pękają. W końcu już nie mogę i robi się ciemno. Dokoła jest woda. Tonę.

Odzyskuję świadomość, kaszląc i plując. Poruszam się z jękiem i ktoś mnie przytrzymuje, nade mną uśmiechają się dwie brązowe twarze poorane zmarszczkami. Ze szparami między zębami. Patrzą na mnie z góry i się śmieją.

– Thomas, Thomas! – słyszę gdzieś daleko głos Ludoviki i odwracam głowę, ale nie mogę jej dojrzeć. Potem wszystko znów zakrywa czerń.

Dopiero wiele godzin później budzę się na dobre. Potrzebuję chwili, by oczy przywykły do ciemności i dymu. Leżę na futrach i jestem nimi nakryty. Wokół paleniska siedzą mężczyźni i kobiety, są

dziwnie ubrani. Ludovica wyłania się z dymu. Podchodzi do mnie z miską uśmiechnięta, ostrożnie się podnoszę. Obejmujemy się, płacząc.

Kiedy ja siorbię zupę rybną, ona opowiada mi, co się zdarzyło. Cały czas obserwowali nas z brzegu eskimoscy myśliwi. Widzieli, jak wieloryb, swoją drogą był to pływacz, przewrócił naszą łódkę, jak krzyczeliśmy i miotaliśmy się, odwróciliśmy łódkę i się do niej wdrapaliśmy. Zderzenia z wielorybami nie są tu rzadkością, zwłaszcza gdy te zwierzęta płyną stadami.

Bawiło ich to, był to dla nich rodzaj przedstawienia. Na pustkowiu nie ma za wiele urozmaicenia, my zatroszczyliśmy się o rozrywkę. Robili zakłady, kto pierwszy dopłynie. Dopiero gdy zauważyli, że mam kłopoty, wsiedli do swoich kanu i wypłynęli nam naprzeciw. Wyciągnęli z wody Ludovicę, potem mnie. Do mnie omal się nie spóźnili, jakiś mężczyzna musiał wskoczyć do wody i mnie wyciągnąć.

– Udało nam się, Thomasie – szepcze. – Jesteśmy na Alasce, jesteśmy uratowani!

Płaczemy z radości i całujemy się. Ludzie przy ogniu patrzą na nas i się śmieją. Później dosiada się do nas młody mężczyzna. Ludovica wyjaśnia, że to ten, który skoczył do wody, żeby mnie ratować. Nazywa się Nootaikok i mówi po angielsku, przez jego prawą skroń biegnie gruba blizna.

– Od ponad dziesięciu lat każdego lata kilku stamtąd przybywa, niewielu, ale prawie zawsze dwóm do trzech ucieczka się udaje – mówi. – Tego lata wy jesteście pierwsi. Ilu się nie udaje, nie wiemy. Już nieraz znaleźliśmy na morzu pustą łódkę albo jej resztki.

Mężczyźni wychodzą z namiotu, pojawiają się dzieci i się na nas gapią. Ostrożnie podchodzą bliżej i siadają obok mnie i Ludoviki, wciąż dotykają jej rudych włosów. Jakiś chłopiec błyskawicznie ściąga ze mnie futro. Wszyscy się śmieją. Dopiero teraz widzę, że jestem nagi. Dzieci wybiegają z namiotu, wrzeszcząc i śmiejąc się. Do namiotu wchodzi młoda kobieta i przynosi ubranie. Przykłęka obok nas i zaczyna szeptać, patrzy przy tym z lękiem na innych przy ogniu. Nie rozumiemy, co mówi. Ledwie porozumiewa się po angielsku, na

koniec woła:

– *Go, quick, go!*

Starszy mężczyzna przepędza ją i wręcza nam miszkę z parującym napojem. Wypijamy do dna i jesteśmy przyjemnie otumanieni. Potem zostawiają nas samych, przy ogniu siedzi tylko jakaś stara kobieta, drzemie. Całujemy się, najpierw łagodnie, potem coraz namiętniej. Ludovica wpełza do mnie pod futro i się kochamy. To jest dla nas obojga pierwszy raz.

Po co tak dużo o tym pisać? O tych szczęśliwych godzinach w ciepłym, zadymionym namiocie Eskimosów, którzy nas uratowali, a potem sprzedali? Tak szybko minęły.

O świcie następnego dnia dość ostro wzywają nas, byśmy wyszli z namiotu. Patrzymy na siebie zdziwieni i wskakujemy w nasze nowe ubrania. Czuję się jak na kacu. Wszyscy stoją na zewnątrz, tworzą wąski szpaler, przez który przechodzimy, dzieci jeszcze raz sięgają do włosów Ludoviki. Na końcu szpaleru stoi jeep, a przed nim dwóch amerykańskich żołnierzy. Cieszymy się, że ich widzimy, witamy się z nimi do przesady radośnie, ale oni pozostają poważni.

Wsiadamy i odjeżdżamy. Gdy się odwracam, trochę z boku widzę mężczyzn stojących przy jakiejś skrzyni. Jeden akurat podnosi broń.

Jedziemy jeepem dwie godziny. Jestem głodny i chce mi się pić, ale nie mam odwagi tego powiedzieć. Ludovica próbuje nawiązać rozmowę z żołnierzem, bardzo dobrze mówi po angielsku. Opowiada o strasznych warunkach w kopalni uranu. Obydwaj młodzi żołnierze czasem patrzą na siebie ukradkiem, ale nic nie mówią. W końcu zatrzymujemy się przy trzech chatach, dookoła pustkowie, poniżej morze. To musi być punkt wojskowego wsparcia, bo stoi tam kilku żołnierzy, a także dwa jeepy.

W jednej z chat dostajemy śniadanie: smażony boczek, jajka sadzone, do tego filiżanka kawy. Chciwie jemy, przyciągając uważne spojrzenia. Ludovica opowiada, że ma w Nowym Jorku krewnych, i prosi, żeby ich powiadomiono. Siedzi naprzeciwko nas trzech mężczyzn, wygląda na to, że jeden z nich jest wyższy rangą, zaczyna zadawać mnóstwo pytań. Ludovica opowiada o naszej zuchwałej ucieczce. Drugi zapisuje jej odpowiedzi na maszynie, pisze szybko,

a ja przyglądam się jego zręcznym palcom. Przychodzi mi do głowy własna maszyna do pisania w rodzinnym domu. Ta, którą ojciec szurnął ze stołu i na której napisałem kartkę do matki i zostawiłem, zanim wyszedłem. Jakże dawno to było! Tęsknię za nią. Tęsknię za matką, rodzinnym domem, zapachem w młynie, domkiem na drzewie, który wuj zbudował dla Rudiego i dla mnie, moimi książkami nad łóżkiem, ciastem w niedzielę.

Wszystko nagle rozpływa się przed moimi oczami. Tak wiele jedzenia sprawia, że czuję się ociężały i otumaniony. Czy naprawdę jestem na wybrzeżu Alaski? Siedzę u boku przepięknej dziewczyny, którą kocham? Nagle to ja sam znajduję się przed maszyną do pisania i uderzam w klawisze. Młynarz, który chce napisać powieść. Matka wzywa mnie na posiłek.

Nie, to żołnierz, który stoi w drzwiach i coś woła. Po śniadaniu czterej żołnierze i ten wyższy rangą wyprowadzają nas. Na pytanie Ludoviki dokąd, nikt nie odpowiada. Idziemy w milczeniu obok siebie, pomiędzy nami kroczy żołnierz. Wąska, wydeptana ścieżka prowadzi w dół po zboczu nad morze, dostrzegamy pirs i kilka niewielkich statków.

– Zobaczysz, zabiorą nas statkiem na południe, do stanu Waszyngton albo Oregon, bo jeepem to o wiele za daleko – mówi Ludovica.

– *Shut up* – rzuca młody żołnierz pomiędzy nami. Sprawia wrażenie podenerwowanego.

Wchodzimy na pirs i zatrzymujemy się. Z jednego ze statków wyłania się czterech mężczyzn i idą do nas. Potrzebujemy sporo czasu, zanim zaczynamy rozumieć. A potem Ludovica zaczyna krzyczeć, głośno i przeraźliwie.

Mężczyźni noszą sowieckie mundury, jednym z nich jest Teljan, ma na twarzy szyderczy uśmiech. Ten wyższy rangą podaje mu jakiś papier, on go podpisuje.

– Nie możecie tego zrobić, świnie! – krzyczę raz po raz.

Ludovica pluje Amerykanom w twarz. Nie robi to na nich wrażenia, odchodzą.

– Czyż to nie wzruszające? – mówi Teljan. – Nasi zakochani

wracają do domu.

Jak je opisać, te godziny, tygodnie nędzy i całkowitej rozpacz? Jak wyrazić, że zmieniają się w miesiące i lata?

Nie ma takich słów. Wszystko, co tu piszę, brzmi banalnie.

Litera O już prawie się nie odbija. Często uderzam trzy albo cztery razy, zanim się pokaże. Musi jeszcze wytrzymać, aż napiszę wszystko do końca.

Na statku systematycznie mnie biją. Co się dzieje z Lu, nie wiem, od razu nas rozdzielili. Raz dochodzi mnie rozpaczliwy krzyk. Jej głos słyhać przy tym dość blisko, bo ściany są cienkie na tym małym statku. Jej wołanie jest dla mnie gorsze niż razy i kopniaki żołnierzy. Czuję, że umieram.

W obozie zamykają mnie na miesiąc w karcerze. Karcer to małe pomieszczenie bez okien, mniej więcej półtora metra długości, szerokości i wysokości, tak że nie można się wyprostować. W karcerze nie ma mebli, nie ma też toalety. Dopiero trzeciego dnia dostaję miskę z brudną wodą do picia, a po tygodniu coś do zjedzenia. Przez miesiąc się nie myję, z nikim nie rozmawiam. Jedzenie podają mi przez szczelinę w drzwiach. Staję się zwierzęciem, obłąkańcem.

Kiedy już nie jem i kładę się, żeby umrzeć, gwałtownie otwierają się drzwi. Dwóch żołnierzy podrywa mnie i wlecze na zewnątrz, zatykając sobie nosy. Nie jestem już człowiekiem, jestem tylko śmierzącym kawałkiem mięsa, sztywnym z brudu. Rzucają mnie na ziemię przed łaźnią. Przychodzi fryzjer z dwoma wiadrami wody i wylewa je na mnie. Woda jest lodowata. Potem odcina mi ubranie od ciała. W łaźni wstawia mnie pod prysznic i szoruje kilka razy, zanim usunie wszystkie włosy. Przypatrują się nam dwaj żołnierze, nie zostawiają samych nawet na chwilę. Nieobecny duchem poddaje się temu wszystkiemu.

Ktoś przynosi z kuchni herbatę i kaszę gryczaną. Gdy odmawiam zjedzenia, jakiś żołnierz mówi do mnie:

– Mamy zadbać o to, żebyś wszystko zjadł.

Drugi żołnierz dodaje ze śmiechem:

– W przeciwnym razie ona za to zapłaci.

Łyżka po łyżce zmuszam się do jedzenia. Potem ci dwaj odprowadzają mnie do kopalni uranu. Zrozpaczony patrzę za siebie na chaty z bali i mam nadzieję, że jeszcze raz zobaczę Lu. Gnają mnie naprzód.

Lu więcej nie widzę.

Przy wejściu do sztolni przekazują mnie oficerowi dyżurnemu. Prowadzi mnie do kawerny, gdzie sypiamy, i zanim zostawi mnie samego, mówi:

– Przez najbliższe dwa dni masz wolne. Wypocznij.

Kilka godzin później przychodzi z pracy brygada. Zwłaszcza Fritz i Kristjan witają mnie wylewnie. Inni również się do mnie pchają i chcą usłyszeć szczegóły. Ocieżale siadam na podłodze i próbuję na liczne pytania odpowiedzieć najkrócej, jak mogę.

– Oni naprawdę cię oddali Sowiecom, zamiast wam pomóc? – nie dowierza osłupiały Fritz.

Kristjan zaczyna się śmiać:

– Nie wiedziałeś, że Rosjanie i Amerykanie są sprzymierzeńcami? Trzymają ze sobą.

Nie, nie wiedziałem. I Lu chyba też nie wiedziała. Poza tym jej plan był idealny, a jej odwaga imponująca.

Żyję dalej i każdego dnia mam jej twarz przed oczami. W pierwszych tygodniach zasypiam z płaczem. Próbuję być cicho, ale czasem mój szloch jest tak głośny, że inni na mnie krzyczą, bo nie mogą spać. Ale też mi współczują. Niejeden poklepuje mnie przy pracy po ramieniu, dodając odwagi, i mówi kilka miłych słów.

Czuję się jak robot, bez czucia, bez siły, bez nadziei. Wszyscy tu mają tak samo, jesteśmy ludzkimi maszynami do pracy. Dlaczego daje się tu przetrwać? Dostajemy dostatecznie dużo jedzenia i mamy w kopalni ciepło. Najwyraźniej to wystarczy, żeby przeżyć. To, że wykonujemy nieludzką pracę, żyjemy w ciemności, nie ma wokół nas radości ani miłości, że nie jesteśmy wolni, to za mało, żeby umrzeć. Człowiek potrafi znieść wiele, nawet na Syberii. Często myślę o słowach Lu w tym obozie, zanim zagnano nas na statek do Magadanu: „Najważniejsze to przeżyć!”.

Teraz wątpię, czy to prawda. Ale czasem czuję ciepło w brzuchu i wtedy wiem, że to Lu, która intensywnie o mnie myśli. Potem budzi się we mnie wola przeżycia. Coś się przecież zdarzy, myślę, ktoś się chyba zatroszczy o to, żebyśmy wrócili do domu!

Nie przydzielają mnie nigdy do tragarzy, widzę więc światło dzienne tylko co czternaście dni, kiedy możemy przez godzinę wyprostować nogi na zewnątrz. Nie prowadzą nas już do łaźni, co kilka tygodni przyjeżdża do nas do kawerny fryzjer. Przedtem stawiają dwa wiadra wody, żebyśmy się mogli trochę obmyć. Obwiniają mnie, że to z powodu mojej ucieczki wyprawa do łaźni została zawieszona. Rzucają na mnie obelgi i opluwają mnie, tylko Fritz i Kristjan biorą mnie w obronę.

Żyję, staram się przetrwać w piekle. Dzień po dniu.

Rok później warunki nagle się zmieniają. Zamiast jak wcześniej dostawać jeden posiłek dziennie, dostajemy dwa. Nagle wolny jest co dziesiąty dzień i znów prowadzą nas do łaźni. Stoi tam jakiś inny oficer, nie widać Teljana. Gdy bierzemy prysznic, aż wrze od plotek. Jakiś młody strażnik za pięć papierosów opowiada, że Teljana zatrudnili jako komendanta obozu w kopalni złota na Kołymie. Fortepian i pianistkę zabrał ze sobą. Wyjechał przed dwoma tygodniami, zadowolony z przeniesienia. Młody, jękający się żołnierz o nowym komendancie obozu mówi:

– Ten jest bardziej miłosierny.

Miłosierny! Wszyscy śmieją się z doboru słowa.

– Miłosierny Boże – mówią Fritz i Kristjan ze śmiechem.

Ja się nie śmieję i myślę o Lu. Łzy napływają mi do oczu. Ona jest daleko, prawdopodobnie nigdy jej już nie zobaczę. W nocy znów płacę, tak jak przed rokiem, gdy zaprowadzono mnie z powrotem do kopalni.

Mijają miesiące. Najczęściej nie wiemy, jaki jest dzień, dowiadujemy się tego jedynie, jeśli jakiś żołnierz jest łaskawy i odpowie nam na pytanie. W porach roku niewiele się orientujemy, tyle co wychodzimy na zewnątrz. Wieczne burze śnieżne zimą, roztopy wiosną; krótkie lato, które sprawia, że krajobraz staje się pustkowiec; jesień, której nie ma, bo brak drzew, które cieszyłyby

oczy czerwienią i złotem, przynosi tylko wirujące płatki śniegu.

Czasem, gdy widoczność jest dobra, możemy dostrzec na dole wybrzeże. Widzimy frachtowce Sowietów, mniejsze i większe łódki Czukczów, również ich jarangi ze skór reniferów, i zadajemy sobie pytanie, jak można na tym zimnie spędzić całe życie. Pewnego dnia podczas wyjścia nie spotykamy jak zwykle Helmuta. Rozmawiamy z mężczyzną z jego brygady, o którym wiemy, że spędzał z nim dużo czasu. Smutno kręci głową.

– Helmut nie żyje – mówi.

Nie możemy tego pojąć.

– Co się stało? – pyta Fritz.

– Zabił go wielki odłamek skalny. Wszyscy odskoczyli na bok, kiedy się oderwał, tylko on nie. Myślmy, że już nie chciał żyć. Musieliśmy ten kamień pokruszyć na małe kawałki i wynieść. Dopiero potem mogliśmy wydobyć jego zwłoki. To było straszne. Kiedy tak uderzaliśmy i uderzaliśmy, wciąż widzieliśmy pod sobą twarz Helmuta – opowiada.

Fritz i ja przez cały dzień trwaliśmy w szoku. Ten wesoły student poznany w Sopronie, który cieszył się na przygodę, jeszcze długo pozostawał w naszych myślach. Gdzie mógł być Karl, jego brat? Czy jeszcze żyje?

Kiedyś Fritz pyta pewnego młodego żołnierza, jaki dziś dzień, i częstuje go machorką.

– Dziś jest dwudziesty szósty kwietnia – odpowiada młody człowiek z twarzą upstrzoną pryszczami.

Drgam. To moje urodziny!

– Którego roku? – dopytuje Kristjan.

Żołnierz patrzy na niego zaskoczony.

– Chyba żartujesz – rzuca.

– Nie, naprawdę nie wiem – mówi Kristjan.

– Tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego – odpowiada żołnierz i odchodzi.

To moje dwudzieste czwarte urodziny, czwarte, które spędzam bez rodziny. Moja ucieczka z Lu wydarzyła się przed prawie dwoma laty. I już prawie cztery lata jestem więźniem Sowietów.

– Wszystkiego dobrego z okazji urodzin – życzą mi koledzy i każdy daje mi trochę machorki.

– Życie mi ucieka w tym strasznym kraju – mówię smutno, paląc.

– Nasze życie rozpuszcza się w wodzie z roztopów – uśmiecha się Kristjan. – Moje buty są znów zupełnie mokre!

Fritz i stojący dookoła się śmieją. Wielu za wszelką cenę stara się zachować poczucie humoru. Niektórzy zorganizowali sobie karty i wciąż grają. Inni ciągle opowiadają dowcipy i anegdoty z poprzedniego życia. Kolejni z żelazną konsekwencją próbują wyzbebrać od strażników rzeczy, które mają wnieść trochę urozmaicenia w nasze beznadziejne życie. Jeden, o imieniu Stepan, odnosi na tym polu wyjątkowe sukcesy. W ostatnich miesiącach dostaliśmy trzy książki (*Przypadki Robinsona Cruzoe*, *Przygody dzielnego wojaka Szwejka* i *Annę Kareninę*), kostki domina i stolik z czterema krzesłami. Najwięcej radości sprawiają nam książki. Zanim zaśniemy, ktoś czyta kilka stron.

– Nie bądź zawsze taki poważny – mówi Fritz i klepie mnie po koleżeńsku w ramię. – Jesteś młody, w przeciwieństwie do nas. Ty na pewno wrócisz do domu!

Niedługo potem dopada mnie ciężka choroba i odstawiają mnie do lazaretu. Jakiś Rosjanin niechcący trafia kilofem w moją stopę i z początku niegroźną ranę obejmuje poważny stan zapalny. Bez jakiegokolwiek znieczulenia wycinają mi zgniłe ciało i dezynfekują wódką. Trzy tygodnie leżę w lazarecie i leczą mnie maściami. Wspomnienia o Lu są tu prawie nie do wytrzymania. Któregoś dnia rozpoznaje mnie jakiś sanitariusz i szepcze:

– Jej już tu nie ma, jest teraz w obozie Kalinka przy kopalni złota, pięćset kilometrów na zachód stąd. Zabrał ją ze sobą. Mówię tylko po to, żebyś wiedział.

Kiedyś przychodzi do mego łóżka komendant obozu i pyta:

– To ty jesteś tym, któremu udało się ucieczka na Alaskę?

Tylko kiwam głową. Przygląda mi się uważnie i odchodzi z uśmiechem. Potem odstawiają mnie z powrotem do kopalni, gdzie znów jeden dzień jest podobny do drugiego.

Każdy jest świętem melancholii.

2001–2006: Julius

Znośna lekkość bytu

Julius przez dwa lata regularnie widywał się z Claudią, później ich spotkania w pensjonacie Monika odbywały się coraz rzadziej, aż wiosną 2001 roku postanowili zakończyć ten związek. Claudia miała prawie czterdzieści osiem lat, a Julius za kilka tygodni się żenił, jego trzecie dziecko skończyło rok.

Od kilku miesięcy ona już nie czuła się dobrze, z całym impetem zaczęła się u niej menopauza, cierpiała na częste uderzenia gorąca i czerwieniała przy nich na twarzy. Kiedyś po akcie miłosnym miała taki napad i Julius zauważył, że było jej głupio. Grał troskliwego, chociaż się brzydził. Tego dnia uświadomił sobie, że nie mógłby się z nią dłużej spotykać, miał jakiś problem z ciałami, które się starzały i zaczynały psuć.

Kupił róże i chciał jej to delikatnie powiedzieć. Leżała na łóżku, nie jak zwykle nago, tylko kompletnie ubrana, i gdy wszedł, widział po jej twarzy, że to niepotrzebne, już wiedziała i chciała tego samego. Claudia podarowała mu na pożegnanie pudełko z cygarami i zapalili razem, zanim się rozeszli.

W lipcu stanął przed ołtarzem i patrzył na swoją pannę młodą w kremowej sukni z jedwabnej tafty podchodzącą do niego pod rękę z Arthurem. Przed nimi szły sześciolatnie bliźniaki i rozsypywały płatki róż, pomiędzy nimi czternastomiesięczna Leonora. Katharina wyglądała oszałamiająco, trójka dzieci była zachwycająca i Julius pękał z dumy. Czy to naprawdę jego rodzina?

Później opowiedział o tym swojemu przyjacielowi Robertowi, z którym mimo porzucenia pracy w ubezpieczeniach jeszcze czasem spotykał się przy piwie.

– Z dumy? Nie z miłości, tylko z dumy? – zapytał Robert i z uśmiechem uniósł do góry brew. – To interesujące.

– Oczywiście również z miłości, głąbie – odparł Julius i rzucił

w niego podkładką do piwa.

Robert był świadkiem na jego ślubie, towarzyszyła mu nowa przyjaciółka, dwudziestojednoletnia Sibille, dla której po trzech tygodniach romansu zostawił rodzinę.

– Znasz ją dopiero trzy tygodnie – mówił mu Julius. – Nie chcesz się nad tym zastanowić?

– Nie, nie chcę! – roześmiał się Robert. – Mam dość tego narzekania w domu, tej odpowiedzialności, wymagań! Chcę żyć. Chcę czuć!

Poleciał z młodą kochanką na cztery tygodnie na Seszele i wrócił dzień przed ślubem Juliusa. Opalony na brązowo i tryskający energią przetańczył ze swoją Sibille całą noc.

Czas mijał, Katharina koniecznie chciała zacząć pracować. Coś się w nim jeżyło na myśl, że jego żona idzie do pracy. Prawdopodobnie miał jeszcze w głowie za wiele cynicznych opowieści o życiu rodzinnym przedstawianych przez Roberta przy piwie: matka, która każdego ranka w pośpiechu wypada z domu z niestarannie nałożonym makijażem; dzieci, które każdego popołudnia tkwią same przed telewizorem; wkładanie gotowej pizzy do piekarnika – gospodarstwo, które popada w chaos, i kobieta, która każdego wieczoru zaczyna na sofie przed telewizorem chrapać ze zmęczenia. Juliusowi udało się przekonać Katharinę, żeby to przesunąć jeszcze o rok i oddać małą do przedszkola dopiero w wieku czterech lat.

Wszystko szło dobrze, wszystko było harmonijne.

Ale czy naprawdę? Patrząc z zewnątrz – tak: Julius miał tego świadomość i to było dla niego ważne. Obok siebie miał wysoką kobietę z długimi blond włosami i promiennymi niebieskimi oczami i trójkę słodkich jasnowłosych dzieci. Zauważył, że ludzie się za nimi oglądają. Było mu z tym dobrze.

Ale wewnątrz był niespokojny, brakowało mu równowagi i próbował to ukryć. Po chwili uświadomił sobie, że powód stanowiły również pieniądze, których wciąż było niewiele. Jego rodzina musiała oszczędzać i to mu się nie podobało. Miał ponad trzydzieści lat i zarabiał grosze! W gruncie rzeczy byli zależni od dobrej woli Arthura, to on sfinansował przebudowę domu, nie oczekiwał od nich

czynszu, zapłacił za sprzęt narciarski bliźniaków. Julius nienawidził być zależny od ojca.

Od lat pracował w warsztacie Hauera i konserwował stare kufry, łóżka, szafy, komody, jeździł na montażu podłóg i boazerii, lubił swoją pracę i chętnie do niej chodził. Ale tego, co widział miesiąc w miesiąc na swoim koncie, nie lubił. Wiedział, że Hauer nie może mu więcej płacić, warsztat był mały i nie przynosił wiele. Julius najchętniej by się usamodzielniał, ale nie miał odwagi. Musiałby wziąć kredyt, żeby urządzić warsztat. Nie wiedział, co robić.

Katharina zaczęła pracować, Julius nie miał już żadnych istotnych argumentów, by ją od tego odwieść. Jego obawy, że wszystko popadnie w chaos, się nie sprawdziły, ponieważ Arthur do czwartej po południu – później Katharina wracała do domu – opiekował się dziećmi. Juliusowi solą w oku było, że akurat jego ojciec spędzał z nimi tak wiele czasu, że akurat jego ojciec wciąż wyciągał ich z tarapatów, że jego żona tak bardzo lubiła akurat jego ojca.

– Twój ojciec to skarb, wiesz? – wyśpiewywała hymny, gdy Arthur budował dla dzieci domek na drzewie, gdy chodził z nimi na sanki, gdy pozwalał im bawić się w biurze, bo Katharina czuła się zmęczona. Kiedyś – bliźniaki były jeszcze małe – wróciła na lekkim rauszu z mieszkania Arthura, gdzie opijali duże zlecenie, i przez cały czas się śmiała. Miała lekko zaróżowione policzki, jej usta wilgotno błyszcząły.

Sypia z nim? – zadawał sobie wtedy pytanie Julius. Obudziła się w nim zazdrość i zaczął obserwować, a nawet szpiegować tych dwoje. Wyobrażał sobie, jak zaskakuje ich w łóżku i zabija siekierą.

Katharina pracowała w agencji reklamowej należącej do mężczyzny, którego potajemnie nazywał kogutem. Nie tylko dlatego, że jego fryzura à la James Dean z przodu była podobna do koguciego grzebienia, lecz także z tego powodu, że w swojej agencji zatrudniał tylko młode, ładne kobiety, które adorował i z którymi otwarcie flirtował. Julius nie znosił go od początku. Nie mógł też znieść, że Katharina rankiem robiła makijaż – wcześniej się nie malowała – że wkładała krótkie spódniczki i sukienki, a noszone dotychczas dzinsy i rozciągnięte T-shirty wylądowały w kufrze. W domu często bywała

zdeenerwowana. Julius czuł się niekochany i zaniedbywany.

Jedna sprawa goniła drugą. Robertowi przytrafiło się coś strasznego i to doprowadziło Juliusa do ciężkiej depresji. Jego przyjaciel na nartach w Szwajcarii miał poważny wypadek na stoku i Sibille zadzwoniła z płaczem do Juliusa, że ma natychmiast przyjechać do St. Moritz, by jej pomóc, bo sytuacja ją przerosła. Julius załatwił przeniesienie Roberta do szpitala w Linzu i inne sprawy. To on był przy tym, gdy lekarze poinformowali Roberta, że przez dwa złamane kręgi lędźwiowe będzie się do końca życia poruszał na wózku inwalidzkim. To on mu powiedział, że Sibille go rzuciła, bo ona nie miała odwagi osobiście mu tego wyznać. On szukał miejsca w klinice rehabilitacyjnej i pomógł mu potem sprzedać mieszkanie na trzecim piętrze bez windy, które kupił dla siebie i Sibille. On pomógł Robertowi w poszukiwaniu małego lokum nadającego się dla osoby niepełnosprawnej.

Julius okazał się jedyną osobą, z którą Robert utrzymywał kontakt. Jego dawny współpracownik był zgorzkniały, siedział sam w domu, chlał i popadał w abnegację. Julius tęsknił za swoim przyjacielem, tęsknił za tym wesołym, radosnym Robertem, z którym chadzał tu i tam.

Po każdej wizycie u niego obejmował Katharinę i całował dzieci, przejmował gotowanie i z wyjątkową uwagą bawił się z dziećmiakami.

Masz dobrze, myślał, mój Boże, jak ty masz dobrze.

Nie śmiał już Robertowi opowiadać, gdy dobrze mu szło, wstydził się, gdy mówił: „Poszedłem z Kathariną do restauracji, a potem do kina”, albo: „Wreszcie skończyłem to biurko, znów wygląda jak nowe!”.

To dziwne, że gdy widywał Roberta, opowiadał tylko, jak źle mu idzie, chociaż to często nie była prawda. Czuł się do tego zobowiązany. Pełzające niezadowolenie, które czasem odczuwał, zyskiwało w tych rozmowach taki rozmiar, z którego potem w domu trudno mu się było otrząsnąć. Będąc u Roberta, często miał wrażenie, że brakuje mu powietrza, i postanowił zerwać z nim kontakty. Ale zawsze gdy Robert zadzwonił, odwiedzał go, w przeciwnym razie miałby wyrzuty sumienia.

Kiedyś zeszli na temat pracy Kathariny w agencji reklamowej i Julius opowiedział, jak bardzo lubiła tam pracować, jak każdego dnia się szykowała i jak bardzo on nie lubił jej szefa.

Robert się przysłuchiwał i ostrzegł:

– Ach, to twoja piękna żona jest taka samodzielna? Powinieneś na nią uważać. Znam takie typki, tacy pieprzą naprawdę każdą.

Wydawało się, że Juliusowi przepalił się bezpiecznik.

– Dlaczego nie zrobisz jej jeszcze jednego dzieciaka? – zapytał Robert. – Wówczas znów będzie tam, gdzie jej miejsce, w bezpiecznym gniazdku.

– Chyba żartujesz – powiedział Julius.

Jedna sprawa goniła drugą. Następnego dnia zobaczył Katharinę i jej szefa w jedynej chińskiej restauracji w mieście, jedli razem lunch. Julius ukrył się za filarem i z dala obserwował tych dwoje. Jego żona uśmiechała się, mówiła i wybuchała śmiechem, przy czym wciąż patrzyła temu kogutowi w oczy i trzepotała rzęsami, kogut na chwilę położył swoją dłoń na jej ręce.

Wieczorem zaczął w nim dojrzewać plan.

Zdziwił się, że tak łatwo poszło. Była taka naiwna, tak łatwo było na nią wpłynąć, była jak wosk w jego rękach! Skłonił ją, żeby w końcu zrobiła przerwę w braniu pigułek antykoncepcyjnych. Gdy upiła się podczas jego urodzin, uwiódł ją i po prostu zdjął prezerwatywę (czego w stanie upojenia nie dostrzegła i do czego nigdy by się nie przyznał). Gdy zaszła w ciążę, pracował nad nią na wszystkie sposoby, żeby chciała zatrzymać to dziecko. Odgrywał kochającego ojca rodziny, który szaleńczo się cieszy na czwartego potomka. Nie cieszył się, sama myśl o wrzeszczącym osesku, który nie daje mu spać, przyprawiała go o skręt kiszek.

Tylko Robert o tym wiedział, a Julius opowiedział mu dopiero, kiedy jego plan się powiódł:

– Katharina jest w czwartym miesiącu ciąży.

– Co? Będziecie mieli jeszcze jedno? To ile ich już macie? Czwooro czy pięcioro? – zdziwił się Robert.

– Mamy troje i wkrótce urodzi się numer czwarty. Zrobiłem, jak mi radziłeś – powiedział Julius.

– Ja radziłem? – zapytał Robert z niedowierzaniem.

Wkrótce zrozumiał, twarz mu się wykrzywiła i zaczął skrzecząco się śmiać.

– Jesteś idiotą, nie, jesteś genialny! – wrzeszczał. – Jak ci się to udało?

– Trzeba było mnóstwa alkoholu – uśmiechnął się Julius.

– Jesteś perwersyjną świnią, Juliusie Bergmüllerze – śmiał się Robert. – A mimo to ci gratuluje!

Dziecko przyszło na świat, znów dziewczynka. Juliusowi było to obojętne, i tak lepiej niż z synem rozumiał się ze swoimi córkami, zwłaszcza z Victorią – była jego ulubienicą. Katharina po porodzie czuła się bardzo źle i Julius z jednej strony jej współczuł, z drugiej zaś jej zachowanie go odstręczało. W pierwszych tygodniach leżała w łóżku nieumyta, z tłustymi włosami i tylko płakała, dawała radę jedynie nakarmić dziecko, na więcej nie starczało jej sił.

– Weź się w garść! – krzyczał na nią, a ona brała się w garść.

Gdy dziecko miało cztery miesiące, Katharina spotkała w miasteczku Roberta. Zazwyczaj załatwiała sprawunki w małym supermarkecie we wsi, tego dnia spontanicznie postanowiła zrobić większe zakupy. Robert, jak zwykle pijany w sztok, wypaplał oczywiście tajemnicę Juliusa, a potem rozpętało się piekło.

Nie przyznał się, ale Katharina mu nie wierzyła. Wychodziła z siebie z wściekłości, jeszcze nigdy jej takiej nie widział i jeszcze nigdy tak na niego nie krzyczała.

– Nie rób z siebie pośmiewiska, wyglądasz jak furia! – próbował ją deprecjonować.

– No to wyglądam jak furia! – krzyczała. – Wszystko mi jedno! Dobrze cię znam, Julius, jesteś wyjątkowo blady i ręce ci drżą, i już samo to mi mówi, że to prawda!

Gdy następnego dnia spotkał przed domem Arthura, ten spojrzał na niego z taką pogardą, że Julius chciał go od razu zatłuc.

– Znów naskarżyłaś Arthurowi? – zapytał w kuchni Katharinę, która akurat siedziała przy stole i karmiła.

– Nie, nie zrobiła tego – ostro zaprzeczył Arthur, stając w drzwiach. – Ale waszych pojedynków na wrzaski nie dało się nie słyszeć.

Później, gdy byli sami na klatce schodowej, Arthur oznajmił:

– Jestem gotów bez wahania w to uwierzyć, Juliusie, wiesz?

– Oczywiście, że wiem – szydził Julius. – Jesteś gotowy spodziewać się po mnie wszystkiego, co najgorsze na świecie!

Arthur przyglądał mu się przez chwilę, a potem spokojnie powiedział:

– Nie, nie spodziewam się po tobie wszystkiego, co najgorsze na świecie, ale teraz naprawdę narobiłeś gnoju. Mogę sobie wyobrazić twoje motywacje. Co się stało, to się nie odstanie, nie możesz tego cofnąć. Walcz o nią! Katharina się uspokoi.

Najgorsze było to, że jej wściekłość nie gasła, lecz wciąż płonęła. Katharina patrzyła na niego oczami pełnymi pogardy. Zmieniła się, zupełnie go ignorowała i nie dawała sobie już niczego wmówić. Jej zwykła uległość w stosunku do niego zniknęła. Przedtem mógł jej wcisnąć wszystko.

– Skończyłam z tobą – powiedziała mu.

Czuł, że posunął się za daleko i stracił jej miłość, wszystko wydawało mu się bezcelowe.

Swoją wściekłość przerzucił na Roberta.

Umówił się z nim na rozmowę, nakrzyczał na niego, chwycił go za kołnierz i mocno nim potrząsnął:

– Co ci przyszło do głowy, ty gnoju? Powiedziałem ci to w zaufaniu! Byłeś moim przyjacielem! Nigdy więcej mnie nie zobaczysz!

Również Claudia go o to zagadnęła, gdy kiedyś odbierał Leonorę od Doris, gdzie spędziła popołudnie ze swoją przyjaciółką Marą. Podeszła do jego samochodu, gdy akurat przypiął dziecko pasem, a potem zamknął drzwi. Claudia, otulona swetrem, obejmując się rękami, stała przed nim. Wyglądała na postarzałą.

– Powiedz mi, że to, co Katharina powiedziała Doris, to nieprawda – zażądała.

Patrzył na nią sparaliżowany.

– Och – zaczął sarkastycznie. – To zatoczyło już tak szeroki krąg? Wie o tym cała wieś? Wy, kobiety, jesteście tylko głupimi plotkarami!

– Doris jest jej najlepszą przyjaciółką! Musi się komuś wygadać, ma

to w sobie kisić? Wiemy o tym tylko ona i ja, nikt więcej! Ale to nieprawda, powiedz? – Nie odpuszczała i położyła mu rękę na ramieniu. Strząsnął ją rozdrażniony.

– A ty w to wierzysz? – zapytał, nagle obudziła się w nim ciekawość.

– Nie wiem. Czasem jest w tobie coś, czego sam nie rozumiesz, w to wierzę – odpowiedziała Claudia.

Julius się roześmiał, wszedł do samochodu i odjechał.

Miesiąc później Robert popełnił samobójstwo, powiesił się w swojej sypialni. Kilka tygodni po tym Julius został agentem farmaceutycznym. Przeszedł w Wiedniu krótkie szkolenie i zaczął pracę przedstawiciela handlowego w Vorarlbergu i Tyrolu.

Przez większość czasu sypiał w hotelach: w Innsbrucku, w Bregencji, w Dornbirn albo gdziekolwiek, czuł się z tym dobrze, góry zawsze mu się podobały. Upajał się wolnością, w małych pokojach odnajdował się znakomicie. Im były bardziej bezosobowe, tym lepiej.

Wieczorem leżał godzinami przed telewizorem i skakał po kanałach, oglądając bezsensowne seriale i pijąc jedno piwo po drugim. Albo spacerował po starówce, siadał w jakimś barze i obserwował ludzi. Rankiem nie budził go wrzask niemowlaka ani głośne rozmowy dzieci, mógł się wyspać. Nie tęsknił za niczym.

Czuł się trochę jak Tomasz, bohater *Nieznośnej lekkości bytu* Milana Kundery, jednej z niewielu książek, które w życiu przeczytał, i jednej z ulubionych książek Kathariny – zawsze prosiła go, by ją przeczytał, aż się w końcu przełamał. Całkiem mu się podobała.

Chirurg Tomasz, gdy jego Teresa wraz z psem wyjechała do Pragi, czuje w Zurychu słodką lekkość bytu. Julius czuł ją w górach. Dla Tomasza stała się nie do zniesienia, dla niego, Juliusa, była bardziej niż znośna, odczuwał ją jako fantastyczną. Spacerował po mieście i wdychał zapach swojej wolności, przyszłość stanowiła tajemnicę i rozkoszował się w pełni kawalerskim życiem. Z powodu nieuwagi był przez dwanaście lat uwięzany przy Katharinie, związała ich ciąża i ciąża zakończyła ich wspólną drogę.

W pracy szło mu dobrze, swego czasu dostał od Roberta

dostatecznie dużo fachowych wskazówek, poza tym miał trzydzieści cztery lata i nie był już nieśmiałym młodym mężczyzną, wiedział, czego chce. Jeśli chodzi o wizerunek, pracował nad tym, by sprawiać na ludziach wrażenie solidnego i szarmanckiego. Komplementem czy drobnym prezentem torował sobie drogę do pokoju przyjęć obok czekających pacjentów.

Poznawał ludzi i po pracy organizował sobie wiele zajęć, był aktywny, jak już dawno mu się nie zdarzało. Zaczął inaczej się ubierać, bardziej nowocześnie, młodzieżowo. Jego nowe życie do niego pasowało.

W weekendy jeździł do domu, ale nie zawsze. Życie rodzinne znakomicie funkcjonowało i bez niego, ojca rodziny, i to go martwiło. We własnej rodzinie czuł się już tylko kimś obcym, dzieci wprawdzie nie wiedziały, o co chodziło w sprzeczkach rodziców, ale od razu stawały po stronie matki. Prawie z nim nie rozmawiały i zamykały oczy, kiedy wchodził do pokoju.

Najgorzej rozumieli się z Vincentem i nie potrafił powiedzieć, z czego to wynikało. Z tego, że ten chłopak był przeklętym maminsynkiem? Czyżby miał się powtórzyć trudny związek, jaki łączył jego i Arthura? Chłopak tylko siedział przed komputerem i patrzył w monitor, kiedy z nim rozmawiał, prawie nie odpowiadał na pytania. Ciastowata cera, nieobecność duchem, kiepskie oceny i ani minuty na świeżym powietrzu!

Zupełnie inaczej niż najstarsza córka, ona stanowiła jego dumę, miała silną wolę, była ambitna, a do tego jeszcze ładna. Żywił przekonanie, że tak naprawdę można kochać tylko jedno dziecko. Lubił jej przywozić prezenty i wręczał je potajemnie w pokoju, żeby inne dzieci nie zazdrościły. Uwielbiał, kiedy wieczorem siadała obok niego na sofie, żeby obejrzeć z nim wiadomości, i kładła głowę na jego ramieniu. Z biegiem lat wyrosła na piękność i stwierdził, że bardziej mu zależy na tym, by podobać się jej niż żonie. Jej pełne podziwu spojrzenia stanowiły dla niego dowód, że wciąż jeszcze był atrakcyjnym mężczyzną, który zachował młodość i luz.

Wiosną 2008 roku Julius poznał dwudziestopięcioletnią Margaret,

pracowała jako pomoc lekarza rodzinnego. Była całkowitym przeciwieństwem jego żony: niska, drobna i ciemnowłosa, i to mu się podobało. Przez rok byli – w tygodniu – parą, aż się z nią rozstał, bo spotkał Simone.

A potem, pewnego dnia w marcu 2012 roku, Julius poznał kobietę swoich marzeń, Stephanie Mangold. Przyjechała do Bergmühle, bo chciała zlecić Katharinie napisanie biografii swego wujka, a on przysiadł się do obu kobiet, a potem oprowadził ją po domu. Od razu mu się spodobała. Na korytarzu nagle wcisnęła mu w dłoń wizytówkę i rzuciła: „Zadzwoń do mnie”.

Obejrzał sobie wizytówkę w toalecie i był zaskoczony, że mieszkała w Innsbrucku. Idealnie, pomyślał i uśmiechnął się – cóż, to jak znak od Boga.

Zadzwoił do niej i umówili się wieczorem w restauracji. W drzwiach lokalu niechęć się zderzyli.

Była dwa lata starsza od niego i prezentowała się fantastycznie, jej wygląd dosłownie go powalił. Następnego dnia poszli razem na obiad, trzy dni później do łóżka. Była zupełnie inna niż Katharina: wyluzowana, niekonwencjonalna i pełna temperamentu, jej nadzwyczajna pewność siebie, jej zachowanie, jej styl i sukces go pociągały. Stephanie miała w Innsbrucku duże nowoczesne mieszkanie, które starannie urządziła, do tego wakacyjne lokum nad jeziorem Garda, i jeździła mercedesem. Nigdy nie wyszła za męża i nie miała dzieci. Miała za to jednego kochanka za drugim, często byli to żonaci mężczyźni. Po prostu brała sobie, co chciała. Juliusowi to imponowało. Ledwie mógł uwierzyć, że zainteresowała się nim, drobnym agentem farmaceutycznym. Ale tak było: Stephanie zwariowała na jego punkcie.

A on na jej punkcie. Jeszcze nigdy nie był tak zakochany. Czuł się przy niej po prostu dobrze. Stephanie była otwarta i bezpośrednia i tego samego oczekiwała od niego, nie musiał się bać, że zmusi go do milczenia i będzie na niego patrzeć zranionym wzrokiem, tak jak Katharina, gdy się kłócili; jeśli coś jej nie pasowało, kontrowała. Podobnie jak on czytała niewiele, a jeśli już, to fachowe książki, lubili tę samą muzykę i była jak on nocnym markiem. Zaczął coraz częściej

spędzać noce u niej.

Od początku zadawała mu wiele pytań o jego pochodzenie, chciała wszystko wiedzieć o jego dzieciństwie, domu rodzinnym, ojcu, a on podawał jej szczegóły, o których nawet Katharina nie wiedziała. (Ona też nie wypytywała go nigdy tak dokładnie).

Jeśli chodzi o Stephanie, on wiele nie pytał, po prostu dlatego, że nigdy nie interesowała go szczególnie czyjaś przeszłość (w odróżnieniu od Kathariny), jego interesowała teraźniejszość. Wiedział tylko, że wyrastała w pobliżu Kitzbühel, w dużej wiejskiej posiadłości, jej ojciec wcześniej umarł, jej brat Philipp mieszkał w Wiedniu i był neurochirurgiem. To mu wystarczało.

– Poza tym mój brat pasowałby do twojej żony – powiedziała kiedyś. – Jest tak jak ona moim książkowym i równie chętnie pija słodkie białe wina.

– O mój Boże, jest gejem? – zapytał Julius i oboje dostali ataku śmiechu.

Podczas weekendów z rodziną miał wyrzuty sumienia, co mu się przedtem nie zdarzało. Pierwszy raz również w weekend intensywnie myślał o kochance i gdy Katharina chciała się z nim kochać, musiał wyobrazić sobie ciało Stephanie, żeby się przemóc.

Historia Thomasa

Pewnego dnia, w sierpniu 1949 roku, wszystko się zmieniło.

Dzisiaj, dwudziestego trzeciego marca 1965 roku, siedzę w kuchni moich rodziców i myślę: gdybym został w tej kopalni uranu, byłbym tam szczęśliwy! Nikogo nie interesował mój los! Moja matka nie szukała mnie długo, miała męża i mego brata. Nie byłem nikim szczególnym. Młynarzem, który nie chciał być młynarzem. Młynarzem, który wolałby być pisarzem, ale nie miał do tego talentu. Ha, młynarzu, zostań przy swojej robocie. Młynarzem, który teraz jest niepotrzebny, bo w domu już nie ma młyna. Nigdy nie zdarzyłyby się te straszne rzeczy. Lu prawdopodobnie siedziałaby dzisiaj ze swoją siostrą w jakiejś wiedeńskiej kawiarni i plotkowała albo zachwycała swoją grą na fortepianie wielu ludzi.

Po pobudce dostajemy jak zwykle jedzenie, ale potem nie gonią nas do sztolni. Każą wszystko zabrać i wyjść na zewnątrz. Patrzymy na siebie zaskoczeni.

Przed wejściem do sztolni ustawiamy się w dwuszeregu. Komendant obozu przechodzi obok nas i przygląda się każdemu. Żegna się z nami i nawet dziękuje za nasz wkład pracy, życzy nam wszystkiego dobrego na przyszłość. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do takich słów, patrzymy na siebie zakłopotani.

Maszerujemy w dół do portu i zdziwieni dostrzegamy statek, z którego wnętrza akurat wysiadają setki więźniów. Wygląda to tak, jakby z dziury wychodziły mrówki.

– Posiłki dotarły – mówi Fritz. – Nas zwolnili, teraz ci biedacy będą tu pracować.

Droga do Magadanu trwa trzy dni. Nastroje są dobre, jesteśmy przeszczęśliwi.

– Gorzej niż w tej kopalni nie może być – mówią wszyscy.

W dużym obozie przejściowym w Magadanie zostajemy zarejestrowani, zapisują nasze nazwiska, daty, zawody, paragrafy

i wymiar kary. Te biurokratyczne środki ostatecznie nas przekonują, że wróciliśmy do cywilizacji. Niektórych z nas od razu odsyłają do szpitala. Nie wiemy, jak długo tu zostaniemy, nie wiemy również, do jakiego obozu nas przetransportują. Możemy odpocząć. Jak przed trzema laty dostajemy nowe ubrania i dostatecznie dużo jedzenia.

– Tu jest jak w raju – mówi Fritz, gdy rozciąga się na swojej pryczy. Są nawet poduszki i koce.

Fritz i ja pytamy różnych ludzi o Karla, ale nikt nic o nim nie wie. Wałęsam się przed biurem administracji i czekam całymi dniami, aż sekretarka w końcu będzie sama. Ktoś powiedział mi, że ta młoda kobieta, która też jest więźniarką, chętnie udziela informacji, gdy zostaje sama w biurze. Kiedy widzę, że wszyscy wyszli, szybko wchodzę i pytam ją, czy Ludovica Steiner wciąż jeszcze jest w obozie Kalinka przy kopalni złota. Ona patrzy na mnie i wilgotnieją jej oczy:

– Pan musi być tym młodym człowiekiem, który z nią... Próbowaliście uciec, prawda? Wszyscy o tym wiedzą i wszyscy uważają was za bohaterów.

Jakiś oficer zbliża się do biura, a ja z lękiem wypadam przez drzwi. Stoję na ciepłym słońcu i patrzę w błękitne niebo. To lato jest cieplejsze niż poprzednie. Pocę się w swoim watowanym ubraniu.

Zatem Ludovica i ja staliśmy się legendą.

Nie mam więcej okazji, by pójść do sekretarki.

A potem się zaczyna. Drzwi naszego baraku gwałtownie się otwierają, strażnik krzyczy:

– Wywózka!

Chociaż błagamy, rozdzielają Fritza, Kristjana i mnie. Obejmujemy się ze łzami w oczach.

– Przeżyjesz, Thomas, słyszysz? – nakazują mi surowo. – Przynieś nam to. I kiedy wrócisz do domu, odwiedź nasze rodziny i opowiedz o nas.

Obiecuję im to. Adresy obydwu od dawna znam na pamięć.

Przyjeżdżam z małą brygadą liczącą tylko dziesięciu mężczyzn do jakiegoś młyna położonego trochę za Magadanem. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem takiego wielkiego młyna, takiego mnóstwa zboża! Leży tonami w halach. Wszystko jest zautomatyzowane.

Dobrze trafiliśmy, fizycznie praca nie jest zbyt ciężka i traktują nas po ludzku. Mieszkamy w baraku obok młyna, wszyscy w jednym pomieszczeniu. Ja jestem odpowiedzialny za żarna walcowe, ich konserwację, a przede wszystkim za to, żeby ich nie przeciążyć, co się przedtem często zdarzało. Podchodzą do mnie z szacunkiem i szanują moją wiedzę.

Większość z tych, którzy tu pracują od dłuższego czasu, to zwolnieni więźniowie, którym zabroniono powrotu do ojczyzny. Mieszkają w innym baraku, dostają pensję i muszą zapłacić za mieszkanie. Wygnanie to częsty przypadek na Kółymie: dziesięć lat kary więzienia, kolejne dziesięć lat wygnania, jak na przykład w wypadku Jurija.

Jurij jest młodym moskwianinem, który studiował literaturę i pewnej nocy w lutym 1939 roku został aresztowany w łóżku. Dopiero podczas przesłuchania poznał powód: podobno źle wyraził się do innego studenta o Stalinie. I nic nie pomogło, że Jurij zapewniał o swojej niewinności, przecież nie odważyłby się powiedzieć niczego złego o Stalinie, wiedział, co to oznacza. Dlaczego ten student go oczernił, nadal nie wie.

– Gdy wrócę do domu, pierwsza rzecz, jaką zrobię, to... – mówi Jurij i przerywa.

– Znajdziesz go i zabijesz? – pytam.

– Znajdę go i zapytam o powód – odpowiada. – Może zrobiłem mu coś strasznego, czego nie jestem świadomy, a to była jego zemsta?

Pokręciłem głową ze śmiechem. Chudy Jurij z przedwcześnie posiwiałymi włosami jest poważny i melancholijny. Zaprzyjaźniamy się.

– Jak dla mnie jesteś typową rosyjską duszą – mówię do niego, a on się śmieje.

Dużo rozmawiamy, opowiadam mu o swojej ucieczce na Alaskę. Jurij nie może uwierzyć.

– Słyszałem o tym Teljanie – stwierdza. – W zbiorczym obozie w Magadanie kilku o nim mówiło. Podobno jest zwyrodnialcem. Jakiemuś młodemu człowiekowi kazał stać na mrozie bez ubrania, dopóki ten nie zamarzł. Drugiego bił batem tak długo, aż stał się

krwawym strzępem.

Opowiada mi o rosyjskiej literaturze i aktualnych wydarzeniach politycznych. Ponieważ jego kara więzienia się skończyła, ma dostęp do gazet.

– Stosunki pomiędzy Związkiem Radzieckim a Stanami Zjednoczonymi w ostatnich latach znacznie się ochłodziły – mówi. – Dziś Amerykanie z pewnością by cię już nie wydali. Wybrałeś niewłaściwy moment. Na przykład Czukczom i Eskimosom zabroniono kontaktów.

Włącza się syrena na drugim końcu hali, zbiegam na dół. Żarno walcowe jest zatkane.

W następnych tygodniach za każdym razem, gdy jesteśmy sami, rozmawiamy o rozmaitych drogach ucieczki.

– Wiesz, jak się stąd wydostanę? – mówi. – Stworzyłem idealny plan ucieczki po tym, jak kilka razy byłem w porcie i pomagałem przy przeładowywaniu worków z mąką.

– Nie, powiedz mi – proszę.

– Spróbuję w jakiś piątek, wtedy wszyscy są pijani. Piją dość dużo wódki, prawda? Wykradnę się nocą do portu i ukryję na małym frachtowcu Sachalin w ładowni za workami mąki. Ten statek latem wciąż pływa – przewozi mąkę, inną żywność i lekarstwa – pomiędzy Magadanem i Uelen, tam i z powrotem. W ostatni rejs wypływają zawsze po ósmym września wczesnym rankiem, bo tu, w Magadanie, świętują wygraną pod Borodino. Statek dlatego tak dobrze się nadaje, że nie ma na pokładzie żadnych żołnierzy, kapitan jest starym Czukczą, który pływa wraz z synem. Nie traktują kontroli zbyt poważnie i nie mają nic przeciwko wódce. Poznałem ich, szczególnie lubią Sowietów. W Uelen – to mała wieś położona jeszcze bardziej na północ niż Ławrentija, gdzie mieszka kilku Czukczów, którzy nie robią niczego innego, tylko piją – chapnę jakąś małą łódkę i popłynę nią aż do Kanady. Wiem o dwóch takich, którym się to udało.

Jego plan zagnieździł się mi w głowie.

Znów jestem młynarzem.

Młynarzem na Syberii.

Młynarzem, który marzy o tym, by wrócić do domu i tam zostać wziętym pisarzem.

Pisarzem, który ze swoją dziewczyną, słynną pianistką, siedzi na hotelowym tarasie w Nowym Jorku i je śniadanie.

Sam siebie nazywam durniem i kręcę głową nad swoimi śmiesznymi marzeniami.

Ludovica. A jak ty się masz?

Rok później, w sierpniu, mam paskudny wypadek. Spadam z trzymetrowej drabiny na betonową podłogę, na stopy. Moje zgruchotane pięty zostają zoperowane w szpitalu w Magadanie. Gdy wiozą mnie na salę operacyjną, w panice się bronię, bo się boję, że bez ceregieli po prostu amputują mi stopy. Musi mnie trzymać czterech sanitariuszy, zanim eter zacznie działać i zasnę.

Po przebudzeniu stwierdzam oszołomiony, że jeszcze mam stopy. Są starannie opatrzone. Poza tym dostrzegam, że siostrą, która siedzi obok mojego łóżka, jest Ludovica.

Uśmiecha się do mnie.

Najpierw myślę, że chyba umarłem i Lu właśnie wita mnie w niebie. Potem, że śnię, że jestem jeszcze oszołomiony narkozą i mam halucynacje.

– Thomas, to naprawdę ja – szepcze ona i chwyta mnie za rękę.

Nie mogę uwierzyć i wpatruję się w nią. Jej twarz nie jest już tak szczupła i nie wygląda tak dziecinnie jak kiedyś. Sprawia wrażenie dorosłej. Stała się kobietą. Nie mogę powstrzymać łez. Gwałtownie chwytam powietrze.

– Pssst – mówi i przykłada palec do ust. – Musimy uważać.

Opowiadamy sobie szeptem, co się wydarzyło podczas ostatnich trzech lat. Ludovica jest od miesiąca pielęgniarką w szpitalu w Magadanie. Wcześniej ponad dwa lata pracowała w lazarecie w obozie Kalinka, gdzie wydobywano złoto. Teljan zabiera ją ze sobą – razem z fortepianem – wszędzie. Tak jak kiedyś, musi mu grać kilka razy w tygodniu. Jest bardzo podobna do jego zmarłej żony i on traktuje ją jak swoją własność. Żeby to się za bardzo nie rzucało

w oczy, zapewnia jej w każdym obozie, którym zarządza, jakąś pracę. Na razie pojechał na kilka tygodni na urlop do Moskwy, ponieważ zmarł jego ojciec, musi zatroszczyć się o spadek.

– Dobrze cię traktuje? – pytam cicho i obserwuję jej twarz.

Unika mojego spojrzenia i w końcu zaczyna płakać. Od razu rozumiem. I w tym momencie ostatecznie decyduję się na ucieczkę.

– Zaczęło się wtedy na tym statku? – pytam ją.

Kiwa głową.

– Od tego czasu stało się to nawykiem. Dzięki Bogu nie zdarza się zbyt często, tylko raz lub dwa w miesiącu, a ja się już nie bronię. Nie jest dla mnie grubiański, traktuje mnie całkiem dobrze. Troszczy się o wiele rzeczy, mam lepsze warunki niż inni więźniowie.

W mojej wyobraźni pojawiają się liczne obrazki jej nagiego ciała. Kręci mi się w głowie. Nie chcę pokazać, że jestem bardziej niż zazdrosny, jestem obłąkany z bólu.

– To nie jest ta Lu, którą znam – mówię z goryczą. – Poddałaś się.

Patrzy w górę i czerwienieje. Na jej twarzy pojawia się grymas wściekłości.

– A co mam zrobić? Może mnie w każdej chwili zastrzelić albo skazać na śmierć głodową w karczerze! Nie mam wyboru! – rzuca i wstaje. – Jesteś cholernie niesprawiedliwy, Thomasie! Chcę przecież tylko przeżyć i wrócić do domu! – Zaczyna płakać. – Wszystko, czego chcę, to wrócić do domu! – dodaje i szybko odchodzi.

Potrzebuję wielu godzin, żeby się uspokoić. Wciąż powtarzam sobie, że to tylko wola przetrwania każe jej to robić, że to nie jest miłość. Gdy znów do mnie zagląda, ma zaciętą minę, biorę ją za rękę i przepraszam.

– Przez cały czas nie mogłem o tobie zapomnieć – szepczę. – Dlatego tak zareagowałem, przepraszam.

– Ja też każdego dnia o tobie myślałam – szepcze ona, a po jej policzkach płyną łzy.

Opowiadam jej o planie ucieczki Jurija.

21 grudnia 2012: Philipp Humbert Humbert i Wilbur Larch

Natychmiast ją rozpoznał.

Szła powoli w dół schodami, obok niej wysoki, starszy pan, który miał w sobie coś majestatycznego, co od razu rzuciło mu się w oczy. I był podobny do kogoś, kogo kiedyś znał, ale mimo najszczerzych chęci nie mógł sobie przypomnieć do kogo, może się mylił. Ci dwoje szli korytarzem w ich stronę: jego, jego płaczącej matki, lekarza i policjantów. Wysoka, wyprostowana sylwetka, równy krok, piękna, symetryczna twarz, długie włosy. Jak miałyby jej nie rozpoznać? Tygodniami zaprzętała jego myśli.

Co, u diabła, robi tu, w piwnicy okręgowego szpitala? Co ma wspólnego z jego siostrą? Była jej przyjaciółką? Kto do niej zadzwonił? Jego mózg pracował powoli, jak gdyby okrył go welon z mgły, nic nie rozumiał. Wciąż jeszcze był w szoku, że jego siostra nie żyje, że jakaś ciężarówka uderzyła w jej samochód i rozjechała ją na maź. Ledwie potrafił jasno myśleć.

I nagle mu zaświtało: ta kobieta – miała na imię Katharina, to jeszcze pamiętał – nie miała nic wspólnego z jego martwą siostrą, miała coś wspólnego z tym mężczyzną, który stał na chodniku obok auta jego siostry, i również jego zahaczyła ciężarówka. Musiała być jego żoną! Ona, Katharina, była żoną ofiary wypadku, która przypadkiem pytała jego siostrę o drogę akurat w momencie, gdy ciężarówka znalazła się na przeciwnym pasie ruchu, tak poinformowała go policja.

Cóż za dziwny przypadek.

Philipp poznał Katharinę przed siedmioma tygodniami w pewnym hotelu w Tyrolu, to był początek listopada. Uczestniczył w kongresie lekarzy w Innsbrucku i chciał, zanim wróci do Wiednia, jeszcze przez półtora dnia się zrelaksować. (Stephanie poleciła mu hotel Interalpen,

trzydzieści kilometrów na zachód od Innsbrucku, w środku lasu, jak pamiętamy).

Podczas kolacji w sobotę już wpadła mu w oko, siedziała naprzeciwko jakiegoś mężczyzny, który był do niego odwrócony tyłem, i patrzyła na niego z miłością. Wzbudziło to jego zazdrość, rozwiódł się trzy lata temu, już za długo był sam. Gdy wrócił z bufetu, obojga już nie było.

W niedzielny poranek wstał bardzo wcześnie, kilka razy przepłynął basen, a potem położył się, żeby poczytać. Gdy drzwi się otworzyły, weszła ona, z książką w ręce, on ją zagadnął i zaczęli rozmawiać. Przez większość czasu mówili o książkach. Była taka jak on, czytała jedną książkę za drugą, potrzebowała ucieczki do obcego świata.

– Kto jest pańskim ulubionym bohaterem? – spytała.

Zastanowił się chwilę i odpowiedział:

– Myślę, że Humbert Humbert z *Lolity* Nabokowa.

Skrzywiła się, a on się roześmiał.

– Szkoda mi tego człowieka. Wiedzieć, że się jest perwersyjnym facetem, i tak bezwarunkowo kochać, to musi być straszne. A pani?

– Myślę, że lekarz Wilbur Larch z *Regulaminu tłoczni win* Johna Irvinga. Zna pan tę książkę?

Philipp pokiwał głową.

– On nie osądza i to mi się w nim podoba. Akceptuje decyzje kobiet w taki pozytywny sposób. Jeśli chcą usunąć ciążę, dostają to, czego oczekują, jeśli pragną urodzić dziecko, ale nie mogą go wychować, przyjmuje je do sierocińca. Jest pełen miłości.

Długo rozprawiali o autorach, książkach i ich charakterze, aż spojrzeli na zegar i wstali z leżaków, Katharina chciała pójść na śniadanie, gdzie miała się spotkać z Julusem, Philipp był już po śniadaniu i musiał wyjechać.

– Mam na imię Philipp. – Podał jej rękę.

– Katharina – odparła.

– Jesteście tutaj we dwoje? – zapytał, ciekawy, i szybko dodał: – Wczoraj przy kolacji widziałem panią z kimś.

– Tak, z mężem – powiedziała i lekko się zaczerwieniła. – Jest agentem farmaceutycznym w Tyrolu i, tak, mieszkamy w Górnej

Austrii, i bardzo bym chciała, żeby znów poszukał pracy w pobliżu nas, żebyśmy tak długo nie żyli oddzielnie. O tym wczoraj rozmawialiśmy. Po co ja to panu opowiadam? – Roześmiała się zakłopotana.

– I? On też chce?

– Tak, zgodził się, on też chce – odrzekła szczęśliwa.

– To dobrze. Nowy początek zawsze jest dobry. Cieszę się z panią – powiedział Philipp.

– Miło było z panem pogadać. – Z uśmiechem podała mu rękę.

– Do widzenia, Katharino – pożegnał się Philipp.

Pamiętał jeszcze, co pomyślał, gdy zniknęła za rogiem: dlaczego właściwie mówię „do widzenia”, na pewno nigdy jej już nie zobaczę, chyba że niechcący wbiegnie w Wiedniu pod samochód i przywiozą ją do głównego szpitala, gdzie stwierdzą, że cierpi na raka mózgu.

A teraz znów ją spotkał.

Najwyraźniej w zimowym płaszczu wyglądał inaczej, bo chyba go nie poznała. Była blada i zmęczona, miała podpuchnięte oczy. Wzbraniała się przed wejściem do kostnicy i dlatego starszy mężczyzna sam tam poszedł z policjantem. Usiadła na jednym z krzeseł i wpatrywała się w ścianę. Gdy mężczyzna wrócił, patrzyła mu z napięciem w twarz, on skinął głową i oboje wybuchnęli płaczem.

Philipp odprowadził ich do hotelu i zapytał mężczyznę, czy przynieść mu z apteki tabletki nasenne. Mężczyzna z wdzięcznością przyjął propozycję.

– Poza tym nazywam się Philipp Mangold, brat Stephanie. Ona jest... była w tym samochodzie – powiedział i podał Arthurowi rękę.

Katharina siedziała na krześle, omal się nie przewróciła.

– Arthur Bergmüller, to moja synowa, Katharina. Julius i ona mają czwórkę dzieci – powiedział mężczyzna.

Czwórka dzieci!

(Katharinie nazwisko Stephanie Mangold właściwie musiało coś mówić, ale że była w szoku, tak się nie stało, dopiero kilka dni później zaczęło jej świtać i zupełnie się załamała. Philippowi musiało

coś mówić nazwisko Bergmüller, ale ponieważ to dość popularne nazwisko w Austrii, tak się nie stało).

Philipp wrócił do hotelu ze środkami uspokajającymi i nasennymi, wręczył je Arthurowi i wyjaśnił, ile może podać Katharinie. Ona była już w pokoju.

– Zatrąszczę się o wszystko, panie Bergmüller, zadzwonię rano do zakładu pogrzebowego, który może zająć się przewiezieniem ciał – powiedział Philipp. – Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, przyjadę tu jutro rano i zawiozę państwa do ich samochodu.

Arthur dał mu swoją wizytówkę i podziękował. Philipp pojechał do swojej matki.

Chociaż czuł żal z powodu śmierci Stephanie i był bardzo zajęty przygotowaniem do pogrzebu, a przede wszystkim matką, która się załamała, nie opuszczała go myśl o Katharinie. Cały czas miał nadzieję na telefon z P. Wieczorem po pogrzebie Stephanie zadzwonił do Arthura i dowiedział się, że pogrzeb Juliusa odbędzie się następnego dnia. Bez zastanowienia zdecydował się na niego pojechać. Zaparkował poza wsią i poszedł spacerem. W kościele akurat odprawiano mszę żałobną, usiadł w jednym z tylnych rzędów i słuchał. Kościół był prawie pełen, z przodu po lewej rozpoznał Katharinę, obok niej ujrzał czwórkę dzieci i Arthura. Dwie jasnowłose dziewczynki, starsza i młodsza, wstały i przeczytały poruszający tekst, który same napisały, ta mniejsza zaczęła przy tym szlochać. Tekst nosił tytuł *To był mój ojciec* i wzruszył wszystkich w kościele do łez, również jego.

Gdy uformował się kondukt za trumną, dołączył z tyłu. Na cmentarzu jeszcze ksiądz powiedział parę słów, zanim opuszczono trumnę i każdy z żałobników wrzucił małą szufelkę ziemi. Gdy podszedł, żeby złożyć Katharinie kondolencje, potrząsnął jej ręką i nic nie powiedział. Wyglądała, jakby schudła parę kilogramów.

Arthur serdecznie uścisnął mu dłoń i rzekł:

– To miło, że się pan pojawił. Proszę przyjść na konsolację, będziemy się bardzo cieszyć!

W gospodzie siedział – Arthur napędce o tym zdecydował – przy

dużym stole z rodziną Bergmüllerów i jeszcze jedną, Doris i Andreasem, którzy wyraźnie byli blisko zaprzyjaźnieni z Kathariną. Czwórka jasnowłosych dzieci zajęła miejsca od najmniejszego do największego pomiędzy Kathariną a Arthurem i Philipp stwierdził, że wszystkie były jak matka: wysokie, jasnowłose i niebieskookie, nawet mówiły podobnie do niej. Wszystkie jak skóra zdjęta z matki.

Czy Juliusowi to przeszkadzało, zadawał sobie pytanie, czy chciał czasem, żeby przynajmniej jedno było podobne do niego?

Dzieci obserwowały go z ciekawością, a najmłodsza, miała na imię Luisa, zapytała bez ogródek:

– Jesteś bratem tej pani, którą też przejechała ciężarówka?

– Tak, to ja – powiedział.

– Dlaczego tu jesteś? – wypytywała dalej. – Przecież w ogóle nie znałeś mojego taty.

– Bo akurat byłem w pobliżu i pomyślałem, że wpadnę – odparł i spojrzał na Katharinę.

Zauważył, że uważnie mu się przygląda.

(Nie ma co wspominać o tym, że się jej podobał, podobał się jej już w hotelu Interlpen – wysocy ciemnowłosi mężczyźni w okularach byli w jej typie).

Później, gdy wszyscy wyszli z gospody, przez chwilę zostali sami.

– Jak się pani czuje? – zapytał ją cicho.

Wzruszyła tylko ramionami i lekko pokręciła głową, zauważył, że musiała powstrzymać łzy.

– Nieszczęśliwie, jak pan sobie może wyobrazić – powiedziała z goryczą. – A pan?

– Ujdzie, muszę przyznać, że moje kontakty z siostrą pozostawały dość luźne – odpowiedział. – To znacznie gorsze dla mojej matki, były ze sobą bardzo blisko.

Wyszli z gospody, on odprowadził ją do samochodu, gdzie już czekała dwójka dzieci, pozostała dwójka wsiadała właśnie do auta Arthura.

– Mąż pracował sześć lat jako agent farmaceutyczny w zachodniej Austrii i niedawno złożył wypowiedzenie. Chciał znów być z nami. Poza tym wiosną zamierzaliśmy wyjechać w dłuższą podróż. Bardzo

się na to cieszyłam. – Gniotła palce. – Tak, to miał być nowy początek.

– Wiem – rzekł Philipp, a potem zebrał się na odwagę i zapytał: – Nie pamięta mnie pani?

– Co ma pan na myśli? Oczywiście, że pana pamiętam! Był pan w szpitalu w Kitzbühel. Jest pan bratem tej kobiety, która zginęła w wypadku – rzuciła poirytowana Katharina.

– Pani ulubionym bohaterem jest doktor Wilbur Larch z *Regulaminu tłoczni win* Johna Irvinga, bo pomaga kobietom, bez względu na to, czy chcą usunąć ciążę, czy zostawić dziecko w sierocińcu – powiedział.

Katharina nagle się zatrzymała i spojrzała na niego zdziwiona.

– To nieprawda! – wykrzyknęła. – To po prostu niemożliwe!

– Rozmawialiśmy w tym hotelu spa w listopadzie, przy basenie, pamięta pani?

Skinęła głową.

– Cóż za dziwny przypadek – rzekła.

Patrzyła obok niego i zaciskała wargi.

– W tamten weekend byłam taka szczęśliwa – powiedziała.

A potem zaczęła płakać.

I już zupełnie nie mogła się uspokoić.

Historia Thomasa

Również Lu od początku podoba się plan ucieczki wymyślony przez Jurija.

Pięć tygodni leżę w szpitalu i wciąż mam okazję ją widywać. Naszym wielkim szczęściem jest to, że Teljana nie ma. Gdy jej proponuję, żeby ten plan przekuć w czyn, z początku odmawia. Wciąż jeszcze czuje tamten strach, kiedy Eskimosi wyciągnęli nas na brzeg, a potem nagle stanęli przed nami sowieccy żołnierze.

– To było takie straszne – mówi Lu. – I Teljan mi groził. Jeśli jeszcze raz odważę się uciec, nie okaże mi już łaski.

– Dlatego powinniśmy wykorzystać jego nieobecność – odpowiadam.

– Zobaczysz, uwolnią nas z powodu okoliczności politycznych – przekonuje ona. – Jesteśmy tu już prawie pięć lat, coś się wydarzy.

– Co ma się wydarzyć? – pytam. – Mam przed sobą jeszcze dziesięć lat więzienia, a ty nawet piętnaście.

Siedzi tak i wpatruje się w ścianę, po policzkach znów płyną jej łzy. Mam wrażenie, że porzuciła nadzieję.

– Muszą przecież coś dla nas zrobić – mówi w rozpacz i przyciska pięści do skroni. – Ci politycy w domu, nasze rodziny, Czerwony Krzyż czy ktokolwiek, muszą walczyć o to, żebyśmy wszyscy znów wrócili do domu!

Pewnej nocy przychodzi do mnie, do mojego łóżka, budzi mnie i mówi:

– Idę z tobą, nieważne, co i jak planujesz. Wszystko jest lepsze niż ta vegetacja tutaj.

Później, gdy utknęliśmy u lądowych Czukczów, wyjawia mi przyczynę. Teljan kiedyś, gdy był pijany, powiedział jej, że zatroszczy się o to, żeby nigdy nie wróciła do domu, nawet po odbyciu kary zmusi ją, by z nim została. Ma dostatecznie dużo władzy.

Ósmego września 1950 roku, w rocznicę bitwy pod Borodino,

wyruszamy. Nasza ucieczka jest – dzięki Jurijowi – zaplanowana do ostatniego szczegółu.

Ludovice udaje się ukraść z pralni ubranie jakiegoś podoficera i kobiety w randze podporucznika – obydwójce są ranni i na razie leżą w części szpitala przeznaczonej dla strażników. Z kuchni wciąż podkrada prowiant.

Pewnej nocy przebieramy się i wychodzimy z budynku. Dzięki mundurom bez przeszkód schodzimy do portu.

– O mój Boże, tu aż roi się od żołnierzy! – mówię.

Podbiega do nas warczący pies i musimy stłumić drzenie. Pies nas obwąchuje i biegnie dalej. Mijamy się z kilkoma żołnierzami, ale nie zwracają na nas uwagi, niektórzy nawet nie pozdrawiają. Wielu stoi albo siedzi w grupach i pije.

Obchodzimy nabrzeże i szukamy statku Sachalin. W końcu go znajdujemy i wdrapujemy się na niego. W ładowni ukrywamy się pomiędzy workami z mąką, potem zaczyna się dręczące oczekiwanie. Ponieważ siedzimy w całkowitej ciemności, nie wiemy, ile czasu minęło. Ta noc wydaje nam się wiecznością. A co, jeśli statek nie odpłynie wczesnym rankiem, bo będzie miał na przykład uszkodzony silnik albo nastąpi zmiana pogody i morze zamarźnie zaskakująco wcześnie? Co, jeśli poszukiwanie nas, zbiegów, uniemożliwi wypłynięcie?

Nasz lęk jest nieuzasadniony. Słyszymy włączane silniki i czujemy ruch wody. Trwająca dzień podróż mija spokojnie, nikt nie szuka niczego między workami mąki. Siedzenie w ciemnej ładowni jest już po chwili trudne i wymaga wysiłku, poza tym niechący wylaliśmy resztkę wody, więc bardzo nas dręczy pragnienie. Możemy tylko mieć nadzieję, że nie zdarzy się nic nieprzewidzianego i wkrótce dopłyniemy do Uelen. Jeśli ściśnie mróz, statek utknie w lodzie i trzeba będzie wezwać lodołamacz, wówczas bylibyśmy w drodze o wiele tygodni dłużej i umarlibyśmy z pragnienia. Lu jest coraz słabsza.

Statek płynie wolniej i w końcu się zatrzymuje. Wstrzymujemy oddech i chowamy się całkiem z tyłu. Tu i tam rozlega się stukot pospiesznych kroków, drzwi ładowni gwałtownie się otwierają,

słyszemy dwóch mężczyzn. Z odgłosów wnioskujemy, że zaczyna się rozładunek, i wpadam w panikę. Zlany potem przysiadam i przywieram do ściany. Jeśli rozładują wszystkie worki jeszcze dzisiaj, odkryją nas i wszystko stracone.

Po wyniesieniu połowy worków zapada decyzja, że na dzisiaj wystarczy. Znow jesteśmy sami, rytm mego serca się uspokaja. Czekamy, aż wszystko na statku ucichnie, zanim odważamy się wyjść z naszej kryjówki i przejść obok kuchni, w której chrapie jakiś mężczyzna. Udaje nam się dotrzeć aż na pokład i z przerażeniem stwierdzamy, że rozszalała się potężna burza śnieżna. Nic, ale to zupełnie nic nie widzimy, dosłownie tylko dłoń przed oczami. Ostrożnie schodzimy po sznurkowej drabinie na dół i zauważamy, że statek tkwi w lodzie. Duże kry poruszają się wokół burt statku, dwa metry dalej jest stały lód.

– Jak oni nosili te worki na ląd? – pytam zdziwiony.

– Prawdopodobnie szli po tym lodowym paku aż do brzegu. Najwyraźniej lód jest dostatecznie twardy – mówi Lu.

Wchodzimy na dużą krę lodową i przeskakujemy na stały lód. Czuję strach. A co, jeśli pęknie?

Idziemy i w burzy śnieżnej szybko tracimy orientację. Nie wiemy, czy poruszamy się w kierunku brzegu, czy brniemy po lodzie dalej na otwarte morze. Lu jest coraz słabsza, muszę ją podtrzymywać. Wieje tak silny wiatr, że kilka razy nas przewraca. Dla ochrony trzymamy dłonie przed twarzą i krok po kroku postępujemy naprzód, stopami wymacując podłoże. Jesteśmy w drodze już całą wieczność. Nogi odmawiają Lu posłuszeństwa, przewraca się, ciągnę ją dalej. Płuca mnie bolą z wysiłku, przed oczami robi mi się czarno.

Gdy odzyskuję świadomość, widzę, że mnie niosą. Rozpaczliwie się bronię i ktoś uderza mnie w głowę. I wraz z tym uderzeniem w głowę bronią przez starego Czuczca Jako zaczyna się najpiękniejszy okres mojego dotychczasowego życia.

Znaleźli nas trzej Czuczce i zanieśli na brzeg, położyli na sankach i zabrali do swojego obozu w głębi lądu, gdzie dobrze nas zaopatrzyli. Z powodu naszych mundurów sądzili, że jesteśmy wyższymi rangą sowieckimi żołnierzami i niektórzy spodziewali się późniejszej zapłaty

od komendantury. Akurat nie stary Jako i jego żona Kelena, oni natychmiast zauważyli, że musimy być zbiegłymi więźniami, i dlatego obstawali przy tym, by dać nam schronienie w swojej jarandze.

Burza śnieżna przez cały dzień nie ustępuje i jesteśmy zmuszeni zostać u Jako i Keleny, nie mamy wyboru. Od początku są przyjacielscy i ufni. Ich cera wygląda jak wygarbowana zwierzęca skóra, mają mnóstwo szpar między zębami. Otwarcie mówią, jakim represjom poddawali ich Sowieci od lat trzydziestych, i zachęcają nas, abyśmy opowiedzieli swoją historię. Robimy to po długim wahaniu. Oddają nam do dyspozycji własny polog – oddzielony obszar do spania. Traktują nas dobrze, chociaż jesteśmy tylko dwiema dodatkowymi gębami do wykarmienia. Ale my chcemy iść dalej, chcemy jeszcze w tym roku przedostać się na kontynent amerykański i prosimy tych dwoje, żeby nam pomogli zdobyć jakąś łódkę.

Starzy ludzie się śmieją i oznajmniają:

– Za późno. Cieśnina Beringa zamarzła, musicie poczekać do następnej wiosny!

Jesteśmy przerażeni. To prawie rok, przynajmniej osiem miesięcy, jeśli nie dziewięć! Ci dwoje machają ręką, jakby to nic nie znaczyło. Najwyraźniej tu, na północy, w tym zimnie, ludzie inaczej liczą czas.

Zostajemy i czujemy się dobrze, rozleniwiamy się.

Każdej nocy leżymy odwrócenie do siebie i szepczemy. Opowiadamy o naszym dzieciństwie, młodości, o rodzinach, o przyjaciółach. Lu opisuje mi miasta – Wiedeń, Londyn i Nowy Jork – tak dokładnie, że czuję się, jakbym tam już był. Planujemy przyszłość. Śmiejemy się i droczymy jak małe dzieci, kochamy się.

Po jakimś czasie pokazują nam kilka prac, które możemy wykonać, a my chętnie pomagamy starszkom. Za pierwszym razem, kiedy uczestniczę w zabijaniu i zdejmowaniu skóry z cielęcia renifera, ściska mi się żołądek i muszę zwymiotować. Później robię to sam. To życie jest twarde i proste, ale podoba mi się.

– Mój syn jest w Leningradzie, tam studiuje – narzeka Jako. – Jest komunistą z krwi i kości. – Spluwa na ziemię. – Zamiast być tu ze swoimi rodzicami i im pomóc.

Ludzie w innych jarangach obserwują nas, większość jest do nas

dobrze nastawiona i interesują się naszym wcześniejszym życiem w Europie. Zwłaszcza młodzi wciąż nas wypytyują. Co tam jadacie? Jakie ubrania ludzie noszą? Jakie zawody wykonują? Tylko po Illoczu, młodym mężczyźnie, widzimy, że nie może nas znieść i wolałby, żebyśmy natychmiast zniknęli.

Jeszcze nigdy nie doświadczyliśmy takiej gościnności i serdeczności. Często siedzimy z Jako i Keleną przy ogniu i opowiadamy sobie różne historie. Lubię słuchać szorstkiego głosu tego starszego człowieka, kiedy rozprawia o dawnych czasach, gdy jeszcze nie było Sowietów na Czukotce. Kiedyś zawołano Kelenę do porodu, a ona wzięła ze sobą Ludovicę. Ta wieczorem wraca rozpromieniona do jarangi i mocno mnie obejmuje:

– To było cudowne przeżycie, Thomasie! Przecudowne! To mały chłopiec, a matka rodziła po prostu na oczach wszystkich ludzi, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie! To właściwie jest najbardziej oczywista rzecz na świecie. Chcę później koniecznie mieć dzieci.

Kelena puszcza do mnie oko i mówi:

– Na szczęście to był czwarty poród Pylmaus i dlatego poszło łatwo i szybko, w przeciwnym razie Ludovica mówiłaby co innego.

Również Jako się roześmiał.

Marzymy o lecie, a potem lód topnieje i droga na inny kontynent jest wolna. Jako i jego przyjaciel Tnarat obiecują, że gdy tylko przepłynięcie będzie możliwe, zaprowadzą nas do krewnych na wybrzeże. Mnóstwem skór reniferów zapłacą łowcom wielorybów za to, by nas zawieźli na kanadyjskie wybrzeże, do handlarzy, których znają już długo i z którymi raz lub dwa razy w ciągu lata wymieniają skóry reniferów i lisów polarnych na broń.

– Sowietci właściwie zabronili nam handlu z Eskimosami w Kanadzie i na Alasce, ale nie zawsze słuchamy tych zakazów – mówi Jako. – Handlowaliśmy z nimi setki lat i nie pozwolimy sobie tego odebrać. Ale za wiele nie ma co o tym opowiadać, również wśród nas, Czukczów, niektórzy są wierni Sowietom.

Pewnego dnia w maju – mieliśmy za tydzień wyruszyć z Jako i Tnaratem – wpada do jarangi jakiś chłopak i krzyczy:

– Jako, chodź, twój syn tu jest! Siedzi w jarandze naczelnika! Już wszyscy tam są!

Jako i Kelena patrzą na nas przerażeni.

– Nie może was zobaczyć! – mówi Kelena. – Musicie ruszać natychmiast!

Jako szybko idzie przywitać syna, żeby ten nie nabrał podejrzeń. Obejmuje nas i wychodzi. Kelena pakuje prowiant do dwóch toreb ze skór i podaje nam.

– Biegnijcie na północ najszybciej, jak możecie, za kilka dni dotrzecie na wybrzeże. Pytajcie o Amola i poproście go, żeby was przewiózł, powiedzcie mu, że zapłacimy mu futrami lisów polarnych – mówi. – Proszę, bądźcie ostrożni i nie podawajcie naszych imion, jeśli was schwytają. Sowieci ciężko by nas ukarali.

Kelena wygląda przez wejście do namiotu i rozgląda się dookoła, potem daje nam znak. Wychodzimy z jarangi, w której mieszkaliśmy osiem miesięcy, i pochyleni biegniemy. Nie ma żadnego lasu, w którym moglibyśmy się ukryć, tylko pojedyncze krzaki i kamienie. Biegniemy najszybciej, jak możemy, dalej i dalej, godzinami, aż zapada zmrok i robimy odpoczynek przy jakichś zaroślach. Postanawiamy przenocować w tym miejscu i zjeść trochę prowiantu. Omawiamy jeszcze raz historię, którą opowiemy, jeśli wpadniemy w ręce Sowiec: jesteśmy parą nauczycieli pochodzących z Litwy, którzy uczą dzieci Czukczów w ich jaranagach. Obydwoje staramy się stłumić lęk i być pełni wiary.

Wczesnym rankiem idziemy dalej. Pod wieczór widzimy przed sobą wybrzeże. Obejmujemy się zachwyceni. Schodzimy po zboczu i stajemy nad samym morzem, ale dookoła nie ma nic, żadnych rybackich łódek, żadnego osiedla, zupełnie nic. W końcu decydujemy się iść brzegiem na wschód. Znajdują nas o trzeciej nocy. Budzą nas kopniakami, oślepia nas silny snop światła, tak że nie wiemy, z kim mamy do czynienia. To żołnierze czy Czukcze? Wypowiadam swoją wyuczoną kwestię: jesteśmy nauczycielami, uczymy od lat dzieci Czukczów i musimy dotrzeć do Uelen. Słyszymy gromki śmiech. Czuję, jak do wnętrza wpełza mi lodowaty chłód. W świetle widzę panicznie wykrzywioną twarz Lu i próbuję żartować:

– Hej, kobieto, może nie musimy dalej iść, może ci panowie podwiozą nas samochodem do Uelen.

– Możecie być tego pewni – mówi ktoś ze śmiechem. – Zawieziemy was do komendantury wojskowej w Uelen.

Podrywają nas do góry i ciągną do jeepa. Siedzimy z tyłu wciśnięci między dwóch żołnierzy i trzęsie nami w podróży przez ubogą tundrę. Lu musi zwymiotować.

– *Job twoju mać!* – krzyczy żołnierz obok niej.

Już nie potrafię dokładnie opisać tamtej paniki, teraz, w kuchni moich rodziców, czternaście lat później. Pamiętam tylko, że zupełnie mną zawładnęła.

Jest mi przez cały czas niedobrze. W komendanturze żądają od nas dokumentów i pokazuję wyświechtany dokument, który dał mi Jako. Podporucznik tylko kręci głową i oddaje go dalej z prośbą o sprawdzenie. Godzinami przesłuchują nas oddzielnie i z początku są jeszcze przyjacielscy, aż nagle ton się zmienia. Ja twardo obstaję przy wersji, że jesteśmy wędrownymi nauczycielami, mając nadzieję, że Lu nie da się zastraszyć i też przy niej pozostanie. Wciąż ktoś wchodzi i wychodzi, informuje szeptem podporucznika, aż w końcu jego twarz wykrzywia się z wściekłości. Zrywa się i krzyczy do mnie:

– Przestań kłamać! Wiem, kim jesteście!

Zamykają mnie w karcerze. Pragnienie jest nie do zniesienia, przez cały dzień nie dają mi niczego do jedzenia ani do picia. Również następnego dnia nic nie dostaję, zostaję w karcerze, nikt nie przychodzi i mnie nie zabiera. Kolejnego dnia prowadzą mnie znów na przesłuchanie. Tymczasem podporucznik zna już nazwiska, moje i Lu, i domaga się ode mnie, żebym podał nazwiska Czukczów, którzy nas tak długo gościli. Milczę, a on daje znak młodemu żołnierzowi, który zaczyna mnie okładać pięściami i kopniakami, aż tracę przytomność. Po prostu zostawiają mnie leżącego. Gdy odzyskuję świadomość, żołnierz podnosi mnie i znów sadza na krześle.

– Ona już wyznała, że jesteście zbiegłymi więźniami – zwraca się do mnie z uśmiechem podporucznik. – A ty nie chcesz powiedzieć prawdy?

Nie wiem, czy mówi prawdę, czy to jest pułapka, więc milczę.

– Jeśli o mnie chodzi, możesz milczeć do końca swoich dni – stwierdza, nadal obrzydliwie się uśmiechając. – To nic nie wnosi do sprawy. Wiemy o was wszystko. Jutro was zabiorą.

– Dokąd nas zawiozą? – pytam szybko.

Ale on nie odpowiada i wychodzi z pokoju.

Następnego dnia znów widzę Lu, gdy wsadzają nas do jeepa. Wygląda strasznie, najwyraźniej ją też bili. Serce mi się kurczy.

Wszystko na nic, wszystko stracone.

Nie wiemy, co nas czeka. Kara śmierci? Miesiące karceru? Mam nawet nadzieję, że odstawią nas do Teljana, on na pewno oszczędzi Lu.

Jak bardzo się myliłem!

Jesteśmy w drodze od prawie dwóch dni. Żołnierze są milczący i nieprzyjaźni, ale dają nam jeść i pić, dostajemy nawet łyk wódki z ich butelki. Dłonie mamy wciąż związane na plecach, a ponieważ najwyraźniej brakuje kajdanek, używa się do tego zwykłego sznurka. Jak w średniowieczu, myślę. Ręce rozwiązują nam tylko do jedzenia i picia, nawet w nocy mamy je spętane na plecach. Nie śpię ani minuty i boli mnie całe ciało. Zmarznięty i zrozpaczony leżę w trawie i słyszę, jak Ludovica płacze. Szybko rozważam, czy nie przeczołgać się do niej i nie odważyć na ucieczkę mimo związanych rąk, ale wiem, że nie zaszlibyśmy daleko.

A potem nagle pojawia się przed nami obóz przy kopalni złota, Teljan z trzema żołnierzami stoją przy wejściu i witają nas z uśmiechami. Tych trzech żołnierzy dobrze pamiętam, byli też w kopalni uranu, gdy Teljan odbywał tam służbę. To ci najgorszego sortu, mężczyźni, którym sprawia przyjemność dręczenie innych. Zawsze u boku Teljana.

Jest dwudziesty pierwszy maja 1951 roku.

Teljan mówi mi to w twarz, jeszcze zanim – obok pluszczącego za nim strumienia – wyłoży:

– Zapamiętaj sobie tę datę, młody człowieku! Nigdy jej nie zapomnisz!

Ludovica ma dwadzieścia pięć lat, ja – dwadzieścia sześć. Rok i dziesięć miesięcy później umiera Stalin. Wkrótce potem Konrad

Adenauer uzyskuje zwolnienie większości niemieckich i austriackich więźniów w Związku Radzieckim.

To, co dzieje się tego dwudziestego pierwszego maja, jest tak straszne, że...

Jest mi niedobrze
Moi rodzice mnie dręczą
Ludovica
Moja Lu

Na tym skończył się tekst Thomasa. Katharina szukała w dokumentach kolejnych stron, ale żadnych już nie znalazła. W ręce wpadła jej tylko płyta CD, nic więcej nie było. Zastanawiała się, czy od razu ją odsłuchać, ale gdy spojrzała na zegar, było już po północy, więc zdecydowała, że nie.

Podenerwowana poszła spać.

W nocy śnili jej się Thomas i Ludovica. Trzymając się za ręce, paśli stada reniferów w tundrze.

Historia Thomasa

Historia Thomasa nie dawała Katharinie spokoju.

Zaraz następnego dnia chciała odsłuchać CD, ale do tego nie doszło. Leonora i Luisa zachorowały na gripę żołądkową i Katharina biegała pomiędzy łózkami a toaletą i kuchnią, dopóki sama się nie zaraziła. Dopiero dwa dni później mogła w końcu wieczorem włożyć płytę do odtwarzacza. Najpierw po prostu słuchała, potem, za drugim razem, spisała wszystko słowo w słowo na swoim komputerze, żeby następnie zbudować na tej podstawie pełne zdania, bo Thomas mówił dziwnie, czasem wypowiadał tylko pojedyncze słowa.

Głos, któremu przysłuchiwała się Katharina, wydawał jej się dziwnie znajomy, ale odsunęła od siebie tę myśl. A to, co usłyszała, było dla niej niepojęte.

Jest niezwykle ciepły dzień, wszędzie stoi woda z roztopów.

Wychodzimy z jeepa prosto w kałuże. Przy wysiadaniu Ludovice uginają się nogi ze zmęczenia i żołnierz musi ją podtrzymać. Przed nami stoją Władimir Iwanowicz Teljan i trzech inni żołnierze. Teljan uśmiecha się do nas osobliwie, sprawia wrażenie wyobcowanego albo... nie wiem, jak mam to wyrazić. Podchodzi do Lu i bierze ją pod brodę. Ona odwraca twarz.

– Jak ty wyglądasz, moja mała pianistko? – pyta. – Tęskniłem za tobą i wszędzie cię szukałem.

Podpisuje jakiś papier, który wręcza mu jeden z eskortujących nas żołnierzy. Wysyła tych trzech do kuchni na obiad. Z ulgą odchodzą.

– Zdejmij tym dwojgu więzy – mówi, a żołnierz, który stoi obok niego, robi to.

Prowadzą nas przez obóz do łaźni. Nikogo nie widać, wszystko wygląda na upiornie spokojne i wymarłe. W łaźni stoją dwie drewniane wanny pełne wody, obok dwa krzesła, na nich leżą mydło, ręcznik i ubrania. Trzecie krzesło stoi trochę z boku.

Jesteśmy sami z Teljanem.

– Rozbierajcie się i rozkoszujcie kąpielą – zachęca spokojnie.

Wyciąga z kabury pistolet, siada na trzecim krześle i niewzruszenie nas obserwuje, bawiąc się bronią. Stoimy zakłopotani, a strach ściska nam gardła.

– Proszę, niech pan okaże łaskę! – wybucha nagle szlochem Ludovica.

– Ciii, ciii – mówi cicho Teljan i pokazuje bronią wannę. – Po prostu rozbierać się, wchodzić do wody i porządnie się umyć.

Rozbieramy się i unikamy patrzenia jedno na drugie. Kątem oka widzę, że Ludovica ma pełno siniaków i cała drży.

Woda w wannie jest zimna. Namydlam się, włosy też, i zanurzam. Potem wychodzę z wody i wycieram się.

– Ubierać się – rozkazuje Teljan.

Wkładam ubranie, które leży na krześle. Gdy jestem gotowy, patrzę na Lu i ogarnia mnie drżenie. Ma na sobie długą, elegancką czerwoną suknię i buty na wysokim obcasie. Oficer podchodzi do niej i zapina haftki na plecach.

– Czyż nie wygląda wspaniale? – pyta. – To była ulubiona suknia mojej żony.

Lu rzuca mi spojrzenie pełne rozpacz. Teljan wyjmuje z kieszeni munduru pomadkę i wręcza jej.

– Pociągnij tym wargi i pomaluj trochę policzki – mówi.

Ona robi to drżącymi rękami. Efekt jest groteskowy. Wygląda jak woskowa lalka, której twarz pomalowało szminką małe dziecko. Wychodzimy z łaźni i idziemy do domu Teljana. W środku, w bawialni, stoi fortepian, a stół jest nakryty na sześć osób.

– Jedzcie, proszę, musicie być głodni – zaprasza nas Teljan. – Siadajcie i świętujcie z nami! To na cześć waszego powrotu!

Musimy usiąść obok siebie, a Teljan zajmuje miejsce naprzeciwko nas. Jesteśmy bardzo głodni i dosłownie pochłaniamy jedzenie. Pielmieni i barszcz są pyszne. Ci trzej żołnierze wchodzi do pokoju i siadają obok Teljana. Wszyscy czterej niewiele jedzą i patrzą na nas rozbawieni. Oficer wypija jeden kieliszek czerwonego wina za drugim, jego trzech zbirów woli wódkę.

Po jedzeniu domaga się od Lu, żeby zagrała coś na fortepianie. Ona siada do instrumentu i gra *Sceny dziecięce* Schumanna, a potem *Sonatę księżycową* Beethovena. Teljan zamyka oczy i zaczyna głową i rękami wykonywać gwałtowne ruchy, jak gdyby dyrygował.

Jakie ma w stosunku do nas zamiary, myślę cały czas w panicznym strachu, co ma znaczyć to groteskowe, niegodne przedstawienie? Wolałbym, żeby nas po prostu zamknął w karcerze, wtedy przynajmniej bym wiedział, co mnie czeka.

Teljan nagle wstaje, żołnierze też się podnoszą. Oficer łapie Lu za ramię i ciągnie ją do sąsiedniego pokoju. W tym samym momencie mężczyźni mnie chwytają i...

Tu opowiadający na dłuższą chwilę zamilkł, potem mówił dalej.

...ciągną mnie do stołu. Gdy chcę się bronić, jeden tak mocno uderza mnie w żołądek, że jestem bezsilny. Przyciskają mój tułów i twarz do stołu, rozstawiają mi nogi i spuszczaają spodnie w dół. Po kolei mnie gwałcą. Ból jest potworny i mam uczucie, że rozdziera mnie od środka. Wrzeszczą przy tym.

Potem mnie zostawiają i każą podciągnąć spodnie. Ledwie mogę się wyprostować. Teljan wychodzi z pokoju z Ludovicą, ona ma na szyi stryczek, na którym on ją prowadzi. Jej twarz jest jeszcze bardziej wysmarowana szminką.

– Proszę, niech pan ją zostawi w spokoju – błagam. – Niech pan ze mną zrobi, co chce, ale niech pan ją po prostu odprowadzi do baraku dla kobiet!

Teljan śmieje się na cały głos, brzmi to, jakby zwariował.

Ci czterej znów piją, dopóki Teljan nie otwiera drzwi. Wiążą mi ręce na plecach.

– Teraz dopiero zaczyna się prawdziwa uroczystość – mówi i wręcza jednemu z żołnierzy płócienny worek, który leży obok drzwi.

Coraz bardziej oddalamy się od obozu. Nie wiem, czy trwa to pół godziny, czy godzinę, idziemy i idziemy. Każdy krok przyprawia mnie o piekielne męki. Jestem przekonany, że nas po prostu zastrzelą, bez sądu, bez wyroku. I dobrze, cierpienie musi mieć swój koniec, myślę, umrzemy razem na dalekiej Syberii, i jestem wdzięczny, że te ostatnie miesiące mogłem spędzić z Lu. Wewnętrznie żegnam się z życiem,

z matką i moim małym bratem.

Obok strumienia, nad którym rosną pojedyncze małe drzewa i widać też jakieś pniaki, zatrzymujemy się. Zmuszają Lu, by stanęła przed pieńkiem po ściętym drzewie, i żołnierz otwiera worek.

Wyciąga małą siekierę.

Od tego momentu Thomas mówił już tylko urywanie, z długimi przerwami pomiędzy słowami. Te przerwy bardzo poruszyły Katharinę. Wyobrażała sobie tego starszego mężczyznę, jak siedział na krześle, szukając słów, i próbował przedstawić coś nie do opisania. Znów żałowała, że nie może osobiście go poznać. Jak wyglądał?

Moje serce się zatrzymuje. Lu wyrzywa się krzyk. Przerazona patrzy na siekierę, którą żołnierz podaje Teljanowi.

– No już, ty wstrętna kupo gnoju, odetnij mi głowę! – krzyczy do Teljana i pluje mu w twarz.

On spokojnie wyciera policzek i czoło rękawem i odpowiada:

– Nie tak szybko, moja droga.

Podchodzi do mnie, z siekierą w lewej ręce, pistoletem w prawej, i przystawia mi lufę do skroni. Rozwiązują mi ręce. Dwaj żołnierze zmuszają Lu, by uklękła, i przytrzymują jej prawą dłoń na pieńku. Ona zaczyna jęczeć.

– Masz każdego dnia swego życia aż do jego końca myśleć o tej godzinie, słyszysz? – szepcze do mego ucha Teljan. – Bo zabrałeś mi to, co w ostatnich latach czyniło moje życie znośnym. Masz przeżyć! To twoja kara! Masz przeżyć!

Zaczyna histerycznie powtarzać te słowa ze śmiechem:

– Masz przeżyć! Masz przeżyć!

– Proszę, pozwólcie jej żyć – szepczę. – To wszystko moja wina, zmusiłem ją, żeby ze mną poszła.

On kręci głową i znów przykładą usta do mojego ucha.

– Bierz siekierę i odcinaj jej kciuk albo mały palec, możesz sobie wybrać – szepcze. – Rób to albo zastrzelę cię na miejscu!

Jęczę. Przez chwilę jest spokój.

– To mnie zastrzel! – wrzeszczę do niego. – No już, naciskaj spust,

na co czekasz?

– Dobrze – mówi i uważnie mi się przygląda. – Jeśli wolisz się temu przypatrywać, to proszę.

Potem...

Thomas w tym momencie przestał mówić i zaczął głośno jęczeć, następnie jego jęki przeszły w krzyki. W Katharinie wszystko zamarło. Słysząc było dwa kliknięcia, najwyraźniej ktoś wyłączył i znów włączył magnetofon.

Daje znak dwóm żołnierzom i chociaż bardzo się bronię, przywiązują mnie do drzewa. Stryczek tak mocno wrzyna mi się w szyję, że nie mogę poruszać głową i ledwie chwytam powietrze.

Teljan, z siekierą w dłoni, zbliża się do Lu. Jej oczy rozszerzają się ze strachu. Broni się i żołnierz ledwie może ją utrzymać. Drugi mu pomaga.

– Proszę, nie – szepcze. – Zrobię wszystko, co chcesz.

– Już miałaś okazję! Uczyniłem dla ciebie wszystko! Nie było ci przy mnie dobrze?! – krzyczy Teljan. – Koniecznie musiałaś uciec z tym nędznym chłoptasiem? – Patrzy na nią z góry. – Nigdy więcej nie będziesz grać na fortepianie, przysięgam ci! – mówi. – Jesteś rozpustną, niewierną kobietą, taką samą, jaką była moja żona. I skończysz jak ona!

– O mój Boże, przepraszam! – krzyczę. – Lu, tak mi przykro!

Siekiera ze świstem spada na pień i tryska krew.

Lu krzyczy. To już nie jest krzyk, to jest nieludzkie wycie, brzmi jak długi ryk zwierzęcia. Teljan nie przestaje, kolejnymi uderzeniami odrąbuje jej pozostałe cztery palce, przy czym nie za każdym razem trafia dokładnie. Zakrwawioną siekierą odrzuca te palce w trawę. Wymiotuję. Lu krzyczy i krzyczy.

Żołnierze puszcza ją prawą rękę i przyciskają do zalanego krwią pniaka lewą. Tym razem Teljan nie zadaje już sobie trudu, by odcinać pojedyncze palce. Jednym uderzeniem odrąbuje całą dłoń, która wygląda jak czerwony spuchnięty pająk.

Żołnierze puszcza ją Lu, a ona opada na trawę, krzycząc, jęcząc,

kwiląc. Prostuje się i porusza się na kolanach w moją stronę. To jest tak – tak straszny widok. O mój Boże!

Lu!

Thomas znów zaczyna krzyczeć i jęczeć, słysząc kliknięcie. Ktoś przedwcześnie zakończył nagranie.

Katharina chwiejnie idzie do łóżka. Prześladowają ją krzyki Thomasa.

Grudzień 2012: Katharina i Julius

KATHARINA CHCE POZNAĆ THOMASA

– Pamiętasz tę panią Mangold, która była u nas w marcu? – zapytała Katharina Juliusa w weekend. Leżeli razem w łóżku, Katharina czytała książkę, Julius gazetę.

– Hmm – mruknął i liczył, że nie zauważyła, jak drgnął. – Dlaczego pytasz?

– Trzy tygodnie temu rzeczywiście przysłała mi maszynopis i już prawie napisałam tę historię, jest bardzo interesująca i też bardzo, nazwijmy to, poruszająca. Naprawdę chciałabym poznać tego Thomasa – mówi Katharina.

– Zadzwoń do niej i zapytaj, czy to możliwe – powiedział. – Masz przecież jej numer telefonu, prawda?

Proszę, nie dzwoń do niej, pomyślał.

– No tak, już w marcu odmówiła – zastanawiała się Katharina. – Może on naprawdę ma tak głęboką demencję, że nie ma sensu go odwiedzać, ale wiesz, wystarczyłoby mi, gdybym tylko zobaczyła jego twarz. Ale teraz, przed Bożym Narodzeniem, i tak nie mam czasu, może zadzwonię w styczniu.

Julius odwrócił się do niej.

– W styczniu też nie będziesz miała czasu – zauważył, wziął jej dłoń w swoją i pocałował. – Wtedy ja wrócę i musimy dokładnie zaplanować naszą podróż. Ale jeśli chcesz, mogę zadzwonić do pani Mangold. Mieszka przecież w Innsbrucku, o ile pamiętam.

– Naprawdę to zrobisz? – zapytała Katharina. – To miło z twojej strony. Zapytaj ją o nazwę tego domu opieki i czy mogłabym tam kiedyś na chwilę wpaść.

– Dobrze – powiedział Julius. – Jeśli nie zapomnę.

Katharina przytuliła się do niego:

– Poza tym znalazłam już przepiękny hotel w Phnom Penh.

Julius zgasił światło i postanowił zapytać Stephanie o jej wuja.

W poniedziałek siedemnastego grudnia wszedł do mieszkania Stephanie, znalazł ją w jej pracowni, gdzie nieobecna duchem siedziała nad kupą starych, pożółkłych, pogniecionych kartek. Miała na sobie tylko czarny negliż i wyglądała fenomenalnie.

Wyprostowała się przestraszona i czule się z nim przywitała, a on stopniał przy niej jak wosk. Wstała i poszła do salonu, żeby nalać dwie szklaneczki brandy, demonstracyjnie zostawiła rozłożone kartki. Julius rzucił na nie okiem, ale nie przeczytał ani linijki. Był zmęczony po podróży i aż się palił, by zdjąć ze Stephanie ten negliż.

(Powinien był zadać sobie trud, żeby przeczytać przynajmniej początek, bo na oryginale nie było wierszy zamazanych na czarno i Julius szybko by się zorientował, że ta historia ma z nim coś wspólnego).

Zapomniał zapytać ją o wuja i gdy przypomniał sobie o tym w środku nocy, zaraz odsunął tę myśl. Powie Katharinie, że wprawdzie dodzwonił się do pani Mangold, ale dowiedział się od niej, że ten starzec już umarł.

To wszystko niespecjalnie go interesowało.

Historia Thomasa

Katharina siedziała przed komputerem i znów włożyła do odtwarzacza płytę CD. Słysząc było włączenie magnetofonu.

Musiałem na chwilę stracić przytomność.

Odzyskuję świadomość, słyszę mężczyzn śmiejących się w oddali, są nad strumieniem i się myją. Już zapada zmierzch. Lu leży przede mną w trawie i się wykrwawia. Wszędzie jest krew.

Mężczyźni wracają i jeden z nich kopie mnie w żołądek. Tracę przytomność. Od tej chwili już nic nie pamiętam.

Naprawdę nie pamiętam okresu potem. Jest tam tylko jedna wielka dziura, jak mgła, która wszystko połknęła.

Przypominam sobie tylko szpital w Magadanie, dwa miesiące później. Leżę w łóżku i jakaś siostra pochyla się nade mną. Najpierw myślę, że to Lu, i potrzebuję chwili, zanim dostrzegę, że to ktoś inny. Zaczynam krzyczeć i szaleć, dopóki nie przyjdą sanitariusze i nie przywiążą mnie do łóżka.

Więcej nie pamiętam. Nie wiem, co się w tym czasie zdarzyło i jak w ogóle trafiłem do Magadanu. Również potem wszystko przez bardzo długi czas jest rozmyte, i jest tam tylko jedna wielka dziura.

Pamiętam jeszcze, że przez wiele lat pracuję jako sanitariusz w szpitalu w Magadanie i we wrześniu 1964 roku statkiem i pociągiem przyjeżdżam do Moskwy. Jest ze mną Jurij. Miesiącami mieszkam u niego i jego rodziny w pobliżu Kremla. W ambasadzie dostaję paszport i bilet na pociąg do Wiednia.

Czternastego marca 1965 roku przyjeżdżam do Wiednia, a kilka dni później do domu.

Thomas przestał mówić, magnetofon znów wyłączono i włączono.

Z tych pierwszych lat w Magadanie prawie nic nie pamiętam. Długo

później trochę opowiedzieli mi Jurij i Nadia.

Ponad rok zostaję w szpitalu, przez większość czasu tylko siedzę albo leżę apatyczny. Lekarze życzliwie się mną zajmują, ale nie rozmawiam z nimi, z nikim nie rozmawiam, tylko szepczę z Lu. Odwiedza mnie czasem, kiedy jestem sam. Ma wówczas zawsze na sobie tę długą czerwoną suknię. Gdy zostaje za długo, jej ręce zaczynają krwawić.

Zwłaszcza jeden lekarz z Moskwy bardzo o mnie dba, podaje mi leki i zastrzyki. Na co, nie wiem. Dochodzi do potężnej kłótni między nim a młodą lekarką, która zarzuca mu, że wykorzystuje mnie do eksperymentów. Lekarz zaraz potem zostaje przeniesiony.

Wszystko to opowiada mi później Nadia. Pochodzi z małej wioski na Ukrainie, aresztowano ją z powodu rzekomego szpiegostwa i pracuje tu jako pielęgniarka. Na wojnie straciła całą rodzinę. Troszczy się o mnie jak energiczna siostra. Często mam wrażenie, że jest jak uciążliwa mucha, przed którą nie można się obronić.

Jurij mówi kiedyś:

– Od początku była w tobie zakochana.

Powoli zaczynają mnie wciągać w drobne prace w szpitalu, pomagam przy rozdawaniu posiłków i przy myciu naczyń. W końcu zostaję zwolniony ze szpitala jako pacjent i zatrudniony jako sanitariusz. Mieszkam w baraku sanitariuszy na terenie szpitala. Moja zmiana zaczyna się o szóstej wieczorem i kończy o siódmej rano. Jestem odpowiedzialny za kolację, rozdzielam ją, zbieram brudne naczynia i zmywam. Potem szoruję podłogi. Przez cały dzień przewracam się na swojej pryczy i śpię. Cieszę się, gdy ludzie zostawiają mnie w spokoju. Czasem wpada Nadia i przynosi mi obiad, poza tym przez cały dzień nie jem. To również ona troszczy się o to, żebym regularnie przyjmował tabletki.

– Bez nich nie byłbyś sobą, pamiętaj, żebyś je brał codziennie, Thomasie – mówi Nadia. – One cię uspokajają.

Pewnego wieczoru, gdy dobrze się czuję, opowiada mi po cichu, że śmiertelnie chorego zabrano mnie z karceru małego obozu przy kopalni złota, gdy jego komendant strzelił sobie w skroń. Nikt nie wiedział dlaczego, nie zostawił żadnego listu, zupełnie nic. Wraz

z innymi ciężko chorymi przewieziono mnie do dużego szpitala do Magadanu, w lazarecie małego obozu nie miałem szans na przeżycie. Warunki tam były katastrofalne. Krążyły na ten temat rozmaite plotki, ale kilku widziało, jak przywieziono z powrotem dwoje zbiegów, mężczyznę i kobietę, poszli z tą dwójką do tundry i po wielu godzinach wrócili tylko z jednym więźniem.

– Mógłbyś mi o tym opowiedzieć? – pyta Nadia. – Ona była tą pianistką, z którą już wcześniej uciekłeś, prawda?

Kręcę głową.

W marcu 1953 roku umiera Stalin. Uroczystości żałobne są zarządzane odgórnie, ale wielu tutaj, w krainie zapomnianych, cieszy się, choć nie chcą tego przyznać. W następnych latach zaczynają się nowe czasy. Niemieccy i austriaccy więźniowie, którzy mają wyroki poniżej dziesięciu lat, są ułaskawiani i mogą wrócić do ojczyzny. Ci, którzy dostali piętnaście albo dwadzieścia lat, muszą na razie zostać. Ale wszystko się rozluźnia, również w obozach wieje wiatr zmian, jest bardziej ludzko, tak przynajmniej się mówi. Praktycznie nie ma maltretowanych ani zamykanych w karczerze.

Pewnego dnia staje przede mną Jurij i mnie obejmuje. Jest wciąż taki sam jak przed trzema laty: wysoki, chudy, wesoły i jednocześnie melancholijny.

Jest wprawdzie wolny, ale musi zostać na Kołymie na wygnaniu, nie wydają mu paszportu. Również i bez wygnania rosyjskich obywateli codziennie traktuje się po uważaniu, jeśli chodzi o wydawanie dokumentów. To ich zmusza do zostania.

– Myślę, że po prostu chcą tu zatrzymać ludzi, żeby dotychczasowe osiągnięcia cywilizacyjnie nie poszły na marne. Potrzebują siły roboczej, ludzi, którzy się ożenią i będą mieć dzieci! – ocenia Jurij.

Znajduje pracę w bibliotece miejskiej, którą właśnie mają zbudować, i schronienie u starszego małżeństwa. Jurij odwiedza mnie, kiedy tylko może. To on skłania mnie z powrotem do mówienia.

– Nie chcesz w końcu napisać listu do swoich rodziców? – pyta mnie kiedyś.

– Nie, nie chcę – odpowiadam i Jurij patrzy na mnie zdziwiony. – Dla nich nie żyję. Najwyraźniej nie zadali sobie trudu, żeby mnie znaleźć przez Czerwony Krzyż. Ja też czuję się martwy, rozumiesz.

Mój głos jest ochrypliwy i brzmi jak głos obcej osoby.

– Ty mówisz! Od razu oblejmy to wódką, ona naoliwi ci twoje zardzewiałe struny głosowe! – cieszy się Jurij.

W 1958 roku w szybkim procesie zostaję ułaskawiony, ale nie dostaję żadnych papierów, również paszportu. Podobno nie można znaleźć moich dokumentów. Bezradnie wzruszają ramionami, nie jestem jedynym takim przypadkiem. Otrzymuję jakiś papier, który uprawnia mnie do szukania pracy i mieszkania. W ambasadzie w Moskwie mam złożyć wniosek o nowy paszport. Nie składam wniosku, Jurij i Nadia kręcą głowami.

Wynajmujemy we troje małe mieszkanie, Jurij śpi ze mną w maleńkiej sypialni, Nadia na sofie w kuchni. Wszystko jest bardzo małe i skromne, ale nam wystarcza. Nadia nadal pracuje w szpitalu, Jurij i ja w bibliotece. Przez cały dzień wypełniam karty katalogowe, wydaję książki, odbieram je i układam z powrotem na półkach regałów. Jurij bardzo poważnie traktuje katalogowanie wciąż nowych książek, z początku kontroluje każdą literę, każdą cyfrę, którą zapisuję.

Znów zaczynam dużo czytać, jak kiedyś, w domu, w młynie. Czytam rosyjskich klasyków: Puszkina, Dostojewskiego, Tołstoja, Gogola, Czechowa, Raskolnikowa; Natasza Rostowa, wujaszek Wania jawią mi się w nocy, pomiędzy nimi przychodzi do mnie Lu i mnie całuje. Nie sprawia mi już trudności czytanie po rosyjsku. Często łapię się na tym, że nawet zaczynam myśleć w tym języku. Ale czy ja w ogóle o czymś myślę? Nie, funkcjonuję jak lunatyk. Kiedyś jakiś uczeń z klasy, która wypożycza książki, pokazuje na mnie i mówi do kolegi:

– Uch, spójrz na niego, ten się tak dziwnie powoli porusza, wygląda jak żywy duch.

Pewnej nocy, podczas burzy śnieżnej w styczniu 1959 roku, Nadia wczółguje się do mojego łóżka i mnie uwodzi. Jej skóra jest miękka, jej czarne włosy pachną pokrzywą. Lu się nam przygląda. Potem

płaczę.

Pewnej nocy budzę się i widzę Jurija i Nadię razem na sofie. I tak jest dobrze.

Lata mijają, ja się przez nie wlokę, niewiele czuję. Często myślę, dlaczego wtedy nie umarłem. Samo życie nic dla mnie nie znaczy, ma tak niewielkie znaczenie, że nie jest nawet warte wysiłku, żeby je zakończyć.

Chcę na zawsze zostać w Magadanie, dlatego Jurij często się na mnie złości. Po co wracać do Europy? Nie ma już pianistki, która będzie u mojego boku spacerować po placu Świętego Szczepana. Są tylko straszne koszmary, z których z krzykiem się budzę, dopóki Jurij i Nadia całkiem mnie nie wyrwą ze snu i nie uspokoją. Często potem zasypiamy we troje w szerokim łóżku.

Krótkie lata tutaj są piękne, urządzamy wycieczki nad morze albo w głąb lądu, organizujemy pikniki w wysokiej trawie, wśród krwawników, margerytek, firletek, koniczyny, stokrotek. Chodzimy do kina i do teatru. Zawsze jesteśmy we troje. Nadia, Jurij i ja. Pielęgniarka, bibliotekarz i ten wariat. Tak nas nazywają.

Długie zimy są beznadziejne.

W 1961 roku widzimy w gazecie, jak Chruszczow potrząsa ręką Kennedy'ego.

Jurij znów mnie molestuje i molestuje, żebym w końcu napisał list do ambasady w Moskwie.

– Musisz jechać do domu, Thomasie, jesteś to winny swojej rodzinie! – mówi.

Robi to w końcu za mnie, ja tylko podpisuję się na dole. Dopiero po dwóch miesiącach dostaję odpowiedź: mój paszport jest gotowy, mogę go odebrać. Dołączono jakieś potwierdzenie, że jestem obywatelem austriackim i koszty podróży zostaną zrekompensowane.

Jurij się cieszy i postanawia razem ze mną jechać do Moskwy, niedawno dostał z powrotem swój paszport. Chce w końcu znów zobaczyć rodzinę. Namawiamy Nadię, by jechała z nami, odwiedziła swoich krewnych na Ukrainie, ale odmawia.

– Moja ojczyzna jest tutaj, a mój oddział beze mnie zginie – śmieje się i zakłada ręce na brzuchu. – Nie ruszycie mnie stąd!

Widzę, że Jurijowi trudno się z nią rozstać. Podróż pociągiem tym razem trwa tylko dwa tygodnie. Z dnia na dzień czujemy się coraz gorzej. Wciąż mamy przed oczami ten koszmarny transport sprzed dziewiętnastu lat. Na dworcu w Omsku robimy krótki postój i tu się załamuję. Jurijowi z trudem przychodzi mnie uspokoić, mocno trzyma mnie od tyłu, godzinami. Na następnym przystanku omal nie wyrzucają nas z pociągu.

U siostry Jurija i jego rodziny czuję się dobrze, wszyscy są dla mnie serdeczni, również dla brata, o którym myśleli, że nie żyje. Po kilku dniach czuję, że okazują nam nie tylko serdeczność, lecz także coś innego. Długo nie potrafię tego nazwać, dopóki nie uświadamiam sobie, że to mieszanka zakłopotania, bezradności i współczucia. Nie wiedzą, jak traktować tych, którzy przeżyli gułag. Jesteśmy naznaczeni.

Po Juriju widzę, że czuje to samo.

– Nigdy nie zostawia mnie samego z moimi siostrzeńcami! Boi się, że opowiem im straszne rzeczy o tym miejscu, w którym spędziłem ostatnie dwadzieścia lat? Albo że będę dla nich podły, bo po przeżyciu tylu nieludzkich rzeczy inaczej nie umiem? A może uważa mnie za wrak, którego psychicznie przerasta ich obecność? – zrzędzi przy mnie, gdy pewnego dnia idziemy na spacer.

Jest styczeń, stąpamy w głębokim śniegu.

– To przecież nie jest prawdziwa zima! – pomstuje Jurij. – Tylko minus dziesięć, mój Boże!

Nagle zaczynamy się śmiać i nie możemy przestać. Śmiejemy się tak, że łzy płyną nam po policzkach i ludzie się za nami oglądają.

– Tęsknię za chłodem Kołymy – mówi.

– Myślę, że tęsknisz raczej za ciałem, które cię grzało w tym chłodzie – śmieję się.

Jurij zatrzymuje się i przyznaje:

– Masz rację, tęsknię za naszą małą pielęgniarką. I wiesz co? Czuję się tutaj zagubiony. Wrócę do Magadanu i się z nią ożenię. Spędzę tam życie i spróbuję wnieść trochę ciepła do chłodu tych ludzi perfekcyjnie skatalogowanymi książkami w bibliotece!

Znów zataczamy się ze śmiechu.

W ambasadzie dostaję paszport i trochę pieniędzy, żebym mógł opłacić podróż do Wiednia, tam na nowo się ubrać i przeżyć pierwsze tygodnie w Austrii. Koniecznie chcę zawiadomić moich rodziców, a także władze w Wiedniu, żeby mogli się przygotować na mój przyjazd, ale stanowczo odmawiam. Uznają za dziwne to, że chcę zrobić rodzicom niespodziankę. Zdumiewa ich również, że nigdy do nich nie napisałem.

Przy pożegnaniu na peronie długo obejmujemy się z Jurijem.

Czternastego marca przyjeżdżam do Wiednia i szwendam się po ulicach. Zaskakuje mnie, że jest tu tak kolorowo, w Magadanie wszystko wyglądało szaro i buro. I jak dobrze się tu ludziom powodzi! Jeszcze nigdy nie widziałem tylu samochodów, tak wielu sklepów, tylu futer, jeszcze nigdy nie jechałem tramwajem.

Wynajmuję pokój w tanim pensjonacie i kupuję ubranie. Przez cztery dni wałęsam się po mieście, w którym wyrastała Lu, oglądam miejsca, o których mi opowiadała. Raz siedzę godzinami w kościele, któregoś wieczoru wybieram się na koncert fortepianowy. Wyrzucają mnie stamtąd, bo nie zachowuję się dość spokojnie. Trzeciego dnia idę na ulicę, gdzie mieszkała Lu. Staję przed jej domem. Gdy wychodzi jakaś starsza pani, pytam ją, zmuszając się do mówienia po niemiecku:

– Czy mieszka tu Susanna Steiner? Ta rodzina kiedyś tu żyła.

Kobieta patrzy na mnie zaskoczona i odpowiada:

– Zgadza się. Mąż i ja odkupiliśmy ten dom od pani Steiner. Dobrze znaleźliśmy jej rodziców.

Potem wyjaśnia mi, że Susanna zaraz po wojnie wyprowadziła się do Tyrolu, do przyjaciół jej rodziców, później wyszła za mąż za mężczyznę z Kitzbühel. Pytam ją, czy zna adres. Zapisuje mi go.

Czwartego dnia jadę do domu, do rodziców. Przyjeżdżam w nocy. Zdumienie i radość rodziców są wielkie, ale zostaję tylko parę dni. Dręczą mnie mnóstwem pytań, mnóstwem oczekiwań. Ojciec już następnego dnia przedstawia mi pomysły, jak mógłbym zmodernizować i dalej prowadzić młyn. Matka sądzi, że mimo wszystko jestem jeszcze dostatecznie młody, by założyć rodzinę.

Maszynę do pisania znajduję w swoim dawnym pokoju, głaszczę

klawisze. O jest zepsute. Wspominam tego chłopaka, który walił w klawisze, zaczynając jedną historię za drugą. Od tej chwili minęło całe życie.

Moje życie z Lu.

Moje życie bez Lu.

Czyszczę maszynę i zaczynam pisać. O szybko słabnie, ledwie można je rozpoznać na papierze. Wszystko mi jedno. Mimo to piszę.

Moją powieść bez O.

To ostatnie słowa, które można było usłyszeć na płycie: „Moją powieść bez O”. Najwyraźniej więcej nic nie zostało zarejestrowane.

Śmiertelnie zmęczona Katharina poszła spać. Koniecznie chciała poznać Thomasa, nawet jeśli cierpiał na demencję i nie dało się z nim rozmawiać. Miała nadzieję, że Julius zadzwoni do pani Mangold i czegoś się dowie. Jeśli o tym zapomniał, sama zadzwoni po Nowym Roku.

Dwa dni później Julius zginął w wypadku drogowym. Katharinie grunt usunął się spod stóp, tylko ze względu na dzieci nadal rano wstawała i coś robiła.

Gdy stała przed otwartym grobem, do którego opuszczano trumnę, bezwiednie przemknęła jej myśl:

Teraz zaczyna się moja powieść bez O.

Styczeń 2013: Philipp

Katharina ma poczucie winy

Było sobotnie przedpołudnie, od pogrzebu minęły trzy tygodnie. Philipp po prostu wpadł, nie zapowiadając się, i czuł, że Katharina cieszy się z jego wizyty, chociaż tego nie przyznała. Arthur spontanicznie zaprosił go na obiad. Późnym popołudniem chciał jechać dalej, do swojej matki, która wciąż jeszcze nieszczególnie się miała.

Poszli we troje na spacer po lesie, Katharina, Philipp i Luisa. Dziecko bawiło się, ciągnąc drzewa za gałęzie i osypując na siebie śnieg.

Philipp poprosił Katharinę, by mu dokładniej nakreśliła, skąd zna jego siostrę.

– Nie znałam jej dobrze, tylko raz ją widziałam, przecież już to panu mówiłam po stypie – tłumaczyła.

Wtedy jednak niewiele zrozumiał, bo mówiła, szlochając i jękając się.

– Proszę, niech mi to pani przypomni – nalegał Philipp.

– Pani Mangold, to znaczy pańska siostra, była u nas w marcu zeszłego roku i opowiadała o dalekim wujku imieniem Thomas, który przeżył dwadzieścia lat na Syberii. Chciała, żebym napisała jego biografię. W listopadzie przysłała mi stary maszynopis i płytę CD, a ja spisałam tę historię. To wszystko – powiedziała Katharina. – Bardzo mnie ta historia poruszyła i koniecznie chciałam poznać Thomasa. I tak, no cóż, poprosiłam Juliusa, żeby nawiązał kontakt z panią Mangold i zapytał ją o dom opieki, w którym mieszka Thomas, bo chciałabym go kiedyś odwiedzić. – Zaczęła płakać. – Tak, i Julius najwyraźniej to zrobił, dla mnie, w przeciwnym razie nie byłby w Kitzbühel w pobliżu tego domu. Prawdopodobnie zadzwonił do pani Mangold i umówił się z nią na jakiś termin. Spotkali się w Kitzbühel i zamierzali pójść do domu opieki, żeby spotkać się

z Thomasem. Julius prawdopodobnie chciał zrobić jego zdjęcie, pokazać mi i opowiedzieć o tym człowieku. Wszystko dla mnie! Bo go o to poprosiłam! Jestem winna jego śmierci!

Znów szlochała bez skrępowania. Dzięki Bogu nie było przy tym dziewczynki, pobiegła daleko do przodu. Nie wiedziałaby, co ma zrobić, gdyby i ona zaczęła płakać. Ostrożnie objął Katharinę i przemawiał do niej uspokajająco. Gdy dziecko wróciło, wyprostowała plecy i wydmuchała nos.

Poszli z powrotem do Bergmühle.

– Muszę z panią i pani teściem porozmawiać o Thomasie – powiedział. – Może będziecie mieli czas po obiedzie? To ważne.

Po spacerze siedzieli więc wszyscy u Arthura w kuchni; kucharka Masza została przedstawiona przez Arthura jako jego opiekunka. Ugotowała coś typowo słowackiego: kluski z kiszoną kapustą, Philipp uznał je za pyszne, najmłodsza córka Kathariny wykrzywiła jednak twarz.

– Czasem opiekuje się też jego wnukiem – powiedziała głośno średnia córka i uśmiechnęła się złośliwie. – Zwłaszcza w nocy.

Vincent tak poczerwieniał, że wszyscy się roześmiali. Uderzył siostrę w głowę.

Potem Philipp zapytał ich o imiona, wiek i hobby. Dowiedział się, że dwoje starszych to bliźniaki, że średnia nie znosi mięsa i że najmłodsza, Luisa, chce zostać primabaleriną.

– Co robisz? – zapytała Leonora.

– Jestem neurochirurgiem – odrzekł Philipp.

– Jesteś żonaty? Masz dzieci? – dopytywała się Luisa.

– Nie jestem żonaty i nie mam dzieci – odpowiedział.

– Dlaczego nie? Jesteś już przecież stary jak świat – powiedziała Luisa.

– To jaki ja jestem? – zapytał Arthur.

– Prastary – stwierdziła Luisa.

– Jestem rozwiedziony i nie mogę mieć dzieci – powiedział Philipp.

Wszyscy spojrzeli na niego z ciekawością.

– Świnka, w wieku dziewiętnastu lat – wyjaśnił.

– Tata nie miał świnki – powiedziała Luisa. – Co to jest świnka?

Pochylił się do Luisy i wyjaśnił szeptem:

– Świnka to choroba wieku dziecięcego, która kiedyś często się zdarzała. U chłopców może prowadzić do bezpłodności.

– Aha – odrzekła. – Dlaczego nas odwiedziłeś? – pytała dalej.

– Chciałem tylko zajrzeć i sprawdzić, czy wasza mama nie potrzebuje pomocy – odpowiedział zakłopotany.

Teraz wszyscy przysłuchiwali się w napięciu.

– Nie potrzebuje – rzuciła Victoria, grzebiąc w swoim jedzeniu.

Aha, wygląda na to, że ona najgorzej to znosi. Czyżby była ulubienicą taty?

– Mógłbyś sypnąć trochę kasy – stwierdziła Leonora. – Jesteście przecież bogaci, prawda? Twoja siostra jeździła mercedesem, a ty jesteś chirurgiem. Oni nie zarabiają mało, prawda?

Teraz Katharina się zaczerwieniła.

– Cicho bądź, Leonora – powiedziała. – Mamy dość pieniędzy.

– Mamo, sama mówiłaś, że musimy się teraz wszyscy trochę ograniczyć. Jemu przecież nie zabraknie, wygląda, jakby miał dostatecznie dużo, i prawdopodobnie odziedziczył też coś po swojej siostrze – ciągnęła Leonora.

– Cicho bądź, Leo – rzekł Arthur. – Nie widzisz, że matce jest przykro?

Katharina wstała, była wyraźnie zakłopotana.

– Chce pan obejrzyć dom, zanim w spokoju – podkreśliła to głośno i jednocześnie rzuciła dzieciom znaczące spojrzenie – wypijemy kawę?

– Tak, bardzo chętnie. Uwielbiam stare domy – zgodził się Philipp i wstał.

Podążył za Kathariną, która mocno naciągnęła na siebie sweter i skrzyżowała ramiona. Wyglądała na zawziętą.

– Niech pan posłucha – odezwała się do niego w korytarzu. – Przepraszam, dzieci po prostu mówią głupoty. Teraz jest mi naprawdę głupio.

– Uważam, że pani dzieci są bardzo miłe – odparł on.

– Kocha pan stare domy i uważa moje dzieci za bardzo miłe. Jeśli pan myśli, że w to uwierzę, myli się pan – rzuciła i lekko przewróciła

oczami.

– Co chce pani przez to powiedzieć? – zapytał zdziwiony.

– Nic pan u mnie nie wskóra – oświadczyła opryskliwie.

– Jeśli pani myśli, że chcę coś u pani wskórać, pomyliła się pani – powiedział zmartwiony. – W końcu jest pani wdową z czwórką dzieci!

Popatrzyła na niego z gniewem:

– Myślałam, że uważa je pan za bardzo miłe!

Oboje zaczęli się śmiać.

Gdy chodzili po domu, Philipp odkrył w pracowni olejny obrazek z żółtym domem i natychmiast go rozpoznał. Stephanie namalowała go mniej więcej przed rokiem, najwyraźniej według zdjęcia, przyglądał się jej przy ostatnich ruchach pędzla, gdy ją odwiedził przed Bożym Narodzeniem. Ten obrazek wyjątkowo mu się podobał.

Dokładnie go obejrzał. Nie było żadnych wątpliwości, po prawej stronie na dole zobaczył jej malutkie inicjały: S.L.M.

– Podarowała go nam pańska siostra, gdy wtedy przyjechała – wyjaśniła Katharina. – To miło z jej strony, że przywiozła nam drobny prezent. Nie wszyscy tak robią.

– Tak, znam ten obrazek, widziałem go w jej atelier – powiedział Philipp. – A tu są też jej inicjały: S.L.M. Stephanie Ludovica Mangold.

Styczeń 2013: Philipp

Thomas Bergmüller

Arthur, Philipp i Katharina siedzieli we troje w kuchni Arthura, pili kawę i rozmawiali.

– Chciałem wam obojgu opowiedzieć o Thomasie – zaczął Philipp.
– Znacie właściwie jego nazwisko?

– Wolałabym, żeby pan najpierw powiedział, dlaczego drugie imię pańskiej siostry brzmiało Ludovica – wtrąciła Katharina.

– Połączę jedno z drugim, dobrze? – powiedział Philipp.

– Nie wiem, o czym mówicie, ale mimo to będę grzecznie słuchał – roześmiał się Arthur.

– Thomas nazywa się Bergmüller – rzekł Philipp. – I nie jest naszym wujkiem. Zakładam, że jest spokrewniony z panem, Arthurze.

Katharina i Arthur wpatrywali się w niego zaskoczeni.

– W Austrii jest mnóstwo Bergmüllerów – zauważył Arthur. – To akurat nie jest rzadkie nazwisko.

– Wiem – odparł Philipp. – Jest pan jednak do niego podobny. Myślę, że muszę się cofnąć trochę głębiej.

Opowiedział o swoim dzieciństwie w posiadłości ojca, Martina Mangolda, w pobliżu Kitzbühel. Jego matka była wiedeńką, która tuż po wojnie przeniosła się do krewnych do Innsbrucku. Pracowała jako nauczycielka i nie była już całkiem młoda.

W 1967 roku na świat przyszedł on, Philipp, trzy lata później urodziła córkę. Matka chciała nadać jej imię swojej zaginionej siostry, ale ojciec obstawał przy innym pierwszym imieniu, została więc ochrzczona jako Stephanie Ludovica.

– To znaczy, że pańska matka ma na imię Susanna? – zapytała Katharina.

– Tak. Moja siostra otrzymała imiona Stephanie Ludovica. Moja matka miała siostrę, która w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku została aresztowana przez Rosjan, a potem nigdy już się nie

odnalazła. W mieszkaniu musiało się zdarzyć coś złego, moja matka miała wtedy tylko czternaście lat. Nie wiem dokładnie, nigdy o tym nie mówiła, na pewno nie mnie, ale myślę, że mojej siostrze owszem. W każdym razie matka nigdy się z tym nie uporała, popadała w okresową depresję i musiała brać leki.

(Katharina wpatrywała się w jego smukłe dłonie i szczupłe palce. Mój Boże, pomyślała, on jest siostrzeńcem Ludoviki!).

Philipp przez chwilę milczał.

– Myślę, że potrzeba nam teraz czegoś mocniejszego – powiedział Arthur, wstał i przyszedł ze szklankami i butelką centenario.

Katharina patrzyła na niego jak sparaliżowana.

– Arthurze, przecież nie możemy teraz po prostu napić się rumu! – zaprotestowała z wyrzutem. – Dowiadujemy się czegoś ważnego i smutnego!

– Ależ tak – rzekł Arthur. – Historia pozostanie taka sama, nawet jeśli wypijemy przy tym szklaneczkę rumu.

Nalał wszystkim. Katharina widziała, że Philipp się uśmiechnął.

– Na zdrowie! – powiedział Arthur i wypili.

Philipp opowiadał dalej. Jego ojciec umarł wcześniej wskutek upadku z konia, Philipp w wieku czternastu lat wyjechał do Wiednia, chodził tam do gimnazjum, a potem studiował medycynę. Letnie wakacje spędzał z początku w Tyrolu, później przyjeżdżał coraz rzadziej, jego stosunki z matką nigdy nie były specjalnie bliskie. Wydawała mu się zawsze trochę zawzięta, chciała wszystko w życiu robić perfekcyjnie: miała być nie tylko najlepszą matką, lecz także najlepszą panią domu, partnerką, kobietą interesu. Nigdy nie zaznawała spokoju. Stephanie i matka pozostawały w silnej symbiozie.

– A Thomas? – zapytała Katharina, gdy Arthur nalał po drugiej szklaneczce.

– Ach tak, Thomas! – powiedział Philipp i upił łyk. – Zupełnie o nim zapomniałem. Zawsze tak było! Zapominano o nim, on po prostu tylko był, zawsze. Stary dziwak i główny pomocnik u nas w domu.

– Mieszkał u was? – zapytała Katharina.

– Nie, nie całkiem.

Thomas Bergmüller mieszkał w małym domku ogrodnika, kilkaset metrów od dużego domu Mangoldów. Pracował w stajniach, a w domu pełnił obowiązki dozorca. Pracował każdego dnia, Philipp nie przypomina sobie, żeby Thomas kiedykolwiek wybrał się na urlop albo miał wolny dzień. Zawsze tam był, i chociaż pracę wykonywał powoli, był niezastąpiony, ponieważ zawsze był pod ręką, również w nocy i w weekendy. Jeśli pojawiał się jakiś problem, mówiło się: „Przyprowadź, proszę, Thomasa”.

Czasy się zmieniały, finansowo szło coraz gorzej i Martin Mangold musiał sprzedać sporo ziemi i zwolnić wielu ludzi, mógł sobie pozwolić tylko na tanich pracowników sezonowych. W części domu od lat osiemdziesiątych prowadzono pensjonat, aby zapobiec bankructwu. Ale Thomas pozostał w domku ogrodnika, nawet gdy był już emerytem, i nadal wykonywał wszystkie możliwe prace, aż do wieku mniej więcej siedemdziesięciu pięciu lat.

– Thomas zaliczał się, można by rzec, do inwentarza, był częścią posiadłości, jak... jak amen jest częścią pacierza – opowiadał Philipp, opróżniając swoją trzecią szklaneczkę. – Był milczący, nie lubił mówić. Pamiętam jeszcze, że jako mały chłopak do niego chodziłem i wypytywałem go o Syberię. Wiedzieliśmy tylko, że tam był, ale nie wiedzieliśmy, jak długo i dlaczego. W ogóle nic o nim nie wiedzieliśmy! Nigdy mi nie odpowiedział. Kiedyś wyciągnął mnie z basenu w ostatniej chwili, miałem wtedy pięć lat. Stephanie w wieku trzech lat wdepnęła w gniazdo os i użądliło ją czternaście z nich. Pobiegł z nią na rękach do samochodu i pospiesznie zawiózł do szpitala, dopiero potem powiadomił matkę przez telefon. Po prostu nie chciał tracić czasu i dzięki temu uratował jej życie. Był dla nas bohaterem. Później przestał mnie interesować, myślę, że nawet trochę się z niego śmiałem. Nigdy nie traktowałem go całkiem poważnie. Był specyficzny.

– Pod jakim względem? – zapytała Katharina.

– Słyszał głosy, czasem widywano go, jak rozmawiał z kimś, kogo nie było. Gdy byliśmy dziećmi, wyśmiewaliśmy go z tego powodu. Myślę, że dlatego pozostawał pod opieką psychiatryczną i musiał brać

leki. Nie wiem tego dokładnie. Mieliśmy w okolicy bardzo miłego lekarza domowego, który trochę się o niego troszczył.

– W jakim wieku jest Thomas? – zapytał Arthur, który znów nalał rumu.

– Naprawdę nie wiem. Już w dzieciństwie wydawał mi się starcem – odpowiedział Philipp.

– Urodził się w kwietniu tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku, musi więc mieć osiemdziesiąt siedem lat – powiedziała Katharina.

– Skąd wiesz? – zapytał Arthur.

– To było moje ostatnie zlecenie, chodzi o tego mężczyznę, który był dwadzieścia lat na Syberii – odpowiedziała Katharina i zauważyła, że jest wstawiona.

– Ach tak, mówiłaś mi o tym – przypomniał sobie Arthur.

Philipp opowiadał dalej.

W ostatnich latach prawie nie widywał Thomasa wtedy, gdy na krótko wpadał do domu.

Przed dwoma laty, gdy w Boże Narodzenie przyjechał na kilka dni, matka powiedziała mu, że Thomas mieszka teraz w domu opieki, że już nie dawał sobie rady sam w domku ogrodnika, więc tak było lepiej. Philipp zapytał ją, dlaczego Thomas po prostu nie przeniósł się do domu, gdzie przecież było dosyć miejsca, a także zatrudniano gospodynię, która troszczyła się o pranie i jedzenie, co jego matka skomentowała z przyganą: „To chyba byłoby niestosowne”. Musiał stłumić atak śmiechu, bo nie potrafił sobie wyobrazić tych dwojga starych ludzi w niestosownej sytuacji.

– Od tego czasu już nie widziałem Thomasa, również nic o nim nie słyszałem – zakończył Philipp. – Dopiero po śmierci Stephanie. Matka powiedziała mi, że moja siostra prawdopodobnie chciała odwiedzić Thomasa albo go właśnie odwiedzała i dlatego była w pobliżu tego domu opieki, gdy ciężarówka wjechała w jej auto...

Przerwał i Arthur nalał mu jeszcze szklaneczkę.

– Rozmawialiśmy potem o Thomasie. Matka opowiadała mi, że pewnego dnia wiosną tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku po prostu stanął przed domem z małą starą torbą podróżną w garści.

Zapytał o pracę i powiedział, że nie potrzebuje wiele, tylko schronienia, jedzenia i od czasu do czasu nowego ubrania oraz kieszonkowego, chce po prostu tu zostać, bo mu się tutaj podoba. Mówił dziwnie i gdy matka go zapytała, skąd przychodzi, wyjaśnił, że właśnie zwolniono go z psychiatrii w Linzu, a przedtem był dwadzieścia lat w Rosji.

Philipp opisał tę scenę dokładnie:

Susanna i Thomas siedzieli na tarasie, on spojrzał na nią dziwnie i rzekł:

– Rosja połknęła mi dwadzieścia lat. „Rosja” i „połknęła” nie można napisać bez O.

Susanna wstała i już chciała go odesłać – jak dla niej był po prostu zbyt dziwny. Wtedy nagle powiedział:

– Ludovica też nie można byłoby napisać bez O.

Popatrzyła na niego i z powrotem usiadła.

– Znał pan moją siostrę? – zapytała Susanna, a on odpowiedział, wpatrując się w stół:

– Nigdy jej nie poznałem, ale opowiadała mi o niej pewna kobieta.

– Niech mi pan powie, co się z nią stało – poprosiła pośpiesznie Susanna. – Żyje jeszcze?

– Ona po prostu zasnęła na mrozie. Po prostu tylko zasnęła. To nie boli, nic jej nie bolało – powiedział Thomas, kiwając się w przód i w tył.

– Zamarzła? – zapytała przerażona Susanna.

– Tylko zasnęła, zaraz na początku, jesienią czterdziestego piątego roku, zaraz za Omskiem, w drodze na Syberię. Miała szczęście, że tam nie dotarła – ciągnął Thomas, uparcie wpatrując się w serwetę. – Tam były straszne obozy śmierci. Ta kobieta opowiadała mi, że Ludovica spokojnie zasnęła w jej ramionach, w pociągu. Opowiadała o pani, a potem po prostu zasnęła i już się nie obudziła. To piękna śmierć. Musi mi pani uwierzyć! Musi mi pani uwierzyć!

Susanna zatrudniła tego mężczyznę, chociaż nie do końca wierzyła w jego historię. Oddała mu pusty domek ogrodnika i od tej chwili Thomas tam mieszkał. O swoją siostrę już nigdy więcej nie pytała, coś w jego zachowaniu ją powstrzymywało, obawiała się, że Ludovice

musiało przytrafić się coś strasznego, wołała jednak trzymać się wersji ze spokojnym zaśnięciem. Z biegiem czasu dowiedziała się, że Thomas pochodził z regionu Mühlviertel, a jego dom rodzinny nazywał się Bergmühle, ale nie chciał utrzymywać kontaktów z rodziną. Kiedyś przyszedł list od jego matki, przeczytał go wprawdzie, ale nie odpowiedział.

– Wersja ze spokojnym zaśnięciem nie miała nic wspólnego z rzeczywistością – oznajmiła Katharina.

Krótko opowiedziała, co się naprawdę zdarzyło.

Przez chwilę panowała cisza.

– Stephanie prawdopodobnie znalazła ten stary maszynopis w domku ogrodnika. Sprzątała go, gdy Thomas poszedł do domu opieki. Niechybnie trafię na niego w jej mieszkaniu, matka prosiła mnie, żebym posortował i rozdał rzeczy Stephanie. A pan – powiedział Philipp i spojrzął na Arthura – jest na pewno spokrewniony z Thomasem, widzę podobieństwo do niego.

Luty 2013: Arthur

Uznany za zmarłego brat

– Miałem brata, zaginął po wojnie – powiedział Arthur.

– Tak, ale on przecież miał na imię Max i już umarł – wtrąciła Katharina.

– To fakt, miał na imię Max – powiedział Arthur. – I wyjechał do Stanów Zjednoczonych, tak jak wcześniej inni krewni. Miałem wtedy pięć lat. Szczerze mówiąc, zupełnie nie pamiętam mojego brata.

– Thomas jest z pewnością pańskim bratem! – zawołał Philipp i chwiejnie wstał. – Musimy tam pojechać i go odwiedzić, to sam pan zobaczy!

– Naprawdę nie wierzę, że on jest moim bratem, ale dobrze, dlaczego nie mielibyśmy zrobić sobie pięknej wycieczki do Kitzbühel? – powiedział Arthur. – Zawsze chciałem zobaczyć Kitzbühel. Jedziesz z nami, Katharino?

Katharina skinęła głową. Okazji, by w końcu poznać Thomasa, w żadnym razie nie chciała stracić. Poza tym to zajmie jej myśli.

– Jedźmy od razu! – zakrzyknął Philipp.

– Lepiej przełożmy to na jutro – rzekł Arthur. – A dzisiaj śpi pan u mnie w pokoju gościnnym.

Wczesnym rankiem następnego dnia wyjechali samochodem Philippa. Była niedziela, dzieci jeszcze spały, Masza miała się zająć śniadaniem, Victoria obiadem, a Vincent kolacją.

Gdy jechali przez senną miejscowość, zobaczyli starą Philomenę wracającą z kościoła do domu i Arthur nagle powiedział:

– Niech pan się zatrzyma. Chcę z nią porozmawiać, może ona coś wie.

Philomena postawiła przed nimi na ceracie w kwiatki kawę i zrobiony przez synową strudel jabłkowy. Na narożnej ławce leżało pięć kotów. Jeden z nich ułożył się na kolanach Philippa.

– Cieszę się, że mnie odwiedziłeś. – Philomena uśmiechnęła się do Arthura i siorbnęła swoją kawę.

– Chciałem cię o coś spytać, Philomeno – wyjaśnił Arthur.

– Pytaj – zgodziła się stara kobieta.

Na zewnątrz powoli wstawał dzień.

– O mojego brata, który wyemigrował po wojnie i podobno zmarł w Stanach Zjednoczonych w latach siedemdziesiątych. Moi rodzice nigdy o nim nie rozmawiali. Nie wiesz, dokąd wyjechał? – przedstawił sprawę Arthur.

Philomena odstawiła swoją filiżankę na stół, mierząc Arthura wzrokiem.

– Dlaczego mnie o to pytasz? – chciała wiedzieć.

– Ponieważ ktoś podejrzewa, że on nadal żyje i nie wyemigrował – powiedział Arthur. – Będę szczery. W pewnym domu opieki w Kitzbühel mieszka niejaki Thomas Bergmüller, ma osiemdziesiąt siedem lat i po wojnie spędził wiele lat na zesłaniu na Syberii. Być może jest moim bratem, tak przynajmniej sądzi ten pan tutaj. – Spojrzał na Philippa. – Tylko, no cóż, on miał na imię Max, jak nasz ojciec. I dlaczego Syberia i Tyrol, a nie Stany Zjednoczone?

Philomena odłożyła widelczyk, żeby pogłaskać czarnego kotka, który wdrapał się jej na kolana. Westchnęła.

– Twój brat miał dwa imiona, Maximilian Thomas. Maximilian po swoim ojcu i Thomas po wynalazcy żarówki, Thomasie Edisonie. Nie wyemigrował do Ameryki. Po twoim powrocie do domu latami czekałam, aż mnie o to zapytasz – wyznała.

Arthur wpatrywał się w nią. Katharina poznała po jego oczach, że jest wściekły, i uspokajająco położyła mu dłoń na przedramieniu.

– Nie mów mi, że to prawda! – powiedział głośno. – Nie mów mi, że mam brata, który jeszcze żyje, i to w Austrii!

– Nie musisz podnosić głosu, słyszę jeszcze całkiem dobrze – odparła rozzłoszczona Philomena. – Musiałam to obiecać twojej matce, a nawet przysiąc na Biblię.

– Sram na Biblię! – krzyknął rozgniewany Arthur. – Wy, bigotki! To przecież nic nie znaczy!

Philomena z kotem na ręku wstała, wskazała kuchenne drzwi

i powiedziała drżącymi ustami:

– Won stąd! Nie muszę ci na to pozwalać! Kto troszczył się o twoich starych rodziców, kto? Gdzie wtedy byłeś?

– Philomeno, Arthur nie to miał na myśli – rzekła Katharina tonem prośby. – Opowiedz nam, co wiesz.

– Idźcie już – powiedziała z oczami pełnymi łez.

Zakłopotani wyszli z kuchni i z domu.

– Powinieneś wrócić i ją przeprosić – stwierdziła Katharina.

– Ani mi się śni! – rzucił Arthur. – Dostyc już wiem. Jedziemy teraz do Tyrolu i będę mógł sam zapytać mojego brata, dlaczego nigdy mnie nie odwiedził.

– To się nie da zrobić – odparł Philipp. – Bo Thomas nie mówi.

Wsiedli do auta, Philipp włączył silnik. Potem nagle wskazał głową wsteczne lusterko. Arthur odwrócił się i zobaczył Philomenę stojącą przed otwartymi drzwiami domu. Wysiadł i podszedł do niej, reszta czekała w samochodzie.

– Gdybyś przynajmniej raz zapytał o brata, powiedziałabym ci prawdę, bo nigdy bym cię nie okłamała, nawet jeśli przysięgałam na Biblię – powiedziała Philomena. – Ale nie zapytałeś.

– Przykro mi, że podniosłem głos i że cię obraziłem – przeprosił Arthur.

Poszli z powrotem do kuchni i usiedli. A potem Philomena opowiedziała wszystko, co wiedziała o bracie Arthura, a co Luzia wyznała jej wiosną 1965 roku i co poza tym mówiono we wsi.

Gdy ojciec, Max, w 1939 roku nagle wrócił z Australii, gdzie szukał złota, jego syn uparcie obstawał przy tym, żeby od tej chwili nazywać go jego drugim imieniem, Thomas. Ci dwaj nie rozumieli się dobrze, Thomas nie mógł wybaczyć ojcu, że kilka miesięcy po jego narodzeniu zniknął i zostawił ich samych. Dziewięć miesięcy później na świat przyszedł Arthur, rodzice byli przeszczęśliwi, Thomas – zazdrosny. Musiał ojcu, który przez cały czas się z nim kłócił, dużo pomagać w młynie, zapłaty za to nie dostawał żadnej.

– Twój ojciec był z innych czasów, Arthurze – powiedziała Philomena. – Z czasów, w których jeden potomek dziedziczył cały majątek, a pozostali albo szli do klasztoru, albo emigrowali, albo

zostawali w domu jako służba, bo nie mieli innych możliwości. Bez majątku chłopak praktycznie nie mógł się ożenić, a dziewczyny musiały mieć nadzieję, że jakiś mężczyzna je zechce, nawet jeśli nie dostaną posagu albo będzie on marny. Służba należała do inwentarza i ciężko pracowała, najczęściej za mieszkanie, wyżywienie, ubranie i niewielkie kieszonkowe. Dlaczego ci to wszystko opowiadam? Thomas wyrastał w przekonaniu, że pewnego dnia odziedziczy wszystko, do piętnastego roku życia był nawet jedynym spadkobiercą, a także ulubieńcem swojej matki. Snuł plany, był zręczny, ale też inteligentny i trochę marzycielski. Miał o sześć lat mniej ode mnie i zawsze go bardzo lubiłam. Ale gdy Max wrócił do domu, a nikt już na to nie liczył, i ty przyszedłeś na świat, twój ojciec mówił tylko o tym, że wszystko odziedziczysz. Miałbyś odziedziczyć jego ukochany młyn, dom, ziemię, ty, nie Thomas, a twój brat miałby zostać w Bergmühle jako parobek. Max powtarzał mu to wielokrotnie, wręcz go tym prowokował, a dla Thomasa była to zbyt poważna rzecz, żeby się z tego śmiać. Dlatego w sierpniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku znów wybuchła z tego powodu awantura, a potem Thomas spakował plecak i poszedł sobie z domu. Nawet nie pożegnał się z matką, zostawił jej tylko list. Napisał, że chce wyemigrować do Nowego Jorku. Najpierw nie bardzo się martwiła, myślała, że za kilka dni wróci, w całym kraju panował straszny chaos. Amerykanie nagle zostawili Mühlviertel Sowietom, to nas bardzo niepokoiło, baliśmy się Rosjan. Poza tym wszędzie szwendali się żołnierze dawnego Wehrmachtu. Ale Thomas nie wrócił i nigdy więcej o nim nie słyszała, nie przyszedł żaden list z Ameryki. Max nawet podejrzewał, że w tym chaosie Thomas mógł stracić życie. Dopóki pewnej marcowej nocy tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku nie stanął przed drzwiami.

Nie wierzyli własnym oczom, gdy w kuchni usiadł naprzeciwko nich wówczas czterdziestoletni Thomas, Luzia płakała, i z oszołomienia, i z radości. Od lat mieszkali sami w wielkim domu, Arthur wyjechał do Wiednia, żeby studiować architekturę, a od trzech lat mieszkał w Paryżu, gdzie dokończył studia. Miał jednak zamiar za parę miesięcy wrócić i znaleźć sobie pracę w pobliżu.

(Co potem wciąż przekładałem, pomyślał Arthur ze wstydem, wszystkie rozmowy telefoniczne z matką na ten temat były koszmarnie).

Dumni rodzice gorączkowo oczekiwali powrotu zdolnego architekta.

– Może Thomas też to czuł, a może czuł się niemile widziany albo nie na swoim miejscu – opowiadała później Luzia Philomenie.

Wkrótce zauważyli, że Thomas musiał przeżyć silną traumę. Nie opowiedział im, co go spotkało na Syberii, był milczący i dziwny, wydawało się, że jest bardzo wrogo nastawiony do wszystkiego, co miało związek z jego rodzinnym domem. Jego zdaniem to oni byli winni temu, że wtedy poszedł sobie z domu, a gdyby nie poszedł, Sowietom by go nie aresztowali. Zabraniał rodzicom chodzenia do wsi czy rozmawiania przez telefon, nie chciał, by ktokolwiek wiedział, że wrócił, zaszył się ze swoją starą maszyną do pisania i rozmawiał z jakąś nieobecną osobą, ale nie lubił, gdy ktoś go przy tym widział. Chyba wiedział, że ta osoba jest nierealna, ale najwyraźniej potrzebował tych rozmów i wyimaginowanej bliskości.

Czwartej nocy wyskoczył zza maszyny, wściekł się i nagle rzucił z siekierą na ojca, który w salonie czytał gazetę. Stał tak z siekierą w uniesionych rękach i wrzeszczał jak opętany. W ostatniej chwili ją opuścił i z płaczem opadł na ziemię. Musiał napisać coś, co go bardzo zdenerwowało, ale nie pozwolił matce tego przeczytać i nie chciał też o tym rozmawiać. Max zamierzał od razu dzwonić po policję, Luzii udało się go od tego odwieść. Ale bardzo się bali swojego syna, który wydawał im się obcy, to było dla nich za wiele. Gdy powiedział, że sobie pójdzie, w gruncie rzeczy poczuli ulgę. Zapakował swój niewielki dobytek, wcisnął zapisane kartki do torby i czekał, aż się ściemni. Nie chciał, by ktokolwiek go widział.

Przy pożegnaniu Luzia i Thomas padli sobie z płaczem w ramiona, Luzia zaklinała syna, by następnego dnia pojechał z nią do psychiatry. Thomas obiecał jej, że sam pójdzie do lekarza, ona ma się o niego nie martwić, da sobie radę. Wiedział, gdzie może pojechać, dobry przyjaciel z obozu na Syberii wrócił do domu już kilka lat temu, ma w Tyrolu gospodarstwo, a on może w nim pracować, na przykład

latem jako pasterz na hali. Nawet by mu się to podobało. Obiecał, że do niej napisze.

– Nie powinienem był tu w ogóle wracać – powiedział jej. – Przepraszam. Byłoby lepiej, gdybyście nadal uważali mnie za zmarłego.

Potem poszedł. Starzy ludzie nikomu o tym nie mówili, wstydzili się, czuli się winni. Tylko Philomenie Luzia opowiedziała o tym trzy miesiące później, gdy Arthur przez telefon oświadczył, że dostał idealną pracę w Paryżu i na razie nie wróci do domu.

W samochodzie Arthur siedział z tyłu i patrzył przez okno. Dopiero po godzinie był w stanie opowiedzieć, czego się właśnie dowiedział.

Około południa zaparkowali przed domem opieki, który leżał trochę na uboczu Kitzbühel. Zapytali portiera o Thomasa Bergmüllera i uzyskali informację, że akurat wszyscy są na obiedzie w stołówce. Usiedli w poczekalni i czekali. Arthur nerwowo bębnił palcami o oparcie krzesła. Nie trwało to długo, siostra zaprowadziła ich do pokoju Thomasa.

– Niech pan sobie wyobrazi, Thomasie, ma pan dzisiaj gości! – prawie krzyknęła.

Thomas stał przy oknie, odwrócił się i powiedział z przyjacielskim uśmiechem:

– Piękną pogodę dziś mamy!

21 grudnia 2012: Julius

Chcę się z tobą zestarzeć

Julius obudził się rano i napisał do Kathariny esemes: „Wracam do domu około czwartej lub piątej. Obłądnie się cieszę na nasze nowe życie! Tak bardzo cię Kocham!”.

Godzinę później stał z kwiatami przed Stephanie.

Gdy zobaczyła go z bukietem kwiatów przed drzwiami, mimo woli się roześmiała.

– Jesteś chyba pierwszym facetem, który swojej przyjaciółce przynosi kwiaty, kiedy się z nią rozstaje – powiedziała i wzięła bukiet.

– Skąd wiesz...? – zapytał.

– Przeczuwałam to – odpowiedziała. – Wejdz. Zjesz ze mną śniadanie?

Siedzieli w oranżerii i razem jedli śniadanie. Po jej powolnych gestach poznał, że nie miała się najlepiej i chciała to ukryć.

– Przykro mi, Stephanie – rzekł i położył dłoń na jej ręce. – Kiedyś musiałem się zdecydować. Wypowiedziałem pracę i będę znów mieszkał w domu. Chcę się usamodzielnąć jako konserwator. Kocham cię, ale Kocham też swoją żonę i, no cóż, mamy dzieci.

– Już dobrze, rozumiem cię – powiedziała, patrząc na obrus.

– Czas z tobą był przepiękny – ciągnął. – Mój Boże, był nie tylko piękny, był fantastyczny, jeszcze nigdy nie czułem się tak dobrze z kobietą. Będzie mi ciebie brakowało.

Podniosła głowę i zobaczył prawdziwe łzy w jej oczach. Tak zranionej nie widział jej jeszcze nigdy. Wzięła jego dłoń w swoje.

– Muszę ci koniecznie jeszcze coś opowiedzieć – oznajmiła. – To dla mnie ważne. Masz czas?

– Oczywiście, że mam czas – powiedział, choć to nie do końca była prawda, ale nie chciał jej martwić ani zostawiać tak smutnej. Właściwie zamierzał jeszcze kupić prezenty dla Kathariny i dzieci, zarezerwował sobie na to dzisiaj wolny dzień. Po południu chciał

pojechać do domu i cieszył się na to.

– A o co chodzi? – zapytał i zaczął sprzątać ze stołu.

– Zostaw, później to zrobię – powiedziała. (Do tego miało już nie dojść).

W salonie usiedli obok siebie na kanapie. Trzymali się za ręce.

– Nie poznaliśmy się przypadkiem – zaczęła. – I zanim się rozstaniemy, chciałabym ci powiedzieć prawdę.

Julius był zaskoczony. O czym ona mówi?

– Wiem, że nie poznaliśmy się przypadkiem – powiedział. – Przyjechałaś do nas, bo moja żona jest biografką i miała napisać historię twojego wuja.

– Tak, ale historia, którą pisze, to historia twojego wuja – odparła Stephanie. – I nie tylko dlatego przyjechałam. Koniecznie chciałam cię poznać. Ja... ja już raz cię widziałam i bardzo mi się podobałeś, od pierwszego wejrzenia.

Julius był zmieszany.

– Muszę się teraz cofnąć głębiej – powiedziała. – Wiesz, do kogo jestem podobna?

– Nie – rzekł i wewnątrz jęknął, było mu w tym momencie obojętne, do kogo jest podobna, irytował się i właściwie chciał już tylko kupić prezenty i pojechać do domu. Dlaczego zgodził się jeszcze zostać? Chciał jasnego, przejrzystego końca, krótkiej rozmowy, niczego więcej, żadnych trudności. Teraz wydawało mu się, że sprawa zaczyna się komplikować.

Jakby czytała w jego myślach, zapewniła uspokajająco:

– To naprawdę nic złego, Juliusie, chcę ci tylko coś opowiedzieć, dobrze? Jestem pewna, że cię to zainteresuje. Po prostu słuchaj.

Skinął głową.

– Jestem podobna do swojej ciotki Ludoviki – kontynuowała Stephanie. – Moja matka miała siostrę o imieniu Ludovica, która była uzdolnioną pianistką, młodym talentem, można by rzec. Dostałam po niej imię: Stephanie Ludovica. Ciotka była pięć lat starsza od mojej matki i w sierpniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku uratowała jej życie. Widzę, że odpływasz myślami, powinienes uważniej słuchać.

Julius się do tego zmuszał.

Rosyjski żołnierz wtargnął do domu i chciał zgwałcić czternastoletnią Susannę. Ponieważ bardzo się broniła, zaczął ją dusić, na co dziewiętnastoletnia Ludovica zastrzeliła napastnika. Strzał ściągnął innych żołnierzy, którzy palili przed drzwiami domu. Ludovica szybko i zdecydowanie ukryła swoją czternastoletnią siostrę w szafie i zarzuciła na nią płaszcze. Znaleźli więc obok wykrwawiającego się żołnierza tylko ją, aresztowali i wywlekli. Po wielu godzinach Susanna wyczołgała się z szafy i ukryła w dawnej piwnicy na węgiel, gdzie kilka dni później znalazła ją przyjaciółka matki, zupełnie zapuszczoną i w traumie. Zabrała ją do znajomych w Tyrolu i tam się nią zajęto. Skończyła szkołę pedagogiczną i została nauczycielką w podstawówce w pewnej tyrolskiej wiosce. Dość późno, bo była już po trzydziestce, ożenił się z nią Martin Mangold z okolic Kitzbühel, właściciel dużego gospodarstwa rolnego. O swojej siostrze Ludovice Susanna nigdy więcej nie słyszała, chociaż latami szukała jej przez Czerwony Krzyż. Zakładano, że – jak wielu innych – szybko umarła w sowieckim łagrze. Susanna nigdy tego nie przeboleła, były sobie z siostrą bardzo bliskie, ich rodzice zginęli w Dachau, a teraz została zupełnie sama.

W 1967 roku urodziła syna, Philippa, trzy lata później na świat przyszła wytęskniona córka, która miała pecha, że była bardzo podobna do swojej ciotki.

– Każdego dnia przypominałam matce jej utraconą siostrę, czułam to, chociaż ona nie chciała tego przyznać. Zaginiona ciotka unosiła się nad moim dzieciństwem jak duch i to też miało na mnie pewien wpływ. Znałam tę historię, jako dziecko nie mogłam się jej dość nasłuchać. Matka musiała mi wciąż opowiadać o tym dniu w sierpniu i o tym, co słyszała przez drzwi szafy: wbiegających żołnierzy, ciosy, krzyki Ludoviki, gdy ją wywlekali. To, co było w tej sytuacji tragiczne, dramatyczne, zafascynowało mnie i pociągało.

Stephanie wymyślała sobie rozmaite historie na temat swojej ciotki. Brak wiedzy, co się z nią stało, skłaniał ją do najróżniejszych fantazji. Choćby takiej, że Ludovica żyła i mieszkała gdzieś z mężem w rozległej Rosji. Stephanie wyobrażała sobie swoje cioteczne siostry,

które chciałyby mieć, męża, który więził Ludovicę, i biedna, delikatna ciotka musiała niewyobrażalnie cierpieć. Albo: Ludovica mieszkała w pobliżu, nie dała się jednak nikomu rozpoznać, bo była okropnie zniekształcona, i chroniła swoją siostrzenicę każdego dnia. Albo: okropnie zniekształcona Ludovica mieszkała w pobliżu i chciała zabić siostrzenicę z zemsty na siostrze, przez którą musiała latami żyć w obozie dla więźniów w Rosji. Jeszcze długo, nawet podczas studiów, miała uczucie, że ciotka jest obok i ją obserwuje.

Susanna miała obsesję na punkcie swojej córki i prawie nie spuszczała jej z oka, tak samo Stephanie ubóstwiała matkę. Nie chodziła do podstawówki, bo matka przez cztery lata uczyła ją sama, a gdy miała dziesięć lat, chciała, by prywatny nauczyciel nadal dawał jej lekcje w domu, na co jednak nie pozwolił ojciec. W końcu mogła jak inne dzieci uczęszczać do gimnazjum. Stephanie grała też na pianinie, a matka była zachwycona jej talentem. Chciała zrobić z córki słynną pianistkę.

– Ojciec zmarł, gdy miałam dziesięć lat. Philipp w wieku czternastu lat wyniósł się do Wiednia do krewnych; tak chciał, a matka się zgodziła. Zostałam z nią sama i to nie było dla mnie łatwe. Wielu uważało mnie za bogatą, rozpuszczoną dziewczynę, ale moje dzieciństwo nie było piękne – powiedziała Stephanie.

Moje dzieciństwo też nie było piękne. Kto może coś takiego powiedzieć o swoim dzieciństwie? – pomyślał Julius.

Jej ojciec zmarł wcześniej, a brat przeprowadził się do Wiednia. Stephanie i Susanna zostały same – to nie było łatwe dla dorastającej dziewczyny. Jej matka chciała być doskonałym człowiekiem i tego samego oczekiwała od swojej córki. Kiedyś Stephanie usłyszała, jak nieobecna duchem mówiła: „To niesprawiedliwe, że jeszcze żyję. Właściwie Lu powinna tu być i mieć dzieci. Ja powinnam była umrzeć”. Stephanie bardzo kochała swoją nieszczęśliwą matkę, chciała jej dogodzić, nadal grając na pianinie, chociaż tego nienawidziła. Lubiła meble, drewno, kamienie, tkaniny, farby, zaczęła malować, rzeźbić i przestała grać na pianinie. Nie była przyzwoita, ale chciała uchodzić za taką w oczach swojej matki. Była zepsuta – piła, paliła i spotykała się potajemnie z chłopakami, odkąd skończyła

czternaście lat. Ciągle miała nieczyste sumienie, zaginiona ciotka prześladowała ją tak samo jak pełne wyrzutu spojrzenia matki.

Po maturze przeprowadziła się do Innsbrucku, gdzie studiowała architekturę, a potem zaczęła pracować w dużym domu meblowym. Później wyruszyła na wyprawę dookoła świata, a gdy wróciła, usamodzielniała się. Interes od początku dobrze prosperował.

Zrobiła przerwę.

– A o co chodzi z tym wujkiem? – zapytał Julius.

– Zaraz do tego dojdę – obiecała i opowiadała dalej.

W posiadłości jej matki mieszkał w podupadłym domku pewien starszy człowiek o nazwisku Thomas Bergmüller.

– Bergmüller? – zapytał Julius.

– Tak, jest twoim wujem – powiedziała Stephanie.

– Nie mam żadnego wuja, Steph – rzekł Julius. – W Austrii jest mnóstwo Bergmüllerów.

– Po prostu słuchaj, Julius.

Od kiedy pamięta, mieszkał tam i pracował w posiadłości rodziców, przez większość czasu w stajniach. A gdy przeszedł na emeryturę, mógł dalej pozostać w tym domku. Jesienią 1965 roku po prostu stanął przed domem i poprosił o pracę, Susanna się nad nim zlitowała i zatrudniła go, gdy usłyszała, że długo był na Syberii.

Stephanie nic o nim nie wiedziała i nie interesowała się nim, z jego powolnym, cichym charakterem – prawie nic nie mówił – sprawiał na niej wrażenie wioskowego głupka. Jako dziecko robiła sobie z niego żarty i szydziła. Czasem rozmawiał z kimś, kogo nie było, wyglądało to tak komicznie, że kiedyś, gdy miała dziesięć lat powiedziała do niego: „Nadajesz się do psychiatrika!”.

Thomas od dwóch lat mieszka w domu opieki, nie był już w stanie sam dbać o siebie i coraz bardziej się zapuszczał. Matka chciała wyremontować ten mały dom, żeby go wynająć, i przed rokiem poprosiła Stephanie, żeby się wszystkim zajęła. Gdy ta dokładnie obejrzała budynek i zastanawiała się, co można z nim zrobić, za boazerią znalazła dużą kopertę, w której były stary maszynopis i taśma magnetofonowa. Wyjęła pożółkłe kartki, przebiegła je wzrokiem i znalazła powtarzające się imię Ludovica. Jej matka nic

o tym nie mówiła.

W Innsbrucku przeczytała maszynopis i odsłuchiwała taśmę, którą musiał nagrać jakiś psychiatra z Linzu. Thomas spisał swoje przeżycia z Syberii, gdzie mieszkał prawie dwadzieścia lat. Nazwał swój tekst *Powieść bez O*.

– *Powieść bez O?* – wymknęło się Juliusowi.

Brzmiało znajomo. Gdzie on to słyszał?

Nie wierzyła w to, co tam przeczytała. Siedziała na podłodze i płakała, nie mogła zasnąć całą noc. Ten stary człowiek dobrze znał jej ciotkę Lu, kochał ją i był obecny przy jej strasznej śmierci. Przez cały czas mieszkał pod jej, Stephanie, nosem i był kluczem do jej dzieciństwa! Kluczem, który mógłby zakończyć tę niewiedzę związaną z widmem jej ciotki.

– Historia, którą przeczytałam, doprowadzała mnie do obłędu. Długo nie mogłam się od niej uwolnić. Odwiedziłam Thomasa i wyznałam mu, że znalazłam jego maszynopis i go przeczytałam. Nic nie powiedział, tylko na mnie patrzył. Jego demencja jest już rzeczywiście daleko posunięta, nie pamięta nic z dawnych czasów, prawie nie mówi i chodzi bardzo małymi kroczkami. Zapytałam go, czy chce wybrać się ze mną na wycieczkę do rodzinnego domu. Nie chciał. Zatem w niedzielę w marcu zeszłego roku pojechałam sama. Poszłam obok Bergmühle na górę, do lasu. Siedziałeś na tarasie. Pamiętasz?

– W niedzielę wiele osób spaceruje obok naszego domu i idą dalej do lasu – powiedział Julius. – Zupełnie nie zwracamy na to uwagi, droga jest w sporej odległości na dole, a nie tuż obok domu. Ale ważniejsze jest coś innego: dlaczego jesteś taka pewna, że to mój wuj?

– Bo to napisał. Urodził się w Bergmühle, jego rodzice mieli na imię Max i Luzia, jego młodszy brat – Arthur. Tak przecież ma na imię twój ojciec?

Julius skinął głową.

Arthur miał zatem brata, o którym nic nie wiedział? Jak to, u diabła, możliwe? Powinien się być lepiej przysłuchiwać, gdy Katharina opowiadała mu tę historię, podczas ostatnich weekendów wciąż o tym paplała. Zapyta ją jeszcze raz.

– Najchętniej wstąpiłabym wtedy do was na taras i opowiedziałam wam o wszystkim. Ale nie chciałam nikogo obciążać, poza tym możliwe było przecież, że dom został sprzedany. Z lasu obserwowałam przez lornetkę ciebie i twoją najmłodszą córkę, bardzo mi się spodobałeś od pierwszego wejrzenia. Potem odjechałam. Z ulicy zrobiłam zdjęcie domu, na jego podstawie namalowałam później mały obrazek. Podarowałam wam go, pamiętasz? – opowiadała dalej Stephanie. – Wróciłam więc do domu, ale nie mogłam z tym skończyć. No cóż, chyba się trochę zagalopowałam, przyznaję, ale byłam ciekawa, chciałam się dowiedzieć, kto mieszka w tym domu i czy wiecie coś o Thomasie, dlaczego nie utrzymujecie z nim kontaktu. Dla mnie to wszystko było bardzo ciekawe.

– Dlatego przyjechałaś jeszcze raz – dopowiedział Julius. – Znowu w niedzielę. I zleciłaś mojej żonie napisanie historii swojego wujka Thomasa, który był dwadzieścia lat na Syberii. Przy czym to był mój, a nie twój wujek.

– Tak, z tego powodu przyjechałam w niedzielę, żebyś też był w domu. Chciałam cię poznać. Od pierwszej chwili mnie pociągałeś. Resztę znasz, spotkaliśmy się później wieczorem po dwóch dniach w Innsbrucku – ciągnęła. – Przykro mi, powinnam ci była od razu powiedzieć prawdę, ale to było dla mnie jak gra. Z początku mnie to bawiło. Jednocześnie czułam, że to przeznaczenie. Pobudzało mnie to, że ty, bratanek Thomasa, i ja, siostrzenica Ludoviki, jesteśmy parą kochanków. A przede wszystkim naprawdę się w tobie zakochałam. To prawda, Juliusie, kocham cię do szaleństwa. Jesteś pierwszym mężczyzną, któremu to mówię. Nie potrafię wyobrazić sobie starzenia się z żadnym mężczyzną, z tobą tak.

Pocałowali się. Julius zdjął Stephanie sukienkę przez głowę i kochali się na sofie, namiętnie i dziko, stoczyli się na dywan, śmiali się i kochali dalej.

– Zwariowałam na twoim punkcie – wyznał Julius, dysząc.

– Wiem – odrzekła Stephanie, triumfując.

Później siedzieli obok siebie na dywanie, oparci o sofę, pili martini i palili.

Mój Boże, nie mogę wyjść, po prostu nie mogę. Jesteśmy sobie

przeznaczeni.

– Chciałbyś go poznać? – zapytała Stephanie i wydmuchała mu dym w twarz.

– Kogo?

– Swojego wujka – powiedziała. – Możemy pojechać do Kitzbühel, odwiedzić go i tam razem zjeść obiad.

– To dobry pomysł. Dlaczego nie? – zgodził się Julius.

Pół godziny później ruszyli, każde swoim samochodem, żeby Julius mógł stamtąd pojechać dalej do domu. Dałby radę jeszcze wybrać się na zakupy w Kitzbühel, jeśli będzie miał na to ochotę, a jeśli nie, może to sobie darować. Jak znał Katharinę, i tak znów kupiła za dużo prezentów dla dzieci.

Siedział w swoim służbowym samochodzie, który miał oddać na początku stycznia, i jechał za mercedesem Stephanie, pogrążony w myślach.

Powieść bez O? Gdzie on to słyszał? Być może Katharina podczas któregoś weekendu coś wspominała, gdy spisywała tę historię. Możliwe, ale wiedział, że nie o to chodzi. W ostatnich tygodniach rozmawiali prawie wyłącznie o podróży do Azji i warsztacie, o tym, jakie inwestycje trzeba poczynić, jakich nowych maszyn potrzebuje, co musi załatwić w urzędach. Katharina tylko raz opowiadała, że to, co ten człowiek musiał przeżyć na Syberii, było straszne, bo jakiś psychopata odrąbał jakąś część ciała dziewczynie, którą kochał. Czy chodziło o ręce, nogi czy głowę, już nie pamiętał. Słuchał tylko jednym uchem, a powinien był uważniej.

Nagle wpadło mu to do głowy. Powieść bez O!

Zobaczył siebie w dzieciństwie, siedzącego na strychu i bawiącego się starą maszyną do pisania, którą znalazł w szafie. Brakowało w niej klawisza z literą O, był tylko metalowy kikut. Tygodniami siadał przed maszyną, nawet czasem wkręcał papier i pisał kilka słów.

To wspomnienie w nim ożyło: mały Julius tkwił tam i wyobrażał sobie młodego pisarza, który przed wielu laty został uwięziony przez starego złego młynarza i siedział przy tej maszynie bez O, żeby napisać powieść przygodową. Julius znał już kilka niemieckich słów z literą O: dobry, wszystkiego dobrego, odwaga, odważny, spokój,

wiosła, poszukiwanie; właściwie wszystkie słowa, które mu się podobały. Julius mruczał to O pod nosem, ooo, z jakiegoś powodu uznał tę literę za miłą i kojącą; próbował tego samego z I i stwierdził, że I piszczy, A zaś uważał za zbyt głośne. Jak ten pisarz mógł stworzyć jakąś powieść bez O? Bez O nie można nawet napisać słowa „odwaga”, która jest przecież konieczna w powieści przygodowej! Może unikał wszystkich słów z O i zamiast nich wyszukiwał inne. Czy to było do zrobienia? Chyba nie. Prawdopodobnie mimo braku klawisza na metalowym kikucie uderzał w niego, żeby O jednak odbiło się na papierze, i przy tym zranił się w palec wskazujący, tak że zawsze wraz z O spadała na papier maleńka kropla krwi. Biedny pisarz, pomyślał sześćioletni Julius, napisał powieść usianą kropelkami krwi.

Julius siedział w samochodzie i był podekscytowany. Może Thomas stanowią kluczem również do jego dzieciństwa? Czy to on kiedyś siedział przy maszynie? Tak musiało być. A może Thomas był też kluczem do jego przyszłości? Bez O nie można napisać słowa odwaga, a bez słowa odwaga nie można napisać powieści przygodowej! On, Julius, musiał nabrać śmiałości i mieć odwagę: żyć przygodą! Musiał odważyć się na nowy początek, ale nie z Kathariną, tylko ze Stephanie. Pierwsze tygodnie po rozstaniu byłyby wprawdzie trudne, trudne dla Kathariny, ale wspierałby ją, jak tylko by mógł, pod każdym względem. W gruncie rzeczy nigdy do siebie nie pasowali.

Juliusa ogarniała coraz większa euforia. Przed domem opieki w Kitzbühel wysiadł i od razu powie o tym Stephanie, wyobraził sobie jej rozpromienioną twarz. Ale przypadek chciał, że tuż przed samym Kitzbühel w radio puścili piosenkę Cata Stevensa: *How can I tell you that I love you.*

Julius zaczął w duchu kląć, był rozdarty. Nie mógł powiedzieć rodzinie, że wyprowadza się na zawsze do Tyrolu, nie potrafił stanąć przed ojcem, dziećmi i żoną i oznajmić: „Wprawdzie tracisz syna, za to masz brata! I hej, tracie wprawdzie ojca, ale za to zyskujecie ciotecznego dziadka! I ty, kochana Katharino, tracisz wprawdzie męża, zyskujesz za to wujka, który może ci opowiedzieć wiele historii z Syberii. Uwielbiasz przecież stare historie, nieprawdaż?”.

Był bliski obłądu. Wyobrażał sobie twarze dzieci i ich opryskliwe odpowiedzi: „Łał, tato, jeśli to fajny, bogaty wujek z Ameryki, chętnie cię pożegnamy!”, na co on powiedziałby: „Nie, to stary jak świat, zidiociały mężczyzna z domu opieki w górach, który często słyszy głos swojej ukochanej, okaleczonej gdzieś w tajdze przez jakiegoś psychopate; ten mężczyzna cierpi na demencję, nie ma żadnych pieniędzy i chodzi bardzo drobnymi kroczkami, ale się do tego przyzwyczaić”.

Gdy wysiadł, nic jej nie powiedział. Była jedenasta. Stephanie podeszła do niego, pocałowała go i przedstawiła mu swoją propozycję: ona wejdzie do domu opieki i zabierze Thomasa na wspólny obiad, on ma tymczasem czekać w samochodzie.

– Po co takie komplikacje? – zapytał.

– Z powodu mojej matki. Czasem odwiedza Thomasa i potem personel mógłby jej opowiedzieć, że byłam tu z jakimś mężczyzną. Pielęgniarki lubią plotkować. Moja matka podziurawiłaby mi brzuch pytaniami, wiesz, a ja właściwie nie chcę jej o tobie opowiadać – wyjaśniła. – Ona nienawidzi moich romansów z żonatymi mężczyznami.

– Ale Thomas jej przecież opowie – odparł.

– Nie, Thomas nigdy niczego nie opowie. – Roześmiała się.

– Dobrze – zgodził się i wziął jej kluczyki.

Wsiadł do jej samochodu i czekał. W schowku na rękawiczki znalazł płytę Cata Stevensa, która właściwie była jego własnością, wyjął ją i nagle wpadł na pewien pomysł. Poszedł do swojego auta i znalazł kawałek papieru, na którym napisał: „Moja najukochańsza Katharino, chciałbym tej płyty słuchać z tobą jeszcze wiele razy! Chcę się z tobą zestarzeć. Twój kochający Julius”.

To „chcę się z tobą zestarzeć” tak bardzo podobało mu się z rana, gdy Stephanie to powiedziała. Otworzył pudełko z płytą, włożył papier, zamknął je i położył na siedzeniu pasażera. Potem poszedł z powrotem do samochodu Stephanie.

Stephanie przyprowadziła jakiegoś starego człowieka. Nie dostrzegał podobieństwa do swojego ojca: ten pochylony mężczyzna szurał nogami, jego dłonie i twarz były usiane starczymi plamami,

oczy patrzyły w pustkę, zęby nie pozostawały bez zarzutu. Julius szybko potrząsnął jego dłonią; nie wiedział, jak traktować starych ludzi.

Wbrew obawom obiad we troje okazał się jednak dla niego przyjemnością i w pewnym stopniu uważał nawet, że było całkiem wesoło. Wjechali na jakąś górę i znajdowali się teraz w przytulnej chacie. Thomas siedział z przyjaznym uśmiechem, patrzył na obrus i jadł trzęsącymi się rękami zupę jarzynową, przy czym Stephanie musiała mu troszkę pomagać. Był milczący i tylko czasem odpowiadał na pytania, jednak najczęściej odpowiedź, w której dziwnie przekręcał słowa, nie miała nic wspólnego z pytaniem. On sam o nic nie pytał.

Julius powiedział do niego:

– Jestem synem Arthura, twojego brata. Pamiętasz Arthura?

Musiał to pytanie powtórzyć, zanim Thomas odpowiedział:

– Oczywiście, oczywiście, przypominam sobie wszystkich ludzi.

Jego sposób mówienia nasuwał Juliusowi na myśl *Gwiezdne wojny*, które Vincent lubił kiedyś oglądać. Był tam taki mały zielony ludzik imieniem Yoda, mistrz rycerzy Jedi, który tak samo przekręcał zdania. „Więcej nauczyć musisz się” powiedział Yoda do jednego ze swoich uczniów. To zdanie było tygodniami ulubionym zdaniem jego syna, używał go przy każdej okazji.

– Co jeszcze wiesz o Arthurze? – zapytał.

– Hmm, hmm – mruknął Thomas. – Jedzenie mi smakuje.

Stephanie i Julius się roześmiali.

Podobał mu się czuły i niewymuszony sposób obchodzenia się Stephanie ze starszkiem. Gdy jakiś mężczyzna kilka stołów dalej wziął do ręki gitarę i zagrał, poprosiła Thomasa do tańca.

– Nie czujesz się niezręcznie? – zagadnął ją cicho.

– Dlaczego miałabym się czuć niezręcznie? – zapytała ze śmiechem, podciągnęła Thomasa z krzesła i zatańczyła z nim.

Cudownie to wyglądało, gdy razem tańczyli, wszyscy ludzie w chacie się przyglądali. Thomas pozwolił jej prowadzić i cały czas się do niej uśmiechał. Julius był wzruszony. Nie mógł się napatrzeć na Stephanie. Miała na sobie bardzo krótką kolorową sukienkę, do tego

czarne legginsy, krótkie brązowe kozaki z nitami i mnóstwo bransoletek na prawym nadgarstku. Wiedział, że tę kolorową sukienkę uszyła sama z rozmaitych kawałków materiału. Katharina nigdy by czegoś takiego nie włożyła.

Gdy Stephanie poszła do toalety, a on zatopiony w myślach patrzył przez okno, usłyszał głos Thomasa:

– Ty ją wziąć powinienes.

Skonsternowany spojrział staremu mężczyźnie w twarz, ale ten grzebał w swoim deserze. Czy jego wuj naprawdę to powiedział, czy sobie to tylko wyobraził, bo chciał to usłyszeć? A może po prostu wypił za dużo wina?

– Do domu chcę – oznajmił Thomas. Był zmęczony i potrzebował poobiedniej drzemki.

Ruszyli więc, zjechali samochodem Stephanie z góry i skierowali się z powrotem do domu opieki. Na tylnym siedzeniu Thomas kiwał głową, w radiu leciał koncert fortepianowy.

Obserwował ją z boku, patrzył na jej jasnorude włosy do ramion, dołki w policzkach, wąskie ramiona. Odwróciła się do niego, uśmiechnęła i przesłała ręką całusa. Boleśnie uświadomił sobie swoją miłość do niej. Oglądał mijane krajobrazy, wszystko wydawało mu się nierealne. A potem podjął decyzję.

Zaparkowali na jakiejś przecznicy i wysiedli. Stephanie odprowadziła Thomasa do domu opieki. Julius patrzył za nią, potem chodził ulicą to w jedną, to w drugą stronę i zastanawiał się, co ma jej powiedzieć. Gdy wracała, szybko ruszył jej naprzeciw, aż zaczął biec i objął ją.

– Kocham cię, Stephanie, kocham cię tak bardzo i cię nie opuszczę – szeptał jej we włosy, mocno ją przytulając. – Zostaję z tobą.

– Naprawdę? – spytała zdziwiona i wzięła w rękę jego głowę.

– Tak, naprawdę – powiedział, śmiejąc się i płacząc jednocześnie. – Chcę się z tobą zestarzeć. Jadę teraz do domu i powiem to swojej rodzinie. Jutro wrócę do ciebie, na zawsze. To będzie dla wszystkich trudne, zwłaszcza na początku, ale tak musi być. Nie mogę przecież zostać z kimś z poczucia odpowiedzialności, to nie fair również w stosunku do Kathariny. Ona też powinna mieć szansę bycia znów

szczęśliwą z kimś innym. A moje dzieci pokochasz.

– Pokocham! – rzuciła rozpromieniona Stephanie.

(W duchu triumfowała. Zawsze dostawała to, czego chciała. Jeśli kiedykolwiek miało dojść do jakiegoś rozstania, to ona byłaby tą, która odchodzi, nie on).

Objęci szli z powrotem do jej samochodu. Przytulili się i pocałowali jeszcze raz, potem Stephanie wsiadła i powoli odjechała. Na skrzyżowaniu się zatrzymała, bo światło zmieniło się na czerwone, i otworzyła okno. Julius stał na chodniku obok niej. Pochylił się do niej, pocałował ją jeszcze po raz ostatni, a potem się wyprostował.

I w tej chwili się to stało: światła zmieniły się na zielone, ale jakiś mały chłopiec, który stał z matką na chodniku po drugiej stronie ulicy, wyrwał się i wybiegł na jezdnię. Potężna ciężarówka ostro zahamowała, poślizgiem przejechała na przeciwległy pas ruchu i uderzyła w tych dwoje. Chłopcu nic się nie stało.

Julius i Stephanie ponieśli śmierć na miejscu.

Ciała zawieziono do kostnicy szpitala okręgowego Świętego Jana, gdzie lekarz stwierdził zgon i gdzie miała nastąpić identyfikacja przez bliskich. Policja powiadomiła obydwie rodziny. Godzinę później przyjechała matka Stephanie, Susanna, wzbraniała się jednak przed identyfikacją i poprosiła, by poczekać na jej syna, Philippa. Ten był już w drodze z Wiednia do Kitzbühel, bo miał spędzić Boże Narodzenie z matką, gdy ta powiadomiła go telefonicznie o tragicznym wypadku. Trzy godziny później Arthur i Katharina weszli do piwnicy szpitala.

(O Juliusie można by pośmiertnie sądzić, że przeprowadził genialny manewr. Stało się to wprawdzie nieświadomie – Julius przecież nie wiedział, że ten rozpuszczony nicpoń z wściekłości na matkę, która nie chciała mu dać wymarzonego prezentu gwiazdkowego, wybiegnie na jezdnię dokładnie w tym momencie, przemęczony Dragan w ciężarówce Man swojej firmy będzie musiał z tego powodu ostro hamować, po czym potężny pojazd wpadnie w poślizg i wjedzie na przeciwległy pas ruchu – ale to nie umniejsza genialności wybranego

momentu jego zgonu.

Kochanka Juliusa umarła ze smakiem namiętnego pocałunku na ustach i świadomością, że jej wymarzony mężczyzna chce się z nią zestarzeć. Jego żona Katharina jeszcze rano dostała ostatniego esemesa od swojego męża, w którym pisał, że tak bardzo ją kocha. Na siedzeniu pasażera w samochodzie znalazła później płytę Cata Stevensa i gdy ją otworzyła, wypadła z niej kartka, na której było napisane: „Chcę się z tobą zestarzeć. Twój kochający Julius”. Została więc smutna, ale z pocieszającą świadomością, że mąż ją kochał i chciał się z nią zestarzeć.

Również z innych punktów widzenia scenografia i moment tej śmierci były idealne: Wyobraźmy sobie, że Julius i Stephanie mieliby wypadek dzień później! To oznacza, że Julius pojechałby do domu, wieczorem przyznałby się Katharinie, że ma kochankę, i opuściłby ją następnego ranka, później ruszyłby do Innsbrucku, gdzie po wspólnej kolacji ze Stephanie wracałby z restauracji i – pozostaliśmy przy tym samym rodzaju śmierci – zostałby przejechany przez ciężarówkę. Wówczas Katharina byłaby raczej wściekła, upokorzona, urażona niż smutna! A tak mogła być w prawdziwej żałobie, to przecież piękne.

I jeszcze jeden punkt, którego nie można zamieść pod dywan, trzeba go poruszyć: Katharinie wydawało się, że jest współodpowiedzialna za śmierć pani Mangold, przez co czuła się trochę zobowiązana wobec jej brata neurochirurga, była więc dla niego miła i, no cóż, krótko mówiąc: ta dwójka po pół roku została parą. Był to poza tym wspaniały związek, nie musieli się wszak zabezpieczać.

Gdyby, jak mówiliśmy, Julius i Stephanie zginęli w wypadku dzień później, neurochirurg w oczach Kathariny jawiłby się jako brat lafiryndy i prawdopodobnie nigdy nie zostaliby parą, a jeśli nawet, trwałoby to bardzo długo i zawsze coś stałoby między nimi, bo odpowiedzialności rodziny za wszystkich jej członków w takim przypadku nie wolno nie doceniać.

I oto ostatni punkt, wprawdzie nie tak znaczący jak poprzednie, ale mimo to nie można o nim nie wspomnieć: Latem 2013 roku pojechali wszyscy razem – Philipp, Katharina, czwórka dzieci, Arthur, Olga,

Masza, Thomas i nawet Susanna, którą udało się namówić – na kilka dni do Paryża. Dla Kathariny była to najweselsza i najbardziej zwariowana podróż, jaką kiedykolwiek przeżyła, choć – to prawda – tak wiele ich znów nie przeżyła. Małym busem z kierowcą, którego Philipp wynajął – Leonora miała rację, nieźle zarabiał – jeździli w tę i z powrotem, nocowali w pięciogwiazdkowych hotelach, co dzieci uznały za naprawdę cool. Thomas zgubił się dwa razy, Luisa raz, a raz Arthur i Susanna pijani tańczyli tango – dzieci poczuły się tym tak zakłopotane, że uciekły z restauracji.

Katharina i jej córki na tę podróż mogły sobie wyszukać mnóstwo nowych ubrań, butów, torebek, jedwabnych chustek i bransoletek z niewyczerpanych zasobów Stephanie, wszystkie cztery czuły się w mieście mody nieskończenie ekstrawaganckie. Do tego też by nie doszło, gdyby Julius i Stephanie zginęli w wypadku dzień później).

Wiosna i lato 1945: Susanna

Ani mru-mru

Ósmego maja 1945 roku w Europie oficjalnie zakończyła się wojna.

Ludovica na głos przeczytała tę wiadomość z „Neue Zürcher Zeitung” swojej czternastoletniej siostrze Susannie, po czym ta tygodniami bombardowała ją prośbami, by natychmiast wracały do Wiednia. Mieszkały u starej ciotecznej babki na wsi w Graubünden i śmiertelnie się nudziły. Zwłaszcza Susanna nie czuła się tam dobrze, chciała wrócić w końcu do domu i odszukać rodziców.

Ich rodzice w 1943 roku zostali zabrani przez SS ze swojej willi w Wiedniu, bo wielokrotnie wypowiadali się krytycznie o Hitlerze i reżimie narodowosocjalistycznym. Obydwie dziewczynki, wówczas siedemnasto- i dwunastoletnia, zdążyły się na czas ukryć w piwnicy na węgiel. Od tego momentu nie było o rodzicach wieści. Kilka tygodni później przyjaciele rodziny pomogli siostrom uciec do Szwajcarii.

Również Ludovica chciała odszukać rodziców, ale z drugiej strony nie ekscytowała jej myśl o powrocie do zniszczonego i zajętego przez Sowieców Wiednia. W końcu ustąpiła, tęsknota za rodzicami i chęć dowiedzenia się jak najszybciej czegoś o miejscu ich pobytu okazały się zbyt silne. Obie przyjechały w połowie lipca do Wiednia i wprowadziły się do pustej, zapuszczonej willi. Energicznie szorowały ją i pucowały, robiły zakupy na czarnym rynku, odwiedzały krewnych, znajomych i przyjaciół i codziennie czytały publikowane przez Czerwony Krzyż listy zmarłych w obozach koncentracyjnych. Podchodziły do tego z optymizmem i chociaż było im smutno, często swawoliły, ogarnęło je poczucie wolności. Wojna się skończyła i wkrótce mama i tata staną w drzwiach!

Spały razem w sypialni rodziców i godzinami snuły w nocy wspomnienia o dawnych czasach, przywoływały okres sprzed wojny, gdy jeszcze byli we czworo. Susanna opowiadała o nauczycielu,

w którym się kochała, Ludovica – o dwóch małych kotkach, które dostała od przyjaciółki, a potem ukryła w pudle fortepianu, bo chciała je zatrzymać. Matka dziwiła się dziwnemu dźwiękowi instrumentu, aż w końcu odkryła powód. Potem siostry zasypiały, trzymając się za ręce.

Pewnego dnia w połowie sierpnia wpadł do nich dawny nauczyciel gry na fortepianie, żeby nastroić instrument. Był przerażony, że dziewczyny mieszkają same, i zaproponował, żeby przeprowadziły się do niego i jego żony. Odmówiły i wyśmiały go, gdy opowiadał im mrozące krew w żyłach historie o gwałtach dokonywanych przez sowieckich żołnierzy. Miały siebie nawzajem, a oprócz tego pistolet ojca. Czuły się silne i odważne. Ich rodzice mogli wrócić w każdej chwili i wówczas zastaliby pusty dom, a tego w żadnym wypadku nie chciały.

Następnego wieczoru Ludovica akurat grała na fortepianie *Sonatę Księżycową* Beethovena – Susanna siedziała na podłodze i słuchała – gdy do mieszkania wtargnął pijany sowiecki żołnierz. Rzucił się na Susanne i zaciągnął ją za włosy do sypialni, a ona krzyczała i krzyczała. Ludovica okładała mężczyznę pięściami, ale ten tylko się śmiał i tak zdzielił ją pięścią w twarz, że uderzyła głową o ramę łóżka, upadła i tak została.

W sypialni rodziców żołnierz przycisnął Susanne do łóżka i położył się na niej, jego oddech straszliwie śmierdział, twarz miał wykrzywioną. Ona go gryzła, biła i drapała, na co on się wściekł, chwycił ją lewą ręką za szyję i zaczął dusić. Prawą ręką podciągnął jej sukienkę i zerwał majtki. Susanna, rżąc, wymacała pod poduszką pistolet i chwyciła go.

Szybko podniosła go do góry, mężczyzna miał zaskoczoną minę, a ona strzeliła w sam środek jego twarzy. Krew tryskała, on opadł na nią jak wór. Puściła pistolet. Ludovica podeszła, słaniając się, a potem usłyszały tupot grupy mężczyzn na schodach, brzmiało to, jakby wbiegała cała armia. Ludovica podniosła pistolet, otworzyła szafę z ubraniami matki, poderwała Susanne z łóżka i zaciągnęła ją do szafy.

– Ani mru-mru – powiedziała.

Susanna, drżąc, siedziała w kucki, Ludovica zarzuciła na nią furto i zamknęła szafę.

W kwerendzie do historii Thomasa pomogły mi książki Josefa Martina Bauera (*Tak daleko, jak nogi poniosą*), Herberta Killiana (*Geraubte Jahre. Ein Österreicher verschleppt in den GULAG* i *Geraubte Freiheit. Ein Österreicher verschollen in Nordostsibirien*), Aleksandra Sołżenicyna (*Archipelag Gułag*), Jurija Rytcheu (*Sen we mgle* i *Gdy wieloryby odchodzą*) oraz Eugenii Ginsburg (*Stroma ściana*).

¹ Tłumaczenie za www.tekstowo.pl, autor nieznany.

² R.M. Rilke, *Pantera*, przeł. Andrzej Lam.

Spis treści

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[Listopad 2012: Katharina. Nieproszony gość](#)

[Listopad 2012: Katharina. Samotność](#)

[Listopad 2012: Julius. Uniknąwszy śmierci](#)

[Listopad 2012: Rodzina Bergmüllerów](#)

[Listopad 2012: Katharina i Julius. Nowy początek?](#)

[Listopad 2012: Katharina. Nowe zlecenie](#)

[Historia Thomasa](#)

[Listopad 1972: Arthur. Kłótnia babek](#)

[21 grudnia 2012: Katharina. Impreza z okazji końca świata](#)

[Historia Thomasa](#)

[Styczeń 1995: Katharina i Julius. Brzemienne w skutki zdanie](#)

[Luty i marzec 1995: Katharina. Czapki z głów, mój synu, piękna dziewczyna!](#)

[Historia Thomasa](#)

[1973–1987: Katharina. Ojciec o imieniu Vincent](#)

[1978: Julius. Bergmühle](#)

[1995–2001: Katharina. Życie rodzinne](#)

[Historia Thomasa](#)

[2001–2005: Katharina. Jeszcze jedno dziecko](#)

[1978–1981: Arthur. Samotny wilk](#)

[Historia Thomasa](#)

[1997–2001: Julius. Mrs. Robinson](#)

[Historia Thomasa](#)

[2001–2006: Julius. Znośna lekkość bytu](#)

[Historia Thomasa](#)

[21 grudnia 2012: Philipp. Humbert Humbert i Wilbur Larch](#)

[Historia Thomasa](#)

[Historia Thomasa](#)

[Grudzień 2012: Katharina i Julius. KATHARINA CHCE POZNAĆ THOMASA](#)

[Historia Thomasa](#)

[Styczeń 2013: Philipp. Katharina ma poczucie winy](#)

[Styczeń 2013: Philipp. Thomas Bergmüller](#)

[Luty 2013: Arthur. Uznany za zmarłego brat](#)

[21 grudnia 2012: Julius. Chcę się z tobą zestarzeć](#)

[Wiosna i lato 1945: Susanna. Ani mru-mru](#)

[***](#)

[Przypisy](#)

Przekład: Aldona Zaniewska
Redakcja: Katarzyna Skwark
Korekta: Anna Sidorek, Krystian Gaik

Projekt okładki: Tomasz Majewski
Zdjęcie wykorzystane na I stronie okładki: © Alexander Kuzmin

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4480-7

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo